

1. 762.361

ALEKSANDER PISKOR

**SIEDEM
EKSCYLENCJI
I JEDNA DAMA**



INSTYTUT LITERACKI
R Z Y M

1947

SIEDEM
EKSCYELENCJI
I JEDNA DAMA

ALEKSANDER PISKOR

SIEDEM
EKSCYLENCJI
I JEDNA DAMA



INSTYTUT LITERACKI
RZYM 1947

Pierwsze wydanie / Warszawa, 1939
Drugie wydanie / Rzym 1947

Wszystkie prawa zastrzeżone
Copyright by Aleksander Piskor

Odbito 4000 egzemplarzy numerowanych

N.



I. 762.361



Printed in Italy

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603826

1968 D 544/55

CZĘŚĆ PIERWSZA: DAMA

La belle Gabrielle Katarzyna Starzeńska

CZĘŚĆ DRUGA: EKSCLENCJE

Niewolnik znaku

(*ekscelencja arabska*) Wacław Rzewuski

Romantyczny gubernator

(*c. k. ekscelencja*) Wacław Zaleski

Wielki koniuszy

(*ekscelencja nieposkromiona*) . . . Juliusz Dzieduszycki

Młody malarz

(*nie-ekscelencja*) Juliusz Kossak

Trzy psy Melpomeny:

I. Azor

(*ekscelencja myśliwska*) Leopold Starzeński

II. Focio

(*ekscelencja ornitologiczna*) . . . Włodzimierz Dzieduszycki

III. Gielfi

(*ekscelencja uwodzicielska*) . . . Jan Aleksander Fredro

Ostatni Sokrates

(*ekscelencja fascynująca*) . . . Wojciech Dzieduszycki

Ponadto występują: *cesarze, królowie, księżęta, hrabiowie, baronowie, lordowie, dyplomaci, wyżsi i niżsi dostojnicy państwowi, oficerowie, posłowie, damy światowe, damy wytworne i niewytworne, aktorki, aktorzy, artyści, literaci, snobi, ludzie bez określonego zawodu i z określonym zawodem, kokoty, dziewczynki, dziewczęta, dziewczuchy, lokaje, kozacy i wieśniacy.*

Akcja rozgrywa się u schyłku XVIII, w ciągu XIX oraz na początku XX stulecia w różnych miejscowościach Galicji i w stolicach kilku państw europejskich.

*„Wtedy tylko żyło się dobrze,
gdy nas nie było...”*

(Lord Artur Paget w liście do pięknej Gabrieli).

CZĘŚĆ PIERWSZA

DAMA

L A B E L L E G A B R I E L L E

C A S H M E R E - S H A W L

Ludzie, którzy nie umieją grać w bridża, opowiadają, że ta gra ich nie interesuje, gdy jednak poznają dobrze jej zasady, zwykle zmieniają zdanie i z czasem zaczynają oddawać się namiętności licytacji i rozgrywek do białego rana. Podobnie jest ze zwiedzaniem galerij obrazów — bardzo często człowiek nie odczuwa potrzeby oglądania twórczości malarskiej, wreszcie rozsmakuje się w przypadkowo zwiedzanej wystawie i później, skoro się dowie, że gdzieś jest zbiór jakichś malowideł, śpieszy, aby go obejrzeć. Coś podobnego zdarzyło się w moim życiu przed laty. Jeszcze za czasów szkolnych, będąc kadetem lwowskiego korpusu, pewnego dnia — zamiast opuścić z pożyczonymi książkami gmach Ossolineum — wstąpiłem na pierwsze piętro, gdzie znajduje się galeria, należąca do muzeum imienia książąt Lubomirskich — i od tej pory zacząłem rozumieć czar, ukryty w zmaterializowanych na płótnach lub kartonach wizjach, pomyślanych, przeżytych lub odczutyh przez mistrzów różnych krajów i czasów.

Pierwsze wrażenie było dość silne, dziś zupełnie dobrze pamiętam, jak stałem, zachwycony i urzeczony, przed obrazem Matejki, przedstawiającym scenę zawarcia unii lubelskiej. Na prawo od tego obrazu wisiał duży, barwny portret; gdy później przychodziłem do galerii Ossolineum, z przyjemnością go oglądałem, lubiłem siedzieć naprzeciw niego i podziwiać piękną damę, którą przedstawiał. Moi koledzy kochali się

w gwiazdach filmowych, znali je oczywiście tylko z ekranu i fotosów, sądziłem więc, że mogą również nieco sentymentalnie durzyć się w namalowanej, nieznannej pani. Nic wtedy nie wiedziałem o niej, a nazwisko malarza niewiele mi mówiło. W zeszłym roku, po wieloletniej przerwie, zwiedziłem ponownie galerię Ossolineum. Portret wisiał na dawnym miejscu i z tych samych ram spojrzały na mnie te same cudne oczy. Przywitałem ich właścicielkę jako starą znajomą, zwłaszcza że zaszła gruntowna zmiana — ostatnio bowiem poznałem dość dokładnie jej całe długie, barwne i romantyczne życie.

Malarz, który ją malował, na początku zeszłego stulecia cieszył się nie byle jaką sławą. Był nim Franciszek Gérard, uczeń a następnie rywal Davida, ten sam, którego ongiś obdarzono zaszczytnym mianem, przypominającym co prawda zwroty, używane przez współczesną reklamę filmową — „malarz królów i król malarzy“. Jego wielkie kompozycje malarskie dawno zblakły i przestały budzić zainteresowanie, natomiast jego portrety, których wyprodukował ogromną ilość, stale są urocze i frapujące, mimo zmian, jakie zachodzą z biegiem lat w gustach oglądających. Gérard świetnie malował kobiety, najśłynniejsze i najpiękniejsze damy z epoki pierwszego cesarstwa przesunęły się przez jego pracownię. „Pani z Ossolineum“ — Katarzyna z Jaworskich Starzeńska, a później Pawlikowska, „la belle Gabrielle“, jak nazwała ją księżna marszałkowa Lubomirska uważając, że imię Katarzyna nie pasuje do tak pięknej istoty — pozowała znakomitemu malarzowi w Paryżu u schyłku 1803 roku, w tych czasach, kiedy jego talent malarski znajdował się w szczytowym punkcie rozwoju. Początkowo farbami olejnymi został zrobiony szkic Polki, następnie dopiero powstał portret naturalnej wielkości — jeden z najbardziej udałych, reprodu-

kowany do dzisiejszego dnia w wielu pracach, poświęconych dziejom malarstwa, przeważnie jako „portret kobiety“, niekiedy ze zniekształconym lub prawdziwym nazwiskiem modelki. Szkic wraz z osiemdziesięciu trzema innymi znajduje się w muzeum wersalskim, a oryginał, przywieziony do Polski, został przez rodzinę Starzeńskich ofiarowany Ossolineum — obecnie, aby nim się zachwycać, wystarczy pojechać do Lwowa.

Jest to typowy portret z epoki sielanki, nastrojowy i sentymentalny, w którym widoczne są jeszcze pewne wpływy przebrzmiewającego pseudoklasycyzmu obok świeżych wpływów nadchodzącego romantyzmu. Na tle zachmurzonego nieba wznoszą się ruiny jakiegoś zamku, oparta zaś o niewielką skałę, stoi urocza, młoda pani — rozmarzona, zasłuchana w szmer biegnącego u jej stóp strumyka — rozczulona może pieśniami Osjana lub wspominająca nieobecnego kochanka. Na jej pięknej twarzy maluje się wyraz ogromnego spokoju i zupełnego zaspokojenia, a tylko oczy, wilgotne, ciemne, cudownie owalne, lekko zmrużone, fascynujące, które patrzą przed siebie i jak gdyby nic nie widzą — mają jakieś zmysłowe błyski, zharmonizowane zresztą z romantyczną pozą całej postaci. Prawą rękę wsparła na gitarze, lewą oparła się o głaz; widać, że ma dłoń białą i wąską, o palcach długich i smukłych. Ubrana jest w dość obcisłą, czarną, aksamitną suknię, sięgającą kostek w ten sposób, żeby spod spodu widoczny był jeszcze rąbek białej, koronkowej halki. Suknia uwydatnia jej zgrabną sylwetkę, nie krępuje ruchów, jest możliwie prosta, według wymagań ówczesnej mody, która zniosła gorsety i obcisłe staniki, propagowała zaś strój naturalny, niekrępujący, wzorowany na ubiorach starożytnych.

Zamyślona dama dobrze się czuje w tej modnej suk-

ni, natomiast kapelusz zdjęła i niedbale rzuciła na murawę. Piękny czerwony szal kaszmirowy zsunął się sam z jej pleców i malowniczo udrapował skałę. Ten szal należał do owego gatunku, który ma swój specjalny rozdział w dziejach mody, przez pewien czas bowiem rozpalał wyobraźnię elegantek francuskich. Cashmere-shawl — jak nazywano tę część ubioru z angielska, stał się niemal symbolem prawdziwego szyku i wytworności, umiejętnie zaś noszenie go stanowiło osobną sztukę. Miękki i cienki, jako londyńska specjalność, wobec zakazu sprowadzania towarów angielskich przez Napoleona, nęcił urokiem „owocu zakazanego“ i tylko za drogie pieniądze był do nabycia u przemytników.

Katarzyna Starzeńska miała wiele cech wspólnych z cashmere-shawlem, o ile może być coś wspólnego między żywą osobą a martwą rzeczą. Czerwony szal był czymś rzeczywistym i historycznym, nadawał wyraz upodobaniom kobiet w pewnej epoce, a chociaż nie wywarł wpływu na dzieje XIX wieku — jednakowoż brał w nich udział. Podobizna eleganckiej i „modnej“ pani z portretu Gérarda figuruje przede wszystkim w wielu rozprawach, poświęconych przeglądowi ubiorów kobiecych, o niej zaś samej wspominają nieraz różni pamiętnikarze, mimo że niczym się nie odznaczyła i nie dokonała żadnych wiekopomnych czynów. Była jednak typową kobietą Empire'u — i to właśnie jej rzeczywistej postaci nadaje piętno historyczne — nie niknie w tłumie, lecz wyraża — często bardzo jaskrawie — mentalność ówczesnych kobiet, ich dążenia, zainteresowania i nastawienia, może nawet pragnienia i niepokoje. Wreszcie dama i szal przez pewien czas były modne, później życie przeszło nad nimi, wspólnie znalazły się w dziejowym lamusie i na tym głównie zaczyna się i kończy wspomniane, mocno problematyczne zresztą podobieństwo.

SAGA RODU JAWORSKICH

Kobiety piękne są często dumne ze swej urody, Katarzyna była przede wszystkim dumna ze swego pochodzenia. Czy znacie ród hrabiów Bobronicz-Jaworskich? Okazuje się, że nie — nie warto nawet szukać tego nazwiska w „Almanachu Błękitnym“, ród bowiem wymarł, tytułem zaś cieszył się niewiele więcej niż przez pół wieku. „La belle Gabrielle“ niepotrzebnie podkreślała przynależność swego ojca do arystokracji; gdy to czyniła, stare poważne matrony, zaczynające rozmowę od pytania: „z jakiej rodziny — pan lub pani — pochodzi?“, krzywiły się z niesmakiem, czasami złośliwie ją pytały, czy ktoś z jej przodków był może hetmanem, kasztelanem, wojewodą lub przynajmniej biskupem. Niestety, jej przodkowie zajmowali tylko małe i średnie stanowiska państwowe, należeli do warstwy przeciętnie zamożnej szlachty, nie było wśród nich dostojników i dygnitarzy. Skąd więc to nagłe wywyższenie rodziny dekretem cesarza rzymskiego narodu niemieckiego? Co zadecydowało o tym: zasługi, pieniądze, protekcja czy „plecy“? Okazuje się, że wszystkiego było po trochu i dlatego to, czego nie mogli osiągnąć wszyscy Bobronicz-Jaworscy w ciągu paru wieków, nagle osiągnęli w drugiej połowie XVIII stulecia dwaj bracia Józef i Gabriel.

W 1758 roku — gdy byli jeszcze dorastającymi chłopcami — umarł ich ojciec Andrzej Bobronicz-Jaworski, starosta kotelnicki, który zostawił im spory majątek i wyraził w testamencie życzenie, aby się zawsze wzajemnie wspomagali. Starszy brat Józef skończył prawo, a podczas pierwszego rozbioru Polski został komornikiem ziemskim w Przemyślu. Młodszy — Gabriel osiadł na roli, gospodarował umiejętnie i rozsądnie; w owych czasach ten zawód był nie tylko

wdzięczny, lecz i popłatny, ciągle wojny nad Renem wpływały bowiem zwyżkowo na cenę zboża. Wydarzenia polityczne odkryły przed braćmi nowe horyzonty: uznali bez zastrzeżeń zmiany terytorialne, zaofiarowali swoje usługi Austriakom i energicznie zajęli się interesami. Nowi władcy w królestwie Galicji i Lodomerii zaczęli przeprowadzać różne potrzebne i niepotrzebne reformy gospodarcze, w których wyniku—jak zwykle—wielu ludzi straciło majątek. Gdy jednak ktoś traci, zawsze ktoś inny zyskuje — dwaj Jaworscy byli właśnie tymi, którzy w pełni wykorzystali sytuację polityczną i ekonomiczną kraju. Posłużyła im zwłaszcza sól: rząd zaczął wykupywać żupy solne, dowiedzieli się o tym poufnie jeszcze przed ogłoszeniem dekretu i od razu fantastycznie się wzbogacili. Następnie z powodzeniem spekulowali zbożem, chętnie udzielali na większy procent pożyczek pod zastaw majątków, fortuna ich przeto rosła niewiarygodnie szybko — w kilka lat po rozbiórce posiadali rozległe dobra na terenie całej Galicji.

Nie był to jednak kres powodzenia. Józef Jaworski awansował: cesarz mianował go szambelanem i wiceprezydentem galicyjskiego trybunału apelacyjnego. Król Stanisław August Poniatowski także zwrócił uwagę na braci, a chociaż byli austriackimi poddanymi, przesłał każdemu order św. Stanisława, Gabrielowi zaś nadał swoją szambelanę. Austriacy pośpiesznie tworzyli wtedy w Galicji nową arystokrację: tytułami obdarzali nie tylko tak zwane senatorskie rodziny, lecz również tych wszystkich, którzy mieli pieniądze i wpływy. Jaworscy posiadali to wszystko, zasłużyli się nie tyle Austrii, ile różnym dygnitarzom dopuszczając ich do udziału w zyskach — i oto w 1779 roku apostolski monarcha najmiłościwiej nadał braciom tytuł baronów. Był to wielki cios dla ich ambicji; wprawdzie niektórzy twierdzą, że człowiek zaczyna się dopiero od barona,

lecz nowa godność nie wydała się im należycie zaszczytna. Rozpoczęli dalsze starania i w trzy lata później cesarz Józef II przyznał się do pomyłki. Rzeczywiście — Józef i Gabriel Jaworscy w zupełności zasługują na koronę hrabiowską! Odpowiedni dekret załatwił wreszcie tę sprawę ku zupełnemu zadowoleniu wszystkich zainteresowanych.

Józef Jaworski umiał odpowiednio zręcznie „nagiąć” prawo, gdy zachodziła potrzeba. Różni dostojnicy z Wiednia, przybywający do Lwowa na inspekcję, nie mogli mu nic zarzucić, zwłaszcza że podejmował ich bardzo wystawnie i gościnnie. Na cześć konsyliarza nadwornego Franciszka de Kees kazał na przykład wydrukować specjalny panegiryk, w którym łacińskim wierszem chwalił mądrość, szlachetność i dobroć tego dygnitarza, a dopiero po jego odjeździe na jednym z arkuszów dopisał parę zwrotek po polsku:

Przybył pan de Kees,
Witał że go pies!
Widział nieraz Lwów
Więcej takich kpów.

Następni inspektorzy nie byli niestety kpami, a ponieważ wciąż napływały na niego jakieś skargi, wpływowi zaś przyjaciele stopniowo wymierali lub tracili wpływy, musiał w 1795 roku „wśród zgryzot i przykrych stosunków służbowych” — jak zanotował w „Herbarzu Polskim” Adam Boniecki, przejść w stan spoczynku. Te wszystkie przykrości wpłynęły tak fatalnie na stan jego zdrowia, że umarł przekroczywszy zaledwie sześćdziesiątkę. Podobne zakończenie życiowej kariery można by uważać za tragiczne, gdyby nie czekało każdego człowieka. Wiceprezydenta nękał wielki strach przed śmiercią, a największym wstrętem napawała wizja rozkładającego się ciała ludzkiego.

— Najgorsza rzecz to robactwo w grobie — mawiał często złamanym głosem.

Brat pocieszał go z makabrycznym humorem:

— Nic się nie bój, nasypiemy ci do trumny proszku przeciw robactwu, zobaczysz — będzie wyśmienicie.

Gabriel bowiem zawsze był cynikiem i często kpił ze wszelkich uznanych prawd i autorytetów. Poza tym postępował zupełnie mądrze. W odpowiednią porę wycofał się z interesów i zakupił ogromne starostwo ropczyckie, leżące między Rzeszowem a Dębicą. Należały do niego miasteczka i liczne wioski, tysiące poddanych pracowało w jego dobrach, które ogólnie nazywano państwem ropczyckim. Uniknął błędu wielu ludzi, zdobywających majątek — zrozumiał, że samo zdobywanie nie powinno stanowić celu życia, że należy również znaleźć czas na użycie zebranych bogactw. Z wdziękiem epikurejczyka zaczął wydawać pieniądze na luksusowe urządzenie pałacu, piękne zaprzęgi, drogie ubiory, konie, psy i... kobiety. Wprawdzie smakował w rozpuście, ale w gradacji wartości urocze przedstawicielki płci pięknej zajmowały według niego ostatnie miejsce — do żadnej się nie przywiązał, żadnej nie cenił, za żadną nie szalał. Miał dwie żony, które raczej z nim żyły, niż on z nimi; po bezpotomnej śmierci pierwszej, od drugiej — cudnej, błękitnookiej, młodziutkiej Tekli Batowskiej — wymagał jedynie syna, dziedzica nazwiska, tytułu i majątku. Wreszcie się doczekał: 30 kwietnia 1782 roku szczęśliwie odbył się poród, lecz niestety na świat przyszła dziewczyna, którą stosownie do ówczesnych zwyczajów, od imienia patronki dnia urodzin, nazwano później Katarzyną. Gdy mu doniesiono o tym, tylko przez chwilę był wściekły i rozczarowany, nagle, niespodziewanie ogromnie się ucieszył i wzruszył, zapomniawszy o synu. Jakby przeczuwał, że mała, nowonarodzona dziewczyna stanie się najważniejszą istotą w jego

życiu, będzie tą kobietą, która zmieni całą gradację wartości, zajmie w niej miejsce najgłówniejsze i jedyne.

DOBRE RADY PANI DE BEAUMONT

Nazajutrz po urodzinach specjalni kurierzy popędzili spraszać na chrzciny przyjaciół i znajomych. Bramy w przemyskim pałacu Gabriela Jaworskiego zostały otwarte i następnie — w ciągu miesiąca — we dnie i w nocy — zaproszeni i niezaproszeni ucztowali przy stołach, które liczna służba wciąż zaopatrywała w nowe dania i najlepsze trunki. Ta uczta w niczym nie przypominała umiarkowania epoki oświeconego absolutyzmu, stanowiła raczej nawrót do czasów saskich — dwoma grzechami: obżarstwem i pijaństwem czczono przyjście na świat hrabianki, na inne grzechy wiecznie zalani goście nie mieli na razie ani czasu, ani ochoty. Wreszcie 24 maja w katedrze przemyskiej odbyła się podniosła uroczystość: ksiądz biskup Józef Kierski dokonał ceremonii chrztu nadając dziewczynie imiona Katarzyna Joanna, ksiądz biskup Antoni Wacław Betański w jej imieniu, jako ojciec chrzestny, wyrzekł się „złego ducha i wszelkich spraw jego“. Obecność dwóch dostojników kościelnych świadczyła o potędze rodu i podkreślała wysoką pozycję towarzyską Jaworskich; ci wszyscy, którzy pokpiwali z ich tytułu, obecnie musieli zamilknąć. Rozgłos, jaki wywołały chrzciny, towarzyszył następnie Katarzynie przez całe życie, fakt zaś, że była córką chrzestną biskupa, stał się dla niej jeszcze jedną legitymacją, uprawniającą do przebywania w najbardziej snobistycznych arystokratycznych salonach.

W kilka lat później cicho i niepostrzeżenie zgasła Tekla z Batowskich Jaworska, jedna z tych kobiet, które

nie żyją dla siebie, lecz dla kogoś. Nie mogła się spodziewać już więcej dziecka, pierwszy poród znacznie ją osłabił, chorowała wciąż na różne dolegliwości kobiece — jej misja życiowa była przeto skończona. Początkowo Gabriel nie odczuł odejścia żony, zdawało mu się, że wychowywaniem córki sam dotychczas się zajmował, sądził, że będzie to mógł również czynić nadal. Wkrótce jednak zaczął sobie zdawać sprawę z tego, jak bardzo mu Tekla pomagała, robiła to tylko bardzo dyskretnie i stale podporządkowywała się jego woli — dlatego gdy jej nie stało, zaczęły się przed nim piętrzyć różne trudności. Młode bony i guwernantki, sprowadzane za drogie pieniądze z zagranicy, z którymi zwykle żył, ale którym nigdy nie pozwalał wtrącać się do swoich spraw, przypuściły nagle szturm na wdowca próbując zająć w jego domu jakieś wpływowsze stanowisko. Na szczęście bardzo rychło zorientował się w niebezpieczeństwie i jak zawsze — stanowczo i nieodwołalnie — powziął decyzję bolesną, ale niezbędną.

W Stronibabach — majątku Józefa Jaworskiego w Galicji Wschodniej, kwitło w tym czasie życie rodzinne, starszy brat bowiem po dwukrotnym ożenku dochował się wcale sporej gromadki, składającej się z 4 synów i córki. Jego druga żona słynęła jako wzorowa matka i gospodyni — Gabriel przeto zwrócił się do niej z prośbą, aby pokierowała dalszą edukacją Katarzyny. Otrzymał odpowiedź przychylną, zwolnił wszystkie dotychczasowe wychowawczynie z wyjątkiem najładniejszej, a chociaż z trudem zdecydował się na rozstanie, odwiózł dziesięcioletnią córkę do bratowej. Do Góry Ropczyckiej wrócił zmartwiony i jednocześnie zadowolony — jego „dziewczyna“ była daleko, lecz w dobrych rękach, mógł teraz dowoli romansować i hulać, bez obawy, że to wpłynie niekorzystnie na jej wychowanie. Odwiedzał ją zresztą bardzo często, w ogóle na wsi mało

przebywał, ciągle jeździł do Lwowa, Krakowa i Wiednia, bynajmniej nie dla załatwiania interesów, jedynie po to, aby jakoś wypełnić pustkę życia. Pewien pamiętnikarz zanotował z oburzeniem, że w Przemyślu „kazał zawsze przyprowadzać do siebie ładne, młode dziewczęta“ — możliwe że w ten sposób transformowała się jego tęsknota za córką; poza tym właściciela państwa ropczyckiego stać było na podobny luksus.

Katarzyna w Stronibabach zaprzyjaźniła się z nieco starszą kuzynką Zuzanną; mieszkały wspólnie w pokoju, miały dwie wspólne nauczycielki - Francuzki, wkrótce wszystko przeżywały wspólnie. Zuzanna nie była tak naiwna, jak naiwnie o tym sądziła jej matka; z wielką pasją zabrała się do uświadamiania cichej i nieśmiałej przyjaciółki. Dzięki temu edukacja Katarzyny w ciągu paru lat postępowała niejako dwiema drogami. Z nauczycielkami przerabiała nudne przedmioty, od kuzynki natomiast dowiadywała się o zakazanych urokach życia i te sprawy były daleko ciekawsze od wszystkich innych. O pewnych rzeczach nic jeszcze nie wiedziała, a gdy Zuzanna je wyjaśniała, z chciwością chłoneła każde słowo. Ogarniało ją zdumienie, świat wydawał się jej wtedy tajemniczy i uroczy, rozgrywały się w nim bowiem wydarzenia skryte, dziwnie podniecające, przyspieszające puls krwi i bicie serca, łatwo się domyślić: miłosne.

Trzeba z kolei „odbrązowić“ Annę z Orzechowskich Jaworską, żonę c. k. szambelana i wiceprezydenta galicyjskiego trybunału apelacyjnego. Nie była wcale tak dobrą matką i gospodynią, za jaką uważali ją współcześni, umiała jedynie dobrze kierować służbą i robić domowe rachunki, o innych sprawach gospodarskich oraz o pedagogice nie miała żadnego pojęcia. Całą swoją mądrość wychowawczą zaczerpnęła dość powierzchownie

z książek księżnej de Beaumont, które w owych czasach cieszyły się sporą poczytnością w Polsce.

Podstawowym podręcznikiem dla matek, nauczycielek i uczniów był zwłaszcza „Magazyn dziecinny, czyli rozmowy między mądrą ochmistrzynią i damami zanego urodzenia wychowaniu jej powierzonymi, przez J. M. P. la princesse de Beaumont napisane, teraz na język ojczysty przełożone“, zawierający większą ilość dobrych rad i wskazówek. Zuzanna i Katarzyna uczyły się więc nieco geografii i historii, zapoznawały się z zasadami religii i moralności oraz dowiadywały się, jak muszą się zachowywać młode panienki. Francuska pisarka bardzo lubiła mitologię grecką, którą obszernie wyłożyła w swojej książce próbując wytłumaczyć głośne romanse mitologicznych kobiet z okazowymi przedstawicielami fauny. Przyjaciółki pilnie studiowały dzieje łabędzia i Ledy, byka i Europy oraz innych podobnych stadeł, na dalszych zaś stronach „Magazynu“ znajdowały wytłumaczenia tych związków, przekonywające, ale niezbyt pedagogiczne. Księżna de Beaumont podkreślała męskość kochanków ze świata zwierzęcego i wobec tego uważała napastowane przez nich kobiety za rozgrzeszone z zarzutu zbyt pochopnej uległości. Anna Jaworska nie dostrzegła niebezpieczeństw zawartych w podobnym wykładzie, jak również nie zwracała uwagi na inne niebezpieczeństwa, zagrażające dziewczętom w wieku dojrzewania. Nie rozumiała dorastających pańienek, nie znała ich zupełnie, chociaż była przekonana, że zna najlepiej. Troszczyła się tylko o to, aby dobrze konwersowały po francusku, kładła pewien nacisk na ćwiczenia muzyczne i taneczne, lecz pisowni, języka i literatury polskiej nie kazała ich uczyć. Dbała jeszcze o to, aby były dobrze ułożone, a nie myślała o tym, że należałoby jakoś pokierować budzącym się erotyzmem swoich wychowanic. Gdy ją odpowiednio

pouczano, dziwiła się. „To są przecież dzieci“ — odpowiadała. Tymczasem „dzieci“ w zacisznych kątach pałacu lub parku już całowały się z licznie odwiedzającymi Stronibaby kuzynami i przyjaciółmi kuzynów.

L W O W S K I E S Z A L E Ń S T W A

Gabriel Jaworski uważał, że będzie lepiej, jeżeli panienki dalszą edukację otrzymają w mieście, toteż w końcu Anna z córką i bratanicą zamieszkały we Lwowie. Ich dom stał się podobny do pensji, z tym, że w klasie były tylko dwie uczennice, które przychodziła kształcić okazała gromada maitre'ów, nauczycieli i nauczycielek. Gabriel chciał, aby jego córka była chowana jak udzielna księżniczka i nie szczędził na to pieniędzy. W kraju przebywało wtedy sporo emigrantów francuskich, z ich szeregów rekrutowały się siły pedagogiczne, drogie i liche, oprócz dobrego akcentu swego ojczystego języka, nie znające porządnie żadnego przedmiotu. Kuzynki mimo wielkiego programu zajęć wcale się nie przepracowywały, korzystały z tego, że Anna często przebywała poza domem, zawierały porozumienia z gubernantkami i stale część dnia miały wyłącznie do swojej dyspozycji. Nęciło je miasto, gwar i ruch, jeszcze nie mogły bywać na przyjęciach i balach, chodziły przeto do lasku Longchamps, do ogrodu Jabłonowskich i na wały — do tych miejsc, które w ówczesnym miłosnym życiu lwowskim odgrywały wielką rolę — aby spotykać się z młodymi oficerami i studentami. Matka Zuzanny sądziła, że czytają, uczą się lub modlą — a one pośpiesznie wchłaniały w siebie beztroską, epikurejską atmosferę stolicy Galicji.

Polska padła, dobry król Stanisław August przebywał w Grodnie, w całym kraju panowało przygnębienie, Lwów zaś wyżywał się za wszystkie czasy i sza-

łał. Miasto, przepelnione austriackimi urzędnikami, wojskiem, cudzoziemcami, rodzimymi bohaterami i oszustami, lojalnymi i patriotycznymi obywatelami, stało się spokojnym zajazdem, w którym przyjemnie można było przeczekać dziejowe wypadki. Bale i zabawy następowały po sobie bez przerwy, codziennie w prywatnych mieszkaniach i knajpach ludzie pili na umór wznosząc toasty na pohybel wrogom i za pomyślność ojczyzny. „Fin de siècle“ nigdy i nigdzie w Polsce nie był tak huczny i wesoły, jak wówczas we Lwowie, nastrój schyłku epoki ogarnął i wytrącił z równowagi wszystkich, zatracono poczucie umiaru, ogólnie tłumaczono wszelkie szaleństwa... patriotyzmem. Pamiętnikarz współczesny dodaje, że nawet damy „romansowały z patriotyzmu“; najdobitniej jednak charakteryzuje ówczesne rozprężenie obyczajów Władysław Łoziński w niesłusznie zapomnianych „Pierwszych Galicjanach“:

„Świat niewieści rzucił się w odmet szalonej swawoli. Damy przyjmowały i odprawiały kochanków jak lokajów. Mężowie szukali odwetu i znachodzili go z wielką łatwością. Rozpusta doszła do tego stopnia, że miłość w wyższych i najwyższych kołach towarzystwa, stała się artykułem targowym, zatrudnieniem, któremu mężczyźni zawdzięczali utrzymanie i jaką taką fortunę na starość. Dość było być młodym i przystojnym chłopcem, aby znaleźć szczęście we Lwowie...

Codzień bawiono się po swojemu w domach lub publicznie. W zapusty był codziennie „birgelbal“ (Bürgerball), codzień piknik, w kontrakty codzień reduta. W domach prywatnych hulano swoją drogą — a hulanki te już nie były wybrykiem serdecznej ochoty, ale bachanaliami, orgiami rozpusty. Być Laidą było dla każdej lekkomyślnej kobiety paragrafem mody. Nie mieć jak tylko jednego kochanka, to było upośledze-

nie — nie mieć żadnego, to sromota! W zapusty bawiono się głośno — w wielki post po cichu. Schadzano się w kościele, aby się znaleźć poza kościołem. Panie wychodząc z progów kościelnych zapraszały na postne wieczorki. Posługując się głośną i osławioną wówczas formułą lwowską — zapraszały na grzanki...

Zadanie swe właściwe, zadanie zapiecka dla tchórzów, swobodnego kąta dla zbiegów spod narodowego sztandaru, dla maruderów i tak zwanych „spokojnych ludzi“, karczmy hucznej dla birbanckiej gawiedzi, szulerni dla magnacików, lesbijskiej świątyni miłości dla pięknych i rozkosznych pań salonowych — spełnił Lwów wybornie, a wszyscy, którzy go w takiej odwiedzili myśli, opuszczali go z żalem i najmiłszymi wspomnieniami...”

Zuzanna i Katarzyna nie brały oczywiście pełnego udziału w lwowskim życiu, ale je obserwowały i chłonęły, stało się ono dla nich wzorem jak żyć należy, wywarło decydujący wpływ na ich przyszłość. Po prostu było szkołą, którą zapamiętały — nadaremnie Anna próbowała z tym walczyć. Doszła już bowiem do niej pogłoska, że młode hrabianki ciągle flirtują, spostrzegła, że rzeczywiście znają zbyt wielu młodych ludzi, którzy wciąż im przysyłają liściki, książki z zakreślonymi ustępami, kwiaty i cukierki. Nie chciała, aby o tym dowiedział się Gabriel, toteż w porozumieniu z nim wyjechała z dziewczętami do Wiednia dla dopełnienia ich edukacji. Zatrzymała się na razie w hotelu, po tygodniu jednak z przerażeniem stwierdziła, że do panińskiego pokoju znów zaczynają przynosić miłosne bileciki, bukiety i słodycze.

Przez rok pilnowała dziewcząt, jak mogła, jednocześnie po trochu wprowadzała je w świat: bywały na małych przyjęciach w arystokratycznych austriackich i polskich salonach. W listopadzie 1798 roku Gabriel

przyjechał do Wiednia odwiedzić córkę, lecz nie zastał jej w domu. Nie było również Anny, tylko Zuzanna, smutna, zapłakana i zdenerwowana. Zapytał ją gdzie jest Katarzyna, ale nie chciała mu początkowo odpowiedzieć. Później zaczęła płakać, zeszła z nim do powozu i podała woźnicy adres. Gdy przyjechali, weszli na drugie piętro dużej kamienicy; Gabriel zapukał do drzwi, które otworzył ordynans. Nie zważając na protesty żołnierza wpadł do sąsiedniego pokoju, aby zobaczyć, jak na pół rozebrana jego córka chowała się za szafę, a młody porucznik huzarów pośpiesznie zapinał mundur. Zuzanna krzyknęła do kuzynki:

— To za to, żeś zabrała mi kochanka!

Gabriel chciał zabić oficera, lecz ten pośpiesznie uciekł wraz z ordynansem. Wtedy kazał trzęsącej się ze strachu córce prędko się ubrać i milcząc zaprowadził ją do powozu. Katarzyna odjechała z ojcem, Zuzanna została sama w pustym mieszkaniu. Tak się skończyła wielka przyjaźń sióstr stryjecznych.

N I E C N O T L I W A Z U Z A N N A

W domu dumny właściciel Ropczyc długo krzyczał i lżył Katarzynę najbardziej ordynarnymi wyrazami. Jak bardzo wielu ojców, idealizował swoją córkę, sam sobie pozwalał na wszystko, ją zaś chciał uczynić niemal świętą — dlatego jej postępek doprowadził go do skrajnej rozpacz. Dziewczyna nic nie mówiła, siedziała skulona i płakała. Gabriel bardzo ją kochał, a chociaż był ogromnie wzburzony, nie był wobec niej mocny. Gdy irytacja minęła, z kolei rozczulił się — zaczął w nią wmawiać, że jest niewinna, że główna wina spada z pewnością na złą stryjenkę Annę. Była to porażka; Katarzyna zorientowała się w jego stosunku do niej i następnie stale to wykorzystywała. Do końca ży-

cia Gabriel wielokrotnie wściekał się na wiadomość o jej wybrykach, zapowiadał najsurowsze represje, lecz zawsze kapitulował, gdy popatrzyła na niego pięknymi i smutnymi oczyma. Wśród wielu mężczyzn, których tyranizowała i zmuszała do spełniania swoich kaprysów — najwierniejszym i najposłuszniejszym był jej ojciec.

Gabriel oczywiście zabrał Katarzynę z Wiednia i przywiózł do Góry Ropczyckiej, skąd kazał wyeksmitować wszystkie swoje kochanki. Anna po kłótni ze szwagrem wróciła z córką do Lwowa i zaczęła się rozglądać za mężem dla niej. Kandydat znalazł się niespodziewanie prędko, był nim autentyczny książę Wincenty Woroniecki, który szukał dużego posagu, znalazł zaś duży posag i piękną pannę. Zakochał się w Zuzannie i przynajmniej z jego strony małżeństwo zostało zawarte z miłości, wybrana bowiem kierowała się raczej wyrachowaniem. Dziewczyna miała płomienną krew i niezaspokojoną tęsknotę miłości, zamknięta i pilnowana w domu szalała, wciąż marzyła o wielkich i... licznych romansach. Matka sądziła, że zamążpójście ustabilizuje jej erotyzm, ona zaś wiedziała, że zapewni jej większą swobodę i możliwość użycia. Znała doskonale obowiązki żony, a później matki — była najlepszą przyjaciółką męża, troskliwą i czułą — nie mogła tylko nigdy dochować mu wierności. Gdy spotykała ładnych, dużych chłopców, przemożna siła ciągnęła ją do nich, zapomniała wówczas o wszystkim, gdyż należała do grupy tych kobiet, którym w dowodach osobistych w rubryce: zawód, powinno się pisać: kochanka.

Wincenty, jak mógł, protestował przeciwko temu, lecz zanadto był zadurzony w żonie, aby zdobyć się na jakiś krok stanowczy. Perswazje nie pomagały, zawiódł nawet stary, wypróbowany i doskonały sposób: bicie żony, na który decyduje się zwykle w takim wypadku

naprawdę zakochany mąż. Zaczął wreszcie prześladować jej amantów i z czasem doskonale się w tym wyspecjalizował. Pewnego razu zastosował również odwieczny fortel: zapowiedział swój wyjazd do Warszawy, lecz naprawdę pojechał tylko do sąsiedniego miasteczka i tam się zatrzymał. Doniesiono mu rychło, że księżna od dwóch dni gości młodego i przystojnego sąsiada, czym prędzej więc powrócił i na czele kilkunastu kozaków w nocy z hałasem wpadł na podwórze. Amant miał odciętą normalną drogę odwrotu, przez okno wyskoczył do stawu, który się znajdował obok domu, i schował się w zaroślach. Księżę obstawił wszelkie przejścia służbą; po całonocnym pobycie wśród trzciny i żab, ostudzony w zapalach kawaler sam się oddał w ręce wroga. Kozacy rozgrzali go nahajkami i prawie nieprzytomnego od pobicia odwieźli na skrzyżowanie dróg. Zuzanna dostała od męża jeszcze jedno lanie, ale to w niczym jej nie zmieniło.

Na portrecie nieznanego malarza z tamtych czasów wygląda bardzo ponętnie. Uroda nieco drapieżna i zachłanna, prześliczna główka w ciemnych lokach „à la Titus“, cudowny biust lekko niebieską gazą przesłonięty, a przede wszystkim nadzwyczajne — jak u klasycznego posągu — ramiona. Nic dziwnego, że mąż nie mógł od niej odejść, wyjeżdżał tylko często, ale stale wracał. Gdy utworzono Księstwo Warszawskie, z patriotyzmu i rozpachy wstąpił do wojska, brał udział w kampanii 1812 roku, karierę zaś wojskową skończył w stopniu pułkownika. Woronieccy mieszkali głównie w Stronibabach, lubili się bawić i przyjmować gości. Na jedno z przyjęć zaprosili sąsiadkę, panią de Łodyna-Łodyńską, która następnie opowiadała o tym swojej prawnuczce. Uczta była wystawna, cały czas przygrywała dworska kapela, wszyscy wiele pili i zachowywali się dość swobodnie. Gościnni gospodarze prosili panią de

Łodyna-Łodyńską, aby u nich przenocowała. Zgodziła się, nazajutrz zaś swoim zwyczajem wstała bardzo wcześnie, ubrała się i weszła do opuszczonych przez gości salonów. Zdumiał ją widok pozostawionych na stołach po grze stosów złota, o które nikt się nie troszczył, państwo bowiem i służba jeszcze spali. Niespodziewanie doznała szalonej pokusy, żeby wziąć przynajmniej garść tych bezpańskich monet. Na szczęście przypomniała sobie, że jest w odmiennym stanie — podobny uczynek groziłby kleptomanią jej potomkowi — i to ją powstrzymało. Zdenerwowana obudziła męża i ubłagała go, ażeby kazał zaprzęgać. Wyjechali bez pożegnania gospodarzy.

Dalsze dzieje Zuzanny rozplývają się niestety we mgle. Wiadomo tylko, że wskutek nienormalnego trybu życia rodzina Woronieckich uległa z czasem rozbiciu, a majątek został roztrwoniony. Syn księżnej, Józef, w 16 roku życia został oddany jako kadet do c. k. pułku strzelców pieszych, gdyż nie było środków na inne wykształcenie. Oprócz niego miała jeszcze ponoć czworo dzieci, nie można jednak dociec z kim, gdzie i kiedy, odpowiednich metryk bowiem nie ma w żadnej okolicznej parafii. Opowiadają, że po śmierci męża prowadziła zupełnie awanturnicze życie i rzekomo poślubiła jakiegoś dorodnego kozaka, który osobliwym zbiegiem okoliczności również nazywał się Woroniecki. Na stare lata znowuż widziano ją we Lwowie. Pewna dama zanotowała rozmowę, którą prowadziła z nią na temat wspomnień z młodości.

— Pamięta pani — powiedziała do niej — jak stale bywała pani na balach w białych sukniach z krótkimi rękawami? Vous aviez toujours les bras tellemant beaux!

— Oh, ne m'en rappelez pas — westchnęła Zuzanna — ils ont évoqué beaucoup de pêchés dans ma jeunesse.

Człowiek, który w odpowiednią porę przestał gromadzić pieniądze, aby zacząć je wydawać, sam sobie wystawia świadectwo, że nie jest głupi. Można wyliczyć wiele wad Gabriela Jaworskiego, nie można jednak kwestionować jego zdrowego rozsądku. Twardy, nieustępliwy i bezlitosny wobec ludzi, z którymi prowadził interesy, zimny, despotyczny i okrutny wobec kochanek, był czułym, subtelnym i słabym ojcem. Parokrotnie próbował walczyć z uczuciami, rozumiał bowiem, że dla odpowiedniego pokierowania Katarzyną musi być niezależny emocjonalnie od niej — lecz nie zawsze to się udawało. Dopiero ostatnie wydarzenia natchnęły go większą energią — postanowił szesnastoletnią dziewczynę wyrwać z kręgu jej dotychczasowych zainteresowań.

Nie sprowadzał już więcej nauczycielek — natomiast kupił dla niej kilka wierzchowców i komplet strzelb. Stale budził ją rano, kazał siadać na konia i pędzić za nim do lasu, gdzie uczyła się strzelać i poznawała myśliwskie sekrety. Całe dni spędzali wspólnie, od świtu do nocy hasali po polach i kniejach, upajali się pędem, ścigali zwierzyńcę, chlubilili się celnością swoich strzałów. Katarzyna początkowo była bardzo nieszczęśliwa z powodu gruntownej zmiany zajęć, wkrótce jednak, z właściwą młodemu wiekowi łatwością, przystosowała się do nowych warunków życia, a nawet je polubiła. Po upływie paru miesięcy jeździła konno i strzelała lepiej niż ojciec, wszystkim zaś sąsiadom tak imponowała swoją dzielnością, że któryś nazwał ją hajduczką — nazwa ta prędko przyjęła się i spopularyzowała w całej okolicy.

Podobna idylla nie mogła trwać długo, chociaż Gabriel sądził, że trwać będzie wiecznie. Po zimie przy-

szła wiosna i Katarzynę zaczął ogarniać dziwny niepokój, który był uciążliwszy niż codzienne zmęczenie. Ojciec czuwał nad nią, Górę Ropczycką zamknął dla gości, ale każda kobieta jest jak ów kot Kiplinga: umie chodzić i chodzi własnymi drogami. W ogóle podobieństwo kobiet do kotów jest zdumiewające, obydwie gatunki stworzeń są tylko pozornie łagodne i miłe — naprawdę jednak są niebezpieczne, tajemnicze, nieobliczalne, kapryśne, zmienne i urocze. Jak mógł upilnować młodą Katarzynę starzejący się Gabriel? W ciepłe kwietniowe wieczory znikająca z domu, pytał ją dokąd idzie, spuszczała wtedy oczy, udawała, że się wstydzi, wreszcie odpowiadała, że do... „przeciwka“. Tym mianem określano w owych czasach pewne zaciszne i ogrodzone miejsce, znajdujące się zwykle między drzewami, naprzeciw bocznego wyjścia z dworu. Nie mógł jej przeto zabronić samej wychodzić z domu, a nie wypadało śledzić. Któregoś wieczoru mimo wszystko podążył za nią, ze zdumieniem stwierdził, że spokojnie minęła „przeciwek“ i pobiegła w głąb parku. W zacisznej alei czekał już dwudziestoletni syn administratora — gdy się zaczęła z nim całować, nadszedł Gabriel. Tym razem był zupełnie spokojny, zdobył się na największy wysiłek woli: zdławił oburzenie i wszelką litość, kierując się tylko zdrowym rozsądkiem zdecydował o przyszłości córki.

— Odwiozę cię jutro do klasztoru — powiedział do niej. — Będiesz tam tak długo, dopóki nie znajdę dla ciebie męża.

K A T A R Z Y N A D U V A L

We wsi Staniątki, położonej między Bochnią a Wieliczką, zacne Panny Benedyktynki wybudowały spory klasztor, który otoczyły murem, furte zaś w murze za-

mykały na klucz. W 1784 roku zorganizowały tak zwaną szkołę normalną i zaczęły przyjmować na wychowanie szlacheckie córki. Szkołę odwiedził włóczęg się po Galicji cesarz Józef II i podczas wizytacji surowo nakazał, aby furtę klasztorną zamykano na klamkę. Miało to ten skutek, że reguła zakonna uległa pewnemu rozluźnieniu. Panny Benedyktynki zaczęły żyć zupełnie swobodnie, dostatnio i wygodnie, nikt nie uważał ich za wzorowe zakonnice, ale mówiono, że są dobrymi nauczycielkami i wychowawczyniami.

W dniu swoich urodzin, 30 kwietnia 1799 roku, przyszła dziedziczka państwa ropczyckiego po raz pierwszy znalazła się w murach klasztoru w Staniątkach. Włączono ją do małej gromadki starszych dziewcząt, które ukończyły szkołę normalną, pozostawały jednak u Panien dla dalszej edukacji. Przełożona wydelegowała siostrę Katarzynę Duval, aby opiekowała się Katarzyną Jaworską i pracowała nad usunięciem złych cech jej charakteru. Siostra była córką emigranta francuskiego i Polki, od najmłodszych lat kształciła się w klasztorze, przyjęła następnie śluby zakonne i rozpoczęła nauczanie świeckich panien. Ksawery Prek poznał ją, gdy była już przełożoną i w swoich słynnych pamiętnikach zanotował, że „panna Duval jest nie młoda, ale pięknej postaci, ciała białego i poważna. W młodości nie znalazła sobie równej pod względem urody“.

Rzeczywiście od razu olśniła hrabiankę swoją pięknnością, słodyczą i czarem, przywiązała do siebie dobrocią oraz pozyskała jej zaufanie. Starsza od niej o dziesięć lat, wkrótce zapomniała o tej różnicy wieku, gdyż młoda dziewczyna z kolei zaczęła ją bardzo interesować i frapować. Po pewnym czasie były przepięknie wzajemną adoracją, ich miłość wyszła poza szablonowe ramy miłości uczennicy do nauczycielki i nauczycielki do uczennicy, stała się uczuciem, które wstrząsa i wpływa na dal-

sze życie. Mieszkały wspólnie w małej celi, ciągną styczność zbliżyła je do siebie ogromnie — młodsza Katarzyna szczerze spowiadała się starszej ze swoich grzechów, starsza próbowała odpowiednio pouczyć, oświecić i pocieszyć młodszą. Siostra Duval włożyła w ten stosunek całą wielką, niewyżytą pasję miłości, przepoiła go niemal matczyną tkliwością i wszystko, co było w niej wartościowe, starała się zaszczerpić swojej pupilce. Wielu rzeczy oczywiście nie zdołała nauczyć, ale przekonała ją o konieczności zajęcia estetycznej postawy w życiu wobec ludzi i wydarzeń. Wytłumaczyła jej, że prawie wszystko, co jest brzydkie, jest złe — i jeśli nie umie odróżniać złych uczynków od dobrych, niech przynajmniej wybiera te, które są naprawdę piękne. Podobne rady ustrzegły Katarzynę Jaworską później od wulgaryzowania miłości tak, jak czyniła to Zuzanna, sprawiły, że zaczęła dbać o dobry ton i smak, starała się być raczej estetką niż epikurejką. Katarzynę Duval kochała całe życie, dziewięć zaś miesięcy, które spędziła z nią w klasztorze, były końcowym i jedynie wartościowym okresem w jej długiej, drogiej i kiepskiej edukacji.

M I Ł O Ś Ć I C H T I O L O G A

Gabriel działał; komu potrzeba powiedział, że chciałby już wydać córkę za mąż — od razu zjawił się rój konkurentów do ręki pięknej i posażnej jedynaczki. Szambelan nie decydował się jednak pochopnie, długo zastanawiał się, zanim przyjął ofertę Ksawerego Starzeńskiego, „pana na Grabownicy Starzeńskiej z przyległościami“. Kawaler niedawno przekroczył trzydziestkę — był zaś wystarczająco zamożny, dobrze urodzony, świetnie wykształcony i bardzo sōlidny. Nawet Ksawery Prek, często niepochlebnie szacujący ludzi, pisze o nim z sympatią:

„Ksawery hr. Starzeński był wzrostu wysokiego, budowy ciała dobrej, rąk ślicznych, białych, twarzy owalnej, nosa orlego, ocz małych, czarnych. Od urodzenia miał plamę z krwi na policzku, usta równe, włosy czarne, gęste, kędzierzawe. Myślał dobrze i posiadał dobrą edukację, lubił książki czytać, miał własną bibliotekę i zakupił wiele obrazów, interesami dobrze kierował i zarządzał.“

Pamiętnikarz natomiast nie wspomina zupełnie o skrytych upodobaniach tego obiecującego młodzieńca, wybranego spośród wielu innych przez mądrego Gabriela. Franciszek Ksawery — syn Piotra Starzeńskiego, regimentarza wojsk królewskich za czasów niepodległej Polski, i Marianny z Rogalińskich — od najmłodszych lat odznaczał się zainteresowaniami naukowymi. Rodzice nie protestowali przeciwko temu, zapewnili mu dobrych profesorów, później wysłali go na studia za granicę. Gdy dorósł i dostał przypadającą na niego część majątku — zaczął prowadzić tryb życia naukowca, stronił od zabaw i flirtów, ciągle nad czymś ślęczał, jeździł po Europie, aby poznawać uczonych i kupować różne wartościowe rzeczy do swoich zbiorów. Pasją jego stała się przyroda, ichtiologia zaś zupełnie opanowała wyobraźnię młodego człowieka.

Ludzie zwykle interesują się rybami, najczęściej jednak czynią to ze względów wybitnie praktycznych, a raczej gastronomicznych. Stosunkowo rzadko spotyka się takich, którzy mają zainteresowania w tym kierunku teoretyczne i oderwane, nie związane ze zmysłem smaku, lecz spowodowane pragnieniem zwiększenia wiadomości o mieszkańcach słodkich i słonych wód. Pani regimentarzowa często mawiała do syna, że wolałaby, aby objadał się rybami, zamiast je hodować i badać. Konsumpcja kalkulowałaby się znacznie taniej niż studia ichtiologiczne, mimo to Ksawery nie zważał na wydat-

ki, w majątkach pozakładał liczne stawy, sprowadzał ze wsząd najprzeróżniejsze rodzaje ryb, próbował zaaklimatyzować egzotyczne, słonowodne przyzwyczać do słodkiej wody, wszystkie zaś chciał krzyżować. W jego dworze pokoje były zastawione akwariami, praca przy nich wypełniała mu cały dzień, dostarczała największych emocji i wzruszeń. Czasami co prawda przeżywał chwile rozpacz i zwątpienia, zwłaszcza gdy nie udawała się próba złączenia odmiennych gatunków. Wielokrotnie na przykład wrzucał do basenu samca szczupaka i samicę karpia, ale z tego stała nie doczekał się nigdy potomstwa, ponieważ rybi amant zamiast trzeć się z amantką, zwykle z apetytem ją zjadał.

Ksawery ukrywał się ze swoimi zainteresowaniami, ci, bowiem, którzy o nich wiedzieli, uważali je za szczyt ludzkiego dziwactwa. Trudno obecnie osądzić, jaką wartość miały jego naukowe poczynania, zdaje się, że niewielką, zasłużył się raczej przez skompletowanie obszernej biblioteki ryboznawczej, złożonej z prac w kilku językach, jedynej bodaj wówczas w kraju. Biblioteka uległa po jego śmierci zniszczeniu, lecz pozostały ciekawe atlasy ryb, które można jeszcze dziś oglądać w Górze Ropczyckiej. Są to luksusowe wydawnictwa francuskie, zaopatrzone w liczne barwne tablice, doskonale zrobione technicznie, przedstawiające rozmaite okazy morskiej i rzecznej fauny. Okazy te — chociaż większość ich nigdy nie istniała i nie istnieje — zostały namalowane tak plastycznie i bajecznie kolorowo, że śmiało można mieć pretensje do przyrody z powodu jej opieszałości w powoływaniu do życia stworzeń zaprojektowanych przez nieznanego malarza.

Namiętności ichtiologiczne wpłynęły poważnie na życie miłosne Starzeńskiego. Z kobietą, która mu się podobała, chciał — bez rozmów i sentymentów — tylko się „potrzeć“ i nic więcej. Poza tym, zdaje się, miał pewne

skłonności do impotencji, uczuciowo był dość opanowany i zimny, na ogół wśród kobiet czuł się daleko gorzej niż wśród ryb. Nie trzeba zresztą temu się dziwić, kobiety wiele mówią, ryby zaś stale milczą — jeśli towarzystwo ostatnich nie jest miłsze, z pewnością jest spokojniejsze. Wreszcie piękne panie onieśmiały Ksawerego i dlatego gdy pierwszy raz zobaczył Katarzynę, chociaż mu się bardzo podobała, nie zamienił z nią ani słowa. Działo się to za czasów jej pobytu w Wiedniu, syn regimentarza wracał z Włoch i złożył — przejeżdżając przez stolicę wizytę Annie Jaworskiej. Potem widział hrabiankę jeszcze parę razy, nadal nic nie mówił, ale ciągle myślał o niej. Nie ulegało wątpliwości — była mu prawie tak samo potrzebna do szczęścia, jak rzadki okaz egzotycznej ryby. O tych uczuciach powiadomił w końcu matkę, która poważnie obawiała się, że zostanie starym kawalerem, i ciągle namawiała go, aby się ożenił. Regimentarzowa zaraz pojechała do Gabriela Jaworskiego, odbyła z nim kilka długich konferencji i wróciła z radosną wiadomością: mariaż został zdecydowany.

Oczywiście należało spytać o zdanie drugą zainteresowaną stronę, Katarzynę, która przebywała w klasztorze i już nieco się nudziła towarzystwem panny Duval. Szambelan po kilku zdecydowanych posunięciach stracił całą energię i gdy odwiedził w Staniątkach córkę, dopiero po dłuższym wahaniu, nieśmiało wyłuszczył jej plan matrymonialny. Nadspodziewanie prędko zgodziła się na wszystko, pragnęła bowiem zmiany dotychczasowego trybu życia, a nie czuła wstrętu do przyszłego męża. Dodała tylko, że jest stary — siedemnastoletnie dziewczyny zawsze uważają trzydziestodwuletnich mężczyzn za starców — innych zastrzeżeń nie miała. W ostatnim tygodniu ostatniego miesiąca w ostatnim roku XVIII stulecia odbył się w Górze Ropczyckiej jej

ślub z Ksawerym, na który przybyło wielu dostojnych gości. Nadszedł wiek XIX, a wszyscy jeszcze pili zdrowie młodej pary, udającej się w podróż poślubną do Italii, krainy cudownych zabytków historycznych i... rzadkich okazów ryb.

U KSIĘŻNEJ MARSZAŁKOWEJ

Podczas podróży poślubnej Katarzyna była niemal zupełnie szczęśliwa; otoczona troskliwą opieką męża poznawała piękne krainy, emocjonowała się nowymi wrażeniami, rozkoszowała się tym, co można by nazwać „urokiem świata“. Ksawery na razie imponował jej swoją wiedzą, ponieważ umiał dokładnie i interesująco wszystko objaśniać, prędko go bardzo polubiła i nawet stosunkowo długo nie próbowała zdradzać. Małżonkowie zwiedzili dość dokładnie Półwysep Apeniński, mimo walk, które tam się toczyły — i w lecie 1800 roku szczęśliwie powrócili do kraju. Wyłoniła się sprawa gdzie mają mieszkać — do dyspozycji mieli dwa pałace na wsi i jeden we Lwowie — Ksawery nie chciał się rozstawać z rybami, dlatego główne ognisko domowe zostało na razie założone w Grabownicy. Po zainstalowaniu się zaczęli składać obowiązkowe wizyty, przede wszystkim zaś pośpieszyli odwiedzić księżną marszałkową Izabellę Lubomirską, rezydującą w Łańcucie.

Księżna, bezsprzecznie jedna z najciekawszych kobiet tamtej epoki, wywierała ogromny wpływ na ówczesne życie towarzyskie, a w jej salonach nieraz były rozstrzygane doniosłe kwestie polityczne. Urodzona w 1733 roku, z domu Czartoryska, siostra Adama — generała ziem podolskich, zaślubiona Stanisławowi Lubomirskiemu, marszałkowi wielkiemu koronnemu, po śmierci męża w roku 1783 postanowiła poświęcić resztę życia krzewieniu zasad etykiety wśród swoich znajomych. Zamek łańcucki urządziła z niebywałym przepychem

i z zachowaniem wersalskiego dworskiego ceremoniału przyjmowała licznych gości, których napływ niekiedy przybierał ogromne rozmiary. Mała, niezbyt przystojna kobietka o dużych czarnych oczach, upudrowanych włosach i uróżowionych policzkach, wydawała nieodwołalne wyroki w sprawach przyjęcia albo nieprzyjęcia kogoś do towarzystwa. Jan Franciszek Marmontel, literat i sekretarz akademii paryskiej, zachwycał się jej rozumem i zupełnie poważnie twierdził, że wie więcej i zna lepiej język francuski niż dwie trzecie członków instytucji, którą reprezentował. Dobitnie, lecz trafnie scharakteryzowała ją Anna Potocka w swoich słynnych „Wspomnieniach“:

„Trudno by spotkać osobę łączącą z tyłu podniosłymi zaletami tak nadzwyczajne dziwactwa. Nie kochała ona ani swoich dzieci, ani kraju, a z nudów ciągle zmieniała miejsce. Obca wszystkiemu, oprócz starych tradycji dworu francuskiego, znała daleko lepiej wiek Ludwika XIV, aniżeli wypadki, które zburzyły jej ojczyznę. Będąc widzem okropności, jakie splamiły rewolucję 1789 r., oraz serdeczną przyjaciółką księżnej de Lamballe, potępiała wszelką myśl nową. Napoleon był dla niej nędznikiem, mówiła, że sprzyjające zdarzenia wyniosły go do godności, na której nie będzie mógł się utrzymać. Unikała rozmowy o nim, a gdy musiała wymówić to wstrętne imię, nazywała cesarza „małym Buonapartym“. Wierna Burbonom, nosiła żałobę po księciu d'Enghien i obsypywała dobrodziejstwami wszystkich emigrantów, jakich po drodze napotkała.“

Katarzyna musiała mieć jakiś niezwykły urok: podobnie jak mężczyźni, uwielbiały ją także kobiety, które — jak wiadomo — na ogół nie lubią przedstawicielkę swojej płci. Księżna marszałkowa zapalała do niej od razu dużą sympatią, obsypała ją komplementami i wbrew etykietce, bardzo serdecznie a nie wynio-

śle, zobowiązała Starzeńskich do częstych odwiedzin Łańcuta. Ksawery nie był z tego zadowolony; po miodowych miesiącach ciągnęło go do ryb, wolał przebywać w domu, kontynuować badania i gospodarować. Katarzynę zainteresowania męża początkowo zachwycały, potem bawiły, następnie zaś zaczęły denerwować. Zakochany ichtolog sądził, że zdoła ją natchnąć swoimi zamiłowaniem, zdołał jednak dość gruntownie znudzić. Czy młoda, zdrowa i piękna kobieta potrafi przez czas dłuższy zajmować się milczącymi i zimnymi stworzeniami, nie wiadomo po co pływającymi w wodzie? Hrabina Starzeńska nie potrafiła — zanadto ciągnęło ją do siebie życie, którego wszelkie przyjemności chciała koniecznie poznać. Ksawery popełnił zasadniczy, niewybaczalny w małżeństwie błąd — zamiast nią dyskretnie kierować, zaczął jej przeszkadzać, co prawda dość biernie: niczego nie zabraniał, ale również nie entuzjasmował się tym, co ją zachwycało. Niechętnie towarzyszył jej tu i ówdzie, najchętniej zaś wracał do domu. Nie wiedział o tym, że z żoną trzeba żyć nie tylko fizycznie, lecz również psychicznie, że należy ją stale zdobywać — inaczej bowiem odejdzie. Katarzyna uczyniła to dopiero w dziesięć lat później, ale już w pierwszym roku ich pożycia przepaść między nimi zaczęła zarysowywać się coraz wyraźniej. Mąż nie mógł przewyciężyć swego domatorstwa, żona więc — zamiast z nim — zaczęła się bawić bez niego.

Izabella Lubomirska do końca życia zachowała humor i ogromną werwę, lubiła widzieć dookoła siebie dystygowanie rozbawionych ludzi, urządzała przeto różne fety, bale, żywe obrazy i amatorskie przedstawienia. Przez wiele następnych lat na tych wszystkich zabawach królowała niepodzielnie Katarzyna, czego wspomniany już Ksawery Prek nie omieszkał skrupulatnie zanotować:

„Katarzyna hr. Starzeńska odwiedzała z małżonkiem księżnę marszałkową Lubomirską w Łańcucie, gdzie wszystkich przytomnych swą piękną postacią zajmowała. Była wzrostu dobrego, figury pięknej, nadobnej, ciała białego, twarzy owalnej, oczów czarnych, dużych, wspaniałych, zachwycających, brwi trochę okrągłych, ust równych, zębów nadzwyczaj białych. Posiadała piękność, która rzadko da się widzieć, tak dalece, że ludzie obcy ją podziwiali. — W Łańcucie bawiła się jak dzieci młode i rozpustne. Księżna marszałkowa lubiła ją bardzo i zajęta nią dała jej imię „la belle Gabrielle“, namówiwszy ją, ażeby porzuciła imię Katarzyny, publiczność też, uchwyciwszy się tego, nie inaczej hrabinę nazywała. — Wielu mężczyznom się podobała, między innymi także księciu Henrykowi Lubomirskiemu, który ją — jak wszyscy — kochał.“

To ostatnie zdanie świadczy o zdecydowanej porażce sympatycznego ichtiologa. W życiu Katarzyny zaczęli się zjawiać nowi mężczyźni, pierwszym zaś jej romansem po ślubie patronowała bardzo wytwornie, według wszelkich wymagań etykiety, sama księżna marszałkowa.

E P O K A I G A B R I E L A

Epoka, w której żyła Katarzyna Starzeńska, rozpoczęła się już przed rewolucją francuską, a skończyła się dopiero gdzieś w trzecim dziesięcioleciu XIX wieku. W literaturze cechował ją początkowo pseudoklasycyzm, który przeważnie był bardziej romantyczny niż klasyczny, następnie romantyzm, który był bardziej wyrozumowany niż odczuty. W życiu politycznym następowały ogromne, zasadnicze przemiany, wywierające wpływ na życie ekonomiczne. Nowe prądy, zmieszane ze starymi, ukształtowały obyczajowość wyższych sfer

społeczeństwa, która była osobliwym konglomeratem wykluczających się nieraz wzajemnie pierwiastków, zupełnie zaś inaczej wyglądała z zewnątrz niż z wewnątrz. Romantyczna sielanka stała się modną formą życia, chociaż nadal pięknym słowom towarzyszyły złe myśli, urojonym tęsknotom — zimne wyrachowania, wyimaginowanemu altruizmowi — stały i niezmienny egoizm. Podobną obyczajowość można by nazwać dyplomatyczną — była bowiem złudzeniem, głosiła jedno, a pozwalała na drugie; komplikowała najprostsze sprawy, aby ukryć swój epikurejski charakter pod płaszczkiem duchowej egzaltacji.

„Nigdy może — pisze Władysław Łoziński — nie wybujały do tak wysokiego stopnia sielankowa słodycz słówek, sentymentalna tęskność tonu, wykwintna galanteria i kurtuazja romansowych formułek, jak w owym wieku „Nowej Heloizy“ — ale nigdy taka wytworna i delikatna aż do cikliwości forma nie była obłudniejszym kłamstwem, nigdy pod taką szwalerią nie kryła się wyuzdańsza swawola, nigdy taki kwiecisty i trubadurowy przybór stosunków ze światem niewieścim nie był maską cyniczniejszej rozpusty, jak wówczas...“

Nie można jednak tym formom życia odmówić pewnego uroku, zakrywały bowiem wszelkie poczynania ludzkie pięknym pokrowcem gładkich słów i patetycznych gestów. Podobnym gestem była zmiana imienia: Katarzyna, które raziło ówczesnych estetyzujących snobów pospolitością swojego brzmienia — dopiero nowa nazwa: Gabriela, jako nastrojowa, sentymentalna i dość rzadka, rzekomo lepiej pasowała do Starzeńskiej niż poprzednia. Decyzja księżnej marszałkowej w tej sprawie zawiera osobliwy smak epoki, który najlepiej charakteryzuje tamte czasy. „La belle Gabrielle“ tkwiła w nich bardzo mocno — nie mogła z nich się wydostać — tylko ludzie genialni umieli uciekać w przeszłość lub przy-

szość — ona nie miała do tego ani zdolności, ani chęci. W swojej terażniejszości czuła się zupełnie dobrze, przyzwyczaiła się do niej — przyzwyczajenie zaś jest drugą naturą, a natura pierwszym przyzwyczajeniem.

Poza tym na osobowość Katarzyny oddziaływały jeszcze inne wpływy. Od najmłodszych lat dogadzano jej we wszystkim, przyzwyczaiła się więc uważać świat za zabawkę, istniejącą po to, aby ją bawić. Egocentryzm tej młodej kobiety byłby potworny, gdyby był świadomy; nie zdawała sobie jednak sprawy z niego, po prostu wierzyła, że powstawania i przebiegi wydarzeń mają swój jedyny sens w schlebaniu, ewentualnie w denerwowaniu jej — i ta wiara utwierdzała ją w przekonaniu, że słusznie czuje się centralną osią, dookoła której obraca się wszystko. Odziedziczoną po matce skłonność do egzaltacji zwiększyła lektura; hrabinę ogarniał zwykle na widok miłych ludzi i przyjemnych rzeczy ogromny, bezkrytyczny entuzjazm, niekiedy przechodzący rychło w niewytłumaczalne zniechęcenie i zwątpienie. Psychika jej nie była prosta, lecz skomplikowana przez wielką, wrodzoną inteligencję i chaotyczne wykształcenie; aby ją przynajmniej pobieżnie zrozumieć, należałoby zastosować wszelkie chwytły psychoanalizy, ale nawet wtedy niewiele by się wiedziało o niej. Wiedza o drugim człowieku nigdy bowiem nie ma precyzji wzoru matematycznego i różne szablony, w jakie usiłujemy wtłaczać indywidualność naszych bliźnich, są najczęściej niedołącznymi i martwymi symbolami.

Trzeba tylko jedno stwierdzić: Katarzyna nie była niemoralna, lecz amoralna, nie wiedziała, gdzie kończy się dobro, wiedziała jedynie, gdzie zaczyna się przyjemność. Podobnie jak Zuzanna miała krew bardzo gorącą, zarazem odznaczała się dobrocią, nigdy niczego nikomu nie odmawiała, chętnie ofiarowywała nawet siebie, jeśli proszący ładnie wyglądał i pięknie prosił. Jak

każdą kobietę, trawiła ją żądza podbojow i triumfow miłosnych, czuła się dobrze, gdy była kochana, czuła zaś, że żyje, wtedy gdy otaczali ją liczni wielbiciele. Nie szukała specjalnie miłostek, każda bowiem miłostka na początku wydawała się jej wielką, jedyną i wieczną miłością, a chwilowy kochanek — mężczyzną, za którym stale tęskniła. W swoim postępowaniu była nieodrodnym dzieckiem tamtej epoki — dlatego za swoje grzechy odpowiada częściowo, a mianowicie wspólnie z ówczesną obyczajowością. W każdym razie wiadomo, że współcześni nie tylko zachwycali się jej zaletami, ale również wybaczali jej wszystkie wady. Zresztą czegoż by się nie wybaczyło kobiecie, która miałaby takie oczy, jakie miała piękna Gabriela?

B E Z T R O S K I E L A T A

Gabriel Jaworski obecnie był zupełnie szczęśliwy, nie ponosił już odpowiedzialności za postępowanie córki — nad tym musiał czuwać jej mąż. Ksawery jednak nie przypuszczał, że należy czuwać, od monotonii zajęć gospodarskich uciekał w czarowny świat swoich badań, a osamotniona w domu Katarzyna coraz częściej go opuszczała i sama przebywała u ojca lub u księżnej marszałkowej. Tylko w zimie małżonkowie wyjeżdżali razem na paromiesięczny pobyt do Lwowa, poza tym podczas karnawału zawsze odwiedzali Wiedeń. Stosunki między nimi były zupełnie poprawne, nieraz nawet serdeczne, ichtiolog na swój sposób nadal kochał żonę, która przynajmniej w słowach darzyła go wzajemnością. Miała dość sprytu, aby pozysłać jego zaufanie, a ponieważ wierzył jej, potrafiła mu wszystko wytłumaczyć. Tak przemijały lata — bardzo przyjemnie i szybko. Katarzyna wciąż kwitła i ładniała, bawiła się bez przerwy, nabrała ogromnej pewności siebie, rychło przeko-

nała się, że trapije wszystkich spotkanych mężczyzn, że potrafi odebrać kochanka każdej kobiecie. Historia jeszcze nie musnęła jej swoimi skrzydłami, natomiast przechodziła obok niej: gdzieś daleko rozgrywały się doniosłe wydarzenia, świat drżał w niepokoju, ona tego nie spostrzegła i była zupełnie spokojna.

W łańcuckim zamku przeżyła z Henrykiem Lubomirskim gwałtowną i namiętną miłość, która jedynie dlatego nie zmieniła jej życia, ponieważ nie zgadzało się to z planami księżnej marszałkowej. Izabella Lubomirska wobec braku własnych kłopotów miłosnych gorliwie zajmowała się kłopotami wychowanka i wnuków. Skarżyła się, że te sprawy ją męczą, lecz naprawdę ogromnie pasjonowały; lubiła gościć u siebie ładne kobiety, żeby pupile romansowali na jej dworze i pod jej opieką. Henryka pilnowała ze szczególną uwagą; wprawdzie był synem Józefa Lubomirskiego i Ludwiki Sosnowskiej — kobiety, którą ongiś kochał Kościuszko — ale wychowała go sama i bardziej lubiła niż własne cztery córki. W 1788 roku Elżbieta Vigée-Lebrun namalowała jedenastoletniego chłopca jako rozkosznego golasa ze skrzydełkami, trzymającego w ręku laurowy wieniec, i zadecydowała, że ten obraz przedstawia geniusza sławy. Księżna była z tego bardzo zadowolona, gdyż stale nazywała swego wychowanka cudownym dzieckiem. „Cudowne dziecko“ — jak zwykle — nie spełniło wszystkich pokładanych w nim nadziei, dorosło i postarzało się, a wciąż było cudowne i obiecujące. Przyroda obdarzyła je piękną twarzą i wdziękiem — Katarzyna nie mogła więc obojętnie przejść obok niego.

Stara, mądra pani początkowo sprzyjała młodej, zakochanej parze, potem zaniepokoiła się i nasrożyła: zanosiło się na małżeństwo. Rozwód Starzeńskiej miałyby posmak skandalu, należało nie dopuścić do tego i odpo-

wiednio przeciwdziałać. W zakulisowych i alkowianych sprawach uwydatniają się zdolności dyplomatyczne księżnej; nie wiadomo jakich dokonała posunięć, ale miłość nagle została przerwana, kochankowie wyrzucając sobie nawzajem złamanie wiary rozeszli się z sercami, przepełnionymi bólem. Podobne rozstania są jednak tragiczne raczej teoretycznie niż praktycznie; doskonale je scharakteryzował Byron w „Pożegnaniu Czajld Harolda“, przetłumaczonym na język polski przez Mickiewicza:

Kochanki, żony mnie płacz nie wzruszy,
Bo nim zablyśnie poranek,
Z błękitnych oczu te łzy osuszy
Nowy mąż, nowy kochanek.

Katarzyna nie była wyjątkiem; ból prędko minął, ponieważ łaskawie przyjęła hołdy, które składał jej od dłuższego czasu Alfred Potocki, wnuk właścicielki Łańcuta. Wysoki i przystojny chłopiec, wychowany w Szwajcarii, źle mówił po polsku, a chociaż miał genialnego ojca, nie odznaczał się wybitnymi zaletami. Życie zawdzięczał Janowi Potockiemu, jednemu z najbardziej oryginalnych pisarzy polskich, wiecznemu podróżnikowi, wsławionemu wśród współczesnych podróżą balonem nad Warszawą. Alfredem opiekowała się babka, nikt nigdy nie kierował nim solidnie i po męsku, wyrósł na salonowego lwa, który lekkomyślnie zdobywa i porzuca kobiety. Nie zdążył jednak porzucić Katarzyny, zakochał się w niej naprawdę, lecz ona po jakimś czasie niespodziewanie odeszła od niego i w ten sposób nieświadomie pomściła wszystkie swoje poprzedniczki. Dlaczego z nim zerwała? Pozostanie to tajemnicą, której ujawnienie nie zawierałoby żadnych odkrywczych wartości — przeżyła bowiem następnie jeszcze

wiele przygód miłosnych, ale były one nic nieznaczące i znikome wobec kilku ogromnych, przepalających całą jej istotę, emocjonujących ponad zwykłą miarę miłości.

L E S D E U X B E L L E S

W lecie 1803 roku państwo Starzeńscy wyjechali na dłuższy pobyt do Paryża. Katarzyna dawno marzyła o tym mieście, Ksawery pragnął spotkać się z uczonymi francuskimi — decyzja w sprawie podróży zapadła więc jednomyślnie. Jechali bardzo wygodnie, własną luksusową karetą, za którą podążała bryka, wioząca dwóch lokajów, pokojówkę, kucharza i kuchcika. Po przybyciu na miejsce wynajęli wytworny apartament na Faubourg St. Germain, zaczęli poznawać nadsekwąską „gentry“ i wydawać u siebie przyjęcia. Przyjmowano i odwiedzano ich bardzo chętnie, przywieźli z sobą bowiem polecenia księżnej Lubomirskiej, która cieszyła się ogromnym autorytetem wśród francuskiej arystokracji. Prędko weszli do towarzystwa, poznali wielu interesujących i sławnych ludzi, z niektórymi nawet się zaprzyjaźnili.

Działo się to za czasów konsulatu Napoleona; pani de Staël przebywała już na wygnaniu, najznakomitszą zaś kobietą w Paryżu — obok Józefiny — była jej przyjaciółka, którą nazywała „la belle Juliette“ i którą z entuzjazmem opisała w swojej książce „Corinne“. Joanna Franciszka Julia Adelajda Récamier, żona wielkiego bankiera, znajdowała się wówczas u szczytu swego towarzyskiego znaczenia, a jej salon w eleganckim domu przy rue du Mont Blanc, gromadził najwybitniejszych przedstawicieli sfer rządzących, arystokratycznych i artystycznych. Czarowała wszystkich swoją niepospolitą, dobrze znaną z portretów urodą, olśniewała inteligencją, ujmowała uroczym uśmiechem. Przestrzegała

wszelkich nakazów mody, które w znacznej mierze sama tworzyła, poza tym była bardziej wrażliwa z wyglądu niż z serca, namiętna bez namiętności, rozegzaltowana bez istotnej egzaltacji. Otaczało ją stale liczne grono adoratorów i przyjaciół, wśród których znajdowali się obaj kuzyni Montmorency, Bernadotte, Lucjan Bonaparte, Moreau, Murat i inni. Kobiety chętnie naśladowały piękną Julię, lecz zazdrościły jej powodzenia i mniej przepadały za nią niż mężczyźni; wszechwładny zaś konsul wielokrotnie denerwował się, że co wieczór w jej salonach spotykają się niemal wszyscy jego ministrowie i generałowie.

— Depuis quand les Conseils se tiennent-ils chez Madame Récamier?— zawołał ponoć kiedyś w największym wzburzeniu. Źródło wzburzenia kryło się prawdopodobnie w nieodwzajemnionej sympatii, albowiem w 1806 roku przez Fouché'go, a następnie za pośrednictwem swojej siostry Karoliny, proponował żonie bankiera, aby została jego faworytą. Szalona kobieta nie przyjęła tej propozycji, za karę musiała udać się na wygnanie, a jej mąż został zrujnowany specjalnymi zarządzeniami. Zanim to nastąpiło, starał się również pozyskać względy słynnej piękności brat boga wojny, Lucjan Bonaparte, pisujący stale do niej płomienne listy, w których figurował jako Romeo, ponieważ ona nazywała się Julia. Podobnych listów otrzymała z ciągu życia bardzo dużo, lecz nigdy nie dziwiła się żadnym hołdom, nie była nawet specjalnie zadowolona, jedynie znała doskonale swoją wartość.

Katarzynę przyjęła u siebie bardzo uprzejmie, od razu stwierdziła, że jest urocza i doskonale rozmawia po francusku. Poczuli do Polki wielki przypływ sympatii i zaproponowała, aby jak najczęściej odwiedzała jej salon. „La belle Gabrielle“ z kolei wyraziła swój nieklamany zachwyt z powodu poznania „la belle Ju-

lette“ — i w ten sposób dwie piękne zaprzyjaźniły się. Madame Récamier była o pięć lat starsza od Starzeńskiej, górowała nad nią obyciem towarzyskim i wykształceniem, początkowo nie przypuszczała, że znalazła godną siebie rywalkę. Ta sprawa wyłoniła się jednak nieco później; na razie obydwie egzaltowały się ogarniającym je uczuciem wzajemnej miłości, ciągle się spotykały, przyjemnie plotkowały i próbowały — co zawsze jest sprawdzianem sympatii między kobietami — zwierzać się jedna drugiej. Niektórzy zaczęli mówić o ich serdecznej i nagłej przyjaźni z tą dwuznacznością, która właściwie jest jednoznaczna — i ten posmak rzeckomej pikanterii, połączony z czarem egzotycznej polskiej hrabiny, zwiększony opowiadaniem o jej wielkich bogactwach — sprawił, że stała się okresową sensacją Paryża.

Na licznych zabawach i balach, w rządowych i opozycyjnych salonach święciła tryumfy, budziła ogólne zainteresowanie, oddziaływała na otoczenie jak magnes, gdyż przyciągała do siebie wszystkich. Zblazowany powodzeniem Franciszek Gérard, który malował wiele wybitnych i pięknych kobiet, robił jej portret z największym namaszczeniem i chętnie przeciągał seanse. Co prawda kazał sobie za to bardzo słono zapłacić, lecz stworzone dzieło było tak doskonałe, że Ksawery bez targowania się chętnie wyłożył żadaną sumę. Poza malarzem zachwył dla urody Katarzyny najpiękniej może wyraził anonimowy grenadier, który zagroził jej drogę karabinem, gdy wychodziła z Luwru. Zdumionej i zaniepokojonej hrabinie oświadczył, że musi zatrzymać ją w muzeum, nie wolno mu bowiem wypuszczać na ulicę posągu Wenery. Jacyś znajomi widzieli tę scenę, wiadomość o niej dotarła do kraju i stała się anegdotą, którą opowiadano niemal w ciągu całego XIX wieku, przy czym — zależnie od okoliczności — wymieniano

nazwiska różnych pań jako bohaterek, zapomniano zaś, że autentyczną bohaterką była piękna Gabriela.

W tych paryskich sukcesach tkwiło jednak pewne niebezpieczeństwo: wśród przyjaciół pani Récamier lansowana przez nią Polka znajdowała coraz więcej wielbicieli. Obydwie kobiety nie zdawały sobie sprawy z tego, że przyszłość ich stosunku nie zapowiada się pogodnie, jeszcze jakiś czas łączyły do siebie, ale u schyłku karnawału 1804 roku rozpoczął się między nimi konflikt. „La belle Juliette“ nie mogła zgodzić się na to, aby mężczyzna z jej towarzystwa, którego nie kochała, zapalał uczuciem do „la belle Gabrielle“, a nie do niej. O osobę Eugeniusza de Beauharnais, syna Józefiny i pasierba Napoleona, późniejszego wicekróla Italii, przyjaciółki stoczyły krótką walkę. Zwyciężyła młodsza, starsza przeto przestała ją lubić. Plotkujący Paryż uważnie śledził całą rozgrywkę, w normalnych warunkach stałaby się ona jednym z głównych wydarzeń sezonu, lecz wówczas wszystkie sprawy przestąpiło porwanie i stracenie niewinnego księcia d'Enghien.

ALKOWA OD STRONY HISTORII

Zdumiewające: jak podróże kształcą! Nie tyle zresztą podróż, ile przyjazd do Paryża wykształcił politycznie Katarzynę. Po kilkumiesięcznym pobycie nad Sekwaną zaczęła doskonale orientować się w ówczesnych międzynarodowych i francuskich zagadnieniach. Zawdzięczała to oczywiście swoim nowym znajomym, którzy podczas zebrań towarzyskich ustawicznie omawiali wszelkie ciekawsze wydarzenia i bawili się w stawianie politycznych horoskopów. Hrabina obcowała najwięcej z dawną arystokracją, najczęściej zaś bywała w salonach opozycyjnych, do Napoleona odnosiła się przeto z pewną rezerwą — zwłaszcza, że pamiętała

opinię, jaką wypowiadała o nim księżna marszałkowa. Dość interesujące są urywki jej korespondencji z ojcem, w której obok opisów zabaw, wykazu poznanych ludzi i kupionych sukien, zachwyty nad pomysłami mody i utyskiwań nad skąpstwem męża, znajdują się również ogólne spostrzeżenia i plotki polityczne.

Obszernie opisuje poznanie francuskiej panującej, lecz jeszcze nieukoronowanej pary. Być bowiem w Paryżu i nie poznać zwycięzcy spod Marengo — stanowiło taki sam shocking, jak odwiedzić Rzym i nie złożyć hołdu papieżowi albo zobaczyć Neapol i nie umrzeć. Małżonków przedstawiono Napoleonowi podczas jakiegoś dużego przyjęcia, powiedział im wtedy kilka obojętnych słów, dopiero następnym razem, widocznie lepiej poinformowany o nich, zaszczycił parominutową rozmową. Bardzo uprzejmie zainteresował się naukowymi sprawami Ksawerego i wyraził przypuszczenie, że w stolicy Francji chyba znajdzie to, czego szuka. Podobnie zdawkowo, chociaż z nieoczekiwaną galanterią, wyraził swój zachwyt nad urodą Katarzyny i nadmienił, że pewnie panie paryskie niezbyt się cieszą z jej przyjazdu, albowiem stanowi dla nich bardzo poważną konkurencję. Wszyscy obecni zrozumieli, że miał na myśli Julię Récamier, z którą „la belle Gabrielle“ nigdy stanowczo nie zerwała, ale od której z wiadomych przyczyn ostatnio zaczęła się oddalać. Hrabiny nie zachwycała kurtuazyjna złośliwość, nie została oczarowana towarzyskimi zaletami Napoleona, natomiast Józefina wydała się jej początkowo uroczą osobą. „Ten potworny tyran — pisała do ojca — wcale nie zasługuje na tak cudowną żonę“. Bardzo lubiła obdarzać takim tytułem konsula, a później cesarza, wypadki zaś, które rozgrywały się we Francji na wiosnę 1804 roku, dostarczały jej do tego wielu okazji. „A teraz wiadomość najsmutniejsza — wspomina w liście z końca lutego — człowiek,

którego bardzo lubię i cenię — generał Moreau został aresztowany...”

Stracenie księcia d'Enghien nie tylko stało się przyczyną zawiązania się trzeciej koalicji, ale również wypełniło wszelkie bonapartystyczne sympatie Katarzyny. „Czy wiesz — znów zwierza się ojcu, — że on kazał udusić biednego generała Pichegru?” Powtarzała w tym wypadku usilnie kolportowaną po Paryżu plotkę, ponieważ były głównodowodzący armią nad Renem i Mozela, zamieszany w spisek, mający na celu zamach na życie Napoleona, sam popełnił w więzieniu samobójstwo. Wreszcie rozstrzelanie słynnego partyzanta rojalistycznego z czasów wojny wandejskiej, Jerzego Cadoudala, przepełniło miarę cierpliwości pięknej Gabrieli. Zakomunikowała ojcu, że już chyba opuści Paryż — i w związku z tym poprosiła go o większy przekaz pieniężny, gdyż chciałyby coś niecoś przed wyjazdem kupić, a mąż ostatnio stał się do reszty skąpy.

Ksawery nie był jednak skąpy — po prostu zaczynało mu brakować gotówki. Piękne mieszkanie, liczny zastęp służby, konie i pojazdy kosztowały sporo, do tego dochodziły ogromne wydatki reprezentacyjne i rozrzutność żony. Katarzyna nigdy nie znała i nie poznała wartości pieniędzy, wydawała je zawsze bez miary i zastanowienia, nie przypuszczała, że może ich zabraknąć. Kupowała najdroższe stroje, była jedną z najlepiej ubranych ówczesnych kobiet — ale dalsze utrzymanie tej godności groziło ruiną. Budżet pobytu w Paryżu we wszystkich pozycjach został wielokrotnie przekroczony i plenipotenci w Galicji nie mogli nadażyć z przekazami. Mąż ciągle powtarzał, że należy wracać do kraju, lecz żona zawsze umiała znaleźć odpowiednie argumenty za przedłużeniem pobytu w stolicy świata.

W domu pięknej Julii — piękna Gabriela poznała Eugeniusza de Beauharnais, przystojnego młodzieńca

prawie w swoim wieku, którego już wówczas opromieniała sława bohaterskich wyczynów podczas kampanii egipskiej i włoskiej. Napoleon bardzo lubił dzieci swojej żony: romansował z Hortensją i uczynił ją królową, pasierba zaś, w parę lat po osiągnięciu przez niego pełnoletności, mianował generałem. Młodzietki generał prowadził życie beztroskie i romantyczne. Nie było takich przyjemności i rozkoszy, których by nie zakosztował i owe przysłowiowe: kobieta, wino i śpiew, poczynały go już nudzić, zwłaszcza że nie przepadał za śpiewem. W 1803 roku Napoleon powziął zbawienną myśl, aby postarać się dla niego o rękę siostrzenicy Talleyranda, ale sprytny minister nie dopuścił do tego ku radości ewentualnego oblubieńca. Pozostawał przeto zupełnie wolny i gdy spotkał Katarzynę, pomyślał, że z nią można by było przeżyć wcale interesującą przygodę. Technika powstawania związków miłosnych od wieków jest taka sama: kobieta i mężczyzna, którzy chcą, aby ich znajomość nie pozostała tylko znajomością, zwykle umawiają się na randkę.

Pierwsze randki naturalnie były zupełnie zakonspirowane, zachowały się o nich bardzo skąpe relacje, które wskazują na to, że Eugeniusza spotkał poważny zawód: nie przeżył prędko upragnionej przygody. Katarzynie jednak bardzo się podobał, nawet nie spostrzegła jak pogrążyła się w wielką miłość, zmuszającą ją do najbardziej irracjonalnych poczynań. Psychika kobieca nie tylko jest skomplikowana, lecz również perwersyjna: zakochane kobiety „łatwe“ stają się często trudne dla swoich wybranych, a „trudne“ nieraz z łatwością ulegają tym, którzy im się bardzo podobają. Romantyczna i romansowa hrabina rozpoczęła osobliwą grę, zwodziła Eugeniusza, obiecywała i nie dotrzymywała, na pozór była zimną, wyrafinowaną kokietką, chociaż wewnątrz pałała, myślała o nim najczulej i chę-

nie poświęciłaby wszystko dla niego. W tym postępowaniu tkwiły prawdopodobnie owe „co ty o mnie pomyślisz?” lub „czy będziesz mnie teraz szanował?” — zapytania, które kobieta zawsze zadaje mężczyźnie, gdy przedwcześnie mu ulegnie i boi się, że z tego powodu go straci. Taktyka w rezultacie była nienajgorsza, Eugeniusz zatracił się, zapragnął Katarzyny za wszelką cenę, słowem: zakochał się.

Julia Récamier może wybaczyłaby im, gdyby spotykali się potajemnie, nie mogła tego uczynić, gdy zaczęli spotykać się jawnie. Zaskoczona i podekscytowana tym była również paryska „gentry”; w owych czasach, wobec braku gwiazd filmowych, najbardziej interesowano się romansami władców i ich rodzin. Beauharnais zdecydował się składać publicznie hołdy Katarzynie licząc, że ją w ten sposób podbije. Na balach tylko z nią tańczył, nie odstępował od niej w salonach, towarzyszył jej podczas spacerów — swój afekt manifestował demonstracyjnie i wyzywająco. Ustawicznie atakowana, czuła, że zbyt długo stawiany opór przestaje być celowy, że należy w końcu skapitulować. Gdy zaś to uczyniła, upojona szczęściem zapragnęła rzucić wyzwanie całemu światu: rozwieść się z mężem i zostać w Paryżu. Bardzo dyskretnie, w zawiłych i dyplomatycznych zdaniach francuskich — ponieważ po polsku pisać prawie nie umiała — doniosła o tym ojcu. Nie znana jest odpowiedź, jaką dostała, lecz projekty jej musiały ulec zmianie, gdyż do zacisznej alkowy, w której znajdowała się para nieprzytomnie zajętych sobą kochanków, wkroczyła któregoś dnia historia.

W maju 1804 roku senat francuski dla „umocnienia państwa i zabezpieczenia osoby pierwszego konsula” proklamował go cesarzem, na co naród, za pomocą plebiscytu, wyraził swoją zgodę. Eugeniusz awansował w hierarchii społecznej, uchodził za następcę ojczyma,

czekał na niego tytuł książęcy i dalsze godności, jego życie przestało być prywatną sprawą, stało się dynastyczną. Jeśli nawet nie myślał o tym, myślała za niego Józefina i układała odpowiednie plany matrymonialne. Jak każda matka, cieszyła się powrotem syna, jego kochanki bardzo ją interesowały, doszła jednak do wniosku, że ostatni romans stał się zanadto jawny, aby był wskazany. Zaproszenie do Tuileries było wielkim zaszczytem: w wyznaczony dzień i o wyznaczonej godzinie, ubrana w wytworną suknię z „treną“, czyli z przypinanym, efektownym ogonem, hrabina Starzeńska zameldowała się u cesarzowej. Józefina po dłuższej rozmowie na różne tematy, wreszcie uprzejmie ją zapytała, czy nie tęskni za ojczyzną, oraz dodała, że wyjazd z miejsc rodzinnych na dłuższy czas z pewnością jest przykry. Piękna Gabriela dobrze zrozumiała dyskretną, ale wyraźną aluzję. Cała jej sympatia do kreolki prysła, wyszła z audiencji rozżalona i oburzona, wiedziała, że jeśli nie „zatęskni“ za krajem, zostanie oficjalnie poproszona o opuszczenie Paryża, pretekstem zaś będzie jej towarzyski kontakt z sferami opozycyjnymi. Parę dni myślała nad ewentualną kontrakcją, lecz nagle, oprócz historii, do tej sprawy wmieszał się jeszcze mąż.

Pewnego wieczoru zapytał ją z pozornym spokojem czy są prawdziwe pogłoski o jej zdradzie, które do niego dotarły. Gdy zaskoczona Katarzyna swoje przyznanie się wypowiedziała bez skruchy, Ksawery niespodziewanie rzucił się na nią, powalił na dywan i zaczął dusić. Była tak zdziwiona, że nawet nie krzyczała — coś podobnego zdarzyło się jej po raz pierwszy w życiu. Ostatecznie ją puścił i przeprosił, zawstydził się bowiem swojej brutalności, która wydała mu się bardziej okropna od zdrady. Spokojnie już wytłumaczył żonie beznadziejność romansu z Eugeniuszem. Potrwa jeszcze miesiąc, dwa i co dalej? Dotychczas była tak szczęśliwa,

że nie myślała o tym — obecnie ujrzała wytworzoną sytuację w czarnych kolorach. Czuła, że jest zbyt słaba, aby mogła pokonać wszystkie przeszkody na drodze do szczęścia, znikąd zaś nie spodziewała się pomocy. Mąż niestety miał rację: Eugeniuszowi zależało na utrzymaniu dobrych stosunków z cesarzową, nie przeciwstawił się więc decyzji matki. Młody generał był zresztą w ciągu całego lata ogromnie zajęty sprawami włoskimi, ponieważ do Francji przyłączano nowe prowincje na Półwyspie Apenińskim. Poza tym po początkowym upojeniu nieco ochłonął i mniej gorliwie niż dawniej zdobywał zdobytą kochankę. Katarzyna-Gabriela dokładnie przemyślała i przepłakała to wszystko, i wreszcie, na stałe zapytania męża co będzie z nimi, odpowiedziała:

— Wracamy!

KULISY TRZECIEJ KOALICJI

W grudniu, gdy w Paryżu Eugeniusz de Beauharnais kroczył w orszaku koronacyjnym Napoleona, Katarzyna przebyła we Lwowie przedwczesny poród. Syna nie udało się uratować, ledwo uratowano matkę. Nie miała żadnych wątpliwości, że ojcem był nowy książę nowego cesarstwa — chociaż poczuwał się do tego również Ksawery. Męczyły ją nie tyle cierpienia fizyczne, ile psychiczne. Romans w Paryżu skończył się nieprzyjemnie, poniosła pierwszą i ostatnią przed starością miłosną porażkę, kochanek z całą męską przewrotnością pozwolił jej wrócić do Polski, zamiast starać się, aby pozostała w Paryżu. Co prawda nie mógł zapomnieć o niej, od czasu do czasu pisał miłe listy, ale nie stanowiło to większej pociechy. Tylko z mężem nie miała kłopotów, przebaczył jej wszystko, przekonany, że zdrada więcej się nie powtórzy. Troszczył się o jej zdro-

wie: ponieważ długo chorowała po porodzie, zawiózł osłabioną do Wiednia, aby lekarze przepisali dalszą kurację. Wreszcie wybrała się sama do Badenu; jeszcze czuła się złamana, osamotniona i niepotrzebna na świecie.

Lato 1805 roku było podwójnie gorące: klimatycznie i politycznie; zmęczony upałami i pracą poseł angielski w Wiedniu, lord Artur Paget, również przybył do Badenu na krótki, dobrze zasłużony odpoczynek. W stolicy Austrii przebywał od kilku lat, został kiedyś przedstawiony pięknej hrabinie, której bardzo się spodobały jego nieskazitelne angielskie maniere towarzyskie. Nie był ani stary, ani brzydki — trochę młodszy od jej męża, bardziej zaś od niego dystygowany, wytworny i ujmujący. Towarzystwo jego oddziaływało kojąco, znał doskonale kobiety, świetnie umiał je słuchać i pocieszać. Katarzyna oceniła te zalety po kilku wspólnych przechadzkach po kurorcie — i słuchając dobrych, życzliwych słów swego towarzysza, powoli zapominała o wszelkich smutkach. Wyzdrowiała zupełnie, a dzięki cudownej sile witalnej młodości nabrała nowej chęci do życia. Przeszłość zapadała się w mrok, pozostawała chwila bieżąca, która niekoniecznie musiała być pasmem zmartwień. Miły lord bardzo umiejętnie ją pocieszał, była mu za to wdzięczna i zaczynała nim się entuzjasmować. Co za szczęście poznać mężczyznę, rozumiejącego kobietę!

Najczęściej mężczyzna jest zmęczony, śpiący, głodny lub zajęty czym innym i przez całe życie nie ma na to czasu, aby zrozumieć kobietę. Miliony niewiast przemijają niezrozumiane — nikogo to nie wzrusza — lord Artur Paget nigdy jednak nie zdobyłby się na podobny nietakt. Oxford oblige: otrzymał staranne wychowanie i wykształcenie, które wyrobiły w nim giętkość umysłu i umiejętność łatwego nawiązywania kontaktów z ludź-

mi. Katarzyna ogromnie go fascynowała — wszystkie zaś prowadzące do celu drogi są dobre — dlatego chętnie ją rozumiał i otaczał największą troskliwością. W swoich poglądach mieli wspólny punkt wyjścia: oboje nie lubili Napoleona. Anglik wprost nienawidził Korsykanina — wyszedł z politycznej szkoły Pitta młodszego i od szeregu lat brał udział w międzynarodowych konferencjach, organizujących anty-francuskie koalicje. Jako poseł przy elektorze-palatynie nadreńskim poznał zagadnienia niemieckie, akredytowany następnie w Neapolu wdepnął w bagienko włoskie, najdonioślejszą misję miał dopiero spełnić w Wiedniu. Gra szła o wielką stawkę, mianowicie o handel angielski z kontynentem, i brytyjska racja stanu domagała się zlikwidowania potęgi Francji. Paget był duszą tej akcji, pozostawał w bezpośrednim kontakcie z Pittem i jako jeden z najbliższych współpracowników znakomitego premiera pracowicie montował trzecią koalicję. W Badenie pozyskał dla tej sprawy Katarzynę. Cały czas był tak uprzejmy i niezastąpiony, że wreszcie zdobył ją... politycznie.

W końcu lipca nie wróciła do Galicji, zamieszkała w Wiedniu w wynajętym stylowym pałacyku i otworzyła mały salon, w którym bywali jedynie wybrani. Mąż nic nie miał przeciwko temu — wskutek licznych zajęć na wsi dość rzadko do niej dojeżdżał — pragnął tylko, aby była pod stałą opieką lekarzy i otrząsnęła się z przygnębienia. Nie stroniła od rozrywek, ale nie były one już główną treścią życia, rola angielskiej agentki nakładała na nią nowe obowiązki. Pałacyk „la belle Gabrielle“ stał się ekspozyturą brytyjskiego poselstwa, w której lord Paget spotykał lub przyjmował pewnych ludzi oraz odbywał poufne konferencje. Nieporównana uwodzicielka i kusicielka pomagała mu w pracy, z wrodzoną sobie łatwością czarowała różnych dyplomatów

i dygnitarzy, wyciągała ich na słówka, zdobywała cenne informacje, które zaraz były przesyłane do Londynu. Czy dostawała za to pieniądze? Najwyżej pozwalała płacić za siebie rachunki, co zupełnie nie decydowało o jej nastawieniu. Rachunki zawsze ktoś za nią płacił, tak się przyzwyczaiła do tego, że wydawało jej się to jedną z podstawowych zasad życia.

Bracia Artura Pageta, ludzie na wybitnych stanowiskach w marynarce i administracji brytyjskiej, w wiele lat później wypominali mu, że niepotrzebnie zaangażował swój prywatny majątek w tworzenie trzeciej koalicji. Wprawdzie poseł w Wiedniu dysponował sporymi sumami pieniędzy rządowych, nigdy ich jednak nie wystarczało, gdyż rozrzutnie opłacał pokaźną gromadę sympatyków Anglii, pośredników, konfidentów i szpiegów. Znał słabość ludzką do złota i chętnie wykorzystywał ją dla swoich celów. Nie wszystkie wydatki, jakie czynił, były celowe, lecz kwoty przeznaczone na potrzeby Katarzyny nie zostały zmarnowane. Właściwie wypadało mu od dawna mieć u swego boku mądrą, piękną i dobrze urodzoną kobietę, dla reprezentacji i poufnych misji. Starzeńska była bogatsza od niego, toteż jeśli przebywała z nim i zajmowała się jego sprawami, powodowała się sympatią, kaprysem lub zamiłowaniem, a nigdy wyrachowaniem. Pierwszy raz coś robiła, co nie było zwyczajną konsumpcją życia, dlatego wszelkie zlecenia wykonywała z niezmiernym entuzjazmem. Nowa rola bawiła ją tak długo, aż zaczęła przejmować, tak długo zachwycała się przyjaźnią z Page-tem, aż zaczął jej podobać się daleko więcej niż przyjaciel. Dostrzegła niepokój pozornie tylko życzliwego dżentelmena, zwiększający się w miarę dłuższego przebywania z nią razem, a chociaż obawiała się rozczarowań, nie tłumiała powstających uczuć. W owych latach nauczyła się wreszcie odczuwać rytm dziejów, który po-

rywał, kazał zapominać o prywatnych sprawach, bólach i radościach. Obserwowała, jak poważnie traktował swoją historyczną misję angielski poseł w Wiedniu, z jakim zapałem i zawziętością realizował wielkie koncepcje polityczne — sądziła, że nie powinien z jej powodu się załamać; aby go wzmocnić i uspokoić ofiarowała mu całkowicie siebie.

Należy zazdrościć lordowi Arturowi, że osiągnął tak wiele. Ludziom, którym powodzi się w miłości, podobno powodzi się we wszystkim. Austria przystąpiła do układu Rosji z Anglią, koalicja była gotowa, brytyjskiemu dyplomacie gratulowano sukcesu. Ostatnie tygodnie przed wojną wypełnione były gorączkową pracą, której prawie nie odczuł, zarażony entuzjazmem i optymizmem przez Katarzynę, przeświadczony, że osiągnął cel swego życia. Wierzył w bliski i nieuchronny upadek Napoleona, tak samo jak piękna Gabriela — w rychłe poniżenie Józefiny. Potężne armie sprzymierzeńców pomaszerowały w kierunku Renu, pod Trafalgarem została rozbita francuska flota, rzeczywiście zapowiadało się na porażkę Francji, gdyby jej nie obronił geniusz jednego człowieka.

Można już zdradzić tajemnicę: Paget był bardzo zdolnym dyplomatą, lecz pechowym człowiekiem. W ciągu całej politycznej działalności nic mu się naprawdę nie udało, wszystko, co osiągnął, zdobył i wywalczył dla swojej ojczyzny, nie przyniosło jej żadnej korzyści. Trzecia koalicja była niepotrzebna — nie zniszczyła, a tylko wzmocniła Napoleona. Bitwa pod Austerlitz w dniu 2 grudnia 1805 roku przekreśliła długie lata pracy posła angielskiego oraz pół roku entuzjazmu i zapału Katarzyny. Dla obojga stała się okropnym ciosem, po którym zwątpili w wartość życia i dziejową sprawiedliwość. Artur próbował się zastrzelić, w ostatniej chwili przyjaciółka odebrała mu pistolet, sama zaś

z kolei parokrotnie wytwornie mdlała i łkała. Po raz pierwszy w życiu opanował ją wtedy nastrój bezgranicznego smutku. Optymizm dyplomaty zamienił się w skrajny pesymizm, nazajutrz po fatalnej bitwie napisał do Pitta długi list, w którym w najczarniejszych kolorach przedstawił przyszłość Anglii. Znakomity premier ciągle chorował, a gdy się zapoznał z ponurymi horoskopami swojego ulubieńca, bardzo się zdenerwował i umarł. I oto zmaltretowany niepowodzeniami politycznymi, zrujnowany majątkowo Artur Paget stał się mimowolnym sprawcą śmierci Williama Pitta.

ROZSTANIE I MACIERZYŃSTWO

Ponieść klęskę — to nie znaczy być pokonanym. W ciągu wieków Opatrzność czuwała nad Anglią i likwidowała jej najgroźniejszych wrogów — Anglicy przyzwyczaili się do tego i mimo ogromnej potęgi Napoleona wierzyli w jego bliski upadek. Po dłuższej przerwie, spowodowanej depresją psychiczną, lord Paget znów zaczął działać w myśl nowych dyrektyw z Londynu, ale rychło przekonał się, że w Wiedniu uchodzi za dostatecznie skompromitowanego dyplomate. Brytyjskie M. S. Z. dowiedziało się o tym, w lutym 1806 roku odwołało go do centrali, a w rok później wysłało jako ambasadora do Konstantynopola. Na nowym stanowisku przez dwa następne lata z nienaganną stałością, groźbami i prośbami, za pomocą świetnie dobranych argumentów i działań okrętowych skoncentrowanej w pobliżu Dardanel floty — przekonywał sułtana o konieczności zerwania przymierza z Francją. Przebiegły władca Turcji bardzo ujrzejmie go słuchał, podejmował i gościł, o wszelkich zaś sekretnych propozycjach czym prędzej powiadamiał posła francuskiego. Próżne usiłowania tak dalece zniechęciły Pageta, że już w 1809 roku

podał się do dymisji, powrócił do Anglii i zamieszkał w swoim majątku. Prawie jednocześnie ożenił się z lady Augustą Jane Vane — i odtąd życie wypełniały mu jedynie obowiązki rodzinne i towarzyskie. Dopiero w 1827 roku pasmo jego spokojnych dni zostało przerwane przez wypadek, który wstrząsnął nim prawie tak samo silnie, jak przegrana sprzymierzeńców pod Austerlitz. Podczas Derby ulubiona klacz lorda i ogólna faworytka „Beautiful Gabrielle“, wskutek złej taktyki dżokeja, zajęła w wyścigu drugie miejsce, zamiast pierwszego. Był to cios bardzo bolesny, ale starszy wiek i doświadczenie sprawiły, że zniósł go z większym spokojem i dostojnością niż tragiczne zakończenie trzeciej koalicji.

Katarzyna sama usunęła się z jego życia — nie chciała mu bowiem towarzyszyć, gdy opuszczał Wiedeń. Kochała go raczej serdecznie niż namiętnie, jej uczucia były dość silne, aby z nim żyć i pracować, zbyt słabe, aby porzucić dla niego wszystko. Pisał do niej z Londynu długie, przepojone żalem i tęsknotą listy — to ją wzruszyło — zgodziła się na ostateczne, decydujące spotkanie. Na lato pojechała z ojcem do Karlsbadu, gdzie już czekał na nią zdenerwowany Artur. Jeszcze jeden miesiąc spędzili wspólnie, nie zajmowali się polityką, cały czas poświęcili sobie. Okazało się, że była to pogodna, słoneczna i nieodwołalna jesień ich miłości — piękna Gabriela nie zmieniła poprzedniego postanowienia i wyjaśniła kochankowi przyczyny; dla których nie mogła pojechać z nim w świat. Rozstali się jak przyjaciele i przez wiele lat bardzo przyjemnie korespondowali z sobą, powiadamiali się wzajemnie o ważniejszych wydarzeniach swojego życia, pragnęli nawet jeszcze raz się spotkać, ale nigdy do tego nie doszło.

Na jesieni Katarzyna przekonała się, że jest w ciąży. Tajemniczy i groźny proces biologiczny przeraził ją, wcale go nie pragnęła, przyszedł zupełnie niepożądany

i nieoczekiwany. W miarę jednak jak nowe życie kiełkowało w jej łonie, godziła się z losem i zaczynała lubić jeszcze nieznaną, nie urodzone dziecko. Mąż zawiózł ją do Lwowa — otoczona troskliwą opieką lekarską oczekiwała rozwiązania. Do ostatniej chwili czuła się zupełnie dobrze, a 4 marca 1807 roku bez żadnych komplikacji urodziła zdrowego i dużego chłopca. Pierwszy jego krzyk wzruszył ją niewypowiedzianie: delikatnie wzięła go na ręce i przycisnęła do piersi. A kiedy mała i jak jej się zdawało bardzo piękna istotka zamilkła, usłyszała mocne bicie własnego serca, przepełnionego nowym i nieznanym uczuciem macierzyńskiej miłości.

U R O C Z Y K S I A Ż E

Kobiety tamtej epoki potrafiły być jednocześnie troskliwymi matkami, zmiennymi kochankami i wytwornymi, światowymi damami. Na wszystko znajdowały czas i jedno zajęcie nie przeszkadzało drugiemu. Piękna Gabriela sama wychowywała syna, ale miała przy tym tak wiele pomocnic, że nie mogła narzekać na przeciążenie pracą. Oczywiście dziecko karmiła mamka, hrabina bowiem dbała o swoje piersi — bardzo się bała, że mogą ewentualnie zbrzydnąć. Na szczęście nic podobnego się nie stało — drugi poród znakomicie ją wzmocnił, tak że fizycznie doskonale się rozwinięła i promieniowała upajającym czarem pełni kobiecej dojrzałości. Macierzyństwo dostarczyło jej wielu pięknych wzruszeń, ale nie zmieniło — gdy wystarczająco odpoczęła, zatęskniła za dawnym, wesołym życiem.

W zimie z 1807 na 1808 rok zjazd gości do Wiednia był bardzo liczny i Katarzyna nie mogła podołać wszystkim zaproszeniom. Często bywała na dworze, najczęściej zaś w pałacu księżnej marszałkowej na wa-

łach i w salonach hrabiostwa Zamoyskich na Jägerzeile. Poznała wtedy panią de Staël i kilkakrotnie z nią się spotykała, aby porozmawiać o wspólnych znajomych w Paryżu, głównie zaś o wygnanej z Francji Julii Récamier. Francuska pisarka w naddunajskiej stolicy stworzyła dwie tragedie: „Agarę na pustyni“ i „Genowefę z Brabantu“, z których pierwszą grano w amatorskim teatrze u Zamoyskich, a drugą u księcia Lichtensteina. W jednym z przedstawień wzięła udział Starzeńska i oczarowała widzów nie tylko urodą, lecz również świetną ekspresją dramatyczną. Natomiast rolę Agary zagrała sama autorka, a ponieważ nie była zbyt ponętna, dowcipny i złośliwy książę de Ligne nazwał sztukę „Usprawiedliwieniem Abrahama“.

Stary, awanturniczy arystokrata francuski odgrywał w Wiedniu rolę arbitra dobrego tonu i mimo swoich lat flirtował z młodymi, przystojnymi paniami. Piękna Polka zwróciła na siebie jego uwagę, podczas paru maskarad nadszkwikał jej według wszelkich zasad ancien régime'u, nic jednak nie skorzystał i musiał poprzestać na przyjaźni. Dla Katarzyny ta przyjaźń miała pewne znaczenie — poznała bowiem bliżej człowieka, którego nastawienie psychiczne było nieco podobne do jej własnego — i jeśli pewne formy swojego postępowania uważała jeszcze za niedostatecznie umotywowane, to obecnie znalazła ich sens w niefrasobliwych poglądach słynnego emigranta.

„Pałac książąt de Ligne — wspomina Anna Potocka — był wówczas ogniskiem, około którego się gromadzili wszyscy znakomici cudzoziemcy. Ubiegano się o zaszczyt, ażeby być tam przedstawionym. Sławny książę de Ligne, mający z górą siedemdziesiąt lat, był jeszcze jednym z najdowcipniejszych i najbłyskotliwszych gawędziarzy swego salonu, nieskończenie więcej zasługujący na uwagę ze względu na swoją rozmowę

niż na swoje dzieła. Pobłażliwy i dobry, przywiązywał wagę tylko do tego, co służyło do uprzyjemnienia życia, gdyż w dobrej wierze sądził, że przyszedł na świat wyłącznie po to, aby się bawić. Jeśli w swojej młodości ubiegał się o sławę, to jedynie dlatego, że obiecywała mu ona powodzenie, że czasem wygodniej jest napisać miłosny bilecik na liściu wawrzynu.

Posiadacz znacznego majątku, który roztrwonił na różne sposoby tak samo, jak i swoje życie, znosił ze stoicką wesołością niewygodę, na jakie skazała go rozrzutność. Jego skromne słomiane krzesła i jego barani udziec, nieśmiertelny kawałek sera, dostarczały mu sposobności do tysiąca dowcipnych żartów, bardzo dobrze przyjmowanych. Używał całej swej wymowy, aby dowieść, że wolno czasem przybierać zły ton, z warunkiem, żeby się nigdy nie miało złego smaku i dlatego uważał się uprawnionym do mówienia wszystkiego.“

Jako bardzo pojętna uczenica, Katarzyna wystrzeżała się złego smaku i nie tolerowała w swoim otoczeniu brzydkich rzeczy lub niewytwornych ludzi. Plotkarze wiedeńscy wymieniali nazwiska tych szczęśliwych, którzy podczas tego i następnych karnawałów umieli pozyskać jej względy. Wszyscy wybrani odznaczeni byli jakimiś zaletami i nie byli zwykłymi złotymi młodzieńcami — każdego z nich długo taksowała, nim pozwoliła zbliżyć się do siebie. Nie mniej troskliwie dobierała rzeczy: ubiory, meble i stołowe zastawy — przeciwko czemu nadaremnie protestował Ksawery. Wydatki jej bowiem zwiększały się z zastraszającą szybkością i gdyby nie pomoc ojca dawno musiałaby zrezygnować z arcy-wytwornej stopy życiowej. Gabriel Jaworski po urodzinach wnuka ofiarował córce parę majątków, czuła się więc zupełnie niezależna — a chociaż mąż błagał, aby się opamiętała, patrzyła na niego zdziwiona, że potrafi tak wiele mówić o takich błahostkach, jakimi

są wszelkie finansowe sprawy. Niekiedy próbowała z nim polemizować i z uroczą naiwnością powoływała się na księcia de Ligne, który uważał rozrzutność za podstawowy warunek szczęśliwego życia.

U P A D E K J Ó Z E F I N Y

Jedno lato Starzeńscy spędzili w Wenecji, inne w Szwajcarii — przy czym podróże te były dość przykre, przepełnione wzajemnymi kłótniami i licznymi nieporozumieniami. Jak wiele małżeństw, najbardziej się lubili, gdy byli od siebie oddaleni, ponieważ przebywając razem umiejętnie zatruwali sobie życie. Stroną atakującą był Ksawery, który ostatnio coraz bardziej krytykował żonę, ganił jej postępowanie, pomysły i przyzwyczajenia, zaczął ją nawet męczyć potwornymi scenami zazdrości. Czuł, że oddała się od niego — zamiast zdecydowanie działać: na nowo zdobywać lub więzić — tylko gderał i wypowiadał różne żale. Tymczasem Katarzyna miała wszelkie powody, aby być z niego niezadowoloną. Nigdy nie został jej kochankiem, chociaż jakiś czas bardzo tego pragnęła, zaledwie parę razy w roku zbliżał się do niej, a po tym pozostawiał samą. Sądziła, że to ją zwalnia od obowiązku dochowywania wierności małżeńskiej — i nie rozumiała jego pretensyj o tę sprawę. Złościła się, gdy wypominał jej wszystko, co zrobił dobrego dla niej — poważnie zamierzała go porzucić i jedynie dlatego, że większą część roku spędzała i tak z dala od niego, odkładała na razie realizację tego planu na przyszłość.

Wzruszało ją natomiast przywiązanie Ksawerego do syna Artura Pageta. Co prawda było to wyjątkowo miłe i ładne dziecko — ogromnie je kochała i nawet w pracowite dni wiedeńskiego karnawału umiała znaleźć czas, aby wpaść do dziecinnego pokoiku i nacieszyć się

rozkoszny malcem, którego ochrzczono jako Kazimierza. Imię nie stanowiło ostatniego krzyku mody, ale wybrano je spośród innych, ponieważ należało do bohater-skiej tradycji rodu Starzeńskich. Ksawery oczywiście sądził, że Kazimierz jest jego synem — Katarzyna nie widziała potrzeby prostowania tego poglądu, a nawet sama, ze zrozumiałych względów, twierdziła podobnie. Ale w głębi duszy cieszyła się: jej dziecko z pewnością nie odziedziczyło namiętności ichtiologicznych!

W 1809 roku małżonkowie zamierzali pojechać do Warszawy, lecz wybuchła wojna austriacko-francuska i musieli pozostać w Galicji. Katarzyna, po dłuższej przerwie, ponownie zainteresowała się polityką — naturalnie orientację francuską uważała za szkodliwą i podobnie jak wielu Polaków z Czartoryskimi na czele wierzyła w cesarza Aleksandra. Wkraczające do Galicji rosyjskie wojska społeczeństwo witało na ogół przychylnie, i w wielu dworach, a przede wszystkim w Łańcucie, gościnnie podejmowano carskich oficerów. Na jednym z balów u księżnej marszałkowej przedstawiono Starzeńskiej młodego generała-majora barona Teodora Karłowicza Korfa, który mówił tak pięknie po francusku, że początkowo nie mogła uwierzyć w jego rosyjskie pochodzenie. Rychło jednak ją przekonał, że w tym samym stopniu co Rosjaninem jest Niemcem, a ponieważ miał wiele sympatii dla Polski, Polaków i Polek — sam zaś był również bardzo sympatyczny — umówiła się z nim na randkę we Lwowie.

Generał po zawarciu pokoju pozostał w Galicji, gdyż otrzymał specjalną misję rozgraniczenia Rosji z Austrią. Katarzyna bardzo prędko opanowała go całkowiec i robiła z nim, co zechciała. Zahartowany w walkach żołnierz z pokorą spełniał jej rozkazy — kilka wiosek w Tarnopolskiem, należących do krewnych i znajomych rodziny Starzeńskich i Jaworskich, wspaniało-

myślnie ofiarował habsburskiej monarchii, chociaż powinien był przyłączyć je do Rosji. Męczyło go stale jedno pragnienie: chciał koniecznie zabić w pojedynku Ksawerego, aby móc poślubić wdowę. Nie mogła mu tego wyperswadować, obawiała się poważnie, że wreszcie uczyni coś nieodpowiedzialnego, zaczynał ją przy tym nudzić — dlatego nagle, bez pożegnania się z nim, wyjechała któregoś dnia ze Lwowa.

W tydzień później znajdowała się już w swoim ulubionym mieście: rozkosznym i czarownym Wiedniu. Karnawał 1810 roku, mimo przegranej wojny, był tak samo huczny i wesoły jak poprzednie — dopiero gdy zabawy znajdowały się w stadium największego natężenia, z zachodu nadeszła wieść okropna. Początkowo opowiadano ją jako dowcip, później jako plotkę, po oficjalnym zaś potwierdzeniu nie wszyscy jeszcze mogli w nią uwierzyć. W salonie hrabiny Lanckorońskiej dowiedziała się o tym wydarzeniu Anna Potocka i bardzo sugestywnie opisała wszystko, co przy tym widziała, we „Wspomnieniach“:

„Z wyjątkiem kilku Polaków zebranych w tym świetnym salonie, wszyscy zgromadzeni nie cierpieli Napoleona niesłychanie. Najgwałtowniejszym, a zarazem najniebezpieczniejszym jego wrogiem był bez zaprzeczenia Korsykanin, Karol Andrzej hr. Pozzo di Borgo, który sam jeden umiał lepiej mówić i nienawidzieć niż wszyscy Niemcy obecni przy tej rozprawie. Słuchaliśmy jego przepowiedni, gdy oznajmiono hrabiego Rozumowskiego, ambasadora Rosji.

Wszyscy pobiegliśmy na jego spotkanie i zarzuciliśmy go pytaniami. Wyraz jego twarzy nie dodawał otuchy, wydawał się wzburzony, brakło mu głosu. Dopiero po kilku chwilach milczenia mógł nas zawiadomić, że tajemniczy kurier, przyczyna obecnej trwogi, tylko o kilka godzin wyprzedził marszałka Berthiera,

którego misja nadzwyczajna miała na celu prośbę o rękę arcyksiężniczki Marii Ludwiki dla Napoleona.

Te szczegóły opowiedziane z gorączkowym gniewem musiały być prawdziwe. Można by powiedzieć, że piorun stał w proch jednostki, cisnące się około pana Rozumowskiego. Niebawem przyszła reakcja; po chwili milczącego osłupienia w całym salonie rozległ się jednogłośny krzyk oburzenia. Krzyczano na nieprzyzwoitość i poziomość związku, oddającego w moc najniegodziwszego przywłaszczyciela pierwszą księżniczkę w Europie.

Były tam tylko stłumione przekleństwa i łkania. Panie podostawały nerwowych ataków, panowie pozwalali sobie przejść stopniowo od oburzenia do wściekłości. Krzyczano, że nie można już spodziewać się sprawiedliwości na tym świecie. Kobiety mówiły, że potrzeba chyba opuścić Europę i osiedlić się w Ameryce. Najczulsze zapewniały, że młoda księżniczka tego nie przeżyje i że taka profanacja nie spełni się. Inne przypuszczały, że Napoleon oszaleje z radości i że niebo po to chyba dopuści do tego skandalu, ażeby z tym większej wyżyny zdruzgotać nowożytnego Nabuchodonozora.

Tylko jedna Polka, która bywała w salonie Lanckorońskiej i nie lubiła Napoleona — ucieszyła się z powodu jego matrymonialnych planów. Łatwo się domyśleć, że tą osobą była Katarzyna-Gabriela i że radość sprawił jej przede wszystkim upadek Józefiny. Proszę, co za sprawiedliwość dziejowa! Przed kilku laty francuska cesarzowa „zlikwidowała“ polską hrabinę, obecnie zaś sama została zlikwidowana.

N A R E S Z C I E S A M A!

Konflikty małżeńskie dojrzewają zwykle stopniowo i powoli, wybuchają jednak nagle, często niespodziewa-

nie i gwałtownie. Powodują je różne przyczyny — ale jedna staje się bezpośrednio decydująca — i nieraz drobne, niepozorne wydarzenie pociąga za sobą doniosłe, ogromne skutki. Hrabia Ludwik de Narbonne-Lara nie zajął żadnego miejsca w życiu Katarzyny, natomiast odegrał w nim dużą rolę. Stał się sprawcą rozejścia się Starzeńskicm, chociaż do Wiednia przybył w zupełnie innych zamiarach. Był jednym z wysłanników Napoleona na dwór austriacki, miał omawiać sprawy małżeńskie cesarza Francuzów, tymczasem mimo woli poróżnił żonę z mężem.

Arystokracja wiedeńska podejmowała go bardzo serdecznie, ceniła krew królewską, płynącą w jego żyłach, albowiem miał zaszczyt być jednym z wielu nieślubnych synów samego Ludwika XV. Ogólnie uważano, że niecny uzurpator bardzo zręcznie tym razem dobrał osobę ambasadora, gdyż zamiast jakiegoś wywyższonego parweniusza, przysłał wreszcie dobrze urodzonego i wychowanego na dworze wersalskim człowieka. W 1810 roku Ludwik de Narbonne miał 55 lat i stopień generała dywizji, ale już w roku 1791 zajmował — co prawda tylko przez 3 miesiące — stanowisko francuskiego ministra spraw wojskowych i otrzymał, anulowany później, tytuł marszałka. Jako esteta brzydził się niewygodami emigracji, do ojczyzny powrócił z Anglii zaraz po zamachu Napoleona, trzymany początkowo z dala od cesarskiego dworu, z czasem zaczął na nowo robić karierę. Miał wszelkie kwalifikacje na dobrego dyplomate: był szalenie wytworny, miły i uprzejmy, interesująco opowiadał znane plotki polityczne jako poufne zwierzenia oraz świetnie znał się na potrawach i trunkach. Lubił piękne kobiety — któż ich jednak nie lubi? Anna Potocka z dumą i rzekomym oburzeniem szczegółowo opisała, w jak perfidny sposób próbował ją uwieść w łazience w Monachium, gdy ona beztriosko

zażywała kąpieli. W związku z tym przedstawiła go potomności jako satyra, ponieważ uważała sama siebie za nimfę, lecz w obydwu wypadkach odbiegła od prawdy. Generał-ambasador mógł się podobać i podobał się kobietom, a mimo swoich lat nie narzekał jeszcze na brak powodzenia w miłości.

W Wiedniu główną kwaterę założył w salonach księcia de Ligne i tam głównie czarował miejscowe towarzystwo. Katarzyna była rewelacją, o jej względy dobijali się wszyscy mężczyźni, postanowił przeto również spróbować szczęścia. Znajomi rychło spostrzegli, że poświęca hrabinie sporo czasu i ustawicznie z nią się spotyka, niektórzy nawet zaczęli kolportować pogłoskę o ich romansie. Tymczasem „la belle Gabrielle“ traktowała królewskiego bastarda jako efektowne, ale tymczasowe tło, pokazywała się z nim, ponieważ była bardzo kobieca, a więc nieco próżna, lubiła go tylko jako modnego ambasadora — poza tym nic ją nie obchodził. Ktoś jednak naopowiadał niestworzonych rzeczy o tej znajomości Ksaweremu, który wyprowadzony z równowagi zrobił żonie jeszcze jedną scenę zazdrości. Jak każdy rozwścieczony flegmatyk, podczas kłótni stracił przytomność i zapominając o wytwornych formach obcowania niewytwornie i dotkliwie pobił niewinną w tym wypadku kobietę. Ciosy były o tyle bolesne, o ile niezasłużone i to doprowadziło ją do szału. Kazała swoim lokajom, którzy rekrutowali się z poddanych państwa ropczyckiego, aby wyrzucili męża z jej mieszkania. Ubrani w liberię dryblasi z wielką chęcią i nienaganną precyzją natychmiast ten rozkaz wykonali.

Nazajutrz opuściła Wiedeń, we Lwowie porozumiała się z adwokatami i wniosła do trybunału szlacheckiego pozew separacyjny. Sprawiedliwość chętnie zajęła się całą sprawą, rychło odseparowała ją od stołu i łoża, a nawet nakazała niedobremu małżonkowi pła-

cenie alimentów. Wypadki tedy ułożyły się pomyślnie, niczego nie żałowała, gdyż małżeństwo dawno jej ciążyło ze względu na chłód erotyczny, charakter i niedelikatne postępowanie Ksawerego. Nareszcie była sama—mogła wszystko robić bez obawy przykrej krytyki ze strony męża. Pojechała do ojca — przyjął ją z największą radością, ciągle bowiem marzył o tym, aby stale mieszkać z nią razem. Wszystko, co mu opowiedziała, zrozumiał, we wszystkim przyznał jej rację, pochwalił, obiecał najdalej idącą pomoc. Jego miłość do córki nie zmniejszyła się — był bardzo szczęśliwy, że znów może bezpośrednio się nią opiekować. Katarzyna potrzebowała tej opieki, ponieważ ponownie znajdowała się w poważnym stanie.

P R Z Y J A Ż Ń P O E T Y

W Górze Ropczyckiej przebywała kilka miesięcy, a po szczęśliwym porodzie w październiku 1810 roku, dość przykładowie zajęła się dziećmi. Syna oczywiście zabrała z sobą, stał się jej ulubieńcem i jego dominujące stanowisko nie zostało zachwiane nawet po przyjsciu na świat dziewczynki, którą nazwała Gabrielą. Ksawery był na chrzcinach swojej córki i jeśli sądził, że Katarzyna zechce powrócić do niego — to bardzo się omylił. Przywitała go wyniośle i oschle; zmaltretowany jej pogardą czym prędzej powrócił do ksiązek i akwariów. Chciał jednak wzbudzić zazdrość żony, toteż sprowadził ze Lwowa jakąś niebrzydką dziewczynę, którą demonstracyjnie zaczął przedstawiać sąsiadom jako swoją kochankę. Gdy to nic nie pomogło, zażądał zwrotu małego Kazimierza, lecz wtedy wkroczył w tę sprawę Gabriel Jaworski i stanowczo poradził zięciowi, aby się uspokoił. Ksawery ostatecznie przestał dokucać żonie i nie starał się więcej jej zobaczyć, tkwił

tylko w biernej opozycji: stanowczo nie zgadzał się na rozwód.

Katarzynie na razie nie zależało na rozwodzie, nie miała żadnych planów matrymonialnych, a nawet trwałszych zainteresowań. Denerwowała się poważnie z tego powodu. Czyżby się zestarzała i nie była zdolna do nowych miłosnych uniesień? Niedawno skończyła 28 lat—dużo jednak już przeżyła. Doznała wielu radości i rozczarowań, miała za sobą liczne pogodne i dramatyczne przejścia, spotkała sporo dobrych i złych ludzi, lecz to wszystko nie uczyniło jej starą. Nadal była bajecznie młoda — z biegiem lat nabrała tylko doświadczenia. Ostatnio czuła się zmęczona i to zniechęcało ją chwilowo do nowych podbojów. Mając dzięki temu więcej niż kiedykolwiek wolnego czasu kształciła się: czytała sprowadzone z Paryża najnowsze romanse i pisma poświęcone modzie. Pokażny komplet z kilku lat „Journal des Dames et des Modes“, który przechował się do naszych czasów w bibliotece w Górze Ropczyckiej, pozwala zapoznać się z doniosłymi problemami, zaprzatającymi wówczas jej wyobraźnię.

Zupełnie niespodziewanie wkroczyła do przedsiönka historii literatury jako chwilowa muza literata i pułkownika wojsk polskich Walentego Gurskiego. Starzejący się poeta mieszkał w swojej wiosce Szklary w Rzeszowskiem, od dawna przyjaźnił się z Gabrielem Jaworskim i z galanterią wysłużonego kombatanta nieszkodliwie nadskakiwał jego córce. Nie był to człowiek głupi, stworzył szereg sztuk teatralnych, wystawianych w Warszawie i Lwowie oraz napisał sporo utworów poetyckich, w których naśladował Kniaźnina i Karpińskiego. Brak oryginalnych cech w jego twórczości literackiej sprawił, że następne pokolenia o nim zupełnie zapomniały, chociaż w swoim czasie cieszył się nienajgorszą poczytnością. Lubił ofiarowywać wiersze Kata-

rzy nie prosząc, aby je skrytykowała. Spełniała chętnie jego życzenie i ustnie albo piśmiennie komunikowała mu swoje opinie. Wśród wielu utworów, które w ten sposób osądziła, szczególnie roztkliwił ją mały poemat zatytułowany „Grób Zofii“. Utwór rzeczywiście był rzewny, a w wydaniu książkowym pułkownik zaopatrzył go w specjalną uwagę, świadczącą o tym, że temat zaczerpnął z prawdziwego zdarzenia.

„W roku 1800 w Warszawie — napisał pięknie i kwieciście — panienska szesnastoletnia imieniem Zofia uwiedziona została słabością, wiekowi swojemu właściwą. Ujrzawszy się być potem zdradzoną i wszystkich nadziei wejścia z kochankiem swym w śluby małżeńskie pozbawioną, nie mogąc przeżyć swej hańby — sposobem trucizny życie sobie odebrała.“

Inne utwory dzielnego, chociaż nieznanego żołnierza, znamionował doskonały dowcip. Świetnie zwłaszcza zobrazował intelektualny i obyczajowy poziom Galicji w wierszu „O rewizji“:

Ściśle, podług rozkazów od rządu wydanych,
Wyszukując urzędnik dwóch ksiąg zakazanych,
Z których pierwszej był tytuł „Rozum“, a zaś wtórej
„Orleańska Dziewica“ — doniósł do cenzury
Że w całym pewnym kraju bez stanów różnicy
Nie wynalazł rozumu ani też dziewicy.

Autor trzymał się jeszcze doskonale, ale z właściwą ludziami tamtej epoki przesadą przeceniał swój wiek i chętnie podkreślał swoją rzekomą starość. Niczego nie chciał i nie spodziewał się od Katarzyny — twierdził, że wielkim szczęściem jest samo podziwianie jej doskonałej piękności. Napisał dla niej kiedyś milutki czterowiersz, w którym melancholijnie stwierdził, że miłość jest wyłącznym przywilejem młodości:

Płochę żądze, igraszki, letkości niewinne
Drogię są, choć się liczą w pustoty dziecinne.
Pieści nas po nich miłość, a gdy i ta przejdzie,
Żaden już kwiat tak wdzięczny staremu nie wszędzie.

Pocieszała go, jak mogła, ale przyjmował życzliwe słowa z niefrasobliwą rezygnacją, odpowiadał licznymi komplementami i aby jej nie nudzić, szedł na rozmowę o interesach do szambelana. Towarzystwo dwóch starszych panów zapewne byłoby wystarczająco miłe, gdyby zostało urozmaicone przez młodsze i inne. W umyśle Katarzyny powoli dojrzewały nowe postanowienia i w związku z tym zaczęła wprowadzać ojca w czynności wychowawcze. Jako główna niania małych dzieci, Gabriel Jaworski stanowił wcale nienajgorszy nabytek, a ponieważ był już stary i dość odporny na pokusy, lepiej mógł kierować młodymi pielęgniarkami wnuka i wnuczki niż ongiś bonami córki. Specjalnie zresztą nie przepadał za maleństwami, lubił je tylko jako dzieci ubóstwianej istoty, zajmował się zaś nimi chętnie dlatego, aby ona czuła się swobodna i mogła dowolnie rozporządzać czasem. Majątek jego był trochę nadszarpięty, ale wszelkie pieniądze w dalszym ciągu pozostawiał do jej dyspozycji. Po dłuższym namyśle Katarzyna zdecydowała się na podróż do Petersburga — błagał ją o to w listach generał Korf, który wciąż marzył o spotkaniu z cudną Polką.

A PANA MŁODEGO WCIĄŻ BRAK...

Poprzednio, podczas jednej z licznych bytności we Lwowie, poznała swoją daleką krewną Marię Jaworską, siedemnastoletnią, wysmukłą blondynkę — i bardzo ją polubiła za to, że była niezwykle miła. Rodzice wyswatali panienkę z hrabią Stanisławem Komarem z Podola rosyjskiego, przy czym ślub miał odbyć się w listo-

padzie 1811 roku. Nieznany pan młody i dobrze znana panna młoda serdecznie prosili szambelana i jego córkę o przybycie na wesele. Gabriel nie chciał jechać, pojechała natomiast Starzeńska obliczając, że do stolicy Rosji przybędzie drogą przez Kijów. We Lwowie spotkała się z oblubienicą i jej matką, dalszą podróż na Podole odbyły przeto wspólnie. Hrabina w karecie wtajemniczała naiwną i niewinną dziewczynę w upajające sekrety miłosne, z przyjemnością konstatuując, że w tej dziedzinie posiada olbrzymią wiedzę. Maria była wdzięczna za wszelkie wskazówki i w porywie czułości zaofiarowała jej swoją dozgonną przyjaźń. Kuzynki przy tym czule się uściśniły i ucałowały — wygodnie usadowione na poduszkach siedzenia, długo następnie rozmawiały o planach na najbliższą przyszłość. Plany były wspaniałe, lecz miały jedną wadę: nigdy nie zostały urzeczywistnione.

Stanisław Komar oczekiwał gości u bramy. Gdy witał kuzynkę narzeczonej, niespodziewanie zmieszał się i zadrzał pod jej wzrokiem. Młody podolski obywatel nie był zblazowany, nie przyzwyczał się do dam i nie wiedział, jak z nimi postępować, dotychczas bowiem przeważnie obcował tylko z ukraińskimi młodocianymi. Katarzyna onieśmiała go swoimi wielkopańskimi i zagranicznymi manierami, wydała się mu istotą tak dalece nieosiągalną, że godną największego pożądania i tak dalece fascynującą, że wymagającą wprost nadludzkiego uwielbienia. Stał przy niej zupełnie speszony, coś mówił i rumienił się, czuł swoją znikomość i małość, chociaż górował nad nią wzrostem przeszło o głowę. Podobne zachowanie się przyjęła jako największy komplement, spostrzegła, że podbiła go od razu: jeszcze dobrze jej nie znał, a już należał do niej. Łatwy tryumf odurzył ją i rozpromienił, lecz rychło przestraszyła się: Komar miał urok młodego niedźwiadka i zaczynał jej

się podobać. Chciała jednak zostawić go w spokoju i zachować swój spokój — stanowczo postanowiła naza jutrz wyjechać do Kijowa.

Ślub odbył się wieczorem. Młoda para powtórzyła w kościele za kapłanem słowa małżeńskiego przyrzeczenia, później zaś we dworze rozpoczął się wielki bal, na który przybyła bliższa i dalsza okolica. Katarzyna ciągle tańczyła ze Stanisławem, ośmielała go swoim uśmiechem, sprowokowany zaczął wreszcie mówić o tym, co myśli o niej. Upalna noc i sentymentalne melodie niektórych tańców wytworzyły zupełnie nieoczekiwany nastrój; w chwili szczerości, jaka zwykle ogarnia ludzi po wielu wypitych kielichach dobrego wina około północy, powiedziała mu, że jest miły i że Maria nie będzie umiała ocenić jego zalet. Z pewnością nigdy nie marzył o podobnie cudownej chwili — zupełnie zapomniał o żonie, mimo że zwracało to ogólną uwagę, nie odstępował od Katarzyny, ciągle ją prosił, zaklinał i błagał. Długo nie zgadzała się, w końcu osłabła i ustąpiła — ostatecznie żyła tylko raz i nie widziała powodu, dla którego miałyby się wyrzec szczęścia na rzecz kuzynki. Wesele osiągnęło wreszcie swój punkt kulminacyjny — zakochani od pierwszego spojrzenia skorzystali z tego, niepostrzeżenie wymknęli się z salonu i zniknęli w ciemnościach.

Biedna, mała Maria! Podczas ślubu i balu świat stracił dla niej wszelkie cechy realne, wydawał się jedynie zaczarowaną krainą cudownych wrażeń. Gwar wesela i wypite wino zupełnie ją oszołomiły, tancerze migali jej przed oczyma, nie wiedziała z kim rozmawia, nie spostrzegła nawet braku pana młodego, chociaż myślała o nim. Małżeństwo zawierała z rozsądku, ale w ostatniej chwili zakochała się — Stanisław wydał się jej księciem z bajki, ponieważ chciał poślubić takiego Kopciuszka jak ona. Nad ranem poszła do sypialni, sta-

rannie się umyła, włożyła długą, białą koszulę, z trwogą i radością czekała w obszernym łożu na przybycie swojego pana i władcy. Nie miała jeszcze nigdy kochanka, toteż przeżywała niezwykle emocjonujące chwile, wybiegała bowiem myślami naprzód, a jednocześnie przypominała wszelkie rady matki i kuzynki. Nikt jednak nie przyszedł do niej, zmęczona niespokojnie zasnęła, obudziła się dopiero około południa. Zadzwoiła wtedy na pokojówkę i zapytała o męża, ale nie otrzymała żadnej konkretnej odpowiedzi. Wtem do sypialni przyszła jej matka, usiadła przy niej i płacząc, w oględny sposób powiadomiła ją o wszystkim.

Stanisław w nocy wyjechał z Katarzyną. Przed odjazdem zostawił plenipotentowi szczegółowe wskazówki, jak ma zarządzać majątkiem; polecił część dochodów wypłacać żonie, a resztę przekazywać do pewnego wiedeńskiego banku. Nadaremnie Maria i jej matka szukały następnie zbiegów — zginęli bez wieści, skryli się tak doskonale, że nikt ich nigdzie nie widział, bankier zaś nie chciał podać adresu. Kobiety nie ustawały jednak w poszukiwaniach, jeździły po Galicji i Austrii, pisały na wszystkie strony — rezultaty były żadne. Początkowo płakały z upokorzenia, ponieważ nie mogły się zemścić, potem pogodziły się z losem. Minęło przeszło półtora roku od daty niefortunnego ślubu, gdy wreszcie ktoś im doniósł, że widziano szczęśliwych kochanków w Palermo na Sycylii.

W P U Ł A P C E

Z Podola kochankowie pojechali najpierw do Wiednia, a stamtąd — przez Wenecję i Rzym — do Neapolu. Szczęśliwi, zachwyceni sobą, spragnieni siebie i upojeni miłością, spędzili u stóp Wezuwiusza kilka bardzo przyjemnych miesięcy. Katarzyna знаła z Pa-

ryża Murata i jego żonę, otrzymała więc zaproszenie na dwór królewski i chętnie wzięła udział w licznych zabawach neapolitańskiego karnawału. Stanisław stale jej towarzyszył, a chociaż widział, że miała wielkie powodzenie u mężczyzn, nie był z tego powodu zazdrosny, lecz dumny. Jeszcze nie zupełnie dobrze orientował się w swoim szaleństwie, nie wiedział nawet, jak i dlaczego to wszystko się stało, kontentował się jedynie niewątpliwym faktem: ogólnie podziwiana, światowa dama należała do niego! Zapomniał o przeszłości i nie myślał o przyszłości, pragnął, aby czarująca chwila bieżąca nigdy się nie kończyła — mimo to czasem nawiedzało go groźne przeczucie, że wielkie szczęście nie potrwa długo.

Pierwsze przebudzenie z cudownego snu nastąpiło rzeczywiście dość prędko i było trochę kłopotliwe. Plenipotent na Podolu nie kwapił się z przesyłaniem pieniędzy, kochankowie lekkomyślnie wydali wszystko, co przywieźli z sobą; aby nadal dostatnio żyć, musieli zaciągać długi. Nie pomyśleli jednak o tym, że należałoby zredukować wydatki — wprawdzie Stanisław występował z podobnymi propozycjami, lecz Katarzyna nie chciała o nich słyszeć. Ciągle dbała o wystawną reprezentację, wierzyciele zaś tylko do pewnego czasu czekali cierpliwie, potem zaczęli nachodzić i grozić. Zanośiło się na to, że młoda para, mimo świetnych znajomości, zostanie osadzona w więzieniu dla niewypłacalnych dłużników i w ten sposób będzie poważnie skompromitowana. Jakiś czas jeszcze oboje pomyślnie lawirowali; w końcu znaleźli się w sytuacji, z której jedynym wyjściem była ucieczka. Zabrali przeto najpotrzebniejsze rzeczy, potajemnie wsiedli na mały rybacki okręt i odpłynęli — minimalnie zresztą zmartwieni niepowodzeniami — do Palermo.

Jakże szczęśliwi i zazdrości godni są ludzie, którzy

zdołali pozyskać przyjaźń Anglii! Stają się obywatelami świata, wszędzie czują się spokojnie i bezpiecznie, gdyż ochrania ich niezwyciężona brytyjska potęga. W tamtych czasach jedynie na ziemiach podlegających władzy Napoleona, owa opieka funkcjonowała dość kiepsko — jeśli w Neapolu Katarzyna musiała obawiać się zemsty wierzycieli, to w Palermo nic jej nie groziło. Sycylią rządził Ferdynand IV, który później awansował na Ferdynanda I, właściwie zaś władzę sprawowała jego żona Maria Karolina, naprawdę jednak o wszystkim stanowił poseł angielski, lord William Cavendish-Bentinck. Świetny dyplomata wiedział o przyjaźni polskiej hrabiny z lordem Pagetem i z Wielką Brytanią — gdy zwróciła się do niego z prośbą o pomoc, bardzo życzliwie i troskliwie zaopiekował się nią oraz jej towarzyszem. Mając tak potężnego protektora nie potrzebowała o nic się troszczyć, zwłaszcza że sprzedała znaczną część swojej wspaniałej biżuterii, a Stanisław niespodziewanie otrzymał większy przekaz. Po chwilowym wstrząsie i pewnych niewygodach powróciła do dawnego dostatku — na nowo zorganizowała życie tak, aby ją bawiło. Wciąż była zakochana i — co jest zdumiewające — wierna; uczynny poseł, który wcale nie uważał siebie za gorszego od Artura Pageta, przekonał się o tym niestety bardzo prędko. Piękna Gabriela nie przyjęła jego oferty, chociaż mogło to ją narazić na przykre konsekwencje. Wiedziała jednak, że ma do czynienia z dżentelmenem i nie omyliła się. Sycylijska gościnność stała się jeszcze bardziej serdeczna — niewątpliwie została nakazana przez wszechwładnego Anglika, nie wiadomo tylko czy ze względu na dawne zasługi Polki wobec jego kraju, czy też z powodu jej urody.

Kochankowie zamieszkali w zacisznej, białej willi, otoczonej ogromnym parkiem, często robili dalekie lądowe i morskie wycieczki, z czasem poznali całą wyspę.

Katarzyna nie nudziła się, jej życie miało stały radosny rytm, było pogodne, nie przeciążone kłopotami, wypełnione jedynie miłością i utrzymywaniem stosunków towarzyskich z miejscową arystokracją. Często bywała na dworze i zainteresowała się jako pewnego rodzaju osobliwością królową Sycylii, która zajmując się produkcją dzieci zdążyła urodzić 11 córek i 7 synów. Poważnie współczuła tej kobiecie — przerazał ją ogromnie podobny rekord płodności. Wprawdzie nieraz tęskniła za swoimi dziećmi, pozostawionymi w Górze Ropczyckiej, ale wcale nie pragnęła nowego potomstwa. Nie spodziewała się nawet, że będzie je miała, tymczasem przyroda zastawiła na nią swoją wieczną pułapkę. Rozkosz erotyczna jest tylko przynętą dla utrzymania i rozwoju ilościowego gatunku — piękna pani chętnie smakowała przynętę, a nie chciała spełniać kobiecego biologicznego obowiązku. Nie zawsze się to udaje — na początku lata 1813 roku spostrzegła, że znalazła się w pułapce — zapalała wtedy zupełnie niesłusznym żalem do Stanisława za chwilę nieuwagi.

Wielkie uczucie tak samo nagle się skończyło, jak powstało. Podczas jednego ze spacerów po pięknych ogrodach Monreale przyjrzała się Stanisławowi dokładnie, skonstatowała, że jest przystojnym mężczyzną i niczym więcej. Przebywał z nią prawie dwa lata, przez ten czas spoważniał, nauczył się wielu rzeczy, lecz zachował denerwujące poczucie swojej niższości. Jej miłość przyjmował bezkrytycznie, jak zrządzenie Opatrzności, niczego od niej nie wymagał, robił zaś wszystko, co mu kazała. Wielokrotnie nieśmiało proponował małżeństwo; początkowo wyraziła zgodę, później rozmyśliła się — przeprowadzenie od razu dwóch rozwodów stałoby się wielkim skandalem. Długo była zupełnie szczęśliwa — wreszcie zaczęła odczuwać pewien przesyt i znużenie. Nieubłagane psychologiczne

prawo stępienia uczuć działało: coraz mniej Ignęta do kochanka, coraz bardziej dziwiła się, że wyjechała z nim za granicę. Nieraz tęskniła za jakimś mocniejszym, brutalnym porywem miłości z jego strony — gdyby zdobyła się na coś podobnego, możliwe że zapałałaby do niego ponownie. Był jednak wciąż szalenie i monotonnie w niej zakochany — kiedy zaś przekonała się o swoim stanie — nie mogła opanować niezadowolenia i postanowiła z nim zerwać. Stanisław myślał, że dziecko połączy ich na zawsze, z tą nadzieją wracał do kraju, chociaż towarzysząca mu Katarzyna dobrze wiedziała, że raczej na zawsze ich rozdzieli.

K Ł O P O T Y O J C O S T W A

Jak przystało na solidnego ojca, Gabriel Jaworski na wiadomość o wyjeździe córki z kochankiem ogromnie się oburzył. Wkrótce jednak poważnie zaniepokoił się, gdyż nie było od niej i o niej żadnej wiadomości, wreszcie dowiedział się, że przebywa w Palermo, zaczął więc listownie ją błagać, aby powróciła i obiecywał zupełne przebaczenie. Sprawiała mu sporo kłopotów — po jej wyjeździe z kraju zaczęły się do niego zgłaszać całe tłumy wierzycieli, od których pożyczła pieniądze we Lwowie i Wiedniu. Okazało się, że bardzo chętnie korzystała z kredytu, z bezgraniczną łatwością podpisywała najprzeróżniejsze zobowiązania, zdobyte zaś pieniądze z właściwą kobietom umiejętnością wydawała prędko i niepotrzebnie. Ksawery nie chciał płacić tych długów, musiał to uczynić Gabriel, który ze smutkiem obserwował zmniejszanie się swojej ogromnej fortuny. Sprzedał jeszcze jeden folwark, wykupił wszelkie podpisane przez Katarzynę obligi, gdy zaś przybyła do niego zmęczona i chora, przyjął ją najczulej, ciesząc się ogromnie z powrotu marnotrawnej córki.

W listopadzie powiła dziewczynkę, Ksawerego zaś powiadomiła o zwiększeniu się ich rodziny. Bardzo go to zdziwiło — żony nie widział prawie trzy lata, w żaden więc sposób nie mógł przyznać się do nowego ojcostwa. Wzburzony przybył do Góry Ropczyckiej — Katarzyna poznała wtedy wszelkie niedogodności małżeństwa z przyrodnikiem, ponieważ niczego mu nie zdołała wytłumaczyć, natomiast musiała wysłuchać jego narzekania i wymyślenia. Ichtiolog szalał, groził największym skandalem, obiecał wnieść protest przeciwko zapisaniu w metryce nowonarodzonej dziewczynki jako Julii Starzeńskiej. Dopiero stary Gabriel zdołał go uspokoić zrzekając się w imieniu córki alimentów. Ze względu na znaczne odciążenie budżetu mężowi opłacało się przebaczyć żonie, ostatecznie to uczynił, zastrzegł się jedynie przeciwko podobnym niespodziankom w przyszłości.

Przygnębiona Katarzyna nie odpowiadała na listy Komara, który wreszcie się do niej zniechęcił; niespodziewanie pogodził się z żoną i zajął się zaniedbanym gospodarstwem. Przygnębienie hrabiny nie trwało znowuż zbyt długo, wkrótce opanowała ponownie ojca do tego stopnia, że zgodził się na jej wyjazd do Wiednia. Po upływie paru miesięcy wróciła stamtąd zapłakana i przestraszona, próbowała popełnić samobójstwo tak, aby się nie zabić, a jego przerazić. Bez utyskiwań zapłacił jej nowe długi, ale nadal była bezgranicznie smutna. Dopiero po dłuższej zwłoce wyjawiała mu tajemnicę: zapomniała się podczas karnawału, przyroda zaś ponownie skwapliwie to wykorzystwała.

Znaczna część dam tamtej epoki liczne potomstwo zawdzięczała głównie pragnieniu zmysłowego użycia. Kobiety goniące za rozkoszą mają obecnie sporo sposobów uniknięcia niepożądanego macierzyństwa — ich poprzedniczki tych sposobów nie miały. Oczywiście ra-

dziły sobie, jak mogły, nie zawsze jednak pomyślnie, ostatecznie rezygnowały z ostrożności, rodziły corocznie, a na stare lata — po wygaśnięciu namiętności — stawały się wzorowymi matronami. Katarzyna nie chciała i nie mogła wyrzec się miłości — dlatego musiała płacić haracz przyrodzie. Za każdym porodem przeżywała nie tylko fizyczny, lecz również ogromny wstrząs psychiczny, przejmowała się swoim stanem, przyrzekała, że więcej do czegoś podobnego nie dopuści — po rozwiązaniu i wyzdrowieniu dziwnie łatwo zapominała o przykrych przejściach. Tym razem — ze względu na męża — sytuacja była szczególnie poważna. Uradziła z ojcem, że zatają jej ciążę przed ludźmi i że poród odbędzie się w ukryciu.

Drugi syn Katarzyny, Gabriel Adam, naturalnie nie został Starzeńskim, uprzejmy proboszcz wypisał mu bowiem w metryce fikcyjnych rodziców: Antoniego Jaworskiego i Joannę Bedalle oraz fikcyjną datę urodzin. W ten sposób przyczynił się do zmartwień heraldyków, którzy w swoich pracach nie mogli później dociec, skąd wziął się nowy przedstawiciel dobrze im znanej rodziny. Szambelan zaś przedstawił znajomym nowego wnuka jako sierotę po dalekim krewnym, uznał go za przybranego syna i wziął do siebie. Następnie czując, że zbliża się do kresu życia, sporządził testament. Cały majątek zapisał Katarzynie oraz ustanowił legaty: jeden dla Leopoldyny Natal - Jaworskiej, swojej nieślubnej córki, drugi dla Gabriela Adama. Z Krystyną Natal, ładną i miłą guwernantką, żył kilka lat, ale się z nią nie ożenił nawet po przyjsciu na świat dziewczyny, której był ojcem. Zaślepiony w miłości do starszej córki, nie lubił młodszej i nieprawej — niemniej jednak zapewnił jej przyzwoity posag. Zabezpieczył tedy wszystkich swoich najbliższych, lecz bardzo się mylił sądząc, że reszta jego dni upłynie spokojnie.

Książę de Ligne umarł w grudniu 1814 roku.

— Kongres wyczerpał już wszelkie zabawy — oświadczył beztrząsco przed zgonem — aby się nie znudził, sprawię mu świetne widowisko: pogrzeb feldmarszałka.

Szybko powracająca do zdrowia Katarzyna nie wzięła udziału w tym niemal historycznym pogrzebie — była wtedy w Galicji — ale zdążyła przybyć do Wiednia na ostatnie miesiące kongresowego szaleństwa. Po wielu latach niewidzenia spotkała się na jakimś balu z Eugeniuszem de Beauharnais i przekonała się, że jej uczucia do niego zdecydowanie należą do przeszłości. Były wicekról Italii zabiegał u przedstawicieli mocarstw o nagrodę za odstępstwo Napoleona, w postaci jakiegoś niepodległego państewka na Półwyspie Apenińskim; „la belle Gabrielle“, chociaż nie lubiła zdetronizowanego cesarza, nie pochwaliła postępowania jego pasierba. Jeszcze raz w życiu poważnie zainteresowała się polityką, ponieważ było to w modzie — nadaremnie świetny kawalerzysta i wnuk księżnej marszałkowej, Wacław Rzewuski, późniejszy emir Tadż-el-Faher, próbował ją bałamucić, zdecydowanie wolała przebywać w towarzystwie lorda Castlereagha, szefa brytyjskiej delegacji. Możliwe że znów by doszło do bardzo przyjemnego zbliżenia polsko-angielskiego, lecz lord w lutym musiał wyjechać z Wiednia — hrabina przestała wobec tego politykować, a tylko wiele tańczyła. Do Góry Ropczyckiej powróciła zupełnie zadowolona — kongresowy karnawał zbyt jej nie zaimponował, ale był wystarczająco urozmaicony.

Następne dwa lata spędziła u ojca — zajmowała się dziećmi, odwiedzała znajomych, statecznie flirtowała i dyskretnie romansowała. Często bywała na stałych ba-

lach niedzielnych u Magdaleny Morskiej w Zarzeczcu i na balach sobotnich w Przeworsku u... Henryka Lubomirskiego, swojego dawnego amanta, a obecnego małżonka Teresy Czartoryskiej. Mimo licznych połogów wcale nie zbrzydła, jedynie nieco przytyła, poza tym była piękna jak dawniej. Gabriel Jaworski najbardziej nie lubił jej wycieczek do Wiednia — na próżno protestował i nie dawał na nie pieniędzy, każdej zimy musiała tam jechać, każdego zaś lata musiał płacić zaciągnięte przez nią długi. Z tego powodu znajdował się w stanie wiecznego przygnębienia, czuł bowiem, że jego wola nic nie znaczy i że córka zawsze zrobi, co zechce. W 1817 roku sprawiła mu jednak bardzo przyjemną niespodziankę: zrezygnowała z podróży do stolicy Austrii i postanowiła odtąd spędzać karnawał we Lwowie.

Na decyzję tę wcale nie wpłynęły względy materialne. Niedawno umarła księżna marszałkowa, większość znajomych hrabiny opuściła Wiedeń i salony, które najchętniej odwiedzała, zostały zlikwidowane. Tymczasem do Lwowa ciągnęło ją przecucie nowej przygody. Od najmłodszych lat lubiła teatr, uczęszczała na wszelkie przedstawienia, ostatnio nie opuszczała żadnej premiery w stołecznym mieście nad Pełtwią. Zauważyła przy tym, że bardzo jej się podoba postać Hamleta w „Hamlecie“, króla Leara w „Królu Learze“ i Fiesca w „Fiescu“ — dopiero z czasem przyznała się sama przed sobą, że frapuje ją głównie grający te role aktor.

Antoni Benza początkowo studiował filozofię, potem wstąpił do teatru, a od 1810 roku stale grał na scenie lwowskiej ciesząc się sławą nieporównanego tragika. Ówczesni krytycy bardzo go cenili i chwalili — kobiety zaś zachwycały się jego wysokim wzrostem, podłużną przystojną twarzą, pewną postawą i doniosłym głosem. Był idealnym aktorem do ról dramatycznych, kiepskim literatem i ponoć świetnym — jak szeptały so-

bie na ucho panie lwowskie — kochankiem. Ożenił się z panną Różańską, kuzynką Józefa Korzeniowskiego, autora „Kollokacji“ — pożycie ich było na ogół szczęśliwe, chociaż oboje nie umieli zwalczać pokus. Benzą zresztą nigdy nie próbował tego czynić, miłość uważał za przyjemną rozrywkę, poważnie bowiem traktował jedynie sztukę. Gdy poznał Katarzynę, zmienił nieco swoje zapatrywania, posługując się całą aktorską techniką zaczął ją uwodzić, lecz nie spostrzegł się, że sam został przez nią uwiedziony.

Wartość życia najprawdopodobniej tkwi w jego przemijaniu i elastyczności. Wydarzenia bolesne i radosne, które spotykają człowieka, z czasem nikną w przeszłości, ich miejsce zajmują inne, odczute jako nowe i świeże, chociażby były takie same. Wielkie ciosy, jeśli nie łamią życia zupełnie, to zazwyczaj tylko je wyginają — Katarzyna po wszystkich przejściach jedynie trochę się zmieniła i nadal z dawnym entuzjazmem szukała miłości. We Lwowie nawiązała stosunki towarzyskie ze światem literackim i artystycznym, pragnęła otworzyć salon, w którym przedstawiciele arystokracji mogliby się spotykać z ludźmi zajmującymi się sztuką. Wobec ogromnej kołtunerii wyższych sfer, podobne usiłowania skazane były z góry na niepowodzenie, zwłaszcza że literatura wówczas w Galicji prawie nie istniała, malarstwem nikt się nie zajmował, a aktorek i aktorów nie wypadało przyjmować w porządnym towarzystwie. Romans hrabiny nie wywołałby z pewnością tak wielkiego rozgłosu, gdyby nie przebywała demonstracyjnie w środowisku kochanka. „Często bawiła się razem z aktorem Benzą we Lwowie — wypomina Ksawery Prek — a nawet z innymi aktorami i aktorkami, którzy jej stale składali wizyty“. Opinia publiczna do tychczas chętnie wybaczała hrabinie wszelkie ekstrawagancje, obecnie zaś została poważnie zaniepokojona jej

prowadzeniem się. Alarmujące wieści dotarły naturalnie do Góry Ropczyckiej i Gabriel Jaworski polecił swojemu pełnomocnikowi we Lwowie, niejakiemu Tomaszowi Uznańskiemu, aby czuwał nad jego córką i przesyłał mu szczegółowe relacje o jej życiu. Pełnomocnik nie był zbyt zachwycony swoją nową rolą, uwielbiał bowiem Katarzynę i nie chciał jej szkodzić. Całą zimę milczał, a dopiero w końcu marca 1818 roku, na usilne naleganie szefa, przysłał mu obszerny list, w którym zalecał zachowanie spokoju wobec zaszłych wydarzeń. Jak wynika z listu, Tomasz Uznański był nie pełnomocnikiem, lecz mędrce.

Jaśnie Wielmożny Mój Hrabio Dobrodzieju!

Listy i dukatów pięćdziesiąt na poparcie interesu odebrałem, te jednak nie pierwszej wypłacę, aż dekret wręczony mi będzie.

Co do żądanego opisu zabaw J. W. Córki Pańskiej, o tych jakie byli chyba domowi wiedzieć mogą — zresztą wiadomość ta zdaje się być bez użytku — zwyczajnie ludzie podług miary krewkości błędzą. Cała wina J. W. Córki jest, że trochę więcej jak potrzeba ma skłonność do romansów — stąd wynika chęć do nieumiarkowanych deponsów — i tak długi naturalnie porobić się musieli. Że romans był z Benzą, choć cały Lwów krzyczy, nic nie ma nadzwyczajnego. Mogła królowa szwedzka Chrystyna w swoim koniuszym Monaldeszim w roku 1657 szalenie się zakochać, dlaczegóż by nie wolno było w roku 1817 Pani Hrabinie w Benzie kochać się? Ot, kochania różnego rodzaju byli przed nami i będą po nas. Lepiej jednak Pani Hrabina swoją miłość skończyła jako królowa Chrystyna — bo Hrabina wyjechała tylko przy rozlaniu łożów, nie ode-

brawszy życia Benzowi, a Chrystyna rozstając się z Monaldeszim pierwiej kazała mu łeb uciąć.

Patrz więc J. W. Pan, że miłość i koronowane i niekoronowane zawraca głowy. Nie ma się więc czym tak bardzo martwić, aby Boginia miłości, nie rozgniewawszy się na Pana, nie zapaliła mu serca do Pani Benzowej, żony pięknego aktora.

Co do Pani Harmiszerowej, to mówiła, że listem J. W. Pana do Córki swojej pisany, którym jej przysłanie tysiąca dukatów zaręczyłeś, do pożyczki pobudzoną była. Że konie i kocz przedane, to prawda, bo kupił je kupiec Hartman.

To jednak wszystko nie powinno Pana tak bardzo zgryzać, gdyż można na to sposób znaleźć — dobry ogrodnik widząc, że dziewczko jego degeneruje się, nie ścina je — ani się sam zabija — lecz je przesadzi, podłoży pod nie dobrą ziemię i oczyści z gałęzi. Ja pewny jestem, że za przybyciem Pańskim rzeczy te załatwią się.

Całuję nogi, zawsze szczerzy i najniższy sługa
Uznański.

31 marca, Lwów.

W ciągu zimy Katarzyna rzeczywiście wydała bardzo dużo i zaciągnęła wielkie zobowiązania, bała się przeto wracać do ojca. Gdy wreszcie dowiedziała się, że Benza oprócz niej odwiedza również dyskretnie pewną księżnę — zerwała z nim i nie chciała słuchać tłumaczeń, że tylko ją kocha, zdradza zaś jedynie ze względów towarzyskich. Ostatecznie postanowiła pojechać do Warszawy, a na koszt wyjazdu zaciągnęła jeszcze jedną pożyczkę. Gabriel nie taił swojego oburzenia pisząc list do Uznańskiego:

List Pański z 31 marca odebrałem będąc słabym. Fatalny opis romansu córki mojej, pomnożył

słabość moją, cisnął mnie w łóżko. Cóż może być dla uczucia ojca najsroźszego, jak wiadomość o zdrożnych postępkach dziecka! Stara się Pan uczynić mnie filozofem na ten wypadek, z którego skazanie jej sławy i nadwyręzenie majątku jasno widzę, ale łacniej filozofować tam, gdzie interes serca nie zachodzi, gdzie majątek nierozsądnym i szalonym sposobem nie rozprasza się; ale postaw się Pan w miejscu moim, doświadczyj to co ja, wtenczas filozofia zgaśnie, a porównanie wypadków głów koronowanych uznasz za niestosowne, jedynie tak jak i ja westchniesz, że nie było przyjaciół, aby wcześniej zaradzić, mnie ojca ostrzec i o długach uwiadomić.

Kobieta w wieku lat 36, robiąca bez rozumu romanse, wystawiająca siebie na wstyd świata, na wytykanie palcami, jest chyba szalona, jeśli nie dba o strapione i skrwawione serce ojcowskie. Co może ojciec, który o jej dostateczne potrzeby stara się, jak tylko pomyśleć, że nie warta być córką jego... Zgoła chciałbym tej tragedii widzieć koniec i skutki — abym wcześniej tu przysposobił się i nie cały ciężar tego romansu, za przybyciem moim, przywitał mnie we Lwowie — bo widzę, że mnie czeka ten okropny moment usłyszenia tego, co tajono przede mną...

W następnym liście Gabriel użył wyrazów bardzo mocnych:

Ta łajdaczka pojechała do Warszawy, zapewne robi długi, jak robiła w Wiedniu... Ja ręczę, że ona teraz pozaciągała pożyczki w Warszawie, jeżeli mogła. — Już ją nie mam za moją córkę, ale za nieprzyjaciela mego, a jej dzieci za biedne sieroty...

Cóż jednak zrobił? Wyrzekł się córki, zerwał z nią

na zawsze, czy przestał zupełnie interesować się jej sprawami? Nic podobnego. Po upływie paru miesięcy wysłał do Warszawy Pawła Majewskiego, komisarza państwa ropczyckiego, aby zapłacił długi Katarzyny, nakłonił ją do powrotu i przywiózł do niego.

P O W R Ó T

Do Warszawy Katarzyna przyjechała w drugiej połowie marca, wynajęła luksusowe mieszkanie i zaczęła składać wizyty. Dużo osób przeniosło się po 1815 roku z Wiednia do stolicy Królestwa Kongresowego — nie mogła więc uskarżać się na brak znajomości. Często bywała u Zamoyskich, a nawet zaprzyjaźniła się z ordynatową, która chętnie wprowadzała ją w snobistyczny świat nadwiślańskiej arystokracji. Zofia Zamoyska, córka „Sybilli z Puław“ — Izabelli Czartoryskiej, dawniej nie lubiła pięknej Gabrieli — sama bowiem słynęła z niepospolitej urody, uważała ją przeto za niebezpieczną rywalkę. Obecnie wszelkie nieporozumienia zostały zapomniane, obydwie panie chętnie spotykały się i omawiały różne przyjemne wspomnienia z ubiegłych lat, zwłaszcza że łączyło je pewnego rodzaju powinowactwo: jedna romansowała z Alfredem Potockim, druga przeżyła niemniej rozkoszne chwile z jego bratem — Arturem. Podobne pogawędki trwały nieraz dość długo, ale nie tyle, aby zabrakło czasu na inne uciechy towarzyskiego życia, których w ówczesnej Warszawie nie brakowało. Uciekinierka ze Lwowa nie nudziła się ani przez chwilę i byłaby zupełnie szczęśliwa, gdyby miała więcej pieniędzy i nie obawiała się powrotu do rozgniewanego ojca.

Przewidywania Gabriela, że będzie znów zaciągała długi, sprawdziły się w zupełności. Ciekawe relacje w tej sprawie zawierają raporty Pawła Majewskiego,

który przyjechał do Warszawy w połowie lipca i zaczął regulować zobowiązania hrabiny. Zapłacił najpierw wszystkim dostawcom, następnie uregulował zaległe komorne za czas od dnia 23 marca do 27 lipca w wysokości 1424 guldenów, wreszcie udał się do ogólnie znanego i cenionego lichwiarza Lewka Abramowicza. Katarzyna bowiem sprzedała temu businessmanowi swoją wspaniałą karetę za nędzną sumę 124 dukatów w złocie, pod warunkiem, że może ją w ciągu miesiąca odkupić za cenę o 26 dukatów większą. Energiczny komisarz państwa ropczyckiego zdołał jednak wytargować pojazd znacznie taniej i wraz z córką pryncypała 3 sierpnia opuścił stolicę królestwa, w kilka zaś dni później przybył szczęśliwie do Góry Ropczyckiej.

Gabriel leżał chory. Był bardzo sterany życiem, zmęczony i stary: niedawno skończył 75 lat. Kiedy Katarzyna uklękła obok jego łóżka, nie powiedział ani słowa, lecz zapłakał. Krzyki, wymyślenia i narzekania wcale jej nie przejmowały, natomiast wzruszyły ją najgłębiej łzy nieszczęśliwego ojca. W wielkim porywie skruchy przyrzekła poprawę, przysięgła, że uczyni wszystko, co on zechce. Wtedy zaczął mówić o swojej bliskiej śmierci i wypowiadał się z największej troski, która nie dawała mu spokoju. Obawiał się, że po jego zgonie Katarzyna pozostanie sama — bezradna, niezorientowana w sprawach majątkowych, nie potrafi utrzymać i wychować czworga dzieci. Błagał ją, aby pogodziła się z mężem — pisał w tej sprawie do niego i otrzymał odpowiedź przychylną. Nie mogła odmówić, zgodziła się na wszystko, przejęła dobrocią i troskliwością konającego ojca.

Gasł coraz bardziej — czasem, gdy czuł się lepiej, z całą energią porządkował interesy oraz starał się o zabezpieczenie swojego przyszłego życia w lepszym świecie. Dobra ropczyckie obciążył wieczystą fun-

dacją na rzecz miejscowego kościoła, aby przez wszystkie lata — co miesiąc — była odprawiana msza żałobna za jego duszę. Katarzyna zmieniła się zupełnie: z bezgranicznym poświęceniem pielęgnowała ojca, nie odstępowała od niego, sprowadzała najlepszych lekarzy. Nic nie pomogło. Dnia 28 października 1818 roku szambelan króla Stanisława Augusta i kawaler orderu św. Stanisława wydał ostatnie tchnienie.

Najczęściej nie uczucia, lecz interesy łączą ludzi — uczucia dopiero rozdzielają. Ksawery ostatnio znacznie się postarzał, mniej już interesował się rybami, przestał się nawet cieszyć godnością szambelana, którą przed paru laty, po długich staraniach, otrzymał od cesarza Franciszka I. Ogarniała go natomiast żądza bogactwa, sam był tylko zamożnym obywatelem ziemskim, marzył więc o licznych dobrach teścia. Tym bardziej nic nie ciągnęło Katarzyny do niego, możliwe że nie pogodziłaby się z nim i złamała dane ojcu przyrzeczenie, gdyby czuła się zdolna do zarządzania odziedziczonym majątkiem. Wszelkie sprawy gospodarskie były jednak dla niej zupełnie obce — z przyjemnością przeto powierzyła je mężowi. Na nowo złączył ich interes — we Lwowie spisali specjalną umowę, znoszącą separację i określającą obowiązki obydwu stron w dalszym pożyciu małżeńskim:

Gdy Jaśnie Wielmożni Państwo Ksawery hrabia Starzeński i Katarzyna z hrabiów Jaworskich hrabina Starzeńska, małżonkowie, od sądowej separacji od stołu i łoża przez sąd szlachecki lwowski pod dniem 1 Juny 1810 roku zaaprobowanej odstępując, do prawa i obowiązków małżeńskich powracają, zatem między sobą z tej okazji w przytomności uproszonych świadków następującą zgodę i układ zawierają:

I. Wszelkie nieporozumienia, które ich rozłączenie małżeńskie spowodowały, umarzają na zawsze oddając je wiecznemu zapomnieniu, a odnawiając swój związek małżeński utwierdzają go węzłem wiecznej przyjaźni, zapewniając sobie obopólny szacunek, wierność, delikatne wzajemne traktowanie, zachowanie obowiązków małżeńskich i wspólny pobyt, czyli pomieszkanie.

II. Wskutek tej zgody mocnym staje się J. W. Ksawery hr. Starzeński jako mąż wszystkie dobra Starostwa Ropczyckiego i dobra Orzechowce w posiadanie swe objąć, niemi i intratami z nich podług swych najlepszych widoków, bez dania komukolwiek kalkulacji, rządzić i wszelkimi interesami żony swej J. W. Katarzyny Starzeńskiej decydować.

III. Ponieważ zaś dobra te tak długami J. W. Gabriela hr. Jaworskiego, jak i długami J. W. Katarzyny hr. Starzeńskiej obciążone są, a pobieranie intrat do J. W. Ksawerego Starzeńskiego od dnia dzisiejszego należeć będzie, zatem przyjmuje J. W. Ksawery hr. Starzeński na siebie obowiązek spłacenia tych długów. Oprócz tego bierze na siebie obowiązek utrzymywania J. W. Katarzyny Starzeńskiej, małżonki, stosownego jej stanowi, na które oprócz edukacji dzieci, utrzymania całego domu, stołu, ekwipażu, usłużenia, które z intrat ogólnych zastępować będzie, obliguje się corocznie osiemset czerwonych złotych holenderskich kwartalnie z góry do rąk J. W. Małżonki Katarzyny Starzeńskiej po dwieście dukatów hol. wpłacać.

IV. Ponieważ zaś opłata długu jak i zastłonienie dóbr i J. W. Małżonki od egzekucji w obowiązek J. W. Ksawerego hr. Starzeńskiego przechodzi, zatem mocnym będzie J. W. hr. Starzeński spłacając te długi cesję ich na siebie nabywać i deportata ta-

kowe na dobrach hipotekę stanowiących na siebie intabulować. Deportata te jednak dopóki J. W. Małżonkowie żyć będą egzekwowanymi być nie mogą bez woli i zezwolenia obojga Małżonków.

V. J. W. Katarzyna hr. Starzeńska mając sobie za najpryncypalniejszy cel uszczęśliwienia swych dzieci z J. W. Ksawerym Starzeńskim spółzonych lub spółdzić się mogących, wyrzeka się skłonności do zaciągania długów na całe życie.

VI. Gdyby wbrew wszelkiemu spodziewaniu rozejście się ponowne Małżonków nastąpiło, na ten czas J. W. Katarzyna Starzeńska do posiadania dóbr niniejszym układem objętych powróci, a J. W. Ksawery hr. Starzeński bez sprzeciwu całe Starostwo Ropczyckie J. W. Małżonce odda, zachowując sobie jednak w posiadaniu Orzechowce z prawem pobierania z nich intrat aż do śmierci, na satysfakcję procentów od deportatów zrobić się mogących.

VII. Na przypadek swojej śmierci zapisuje J. W. Katarzyna Starzeńska dożywocie na całym swoim majątku J. W. Ksaweremu Starzeńskiemu, a nawzajem na przypadek śmierci J. W. Ksaweremu Starzeńskiemu J. W. Katarzyna Starzeńska będzie intraty z majątku J. W. Małżonka do końca najdłuższego życia pobierać.

Ugodę ze wszystkimi w niej wyrażonymi kondycjami strony obydwie godzące się akceptują, intabulować pozwalają, podpisami własnymi przy wycięściu pieczęci stwierdzają.

Działo się we Lwowie dnia 28 grudnia 1818.

Ksawery hrabia Starzeński.
Katarzyna z hrabiów Jaworskich
hrabina Starzeńska.

Przytomny, od obu stron uproszony przyjaciel
i świadek, podpisuje się

Tomasz Uznański.

Piękna Gabriela podpisała umowę chętnie — była zadowolona, że pozbyła się kłopotów zarządzania majątkiem i przeświadczona, że nadal będzie mogła robić, co zechce. Wstrząsnął nią jedynie powrót z Warszawy do ojca — natomiast powrót do męża traktowała jako epizod bez większego znaczenia w swoim życiu. Tego samego dnia, kiedy w pierwszym paragrafie umowy przyrzekła wierność małżeńską, spotkała się z Benzą. Aktor tęsknił za nią, a gdy dowiedział się, że przyjechała do Lwowa, tak długo zadręczał ją bilecikami, aż wreszcie zgodziła się przyjść na randkę.

MAŁŻEŃSKIE NIEPOROZUMIENIA

Ksawery bardzo energicznie zabrał się do administrowania zadłużonymi majątkami, lecz wnet się przekonał, że nie zdoła prędko doprowadzić do porządku wszystkich interesów. W ostatnich latach życia Gabriel gospodarował bez żadnego budżetu i planu, na pokrycie długów córki zaciągał pożyczki u lichwiarzy, sam wydawał bardzo dużo, pokaźne zaś kwoty wypłacał kilku swoim dawnym kochankom. Otaczał się przy tym niesumiennymi plenipotentami i nie umiał ich odpowiednio kontrolować — w rezultacie okradano go bez żadnych skrupułów. Energiczny ichtiolog zmienił personel, wprowadził daleko idące oszczędności, zamierzał w ciągu paru lat przeprowadzić całkowitą sanację państwa ropczyckiego. Katarzyna była z tego powodu bardzo ucieszona, wiedziała o rozpaczliwej sytuacji swojego dziedzictwa, toteż w pierwszych miesiącach po zniesieniu separacji traktowała męża delikatnie i uprzejmie jako niezastąpionego administratora. Ksawery również początkowo był dla niej bardzo miły, zależało mu

bowiem na zarządzaniu jej fortuną, dopiero później zaczął występować z pretensjami o dotychczasowe niewłaściwe wychowanie syna.

Kazimierz rósł i chował się w domu dziadka, opiekowali się zaś nim nie zawsze odpowiednio dobierani nauczyciele. Katarzyna bardzo go kochała, lecz zajęta sobą, przebywająca przeważnie w odległych miastach, nie mogła poświęcić mu wiele czasu. Dorastający chłopiec nikogo nie słuchał, stale grymasił i nic nie umiał, ponieważ niczego się nie uczył. Mając 11 lat zaczął podglądać dworskie dziewuchy, a w rok później wybrał się którejs nocy do ich sypialni. Przepędzony stamtąd sromotnie, udał się ze skargą do matki, która jego porażką przejęła się bardziej od niego samego. Któraż to nędznica ośmieliła się odmówić jaśnie hrabiczowi? Do śledztwa jednak nie doszło i winowajczyni pozostała niewykryta, gdyż o wszystkim niepotrzebnie dowiedział się Ksawery. Najpierw sprawił porządne lanie swemu rzekomemu synowi, następnie wysłał go do szkoły we Lwowie. Zamiast łązić za dziewczuchami, Kazimierz musiał odrabiać lekcje, pilnowany przez srogiego pedagoga, u którego został umieszczony na stancji.

To wszystko nie bardzo podobało się Katarzynie; ostatecznie po licznych sprzeczkach przyznała mężowi prawo do stanowienia o losie syna — zastrzegając, że sama pokieruje córkami. Ksawery bardzo polubił obie dziewczynki i chętnie zapominał o tym, że jedna z nich z pewnością nie jest jego dzieckiem. Małą Julię we wszystkich papierach podpisywał jako przez siebie „spłodzoną“ i miał dla niej bardzo wiele uczucia. Małżonkowie na razie nie zbliżali się do siebie i sypiali osobno — tak zdecydowała żona, gdy tymczasem mąż miał zupełnie inne pragnienia. Stale bowiem widział obok siebie cudownie ponętną kobietę i niespodziewane, od lat niedoznawane pożądania zaczęły naraz mącić jego

spokój. Atakowana kobieta długo była nieustępliwa, w końcu jednak wspaniałomyślnie uległa wiedząc, że ochroni się w ten sposób przed mężowską natarczywością na dobre kilka miesięcy. Pragnęła również zwiększyć swoją władzę nad nim, ponieważ ciągle sprzeciwiał się jej w różnych drobiazgach — i aby przekonać go o swojej bezinteresowności, w czerwcu 1820 roku zrzekła się zagwarantowanej umową pensji rocznej. Krok ten zresztą nie był zbyt ryzykowny, wspomniana suma i tak jej nie wystarczała — spodziewała się, że zacznie dostawać znacznie więcej, jeżeli granice apanaży nie będą ściśle określone.

Nadzieja niestety nie spełniła się. Ksawery już nie kochał żony — i tylko rzadkie nawroty pożądania sprawiały, że starał się czasem o jej względy. Gdy odchodził od niej zaspokojony, nienawidził jej, tak jak dawniej, za wszelkie rzeczywiste i urojone krzywdy, jakie mu wyrządziła, a głównie za to, że nadal go frapowała. Zaczynał wtedy się mścić, umyślnie jej dokuczał i — co było najboleśniej — odmawiał pieniędzy tłumacząc się wielkimi wydatkami na pokrycie długów. Im więcej czasu upływało od połączenia się małżonków, tym bardziej pogarszały się ich stosunki i owe delikatne traktowanie, zastrzeżone w umowie, nie mogło doczekać się zrealizowania w życiu. Katarzyna wreszcie przekonała się, że stosowana przez nią taktyka jest błędna. Przestała myśleć nad sposobami opanowania męża i o mężu — na świecie było przecież tylu mężczyzn, z których każdy chętnie by obronił ją przed tyranem i otoczył opieką.

P O D Z N A K I E M T R Ó J K ą T A

Po śmierci ojca dość długo przebywała na wsi, nie jeździła do Lwowa, ponieważ nie chciała się spotykać

z Benzą, lecz przyjmowała u siebie i odwiedzała sąsiadów. W listopadzie 1820 roku złożyła wizytę w Nozdrzcu państwu Prekom, których znała od wielu lat. Przybyła do nich z córeczkami i zatrzymała się na kilka dni — z dala od domu czuła się świetnie, otoczona miłymi ludźmi odpoczywała po ostatnich małżeńskich nieporozumieniach. Dużo rozmawiała z Amelią Prekową, która zwierzała się jej ze swoich kłopotów. Młodszy syn właścicielki Nozdrzca, Ksawery, był od urodzenia głuchoniemy i biedna matka widziała w tym karę za to, że zamiast z mężem poczęła go w tajemnicy przed wszystkimi z pewnym uroczym hrabią Mierem. Nieszczęśliwego chłopca wychowywała zresztą z bezgranicznym poświęceniem i zapewniła mu nienajgorsze wykształcenie. Bardzo życzliwie zaopiekowali się nim później Czartoryscy z Sieniawy — i dzięki temu, gdy dorósł, poznał prawie całą galicyjską arystokrację. Amelia rozmawiając z Katarzyną z pewnością nie przypuszczała, że jej upośledzony przez przyrodę syn w przyszłości odda wielką przysługę historykom — pozostawił bowiem obszerny pamiętnik, w którym z fotograficzną dokładnością opisał wielu współczesnych sobie ludzi, chociaż nie zawsze mógł — skazany na obce relacje — obiektywnie ich scharakteryzować.

Hrabina jednak wolała starszego syna Prekowej, Stanisława, który wprawdzie był mniej wykształcony i utalentowany od głuchoniemego brata, lecz odznaczał się wysokim wzrostem, piękną postawą i niespokojnym temperamentem. Jako piętnastoletni chłopiec, wstąpił do armii Księstwa Warszawskiego, następnie odbył kampanię 1812 roku, został ranny w plecy i w randze kapitana powrócił do domu. Ojciec dał mu folwark, którym dość niedbale zarządzał, ponieważ sporo czasu zajmowały mu polowania, zabawy w sąsiedztwie, pijatyki i pojedynki. Przyjechał odwiedzić rodziców i zastał u nich

Starzeńską — miał tego samego dnia wracać do siebie, ale pozostał na dłużej. Piękna dama od razu opanowała całkowicie jego wyobraźnię, towarzyszył jej, gdy wracała do Góry Ropczyckiej, później zaś ciągle starał się z nią spotkać. Nie odmawiała mu tej przyjemności — sądziła bowiem, że jest tym mężczyzną, którego ostatnio potrzebowała i za którym tęskniła.

Rychło przekonała się o swojej pomyłce, wcale jednak nie żałowała tego, co się stało. Stanisław był porywczy, trudny do prowadzenia i młodszy od niej o 11 lat, nie mogła liczyć na żadną opiekę z jego strony, lecz sama musiała się nim opiekować. Czuwała zwłaszcza nad tym, aby ich romans nie skończył się prędko — zbliżała się do czterdziestki, a więc osiągnęła ten wiek, w którym kobieta nie porzuca lekkomyślnie kochankę, natomiast stara się go jak najdłużej przy sobie zatrzymać. Nie obawiała się jeszcze konkurencji młodych dziewczyn — zachowała twarz piękną i pozbawioną zmarszczek — bujnie, ale bez przesady rozwinięte ciało sprawiało, że wyglądała bardzo majestatycznie i kusząco, nieznaczną zaś ociążałość ruchów przyczyniała się do osobliwego, zmysłowego wdzięku jej całej postaci. Osiągnęła niemal ideał klasycznej urody: twarz dwudziestoletniej i sylwetkę czterdziestoletniej kobiety — i to było najmocniejszym węzłem, trzymającym przy niej w ciągu paru lat Stanisława. Kochał ją nieprzytomnie, bezgranicznie i irracjonalnie, gotów był wszystko uczynić, byle by zgodziła się zostać jego żoną. Musiała stale go uspokajać, wszystko przyrzekać, a ostateczną decyzję odkładać na przyszłość. Odwzajemniała mu się równie tkliwym i namiętym uczuciem, lecz nie zapomniała, że jest ubogim szlachcicem i że łącząc się z nim oficjalnie, musiałaby zrezygnować z dotychczasowej pozycji towarzyskiej i tytułu. Odgadywał przyczyny jej postępowania, robił wymówki, parę razy

nawet z nią zrywał, zaraz jednak stęskniony powracał. Z czasem zdołała go przekonać, że tak jak jest — jest najlepiej i ustabilizowała romans w ramach zwykłego trójkąta małżeńskiego. Nie obawiała się już skutków miłości, ponieważ po ostatnim porodzie lekarze zawyrokowali, że nie może więcej mieć dzieci. Była przeto zupełnie szczęśliwa, zwłaszcza że nie dostrzegała dziwnego zachowania się męża.

Ksawery bowiem wiedział o wszystkim, lecz miał pewne powody, aby udawać, że o niczym nie wie. Chętnie dokuczał żonie, nie chciał jednak z nią się rozstać, ponieważ zamierzał całkowicie opanować jej majątek. Korzystając z nieograniczonych plenipotencji, wszelkie długi, które spłacał, przepisywał na swoje nazwisko i w ten sposób stawał się generalnym wierzycielem państwa ropczyckiego. Katarzyna nie zwracała na to uwagi — od chwili poznania Stanisława przestała interesować się mężem i przejmować się jego szykanami. Nie prosiła go nawet o pieniądze, przyjmowała tyle, ile dawał, a brakujące kwoty pożyczala od kogo się tylko dało. Najważniejszymi wydarzeniami w jej życiu stały się spotkania z kochankiem. Umawiała się z nim zwykle w Krakowie, nieraz zaś pokryjomu odwiedzała jego mieszkanie na wsi. Gdy Ksawery udawał się na inspekcję majątków, przebierała się po męsku i konno, w towarzystwie wiernego służącego, śpieszyła do Stanisława. Nazywano ją dawniej hajduczką — obecnie również zasługiwała na to miano — daleka droga jej nie męczyła, do domu powracała znużona jedynie cudownymi, upajającymi miłosnymi nocami. Czuli się świetnie w atmosferze tajemniczości, jaka otacza każdą miłość pod znakiem trójkąta małżeńskiego — i ku swemu wielkiemu zdumieniu wcale nie pragnęła zmiany kochanka, chociaż minęła druga rocznica rozpoczęcia romansu.

Niespodziewanie, na początku 1823 roku, Ksawery postanowił rozbić trójkąt. Czuł, że pozycja jego jest bardzo mocna, zapragnął więc całkowicie podporządkować pod swoją władzę żonę. Zabronił jej gdziekolwiek wyjeżdżać, a gdy kilkakrotnie nie usłuchała zakazu, po dłuższej awanturze, poprosił ją o opuszczenie domu. Podobna bezczelność mocno zdziwiła hrabinę, oboje bowiem mieszkali w jej pałacu — rychło dowiedziała się jednak, że jest ogromnie zadłużona u męża i że całe dziedzictwo po szambelanie właściwie należy do niego. Chciała powtórzyć manewr sprzed lat, ale lokaje tym razem nie usłuchali rozkazu pani, ponieważ obawiali się pana — i nie wyrzucili za drzwi Ksawerego. Wobec tego, ogromnie wzburzona, opuściła z córkami Górę Ropczycką zapowiadając okrutną zemstę.

Bezlitosny mąż rzeczywiście znalazł się wkrótce w poważnych opałach. Najpierw przyjechał Stanisław, wyzwał go na pojedynek i solidnie posiekał. Jeszcze nie wyleczył się z ran, gdy dowiedział się, że Katarzyna wniosła do trybunału szlacheckiego w Tarnowie pozew separacyjny wraz z prośbą o przyznanie alimentów oraz wytoczyła mu proces o sporność zarządu majątkiem. Przypuszczał, że upokorzy się i będzie błagała o przebaczenie — tymczasem nastąpiła na niego zawadiackiego amanta i skierowała sprawę do sądu.

K O C H A N A K U N E G U N D A

Po opuszczeniu Góry Ropczyckiej Katarzyna pojechała do klasztoru Panien Benedyktynek w Staniątkach, aby zobaczyć najserdeczniejszą przyjaciółkę i powiernicę — przełożoną Katarzynę Duval. Na piersiach dawnej nauczycielki wyplakała wszystkie żale, następnie poprosiła ją o dobrą radę. Pragnęła bowiem rozwieść się z mężem i poślubić kapitana Stanisława Preka —

powiadomiła go już listownie o swojej decyzji, ale jeszcze nie była zupełnie zdecydowana. Mądra zakonnica nie pochwaliła tego projektu; trochę niedelikatnie, natomiast bardzo serdecznie i szczerze zwróciła uwagę na to, że znaczna różnica lat między kochankami może doprowadzić w przyszłości do najprzeróżniejszych przykrych powikłań. Radziła stanowczo, ażeby hrabina — chociażby ze względu na dzieci — pogodziła się z mężem po uprzednim wytargowaniu najlepszych warunków dalszego wspólnego z nim pożycia. Obydwie zastanawiały się nad tym, czyjego pośrednictwa użyć w tej sprawie i początkowo nie mogły znaleźć nikogo odpowiedniego. Pewnego dnia jednak przełożona miała natchnienie. Stanowczo niepotrzebnie się martwią — przecież pertraktować z Ksawerym powinna tylko jego siostra. Starzeńska od razu przyznała przyjaciółce rację. Rzeczywiście — miła, pocziwa i kochana Kunegunda byłaby najlepszą sojuszniczką.

Ze Staniątek „la belle Gabrielle“ pojechała do Dębna pod Tarnowem, zamieszkała w zamku u państwa Spławskich i stamtąd kierowała akcją, mającą na celu poskromienie męża. Kunegunda Spławska nie lubiła brata, natomiast uwielbiała bratową, zapewniła jej wszelką pomoc i opiekę, okazała tyle serdeczności, ile może okazać kobieta, która również przeżyła liczne małżeńskie tragedie. Obecnie była zupełnie szczęśliwa, lecz dawniejsze bolesne przejścia przyczyniły się do tego, że doskonale rozumiała motywy postępowania Katarzyny. Miała załédwie 13 lat, gdy jej matka, pani regimentarzowa Starzeńska, wydała ją za mąż za starego i opastego pana Wykowskiego herbu Jastrzębiec, który posiadał liczne wioski w Sanockiem. Mała, ładna, nierozwinięta i nierozbudzona jeszcze dziewczyna nadaremnie błagała o zmiłowanie i odroczenie daty ślubu.

Nawet krewni i znajomi uważali jej zamęcie za przedwczesne, ale nikt nie zważał na ich opinie.

— To nie jest ważne, że tak wcześnie idzie do ołtarza — chętnie wyjaśniała wszystkim swoje postanowienie troskliwa matka — jedynie ważne jest to, że dzięki temu nie będzie się puszczą jako panna.

Argument ten przekonał wielu — i ostatecznie Kunegunda w swoim uporze została zupełnie osamotniona. Wreszcie zgodziła się na małżeństwo za cenę różnych wspaniałych prezentów, gdy jednak ubrano ją w ślubną suknię, nie chciała jechać do kościoła. Wówczas Ksawery włożył do karety jej ulubioną lalkę — pokusa była zbyt silna: uległa i zajęła miejsce w pojeździe obok sędziwego pana młodego. Zaślubiny i wesele potraktowała jako nową zabawę, lecz w nocy długo się broniła przed zalotami małżonka. Przekupił ją cukierkami, specjalnie sprowadzoną z Wiednia lalką i obietnicą kupienia jeszcze jednej — w dziewięć zaś miesięcy później, po ogromnych cierpieniach, urodziła syna, przy czym lekarze bardzo się dziwili, że wytrzymała poród i nie umarła. Odtąd bawiła się własnymi dziećmi, które w ciągu trzech lat co roku przychodziły na świat, bardzo prędko dojrzała i uświadomiła sobie całą zbrodnię, dokonaną na niej przez matkę i męża. Zapałała wtedy nienawiścią do Ksawerego, który jeden miał wpływ na panią regimentarżową, ale nie obronił siostry. Z czasem oczywiście zaczęła zdradzać męża bez zastanowienia i umiaru, tak jakby chciała zemścić się na nim za to, że uwiódł ją niedotrzymaną obietnicą kupienia nowej lalki. Na szczęście spotkała dzielnego człowieka, którego pokochała — przestała romansować, rozwiodła się z panem Wykowskim i powtórnie wyszła za mąż z miłości.

Jan Chryzostom Splawski był oficerem armii napoleońskiej, po skończonej wojaczce i ślubie wziął się do

pracy na roli — miał swój spory majątek ziemski, ponadto dzierżawił dobra Dębno od rodziny Rudnickich, umiejętnie gospodarował i systematycznie powiększał fortunę. Piękną szwagierkę przyjął bardzo uprzejmie, chętnie pożyczył jej dużą sumę pieniędzy na bieżące wydatki i koszty sądowe, a sam zaofiarował się jako bezinteresowny doradca. W trójkę uradzili, że trzeba ustawicznie straszyć i nękać procesami Ksawerego, dokuczać mu ile tylko, można, aby stał się bardziej ustępliwy i pierwszy zaproponował pokojowe pertraktacje. Pani Spławska nie lubiła zastoju i miała ciągłe pragnienie dokonywania jakichś czynności — obecna rola zaczęła ją przeto pasjonować, chętnie zgodziła się pośredniczyć pomiędzy zwaśnionymi małżonkami, na razie zaś sama wyszukała w Krakowie adwokatów, którzy w imieniu Katarzyny zaczęli wносить do sądu skargi na jej brata.

Piękna Gabriela nie wiedziała, że życie zaczyna się po czterdziestce — jedynie niejasno przeczuwała, że się kończy. Po pierwszych tygodniach ożywionej działalności wpadła w bezgraniczną apatię. Kunegunda sama musiała planować rozmaite strategiczne posunięcia, Katarzyna przestała się nimi interesować — myślała o Stanisławie, ponieważ nie chciała, lecz musiała z niego zrezygnować. Przyjechał za nią do Dębna, zadowolony i dumny, że na pierwszą skargę w jej liście wyzwał Ksawerego na pojedynek. Oczekiwał dawno upragnionej nagrody: jej ręki — wszystko bowiem już od niej dostał, do szczęścia brakowało mu tylko ślubu. Spotkało go rozczarowanie — ukochana z dziwnym uporem, mimo niedawnych obietnic, nie zgadzała się na małżeństwo przytaczając argumenty tak dalece nieprzekonywujące, że zaczął podejrzewać ją o jakąś specjalną grę. Nie była to jednak gra, ale rezygnacja — hrabina dobrze pamiętała powiedzenie panny Duval: „Pamiętaj, co za

para będzie z was za lat dziesięć“. Czuła ciężar swego wieku w porównaniu z latami amanta i podziwiała ogrom jego miłości, która pozwalała mu wierzyć w promienną przyszłość, gdy tymczasem jej ta przyszłość wydawała się mroczna. Chwilami gotowa była ze wszystkiego zrezygnować, byle by przebywać z nim stale, ale głos rozsądku ostrzegał ją, że podobna ofiara nie zmieniłaby ich losu. Niemal plastycznie wyobrażała sobie wspólne pożycie ze Stanisławem za lat kilka: starsza pani obok młodego jeszcze mężczyzny — lękała się, że wtedy na pewno odejdzie od niej lub będzie się męczył, jeśli tego nie uczyni. Zbyt wiele miała dla niego uczucia, aby chciała mu kiedyś zawadzać — nie myślała jednak o rozstaniu: dopóki była ponętna pragnęła zatrzymać go jako kochanka.

Nieobliczalny Stanisław Prek nie zastosował się do jej życzeń. Postawił ultimatum: ślub albo rozstanie. Był bowiem dość ambitny, imponował mu oficjalny związek ze słynną kobietą, lecz stałe zwodzenie bardzo go denerwowało. Z właściwym zakochanym mężczyznom optymizmem nie widział żadnych przeszkód w ich złączeniu — argumenty Katarzyny, a nawet ów najważniejszy: różnica lat, wydawały mu się naciągnięte, nieszczerze i błędne. W jednym tylko miał rację: sytuacja była wyjątkowo pomyślna, opinia publiczna ogólnie potępiała Ksawerego jako głównego sprawcę niezgody — rozwód Starzeńskich nie raziłby obecnie nikogo. Kochankowie często się sprzeczali, w końcu zaczęli się kłócić, wzajemnie oskarżali się o egoizm i rozgniewani, pewnego pięknego dnia, rozstali się na zawsze. Gdy Stanisław odjechał, Katarzyna długo płakała — poniosła dla niego wielką ofiarę, której on nie zrozumiał i nie ocenił. Dowiadywała się następnie, co się z nim dzieje. Okazało się, że jeździł od dworu do dworu i pił z dawnymi towarzyszami broni.

Później widziano go w knajpach lwowskich z jakimiś dziewczkami. Napisała do niego, aby wrócił, obiecała przemyśleć na nowo całą sprawę, ale nie odpisała, urażony z powodu zawiedzionej ambicji, rozczarowany w swojej wierze w jej uczucia. Zrozumiała, że stał się falą, która bezpowrotnie odpłynęła — nie wiedziała zaś, czy kiedykolwiek nadpłynie jeszcze tak samo ogromna, ogarniająca ją całą — nowa fala.

Strategia nie zawiodła: po paru miesiącach Ksawery wysłał do żony parlamentariuszów, wkrótce potem przyjechała do niego Kunegunda i szczegółowo omówiła warunki kapitulacji. W październiku 1823 roku Katarzyna wróciła do Góry Ropczyckiej i w obecności świadków zawarła z mężem parę umów. Na ogół utrzymany został układ z roku 1818, który w nowej stylizacji nie zawierał już warunku zachowania wierności, jedynie w punkcie drugim głosił, że: „Oboje J. W. Małżonkowie zaręczają sobie małżeńską przyjaźń, obopólny szacunek i delikatne traktowanie“. Ponadto Ksawery osobnym pismem zagwarantował żonie dostatnie utrzymanie, dłuższy pobyt co roku w Krakowie lub Lwowie podczas karnawału oraz możliwość wyjazdu za granicę do wód latem, wyraźnie zaś zobowiązał się, że będzie jej wypłacał większą pensję, jeśli nie zechce z nim mieszkać. Katarzyna oczywiście wycofała z sądu wszystkie skargi, musiała jednak podpisać osobną deklarację, w której bardzo stanowczo, śmiało i nieodwołalnie — jeszcze raz — wyrzekła się prawa zaciągania długów. Dokument ten jest ciekawy nie tylko ze względu na wyrażone w nim szlachetne tendencje skruszonej rozrzutnicy, ale również dlatego, że Ksawery uznał przy tej okazji ponownie wszystkie dzieci swojej żony za swoje. Na pięknym K. K. Staempel Papier w cenie 10 guldenów hrabina podpisała następujący wyrok:

DEKLARACJA

Niżej podpisana Katarzyna z hrabiów Jaworskich hrabina Starzeńska w przytomności zaufanych przyjaciół i świadków zeznając: ...układ z dnia 28 grudnia 1818 potwierdzam i jawnie, i uroczyście oświadczam, iż oddawszy całkiem zarządzenie majątku mego J. W. Ksaweremu hrabi Starzeńskiemu, od dnia dzisiejszego żadnego zapisu nie zeznam — żadnego długu nie zaciągnę, i układu z nikim na świecie nie zrobię — uwiadamiając o tym wszech wobec i każdego z osobna, iż żadnego interesu bez zezwolenia i przytomności męża mego ważnie zawrzeć nie mogę i każdy czyn od dnia dzisiejszego przeze mnie samą działany za żaden i nieważny poczytany być ma. Deklarację tę z najdojrzalszą uwagą uczynioną na rzecz i korzyść dzieci moich, na całym majątku moim, a mianowicie Góry i Ropczyce z przyległościami tudzież Orzechowce z przyległościami intabulować pozwalam i przez sądowe edykta, do powszechnej wiadomości podaną mieć chcę.

Dan w Górze dnia 22 października 1823.

Katarzyna z hrabiów Jaworskich
hrabina Starzeńska.

Tę deklarację J. W. Katarzyny z hrabiów Jaworskich hrabiny Starzeńskiej jako mąż i ojciec dzieci z nią spłodzonych, w imieniu małoletnich: Kazimierza — syna i Gabrieli i Julii — córek Starzeńskich, akceptuję.

Ksawery hrabia Starzeński.

Jako przytomni świadkowie podpisują się:

Jan Lubieniecki.

Józef Zajączkowski.

Na Boże Narodzenie do Starzeńskich przyjechali Spławscy, aby odwiedzić pogodzone małżeństwo i odebrać pożyczone w swoim czasie Katarzynie pieniądze. Ksawery ociągał się, ale zapłacił — następnie przez całe święta demonstracyjnie nie odzywał się do żony. Nie przejmowała się jednak tym zbyt i stale przebywała z kochaną szwagierką — podczas pewnej kolacji obie solidnie podpity i później w sypialni rozmawiały zupełnie szczerze. Czy Katarzyna wie, dlaczego Kunegunda tak gorliwie starała się złączyć ją z mężem? Katarzyna dobrze nie wiedziała. Wówczas pani Spławska zwierzyła się: od dawna miała pewność, że brat jest w pożyciu małżeńskim bardzo nieszczęśliwy — niech więc męczy się dalej przy żonie!

W E S O Ł E M I A S T E C Z K O

Potem nadeszły lata, które przesłoniły wszelkie dawne nieporozumienia, przyniosły zaś nowe — życie znów weszło na stałe tory, nie zawsze może najlepsze, ale dosyć wygodne. Ksawery starzał się ogromnie szybko i coraz więcej rzeczy traciło dla niego wartość — ogarniał go wielki spokój, stawał się niemal mędrcom, ponieważ mógł beznamiętnie myśleć o najważniejszych sprawach. Żądza bogactwa przetransformowała się u niego w troskę o dostatek następnego pokolenia — już nic nie pragnął dla siebie, pracował jedynie dla dzieci. Energia jego osłabła, w gospodarowaniu chętnie wyręczał się administratorami, znaczną część dnia spędzał w bibliotece, studiował dzieła filozoficzne i rozmyślał. Czy Katarzyna była kobietą fatalną? Po raz pierwszy zaczął dostrzegać błędy, jakie popełniał w stosunku do niej od chwili ślubu. Nie była ani zła, ani fatalna, tylko inna niż on — należało jej dopomóc w zbliżeniu się do niego, jednak nie uczynił tego — niestety, zamiast ra-

cyjonalnie, zawsze kochał ją emocjonalnie. Pod wpływem podobnych refleksji łagodniał, coraz mniej dokuczał żonie, jedynie litował się nad nią. Niech się bawi — rychło przeminą resztki jej młodości, nadejdzie starość, będzie wtedy miała wiele czasu, aby pomyśleć o tragizmie kończącego się życia.

Podobne poważne i ponure rozmyślenia na razie nie zadreęczały Katarzyny — starała się swoje przekwitanie, w miarę możliwości, jak najbardziej uprzyjemnić, zajęta zaś różnymi chwilowymi emocjami nie dostrzegła przemiany, która zaczęła zachodzić u męża po ich ponownym pogodzeniu się. Jego filozoficzną wyrozumiałość przyjmowała jako coś jej należnego i odpowiednio korzystała z większej swobody. Kłopotów z dziećmi nie miała żadnych. Kazimierz wstąpił do szkoły wojskowej i wkrótce spodziewał się awansu na c. k. oficera. Gabriel Adam kształcił się w Lwowie — Ksawery specjalnie się nim interesował, gdyż sądził, że jest on nieślubnym synem jego zmarłego teścia. Obie córki Katarzyna umieściła w klasztornej szkole w Staniątkach; tam pod życzliwą opieką przełożonej Duval miały otrzymać wzorową edukację i przebywać aż do zamążpójścia. Hrabina bowiem wiedziała z własnego doświadczenia, jakie pokusy czyhają na młode panienki, wychowywała je przeto bardzo rygorystycznie i surowo, nie chciała, aby poszły jej drogą — wciąż drżała o ich cnotę. Ostatecznie uplanowała, że gdy tylko nieco podrosną, wyswata obydwie i bezpośrednio z klasztoru zaprowadzi do oczekujących przed ołtarzem oblubieńców. Postępowała zresztą zgodnie z duchem epoki — w owych czasach płocze i lekkomyślne matki zazwyczaj doskonale wychowywały córki, umiały je uchronić i przestrzec przed tymi błędami, które same popełniały w młodości.

Kraków, po kongresie wiedeńskim stolica niepodle-

głej Rzeczypospolitej, w latach 1820—1830 był bardzo wesołym i przyjemnym miasteczkiem. Arystokracja i szlachta z zaboru austriackiego chętnie odwiedzały miasto, które kusilo przybyszów z prowincji mnogością zabaw i wszelkich uciech. W pałacu „Pod Baranami” szalał były adiutant księcia Józefa — Artur Potocki, bez wytchnienia organizujący zabawy nie tylko dla ludzi swojej sfery, lecz także dla mieszczan. Nawet, gdy przebywał w Wiedniu, dbał o to, aby jego znajomi dobrze się bawili i listownie, jak stwierdza w swoich „Pamiętnikach” Sabina z Gostkowskich Grzegorzewska, aranżował wystawne przyjęcia:

„Ze zwyczajną sobie oryginalnością, połączoną ze staropolską hojnością, Artur Potocki, który póki mieszkał w Krakowie nieustannie bawił krakowian, umyślił im dać bal w ciągu pewnej zimy, gdy go tam nie było. Listem datowanym z Wiednia, gdzie zimować był zmuszony dla kuracji, uprosił brata Alfreda, będącego w Krakowie z żoną, aby w jego imieniu dał bal w apartamentach na pierwszym piętrze w pałacu dawniej zwanym „Pod Baranami”. Na biletach zapraszających wylitografowano „Alfredowie Potoccy, w imieniu Arturów Potockich mają zaszczyt itd.”. Poczciwi krakowianie, równie przepadający za życiem towarzyskim i zabawami, jak ceniący drogie swojego miasta pamiątki, chętnie zgromadzali się na te zaprosiny, gdzie ich z całą przyjmowano serdecznością.”

W Krakowie zamieszkali również Henrykostwo Lubomirscy — bale zaś wydawane przez nich należały do najświetniejszych. Inne arystokratyczne domy starały się dorównać tym dwom magnackim rodzinom w urozmaiceniu życia towarzyskiego — tańce, maskarady, reduty, kuligi w zimie i pikniki w lecie następowały bez przerwy po sobie — nic przeto dziwnego, że Katarzyna coraz częściej przyjeżdżała do stolicy Rzeczypospolitej

i przebywała w niej coraz dłużej. Wieczorami na balach wyglądała nadal bardzo powabnie i wielu młodych chłopców durzyło się w niej bezgranicznie. W tym okresie pełno było w jej życiu przelotnych miłostek, przypadkowych spotkań i nagłych rozstań — wyżywała się jak mogła, używała tak, jakby czuła rychły kres możliwości, ale czasem, gdy nie mogła zatrzymać amanta na dłużej, ogarniał ją lęk — stawało się to pierwszym ostrzeżeniem zbliżającej się starości. Starła się zwykle nie myśleć o swoim wieku, sama wmawiała w siebie, że wciąż jeszcze ogromnie fascynuje mężczyzn, chociaż krąg wielbicieli ciągle się zmniejszał. Ze zdziwieniem tylko spostrzegła niekiedy, że nie jest już jedyna — w wesołym miasteczku bowiem nie brakowało pięknych młodych kobiet, wśród których wyróżniały się szczególnie urodą panny Potockie i Lubomirskie, córki jej dawnych kochanków. Niczego, z wyjątkiem młodości, nie zazdrościła tym dziewczynom, bardzo przyjaźniła się z nimi, traktowała je czule, niemal po macierzyńsku — rewanżowała się w ten sposób za miłość, którą ongiś darzyli ją ich ojcowie.

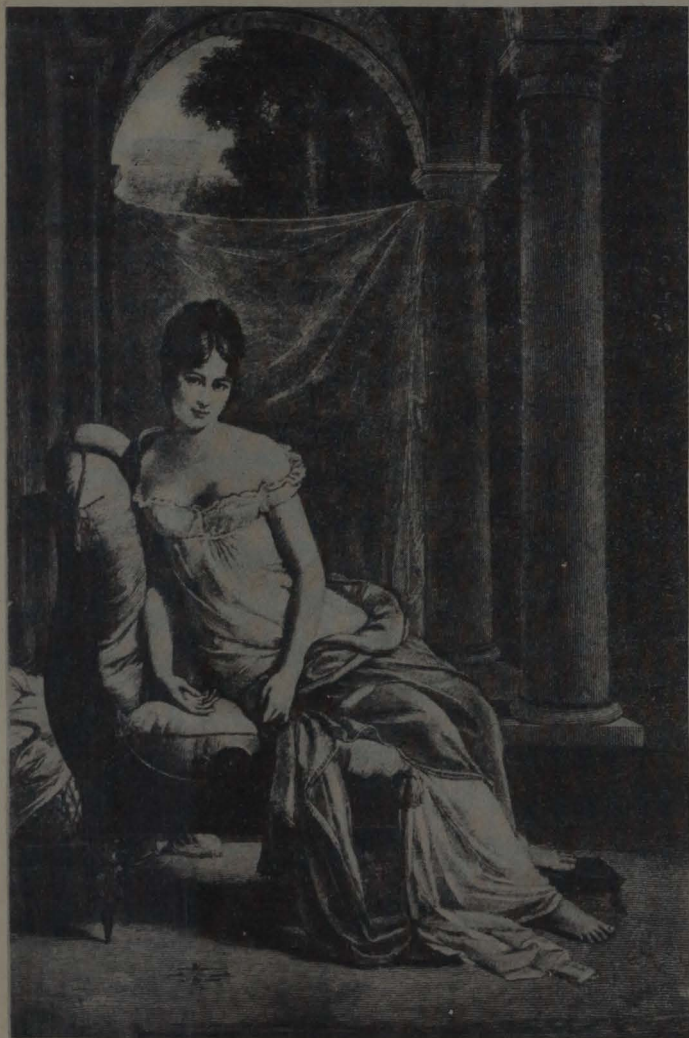
W swoim wytwornym apartamencie urządzała herbatki, na które przychodziła elita miasta. Stale ubierała się świetnie i nosiła suknie sprowadzane z Paryża lub Wiednia — wciąż wyróżniała się elegancją i szykiem. Ogólnie podziwiano jej ogromne obycie towarzyskie i umiejętność prowadzenia błyskotliwych rozmów salonowych. Książe-biskup krakowski, Jan Paweł Woronicz, znakomity kaznodzieja i słaby poeta, twierdził, że jest ona idealnym typem czarującej kobiety i wielkoświatowej damy. W związku z tym Katarzyna często widywała się z biskupem, który był bardzo towarzyski, prowadził otwarty dom i chętnie rewizytował odwiedzających go gości. Rozmawiała z nim wiele na różne poważne tematy i pod jego wpływem zaczęła zastanawiać

się nad problemami wiary. Liczne pokusy odrywały ją jednak od zagadnień podstawowych i jedyńych, zamiast debatować wołała żartować, bawić się i cieszyć, korzystając zaś z przyjacielskiego kontaktu ze znakomitym kapłanem, nieraz próbowała go rozweselić, gdy biadał nad swoim losem. Do biskupów krakowskich należało dawniej księstwo siewierskie, które po drugim rozbiorze przeszło pod panowanie pruskie, oficjalne dochody Woronicza wynosiły przeto tylko 60000 złotych polskich rocznie, chociaż jego poprzednicy otrzymywali okrągłe dwa miliony. Autor licznych poematów nie mógł o tym zapomnieć, uważał się za nędzarza i raz, gdy w obecności paru dobrych znajomych Katarzyna rozmawiając z nim nazwała go biskupem, zaprotestował.

— Proszę nie nazywać mnie biskupem, ale biskupiną — powiedział ze szczerym smutkiem. — Czymże bowiem jestem w godności i dostatkach w porównaniu z moimi poprzednikami?

— Mości książę-biskupie — odpowiedziała dowcipna hrabina — zawsze lepiej powodzi się tobie niż apostołom, którzy posiadali tylko kij i torbę, a przecież jesteś ich następcą i przedstawicielem.

Powiedzenie to zrobiło wielką furorę w Krakowie, dostało się do wspomnianego pamiętnika Sabiny Grzegorzewskiej jako dobra, anonimowa anegdota, popsuło zaś na krótki czas przyjazne stosunki Katarzyny z Woroniczem. Ksawerego powiadomił o tym jego adwokat, który przysyłał mu relacje o zachowaniu się płóchej mężatki. „Wczoraj J. W. Hrabina złożyła wizytę biskupowi — pisał w jednym z następnych listów usłużny informator. — Zapomniał on już pewnie o tym żarcie nieprzystojnym, o którym donosiłem Hrabiemu Dobrodziejowi. Tutaj, u nas, ludzie tak się dużo bawią, że nawet na długie gniewanie się czasu nie mają...”



JULIA RÉCAMIER.

Według współczesnego miedziorytu z portretu Franciszka Gérarda.



EUGENIUSZ DE BEAUHARNAIS.

Według współczesnej litografii.

Niekiedy wydawało się Katarzynie, że czas stoi i że wszystko, co przeżywa, jest tylko snem lub złudzeniem, tak bowiem szybko następowały po sobie i przemijały wydarzenia. Oto niemal wczoraj tuliła w objęciach wytwornego, rycerskiego i rudowłosego lorda Artura Pageta, a dziś stał przed nią dwudziestoletni, wytworny, rycerski, ponieważ ubrany w mundur porucznika dragonów, i rudowłosy Kazimierz Starzeński. Jej miłość do syna wciąż potężniała i komplikowała się: kochała go ogromnie jako swoje dziecko, a zarazem jako piękne wspomnienie o dawnym kochanku i dawnych, dobrych wiedeńskich czasach. Rozczulały ją zwłaszcza jego włosy — to było nawet bardzo przyjemne patrzeć, jak lekko falują i płoną w pełnym oświetleniu; gdy je głaskała ulegała chwilami złudzeniu, że nie ma jeszcze żadnego „dzisiaj“, lecz wciąż trwa „wczoraj“. I w tej egzaltacji, i w zachwycie nad synem i wspomnieniami nie widziała wcale żadnych wad Kazimierza, wydawał się jej prawie ideałem, jeśli zaś słyszała o nim niepocholebne opinie od męża lub najbliższych krewnych, to traktowała je jako osobistą obrazę. Czy można coś zarzucić temu pięknemu chłopakowi? Stanowczo nic — jedynie ludzie źli i podli mogą występować z insynuacjami pod jego adresem.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Kazimierz odziedziczył na ogół urodę po matce, a zdolności po ojcu, dziedzictwo tedy miał nienajgorsze, natomiast nie otrzymał ani porządnego wykształcenia, ani wychowania. W dzieciństwie matka bawiła się nim, on zaś, gdy podrośł, zaczął bawić się matką. Przyzwyczaił się do tego, że jego kaprysy stały się prawem dla wszystkich domowników i był ogromnie niezadowolony, kiedy nominalny ojciec ostro wziął się do niego. We Lwowie su-

rowy pedagog długo wykorzeniał złe przyzwyczajenia młodzieńca i chwalił się osiągniętymi w tych poczynaniach sukcesami. Niestety tryumfował przedwcześnie, którejs bowiem nocy w łóżku swojej żony niespodziewanie spotkał się z wychowankiem. W arystokratycznej szkole wojskowej hrabicz znowuż zajmował się głównie ćwiczeniami i nauczył się cynicznie osądzać wszelkie społeczne zwyczaje i obyczaje. Ledwo został oficerem, już pił bez umiaru, grywał całymi nocami w karty, latał za dystygowanymi i prostymi dziewczkami, uwodził stateczne mężatki i niewinne panny. Lubił jednak pewne wyczyny sportowe, mianowicie dużo polował i chętnie się pojedynkował. Poza tym odznaczał się typową umysłowością c. k. oficera kawalerii, stale chełpił się swoim pochodzeniem i przyjaźnił się tylko z utytułowanymi kolegami lub zwierchnikami. Bardzo chętnie spraszał towarzyszy broni do Góry Rogczyckiej; dzięki temu Ksawery na stare lata mógł zapoznać się z przyjemnościami hulaszczego trybu życia. Miał wrażenie, że dopomaga w ten sposób synowi w karierze i chętnie wydawał uczty, podczas których dzielni kawalerzyści spijali się do nieprzytomności.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że stary Starzeński kochał młodego. Widział w nim przede wszystkim swojego następcę oraz dziedzica nazwiska i majątku — dlatego pragnął, aby zaszedł jak najwyżej. Jednocześnie szczerze bolał nad jego wadami, starał się z nim porozumieć, nieraz bardzo długo wykladał mu zasady mądrości życiowej, ale wszystko to było daremne. Kazimierz nie lubił ojca, tylko się bał; obiecywał pod wpływem wysłuchanych kazań poprawę, nigdy zaś nie próbował dotrzymać przyrzeczenia. Uwielbiał natomiast bezgranicznie matkę, cieszył się, że jest piękna, a martwił się jedynie wtedy, gdy widział łzy w jej oczach. Oboje byli z sobą zupełnie szczerzy, czuli się szczę-

śliwi przebywając razem, często wprowadzie wzajemnie się tyranizowali, lecz to wzmacniało harmonię ich stosunku. Biada niewiernemu amantowi pięknej Gabrieli! Ledwie się jej sprzeniewierzył, a już Kazimierz rwał się, aby rozsiekać go w pojedynku. Naturalnie nigdy nie dopuściła do podobnego epilogu miłości, niemniej jednak była zadowolona, że ma tak dzielnego obrońcę. Poręcznika radowało powodzenie matki, ale zarazem był zazdrosny o wszystkich mężczyzn, którzy ją otaczali i cieszyli się jej względami. W jego obecności zwłaszcza nie było wolno czynić jakichkolwiek aluzji o romansach hrabiny — kilku ludzi z tego powodu ukarał przykładnie i dotkliwie.

Po raz pierwszy uczynił to wkrótce po nominacji. Przybył na bal do pani Morskiej w Zarzeczu i pamiętając o elementarnych zasadach uprzejmości towarzyskiej poprosił do tańca panią Amelię Prekową. Starsza dama wymawiała się swoim wiekiem, ale ostatecznie chętnie zatańczyła — na to zaś zwrócili uwagę wszyscy obecni. Ludzie dobrze wychowani nic nie mówili, jedynie Edward Zaklika odezwał się szyderczo, że Kazimierz zapałał miłością do Amelii tak samo, jak dawniej do jej syna pałała Katarzyna.

— Pan Prek w matce Starzeńskiego, a Starzeński w matce Preka zakochany — głośno, wyzywająco i prowokująco powtarzał.

Syn pięknej Gabrieli dowiedział się o tym, podszedł do niego i poprosił, aby udał się za nim do osobnego pokoju, w którym zgromadzili się austriaccy oficerowie. W obecności kolegów zwymyślał i uderzył po twarzy gadułę. Nazajutrz o świcie spotkali się na leśnej polanie i długo walczyli na szpady. Kazimierz był doskonałym szermierzem, parokrotnie więc zranił poważnie przeciwnika. Następnie pojechał do Krakowa i opowiedział o zajściu matce. Wziął urlop z pułku, miał zamiar

solidnie się zabawić w wesołym miasteczku, ale to się nie udało. Z Góry Ropczyckiej przybył specjalny posłaniec z przykrą wiadomością: stary pan hrabia bardzo źle się czuje, prosi żonę i syna o natychmiastowy powrót do domu.

Ksawery nie był znowuż tak bardzo stary: miał dopiero 61 lat, lecz stan jego zdrowia budził ostatnio poważne obawy. Skleroza bez przerwy atakowała organizm, a serce słabło; w połowie listopada 1828 roku musiał położyć się do łóżka i zaalarmować rodzinę. Katarzyna zaraz przybyła i bardzo troskliwie nim się zajęła. Nie pragnęła jego śmierci — stworzyło by to w jej życiu zupełnie niepotrzebne komplikacje i kłopoty. Przyzwyczaiła się do niego: tyle lat przecież spędzili wspólnie, kłócili się wprawdzie i rozstawali, ale jakoś zawsze dochodzili do porozumienia. Od lekarzy dowiedziała się jednak przykrej prawdy, że nie było większej nadziei na wyzdrowienie chorego. Naturalnie nie wspominała o tym mężowi, jedynie w rozmowie z nim zaproponowała sprowadzenie słynnego, wiedeńskiego doktora Malfattiego. Oburzył się — na co podobne wydatki? Nic nie odpowiedziała, lecz potajemnie napisała do cudotwórcy błagając go o rychłe przybycie do Góry Ropczyckiej bez względu na koszty podróży i wysokość honorarium.

Nadeszło jeszcze jedno Boże Narodzenie i Ksawery uparł się, że musi zjeść wilię przy stole w otoczeniu rodziny. Podczas łamania się opłatkiem Katarzyna życzyła mężowi, aby jak najprędzej wyzdrowiał. Rozczulona uroczystością, chcąc dać przykład swojej troskliwości niepotrzebnie powiedziała mu, że w końcu stycznia obiecał przyjechać Malfatti. Na tę wiadomość Ksawery niespodziewanie się zdenerwował. Zaczął krzyczeć, że nie potrzebuje lekarzy, że wcale nie jest chory, ci zaś wszyscy, którzy chcą go pochować, muszą poczekać co

najmniej kilka lat. Uspokajała go, jak mogła, ale nie zważała na nią. Więc tak! Robi konszachty poza jego plecami i nie wiadomo po co wydaje pieniądze na sprowadzanie jakiegoś szarlatana do zupełnie zdrowego człowieka! Wypowiedział następnie wiele oskarżeń, wreszcie zmęczony wstał od stołu i usiadł na kanapie. Katarzyna podeszła do niego, aby przeprosić za swój postępek — parokrotnie zapytała go, czy się gniewa, lecz nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Położyła wtedy rękę na jego ramieniu i nagle odskoczyła przerażona. Ksawery już nie żył.

W P O W O D Z I M A Ł Ż E Ń S T W

W pierwszych dniach po śmierci męża nie mogła otrząsnąć się z przygnębienia. Cóż z tego, że go nie kochała? Może nawet był zbyt cenny w jej życiu, ale był — to już powodowało poczucie straty i przyczyniało się do smutku. Gdy przejmowała administrację swoich i mężowskich majątków, wcale nie mogła myśleć o interesach — wciąż znajdowała się pod silnym wrażeniem nagłego zgonu Ksawerego. Życiowe potrzeby były jednak silniejsze od nastroju, w końcu stycznia odzyskała przeto równowagę psychiczną. Oszłomiła ją nieco mnogość spraw, które musiała załatwiać, ale rychło z nieoczekiwaną energią zabrała się do odrabiania zaległości i tworzenia planów na przyszłość.

Postanowiła wydać córki za mąż i od razu znalazła dla nich odpowiednich kandydatów. W tym przedsięwzięciu nie napotkała żadnych trudności, panny bowiem słynęły z urody, a wszyscy wiedzieli, że dostaną przyzwoite posagi. Przełożona Duval znakomicie je wychowała: były niewinne i skromne, wzorowo przygotowane do obowiązków żon i matek. I tak jak ongiś projektowała Katarzyna, z klasztoru udały się wprost do ołta-

rza. Osiemnastoletnia Gabriela zaślubiła kuzyna, Michała hrabiego Starzeńskiego, a Julia — w kilka miesięcy później, gdy do szesnastu lat brakowało jej tylko dziewięciu dni — wstąpiła w związki małżeńskie z hrabią Henrykiem Krasickim z Baranowa. Wesel nie wyprawiano, a obrzędy zaślubin były bardzo skromne, ponieważ odbywały się w roku żałoby. Po skojarzeniu dwóch stadeł, owdowiała hrabina przystąpiła do głównego i podstawowego zadania: ożenienia syna.

Miała nieskomplikowane i zdrowe poglądy na sprawy finansowe. Obserwując życie swojej sfery doszła do przekonania, że ludzie zazwyczaj bogacą się dzięki otrzymywanym spadkom, ponadto mężczyźni — dzięki stosownym ożenkom. Mimo wieloletniej pracy Ksawery nie dokończył sanacji państwa ropczyckiego — Katarzyna musiała sprzedać folwarki w cyrkule sanockim, aby wypłacić zięciom posagi córek. Po dokonaniu tego nie miała pieniędzy na inne zobowiązania, a ponieważ; przez nikogo nie kontrolowana, wydawała obecnie sporo, postanowiła — dla poprawienia sytuacji materialnej — zrobić genialne posunięcie. Ułożyła listę bogatych panien galicyjskich, którą Kazimierz miał przejrzeć i wybrać sobie żonę.

Syn z entuzjazmem powitał projekt matki. Po długich, wspólnych naradach doszli do przekonania, że najlepszą partią będzie chyba panna Teofila Pawlikowska z Medyki. Jak wygląda wybrana? Nie wiedzieli — natomiast posiadali niezawodne informacje o jej posagu i znali jej ojca, Józefa Benedykta Pawlikowskiego, który słynął z bogactwa. Wobec tego Kazimierz pojechał do Lwowa, zapoznał się z Teofilą i podczas karnawału 1830 roku stale z nią tańczył. Był wysoki i postawny: dorodny chłop co się zowie, prędko więc podbił serce skromnej, miłej, lecz zaledwie przystojnej dziewczyny. W końcu marca Starzeńska napisała do Pawlikowskiego

prosząc o rękę jego córki dla swego syna. Na zakończenie listu dodała: „Kto umie być jedynym szczęściem i pociechą matki, ten — mniemam — potrafi uszczęśliwić żonę“.

Benedykt Pawlikowski trzeźwo szacował ludzi, reklama młodzieńca była niepotrzebna, od dawna wiedział o nim wszystko. Mimo to zdecydował, że może zostać jego zięciem, ponieważ pragnął, aby córka miała utytułowanego męża. Sam był człowiekiem pracy — ogromny majątek zdobył powoli i stopniowo. Przez wiele lat sprawował urząd prezydenta Przemyśla, a jednocześnie dzierżawił od Centnerów starostwo przemyskie, w którym świetnie gospodarował, i za zarobione pieniądze nabywał na własność folwarki i klucze. Słynął jako człowiek twardy i nieustępliwy, lecz nieposzlakowanie uczciwy i prawy. Według legendy ksiądz Hugo Kołłątaj, przed aresztowaniem przez Austriaków, powierzył mu polskie klejnoty koronne, które w największej tajemnicy przechował, a potem oddał komu należało. Podobnie wielkim zaufaniem obdarzała Benedykta dziewczynka Centnerów, księżna Anna Lotaryńska — i z wdzięczności za sprężyste zarządzanie jej dobrami obdarowała go w testamencie sporym zapisem. Nie skarżył się tedy na los, chociaż nie otrzymał żadnego arystokratycznego tytułu. Trudno — takie jest już życie — musiał poprzestać na skromnej godności c. k. radcy.

Zawsze zajęty i zapracowany, nigdy nie miał czasu na flirty, romanse, miłości lub zabawy. Dość wczesnie poślubił Franciszkę Rokicką, która urodziła mu dwóch synów i dwie córki, przykładnie zajmowała się gospodarstwem, a gdy wyjeżdżał, pisała do niego pokorne listy, zaczynające się zwrotem: „Najdroższy Józiu Dobrodzieju“. Po jej śmierci nie myślał o powtórnym ożenku, zaangażował tylko do domu, na stanowisko gospodyni, jakąś młodą wdówkę, z tym, że zarazem miała

spełniać pewne funkcje małżeńskie. Osiągnął sześćdziesiątkę, ale był nadal bardzo mocny i krzepki, wyglądał zaś dość młodo. Dotychczas nie przeżywał większych wzruszeń — w naiwności ducha sprawy miłosne traktował jako uboczne i mało ważne sądząc, że kobiety nigdy nie są groźne dla mężczyzn. Nie spodziewał się żadnych większych komplikacji i zupełnie spokojnie podpisał wyrok na siebie układając list do Katarzyny, w którym wyraził zgodę na małżeństwo ich dzieci oraz zaprosił ją z synem do Medyki.

Oczekiwał wizyty kobiety obeznanej z interesami, spotkał go jednak zawód: przyjechała wytworna dama, która mówiła z nim o sztuce, podróżach, zdrowiu lub pogodzie, nigdy zaś o pieniądzach. Była taka słaba, „mała“ i nieświadomiona w sprawach finansowych, że nie miał serca rozmawiać z nią rzeczowo i targować się o wielkość posagu. Gdy w obecności prawnika sporządzali intercyzę przedślubną młodej pary, prawie nic nie mówiła, niczego nie żądała, nie stawiała żadnych warunków, tylko uśmiechała się uroczo. Przeląkł się, że może posądzić go o skąpstwo, dlatego obdarzył córkę okazałym wianem, a na wyprawę przeznaczył aż pięćset sztuk holenderskich dukatów. „Powodowana przywiązaniem matki — głosi intercyza — i o to szczególnie proszona, zajęcie się wyprawą weselną na siebie wzięła J. W. Katarzyna hr. Starzeńska“. Oczywiście prosił ją Benedykt, który nagle gorąco zapragnął, aby jak najdłużej przebywała w Medyce, ogarniał go bowiem dotąd nieznany, bardzo przyjemny i zupełnie młodzięczy niepokój.

D O N I O S Ł E O D K R Y C I E

Zagadnienie: czy można kochać kobietę po czterdziestce? — podobnie jak wszelkie inne tego typu —

nie jest teoretyczne, ponieważ rozstrzygnąć je można tylko praktycznie. Ogólnie jednak wiadomo, że zalety starszej kochanki przedstawiają się imponująco — odznacza się ona zwykle doświadczeniem, wyrozumiałością i — co najważniejsze — wdzięcznością za wszelkie okazane jej objawy uczucia. Zresztą przyroda w przedziwnie mądry sposób nieraz sama reguluje dobór miłosny bacząc, aby suma lat kojarzącego się stała na ogół nie przekraczała liczby, jaką mogłaby osiągnąć, gdyby oboje kochankowie byli młodymi ludźmi. Dlatego Katarzyna w miarę jak się starzała, musiała poprzestawać na coraz młodszych amantach. Za czterdziestosześcioletnią Julią Récamier pojechał do Italii zakochany w niej bezgranicznie, młodzieńcy Ampère. Piękna Gabriela, gdy osiągnęła ten wiek, również ustawicznie spotykała się z wielkimi uczuciami niepełnoletnich zalotników. Tak się przyzwyczaiła do tego, że oświadczyły Benedykta Pawlikowskiego przyjęła z największym zdziwieniem. Był przecież od niej o całe dwanaście lat starszy!

Niemniej jednak starania starszego, ale pełnego młodzieńczej werwy pana sprawiły jej duże zadowolenie. Zachowywał się bez zarzutu, uprzejmie i ujmująco, uwodził zaś za pomocą staroświeckich metod z XVIII wieku, jakich nie znało nowe pokolenie. Początkowo nie traktowała jego miłości poważnie, potem zastanowiła się i doszła do przekonania, że nie wolno tego afektu lekceważyć. Pragnęła spokojnego i wygodnego życia bez jakichkolwiek materialnych kłopotów, od dawna tęskniła za oddanym jej całkowicie, wiernym i czułym mężczyzną. Nieoczekiwanie zjawiał się odpowiedni kandydat, pomyślała przeto, że łącząc swojego syna z jego córką, powinna z nim sama się połączyć. Był bardzo bogaty i stateczny, ofiarowywał jej wszystko, co posiadał, tłumaczył, że stanie się dla niego najwspaniał-

szą nagrodą za ciężko przepracowane życie. Podbiła go nie tylko swoją urodą i urokiem, ale również prezencją, rodową dumą i pozorną nieprzystępnością. Ostatnio ciągle marzył o niej, a jednocześnie obawiał się, że nim wzgardzi i nie zgodzi się na małżeństwo. Rzeczywiście to byłoby straszne — nie mieć jej i już ją stracić!

Nazajutrz po oświadczeniach miała mu udzielić odpowiedzi. Przyszedł do niej przygotowany na najgorsze, ale usłyszał najmiłszą wiadomość. Zgodziła się! Spozrzegł wtedy, że nie jest zdrow; ze wzruszenia serce zaczęło mu bić bardzo mocno, osłabł i musiał usiąść na krześle. Gdy uspokoił się, z największą wdzięcznością ucałował jej dłonie. Ofiarowała mu usta i dzięki temu przekonał się, że nie jest wyniosłym bóstwem, lecz rozkoszną kobietą. Wyszedł od niej dopiero nad ranem, osiągnął bowiem ten wiek, w którym odkładanie nocy miłosnej na przyszłość stanowi poważne ryzyko. Oczywiście był bardzo dumny z siebie, ale nie przypuszczał, że dokonał doniosłego odkrycia. Oto bezwiednie znalazł odpowiedź na pytanie, czy można kochać kobietę po czterdziestce, chociaż właściwie wypadało, aby pasjonował się wyłącznie młodymi dziewczynami — tak jak to czynią wszyscy starsi panowie.

L I S T Y M I Ł O S N E K A T A R Z Y N Y

Józef Benedykt Pawlikowski miał zamiar spędzić sierpień w Badenie, ale wobec zaszłych wydarzeń chętnie by zrezygnował z kuracji. Katarzyna zaoponowała — powinien się leczyć, jego zdrowie nie jest dla niej obojętne, jeśli ją kocha, to również poza kąpielami, na wszelki wypadek, każe się w Wiedniu zbadać przez Malfattiego. Zaprosiła go do Góry Ropczyckiej, aby obejrzał przyszłą siedzibę swojej córki, potem wróciła z nim do Medyki. Uplęnęło jeszcze kilka cudownych

dni, zanim się rozstali. Kochanek pojechał do kurortu, kochanka pozostała w Galicji, niesłuchanie zajęta wyprawą Teofili i przygotowaniami do ślubu młodszej pary.

Wkrótce ze zdziwieniem skonstatowała, że tęskni za Benedyktem bardziej, niż mogła przypuszczać. Początkowo interesowała się jedynie jego majątkiem, ale później pokochała go zupełnie szczerze, chociaż współcześni złośliwie posądzali ją o wyrachowanie. Co innego jednak kochać pieniądze, a co innego — człowieka, który je posiada. Bogactwo było tylko jedną z licznych zalet właściciela Medyki. Możliwe że nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby był biedny, ale również nie obdarzyłaby uczuciem najzamożniejszego, niesympatycznego wielbiciela. Pawlikowski zresztą mógł się podobać — poza tym będąc zakochanym stracił swoje stałe poczucie pewności i bez zastrzeżeń uznał nad sobą jej władzę. Wreszcie cieszyła się, że był starszy od niej — czuła się przy nim młodsza, a jego uczucia taksowała jako solidne i trwałe w przeciwieństwie do przelotnych amorów młodocianych amantów.

W uczuciach Katarzyny oprócz miłości było sporo nadziei, oprócz przyjaźni dużo erotyzmu, a oprócz szaleństwa wystarczająca doza trzeźwości. Ten konglomerat prezentował się wcale efektownie, wprowadzie nie mógł równać się z płomiennym porywem do Eugeniusza de Beauharnais lub nawet do Stanisława Preka, ale miał ogromny urok jesiennej, spokojnej i jak gdyby ostatniej emocji. Świadczą o tym miłosne wyznania pięknej Gabrieli, jedyne jakie się zachowały, przesyłane Józefowi Benedyktowi do Badenu, a obecnie spoczywające w zbiorach Michała Pawlikowskiego w Medyce. Na ogół bardzo lubiła pisać, tu i ówdzie zachowały się szczątki jej korespondencji z ojcem, pierwszym mężem i rodziną — natomiast zginęły, a może gdzieś leżą

nieujawnione listy, które wysyłała do licznych przyjaciół, kochanków i wielbicieli. Zwykle notowała swoje myśli po francusku, ponieważ nigdy porządnie nie opłnowała pisowni polskiej. Jej listy w języku ojczystym rżą fantastyczną interpunkcją, niewłaściwym używaniem wielkich liter, pomijaniem dźwięków „ą“ i „ę“ oraz najdowolniejszymi połączeniami wyrazów. Tak na przykład wygląda w oryginale początek korespondencji, którą wysłała do Badenu w sobotę 31 lipca 1830 roku, po przybyciu do Góry Ropczyckiej z Medyki:

Naydroszy moi Juziu!

Moment rozstania się sztobo był ieden z nayboleśnieszycy Życia mego, nie umiem wyrazić co się zemno działo bo Gdyś odszedł odpoiazdu Całkiem krew wemnie sie zbiegła tak że odetchnoć nie byłam wstanie ani łzy wypuścić nie mogłam y to trwało aż pod Dembicy konie zlenkły sie zbiegły i wruw spoiadem wpadły Szczensćciem że na Złamaniem dyszła sie skonczyło możesz Sobie wystawić wiakiem stanie Smutku pogronżoną byłam kiedy nawet nie przestraszyłam aż dopiero wrowię sie ocknełam, ale potem ztego mocnego uderzenia przyszłam do Siebie y zaczęłam okrutnie płakać y to mi ulge momentalno przyniosło...

Po uporządkowaniu przestankowania i zastosowaniu nowoczesnej pisowni łatwiej odczytać te listy. Często są piękne, odznaczają się osobliwym, stylowym wdziękiem, przesadą i egzaltacją, w licznych zaś słowach bardzo sugestywnie malują obraz uczuć zakochanej kobiety, pragnącej swoją miłością całkowicie przywiązać do siebie mężczyznę.

Tak mój Przyjacielu — pisze dalej — uczucia, któreś we mnie wzniecił, zajęły całkiem duszę, serce

i umysł mój, i czuję, że sentyment mój do Ciebie poniosę z sobą do grobu. O trzeciej wróciłam do domu... i rzuciłam się na łóżko, na którym Ty spałeś, i tak z wielkim bólem głowy parę godzin leżałam nie śpiąc, bo tylko o tym myślałam: gdzie jesteś? co robisz? Że myślisz o mnie o tym nie wątpię, bo sądzę po sobie. Dziś o szóstej rano wstałam, nie maśnu ani spokojności dla mnie w oddaleniu od Ciebie.

...Całuję Cię z całej mocy mego przywiązania ku Tobie. To nie mało powiedzieć, bo to jest nad wszelkie wyobrażenie. Kochaj i nie zapominaj o tej, która tylko w Tobie i dla Ciebie żyje... Smutek, który doświadczam, jest nie do wyrażenia, nie mogę sobie miejsca znaleźć, szukam, chodzę jak błędna, głowę tracę, słowem sama nie wiem, co się ze mną dzieje, to tylko wiem, że Cię nad życie, nad wszystko kocham i do śmierci kochać będę.

W parę dni później znów nastąpił — i odtąd potarzał się bardzo często — podobny wybuch czułości:

...muszę Ci powiedzieć, że dziś w nocy przebudziwszy się całowałam Twoją poduszeczkę, która mi przypomina miły odór Twojej głowy, i nie mogłam ust od niej oderwać. Proszę Cię, mój Józiu, nie bierz tego za egzaltację, tylko za uczucie najszczerzego serca dla Ciebie. Jeszcze Cię raz zaklinam, jeżeli Ci moja spokojność miła, moje zdrowie, pisz do mnie często, donoś mi o swoim zdrowiu i powodzeniu, które mnie nad wszystko interesuje. Codziennie Boga proszę najgoręcej, by Cię szczęśliwie na miejsce zaprowadził, by Ci kąpiele służyły i byś powrócił na moje łono — wierzaj, że najszczęśliwszy będzie dla mnie moment, kiedy Cię znowu przycisnę do serca swego.

Jednakże proszę Cię i zaklinam, jak mię kochasz, byś najmniej 30 kąpeli wziął, bo mogło by być bardzo szkodliwe, gdybyś kuracji nie dokończył. Myśl zawsze o tym, mój luby Przyjacielu, że zdrowie Twoje jest potrzebne do szczęścia mego, że życie Twoje stało się — wierzaj — jak życie moje. Przyśięgam Ci na szczęście syna mego, że w Tobie szczęście i nadzieja moja.

We wszystkich listach, poza miłością, najwięcej miejsca poświęca sprawom, związanym ze zdrowiem. Najpierw zapytuje Benedykta, jak się czuje, potem wyraża życzenie, aby się czuł dobrze, z kolei prosi Boga, żeby uchronił go przed chorobami, i przy okazji zaleca mu przestrzeganie wskazówek lekarzy. Przesyła również dokładne informacje o swoim zdrowiu, skarży się na różne dolegliwości i wyraża przypuszczenie, że miną, gdy on powróci. Nie byłaby kobietą, gdyby nie próbowała go czasem niepokoić. Istnieje bowiem podstawowa zasada: mężczyzna zawsze powinien się obawiać utraty ukochanej, inaczej sam ją porzuci. Dlatego parokrotnie doniosła mu o natarczywości wielbicieli, którzy marzyli o jej ręce. Niech się jednak nie obawia — z pewnością będzie wierna i nieprzystępna.

Po krótkim pobycie w Górze Ropczyckiej, pojechała do córki, mieszkającej w zamku w Baranowie, położonym nad Wisłą, na granicy Galicji i Królestwa Kongresowego. Młodziutka Julia, zaślubiona przed dziewięciu miesiącami Henrykowi Krasickiemu, lada dzień spodziewała się połogu. Oczekując przyjscia na świat wnuka lub wnuczki romansowa, ale już mniej romantyczna hrabina donosiła kurującemu się, zakochanemu c. k. radcy o różnych radościach i zmartwieniach:

...Miałabym Ci wiele do powiedzenia o starym Krasickim, co by Cię rozśmieszyło, a co mnie okrut-

nie nudzi. Stary w pretensjach, mówił mi, że w Łańcucie Alfredowa (Potocka) swatała go ze mną i twierdził, że byłby szczęśliwy, gdyby się to sprawdziło. Jam to w żart obróciła i unikam, ile możliwości, takich dyskursów. Wczoraj proponował mi, by z nim na folwarki jechać, ale się wymknęła mówiąc, że nie chcę Julki na moment odstąpić. Nie myśl proszę, że Ci dlatego donoszę, że mam to jako ofiarę zrobiła, bo spodziewam się, że masz o mnie taką opinię, na jaką sobie zasługuję i że przekonany jesteś, że Cię tyle kocham i że przywiązanie moje jest w tym stopniu dla Ciebie, że bym za żadne korony i skarby wcale oczy obrócić nie zdołała na kogo innego. I to Ci także powiedzieć mogę szczerze, że gdybym nawet nie była z Tobą w związkach tak miłych i świętych sercu memu, Krasicki byłby człowiekiem, który nigdy by mi się nie mógł podobać. Słodką nadzieją jedynie mnie pociesza, że znowu razem będziemy i dałby Bóg, bym zawsze nieodstępnie przy Tobie być mogła. Życie moje poświęcone Tobie byłoby najmiłą rzeczą dla mnie. — Doktor, co jest u Julki, radził mi by na zatwardzenie i częste migreny, których doświadczam, używać dwa razy na dzień kąpiele wiślanych. Henryk wyporządził mi izdebkę u rybaka nad Wisłą i w wannie zaczęłam brać kąpiele, ale po trzeciej dostałam bardzo mocnego bicia krwi do głowy i ustać musiałam. Radzi mi więc, by brać mydlane kąpiele i pić Marienbrunna, ale na to czasu teraz nie mam, też i chwila nie do tego, później będę — odłożę więc tę kurację na przyszłą wiosnę, jeżeli Bóg życia pozwoli.

Prawda, że ta Wisła, która nas oddziela od ojczystej ziemi, jest wspaniała i bardzo ładny widok sprawiają flisaki, których mnóstwo płynie. Co wieczór idziemy na spacer z Julką. Zamek zaś bara-

nowski jest w tej porze roku pyszny i wiele w nim jest pamiątek, lecz także wiele podług mnie inspirować może czarnych i smutnych myśli. — Ja wiem, że to jak wszędzie serce i głowa moja zapełniona Tobą jedynie i żaden moment nie minie, bym o Tobie nie myślała i o momentach, które tak słodko i mile przepędziłam z Tobą, o tych, które nastąpić mają i które z niewymownym utęsknieniem, i niecierpliwością oczekuję.

Całuję Cie ieszcze raz moi naydroszy Przyiacielu, kochai y nie zapominai o twoiey do Śmierci przywionzany stały y wierny
Katarzynie.

Zawsze z niecierpliwością wyczekiwała na jego ogromnie czułe i częste listy. Po przyjeździe do Baranowa nie miała od niego w ciągu całego tygodnia żadnej wiadomości. Zaniepokojona, pochopnie zdecydowała, że ją zaniędbuje i napisała do niego bardzo ostro. „Proszę odezwy mojej — zastrzegła się na wstępie — nie brać za narzucanie się, gdyż to ząwsze było arcydalekie memu sposobowi myślenia i uczuciom...“ Nieporozumienie jednak prędko się wyjaśniło — Benedykt wysyłał listy do Medyki sądząc, że ona tam przebywa. „Na klęczkach“ przeto błągała go o przebaczenie i obszernie wyjaśniła swoje uniesienie:

...moment, w którym odbieram list od Ciebie jest momentem najmilszym i mimo woli łzami skrapiam najdroższe, najczulsze wyrazy Twoje, które w głębi serca, duszy i pamięci mojej są na wieki wyryte.

...to także widzę, że okoliczności, zdarzenia i położenia nasze były od Boga przeznaczone, a uczucia nasze są tak sympatyczne, tak równe, jakżebyśmy jednym duchem tchnęli. Tak też jest i będzie do



KATARZYNA STARZEŃSKA Z SYNEM KAZIMIERZEM.

Według współczesnej miniatury.



KSAWERY STARZEŃSKI Z CÓRKĄ GABRIELĄ.
Według miniatury Michała Weixelbauma.

zgonu mego, bo przysięgam Ci, że nie chcę żyć, tylko dla Ciebie i w Tobie, nie chcę mieć innej myśli, jak Twoja i taka egzystencja najśłodsza dla mnie będzie.

O interesach Katarzyna nie pisała, uważała to za niestyłowe i zbyteczne. Komunikowała tylko chętnie, że Teofila i Kazimierz przyzwyczajają się do siebie, są zdrowi i szczęśliwi, będą zaś prawdopodobnie przykładną parą małżeńską. W każdym liście tłumaczyła mu również, że powinien oddalić swoją dotychczasową gospodynię, wyszukała mu bowiem nową — naturalnie starą i brzydką. Domyślała się jakie stosunki łączą przystojną wdówkę z dziedzicem Medyki i za wszelką cenę starała się ją usunąć z jego domu. Pozyskała dla tej sprawy starszego syna Benedykta, który zaproponował, że sam zlikwiduje niepotrzebną kobietę podczas nieobecności ojca.

...pisze mi także — zawiadamia narzeczonego i kochanka Katarzyna — że przed przyjazdem Twoim będzie mógł oddalić A. To by najlepiej było, uniknąłbyś wielu nieprzyjemności, a wierzaj, że lepiej zapłacić spokojność, bo ta droższa nad wszystko w świecie. Ja wiem, że moment, w którym się dowiem, że ta kobieta nie będzie już w domu Twoim, będzie jeden z najszczęśliwszych dla mnie... kupisz tym moją, Twoją i domu Twego spokojność.

Katarzyna postawiła na swoim, znienawidzona A. odeszła, przestała więc obawiać się intryg tej kobiety. We wrześniu powrócił wypoczęty, zdrowy i odmłodzony Benedykt, bardziej w niej zakochany niż przed wyjazdem. Utuliła go w objęciach tak, że nawet nie spostrzegł się, jak wszystkie jej plany uznał za swoje.

Był bez zastrzeżeń posłuszny i tylko prosił, aby zgodziła się na przyspieszenie daty ślubu i wreszcie została jego oficjalną małżonką.

T R A G I C Z N Y P O R A N E K

Każdy człowiek zna jakichś życzliwych ludzi, którzy mu radzą jedno, a odradzają drugie. Benedykt przekonał się nagle, że tych życzliwych jest stanowczo za dużo, ustawicznie bowiem przyjeżdżali do Medyki, aby nakłonić go do zerwania z hrabiną. Jedyne najbliższa rodzina nie zabierała w tej sprawie głosu — odpowiednio zdyscyplinowana, nie śmiała przeciwstawić się postanowieniom głowy rodu. Synowie radcy, Gwalbert Józef, sekretarz nadworny cesarza, i Konstany, bardzo przychylnie ustosunkowali się do trochę starszej od nich kandydatki na macochę. Jedna z córek była zamężna, miała swój dom i swoje kłopoty, niewiele przeto interesowała się projektami ojca, druga zaś zamierzała zostać synową Katarzyny. Dlatego opozycja przeciwko małżeństwu, pozbawiona oparcia w najbliższym otoczeniu narzeczonego, nie mogła działać wprost, a stosowała półśrodki. Po wysłuchaniu rozmaitych rad Benedykt z kolei otrzymał niepokojący anonim:

Wielmożny Konsyliarzu!

Chociaż mało znany W. Panu, lecz mu szczerze życzący, biorę śmiałość przedstawienia przychylnych uwag, byś póki czas zastanowił się nad czynnością, którą teraz przedsięwzięsz. Bo wiek Jego, doświadczenie i znana mi przenikliwość Pana w różnych wypadkach, jak mogła Go teraz w obłądne wciągnąć odmęty! Uważ, jak taka kobieta może zapewnić Twoją spokojność domową i szczęście, które Cię dotąd nie odstępowało. Wszak znany zapewne

Jemu sposób życia S... bo któż nie tylko w naszym kraju, ale i w obcym nie wie o marnotrawności jej majątku, a hojności w udzielaniu się rozpuszcie... Bo zaczawszy od ojca, a przechodząc w rozwiązłości życia dla Francuzów, Włochów, Rosjan, Węgrów, nie opuszczając aktorów... a czyż nie dosyć mógłby Pan mieć dowodów do przekonania się o tej prawdziwie? I jaka Cię czeka przyszłość? Te zaś bezinteresowne a przychylne słowa, gdy dojrzałą rozsądnością zechcesz uważać, pewnie odwrócisz ten grożący Jemu i domowi Jego pocisk.

Życzliwy

P. K. L.

Dnia 10 Oktobra 1830.

Na nic się zdały wszelkie intrygi. Dnia 3 października 1830 roku odbył się ślub Kazimierza Starzeńskiego z Teofilą Pawlikowską, po którym rozpoczęło się świetne, wystawne, blisko dwutygodniowe wesele. Licznie zebrani nobile wie świącili pierwszą koligację dwóch rodów w sposób bardzo wesoły, gdyż połączony z tańcami i wystawnymi biesiadami. Gdy goście rozjechali się, Katarzyna i Benedykt również zniknęli z Medyki. W kościele parafialnym w Górze Ropczyckiej 24 października przysięgli sobie wierność i posłuszeństwo małżeńskie. Piękna Gabriela miała już lat 48, ale do metryki ślubnej kazała wpisać 45, wprawdzie wyglądała jeszcze młodziej, nie chciała jednak bardziej zwiększać różnicy między swoim wiekiem, a zaczynającym się siódmym krzyżykiem małżonka. „Po zaślubinach — notuje Ksawery Prek — prowadziło nowe małżeństwo życie młodzieńcze, dawało zabawy, przyjmowało gości, słowem żyło wspaniale w Medyce“.

Oszczędnym Benedykt przestał liczyć się z pieniędzmi i jak gdyby pragnął otrzymać rekompensatę za wszyst-

kie statecznie spędzone lata, bez ograniczeń rozkoszował się możliwością uprzyjemnienia życia za cenę wyzbywania się nagromadzonych bogactw. Katarzyna otrzymywała od niego wspaniałe prezenty, sama zaś robiła wielkie zakupy pragnąc załagodzić wieczną pasję kupowania. Małżonkowie bez przerwy bawili się wesoło i niefrasobliwie, a po parotygodniowym pobycie na wsi, wybrali się do Lwowa w celu złożenia obowiązkowych, poślubnych wizyt tamtejszym arystokratycznym rodzinom.

Do miasta przyjechali w sobotę 4 grudnia i zatrzymali się w hotelu. Poprzednio jeździli po prowincji i odwiedzali różne domy, byli więc trochę zmęczeni. Najbardziej jednak zmęczony czuł się Benedykt — przyjechał z kuracji osłabiony i od razu zaczął prowadzić niespokojny, bardzo ruchliwy i często hulawczy tryb życia. Wyczerpywały go również noce spędzane z Katarzyną, podczas których pragnął jej zaimponować swoją dziarskością i zachowywał się niemal jak młodzieniec. Przyjmowała podobne wyczyny z największą radością — nie wiedziała, że czuje po nich kurcze w sercu i musi ratować się lekarstwami. We Lwowie w ciągu niedzieli złożyli parę wizyt, we dwójkę zjedli kolację, wypili butelkę dobrego wina i dość wczesnie, około godziny dziesiątej wieczór, udali się na spoczynek. Żona znów podziwiała męża, zanim oboje zmęczeni zasnęli. Nazajutrz, bardzo wczesnie, przyniesiono im do pokoju kawę. Był szary, ponury, grudniowy poranek i za oknami padał wilgotny śnieg — pogoda nie zachęcała do opuszczania mieszkania. Katarzyna krzątała się przy śniadaniu, gdy usłyszała przeraźliwy krzyk leżącego jeszcze w łóżku Benedykta. Podbiegła do niego, myślała, że to chwilowa niedyspozycja, podała mu trzeźwiące sole, ale zmarł po parominutowym ataku serca. Wszystko stało się prędko i nagle, było zaś straszne

i nieoczekiwane. Przybyły lekarz zajął się nią, ponieważ dostała poważnego wstrząsu nerwowego. Co za ironia losu! Czy po to wyszła za męża, aby po czterdziestu czterech dniach małżeństwa ponownie zostać wdową?

ZMARTWIENIA NIE TRWAJĄ WIECZNIE

W ciągu dwóch miesięcy Katarzyna nie opuszczała łóżka. Po śmierci męża była prawie nieprzytomna, długo nie mogła się uspokoić, dobrze nie wiedziała, co robi i co ma robić. Po nabożeństwie żałobnym, ciało Benedykta zostało ze Lwowa przewiezione do Krzywczy i tam pochowane. Wdowa jechała w karecie za karawanem, nie zważała na mróz i nie ubrała się ciepło, toteż po pogrzebie zachorowała na zapalenie płuc. Kilka tygodni przebywała w pałacu w Medyce, otoczona lekarzami, którzy w pewnej chwili mocno zwątpili w jej wyzdrowienie. Organizm miała jednak bardzo silny — stopniowo przemijały cierpienia fizyczne, lecz wzrastały psychiczne. Tragiczny poranek dnia 6 grudnia wydawał się jej ponurym, prawie niereczywistym w swojej grozie koszmarem, a żal po stracie kochanego, bliskiego i dobrego człowieka stawał się czasami tak silny, że niemal graniczył z chorobliwymi stanami melancholijnej depresji. Na domiar złego inne wydarzenia nie były pocieszające. Początkowo nic jej nie mówiono, dopiero po wyzdrowieniu dowiedziała się o wszystkim.

W Warszawie wybuchło powstanie. Wiadomość o tym była pozornie zupełnie pomyślna. Katarzyna wyraziła nawet uznanie, że „les braves Polonais“ biją Moskali, lecz wkrótce zasmuciła się. Kazimierz, który wystąpił z wojska austriackiego, aby móc po ślubie spokojnie gospodarować, podczas jej choroby pokryjomu opuścił Galicję i zaciągnął się do polskiej kawalerii. W innych latach może byłaby z tego dumna, ale obecnie

znajdowała się pod wrażeniem zgonu męża, owładnął ją najskrajniejszy pesymizm, panicznie więc obawiała się utraty syna i drżała o jego życie. Niedobre dziecko! Jak mógł porzucić chorą matkę i samowolnie iść na wojnę? Zupełnie zaś zgnębiły Katarzynę sprawy spadkowe.

Józef Benedykt Pawlikowski w 1829 roku spisał testament, w którym podzielił swoje majątki między dwóch synów i dwie córki ustanawiając głównym spadkobiercą najstarszego — Gwalberta. Nie przypuszczał wtedy, że ożeni się powtórnie, a gdy to uczynił, zaraz pomyślał o zabezpieczeniu żony. Katarzyna zresztą w ciągu miodowego miesiąca delikatnie przypominała mu o tym, ale nie nagliła do pośpiechu. Troskliwy mąż, chociaż nie spodziewał się rychłej śmierci, po przyjeździe do Lwowa zamówił reagenta. W poniedziałek o jedenastej miał spisać ponownie testament, lecz umarł o cztery godziny za wcześnie. Obowiązującą pozostała dawniej wyrażona ostatnia wola — wdowy nie zaliczono przeto do grona spadkobierców.

Na szczęście Gwalbert Pawlikowski bardzo polubił krótkotrwałą macochę, odnosił się do niej z wielkim sentymentem jako do ostatniej miłości swego-ojca, dlatego pozwolił jej zabrać z Medyki wszelkie prezenty, jakie dostała od małżonka, i obdarzył ją wspaniałomyślnie parotysięczną odprawą. Darowizna stanowiła poważną sumę, ale była niewspółmiernie mała w stosunku do tego, co mogła odziedziczyć. Słusznie rozpacziała: po co wychodziła za mąż? Urodzona hrabianka Jaworska, długoletnia hrabina Starzeńska, straciła tytuł, została zwyczajną panią Pawlikowską. Stanowiło to niemal degradację w hierarchii społecznej, którą odczuła tym bardziej boleśnie, ponieważ nie otrzymała za nią spodziewanej rekompensaty. Nic więc dziwnego, że nie mogła pogodzić się z niesprawiedliwością losu, nada-

remnie jednak buntowała się — tego, co się stało, niestety nie można odmienić.

W nadmiarze szczęścia, a później nieszczęścia, często zapominała o swoim drugim synu. Tymczasem profesor, u którego Gabriel Adam mieszkał na stacji we Lwowie, ciągle skarżył się, że nie otrzymuje w porę pieniędzy na jego potrzeby. „Zlituj się hrabino — pisał troskliwy pedagog w jednym z listów — i kup dziecku ze dwie sukienki“. Katarzyna zlitowała się, a gdy nieco ochłonęła z doznanych wstrząsów, przerwała naukę chłopca. Nie odznaczał się bowiem ani większymi zdolnościami, ani pilnością, sądziła więc, że karierę może zrobić tylko w c. k. wojsku. Zapisała go do prowincjonalnej szkoły wojskowej, aby został oficerem piechoty, a po dokonaniu tego, prawie zupełnie przestała nim się opiekować. Ongiś przyszedł na świat nieoczekiwany i niepotrzebny, swoimi urodzinami sprawił jej sporo przykrości, o których nie mogła zapomnieć — nie umiała przeto pokochać drugiego syna tak, jak kochała pierwszego.

Kazimierz, barczysty dryblas i pieszczoszek mamusi, w październiku 1831 roku powrócił do domu idealnie zdrow i kompletnie cały. Najczulej i najserdeczniej przeprosił Katarzynę za udział w wojnie — wybaczyła mu chętnie, gdyż podobnie postąpiło wielu utytułowanych młodzieńców z Galicji, trafnie więc rozumowała, że powstanie było modne, a udział w nim należał do dobrego tonu. W nagrodę dzielny powstaniec otrzymał od niej kilka majątków na własność, a nad resztą objął administrację. Posag Teofili pozwolił mu zapłacić dawne długi, aby można było zaciągnąć nowe. Nie miał żadnych zmartwień, z zapałem przekonywał matkę, że pod tym względem powinna go naśladować. Namowa poskutkowała — nieutulona w żalu wdowa przestała boleć i rozpaczać. Gdy upłynął rok żałoby po śmierci

Benedykta, w Górze Ropczyckiej zapanowało już nowe, bardzo przyjemne i wesołe życie.

POSZUKIWANIA MŁODOŚCI

Młody Starzeński sądził, że życie jest ustawicznym karnawalem, dlatego nie ustawał w poszukiwaniu przyjemności. Najbardziej martwiła się z tego powodu Teofila, kochała bowiem rozrzutnego męża, chociaż sama odznaczała się skłonnościami do oszczędności. Oczywiście nie lubiła tych wszystkich licznych gości, którzy w przeciągu wielu lat, bez przerwy odwiedzali pałac w Górze Ropczyckiej, serdecznie zapraszani i bardzo wystawnie podejmowani przez nowego dziedzica. Nie raz mu tłumaczyła, że przyjęcia są zbędne, że zwiększanie dworskiej kapeli jest pozbawione sensu, ale tak samo, jak w innych sprawach, wcale nie liczył się z jej zdaniem. Natomiast chętnie spełniał życzenia matki, która w zupełności pochwalała jego postępowanie i sama chętnie brała czynny udział w organizowaniu wszelkich zabaw. Podobny tryb życia całkowicie jej odpowiadał— nigdy nie przepadała za samotnością i zawsze lgnęła do ludzi, a gdy piła, tańczyła lub flirtowała, łatwiej zapominała o bliskiej starości.

Katarzyna szukała swojej młodości. Gdzie się podziała? Co się z nią stało? Była i zniknęła — najdziwniejsze jednak, że sama tego nie odczuła, tylko domyślała się na podstawie pewnych obserwacji. Lustro nie kłamało, skwapliwie notowało przybywające zmarszczki, ale jeszcze pochlebnie oceniało ongiś najpiękniejszą twarz. Niepokój budziło ciało, które rosło, zwiększało się i rozpierało gorsety. Mimo to krew bardziej burzyła się niż przed laty i prowokowała do zupełnie młodzieńczych porywów. Starzejąca się piękna Gabriela intensywnie przeżywała biologiczną tragedię kobiety, któ-

rej wdzięki przestają znajdować amatorów. I gdy rozmyślała nad dziwnym porządkiem życia ludzkiego, dochodziła do osobliwego, lecz niepozbawionego słuszności wniosku. Świat ostatnio ogromnie się zwiększył, stał się przestronny i pustawy. Dawniej był ciasny — nie mogła przejść niepostrzeżona, ciągle dookoła niej tłoczyli się liczni mężczyźni. Obecnie ludzie mijali ją z dala, nie zatrzymywali się, często jej nie dostrzegali. Przemijała dawna sława i życie traciło urok — musiała kontentować się wspomnieniami.

Człowiek jednak nie poddaje się od razu, nawet wtedy próbuje walczyć, gdy spodziewa się przegranej. Katarzyna przekonała się, że miłość jest ściśle związana z młodością, szukała przeto pierwszej pragnąc osiągnąć drugą. Ostatnie jej romanse były niestety krótkie i nieszczęśliwe. Różni młodzieńcy wyłudziali od niej pieniądze, zdradzali ją ze swoimi rówieśniczkami, a w końcu niespodzianie odchodzili. Jakiemuś niepełnoletniemu snobowi kupiła elegancki powóz, kiedy indziej całkowicie wykwapowała aspiranta na oficera, między innymi zapewniła możliwość ukończenia studiów pewnemu przystojnemu studentowi, ale to nic nie pomagało. Nadaremnie stroiła się i upiększała — po kilku latach musiała przyznać rację swojemu dawnemu przyjacielowi, poecie Walentemu Gurskiemu, który w wierszyku „Do podstarzałej“ wypowiedział nader cenne uwagi:

Po co tych Anno mozołów?
Porzuć róże i bielidła,
Nie wyrównasz w twarzy dolów,
Nie zastawisz w oczach sidła.
Czas jak rzeka pędem płynie:
Nie cofnie go żadna siła.
Której lat pięćdziesiąt minie —
Ta swą rolę już skończyła.

Zbrodniarza ciągnie na miejsce przestępstwa — podobnie Katarzyna zapragnęła odwiedzić te miasta, w których za czasów młodości święciła tryumfy. W 1834 roku udała się w prawie roczną podróż do Francji i Italii. Na dłuższy pobyt zatrzymała się w Paryżu i zaczęła poszukiwać znajomych. Nie znalazła prawie nikogo; jedni gdzieś wyjechali, drudzy poumierali, tylko Madame Récamier wciąż przyjmowała gości w swoim salonie. Salon nadal był świetny, chociaż skromniejszy niż przed laty, mieścił się bowiem w Abbaye aux Bois na rue de Sèvres, gdzie wynajmowano mieszkania dla zrzuńowanych kobiet z wyższego towarzystwa. Pawlikowska pośpieszyła odwiedzić byłą przyjaciółkę i została przyjęta bardzo uprzejmie. Później wielokrotnie bywała w słynnym salonie i obok kilku znakomitych ludzi poznała tam starego Chateaubrianda, stałego i wiernego amanta Julii. Obie niegdyś piękne zapomniały o wzajemnych, przebrzmiałych urazach, chętnie rozmawiały ze sobą, ale ich przyjaźń nie została wskrzeszona. Pożegnały się właściwie zupełnie obojętnie, po czym Katarzyna pojechała do Italii. Zwiedziła Neapol i Palermo, a w drodze powrotnej zatrzymała się na dłużej w Wiedniu. Odbyła piękną podróż sentymentalną, podczas której nie szukała nowych wrażeń, ale aktualizowała wspomnienia. Zwiedziła najbardziej pamiętne dla niej miejsca — młodości jednak nie odnalazła.

W KLASZTORNEJ CISZY

Po powrocie z zagranicy życie wróciło na dawne tory. Parę miesięcy w roku przebywała u syna, potem odwiedzała córki, jeździła do wód, a przynajmniej na kilka tygodni, podczas karnawału, wybierała się do Krakowa. Porządek ten nie zmienił się w ciągu szeregu lat, ale nie uskarżała się na jego monotonię, ponieważ jej

uwagę zaprzętały różne sprawy. Najczęściej były to sprawy dzieci albo wnuków, niekiedy majątkowe, zwykle drobne, a rzadko kiedy ważne. W tych jednak chwilach, kiedy pozostawała sama, dostrzegała w swojej egzystencji jakąś przeraźliwą pustkę, dobrze nie wiedziała dokąd ma dążyć i czego pragnąć. Nie układała już większych planów, nie wierzyła bowiem w możliwość ich urzeczywistnienia. Nie mogła znowuż ograniczać się tylko do marzeń i wspomnień — coś należało robić, zwłaszcza że przyjęcia i zabawy nie wypełniały całego wolnego czasu. Dlatego początkowo raczej względy praktyczne skłoniły ją do uprawiania praktyk religijnych.

„Odmieniła pani Pawlikowska — brzmi relacja Ksawerego Preka — później życia swojego sposób. Z kobiety światowej została nabożną, dewotką, na rękach nosiła różańce lub też z ksiązek odmawiała modlitwy, pomieszkanie zaś swoje świętych obrazami przyozdobiła“. Naturalnie nie stało się to od razu, lecz stopniowo i powoli. Katarzyna, wychowywana pod wielkim wpływem 'Voltaire'a, chociaż była chrzestną córką biskupa, dość sceptycznie traktowała dogmaty religijne, a nawet sądziła, że wiara potrzebna jest jedynie dla ludu. Nie przemyślane należycie poglądy na te sprawy, pierwszy poważnie zachwiał ksiądz biskup Woronicz, który w prywatnych, przyjaznych rozmowach dyskretnie próbował ją nawracać. Na razie bez należytej uwagi potraktowała wywody słynnego kaznodziei, ale później przypomniała je sobie i poważnie nad nimi się zastanowiła. Dotychczas uczęszczała na nabożeństwa w kościołach głównie ze względów towarzyskich, obecnie zaczęła modlić się naprawdę. Prawdopodobnie nie czytała „Myśli“ Pascala, lecz bezwiednie zastosowała się do wskazówek genialnego myśliciela. Do wiary można dojść przez stałe, mechaniczne odmawianie modlitwy.

Jeśli najpierw praktyki religijne traktowała jako niemęczące zajęcie, odpowiednie dla dystygowanej, starszej pani, to wkrótce stały się one dla niej istotną potrzebą. Przestały być jednym ze sposobów spędzania czasu, powtarzała je bowiem tak długo, aż zaczęła wierzyć.

Pomógł jej zresztą jeszcze jeden znakomity kapłan, który darzył ją swoją przyjaźnią. Franciszek de Paula Pištek pochodził z mało wybitnej rodziny czeskiej, ale dzięki wytrwałości w studiach teologicznych z czasem został kanonikiem w Pradze. Odwołany stamtąd do Tarnowa na stanowisko biskupa, po przybyciu do diecezji prędko nauczył się mówić po polsku. Według określeń pamiętnikarza „był wzrostu wysokiego, mocnej budowy, twarzy miłej, przystojnej... W domu jego wiele bywało uczt i zabaw...” Odznaczał się dużą inteligencją i doskonałą znajomością psychiki ludzkiej. Na jakimś przyjęciu poznał Katarzynę i odtąd spotykał się z nią bardzo często. Rychło ich znajomość przerodziła się w przyjaźń — dama z ufnością zwracała się do biskupa o różne rady i zawsze je otrzymywała. Wśród licznych problemów, jakie poruszali w rozmowie, sporo miejsca zajmowały zagadnienia filozoficzno-religijne. Kapłan wobec wdzięcznej słuchaczki chętnie wypowiadał swoje poglądy, a chociaż nie rozumiała wiele z tego, co mówił, zdołał objaśnić jej pewne religijne prawdy i przekonać o zgubnych skutkach niewiary.

Zapraszała go kilkakrotnie do Góry Ropczyckiej, a raz spotkała się z nim w Staniątkach, gdy przeprowadzał wizytację klasztoru Panien Benedyktynek. Zakonnice wystawnie podejmowały biskupa — podniosłą uroczystość tylko nieco zakłóciła nagła niedyspozycja panny ksieni. Oczywiście Ksawery Prek skwapliwie zanotował ten incydent w swoim pamiętniku, jak również postarał

się wyjaśnić — nie wiadomo jednak czy trafnie — przyczyny nagłej wizytacji:

„Pani Pawlikowska pewnego czasu będąc w Tarnowie oddała wizytę ówczesnemu biskupowi Pištěkowi. Upodobał ją sobie biskup nie wiedzieć czy z pobożności, czy też z innego względu, dość na tym, że często z nim sekretnie rozmawiała. Nawet, pod pretekstem odwiedzenia ksieni Duval, którą mu pani Pawlikowska zarekomendowała, zjechał się z tą ostatnią w Staniątkach niby wizytując klasztor Panien, gdzie był solennie przyjętym.

Odprawił biskup uroczystą mszę świętą, po czym na cześć jego wyprawiono suty obiad, podczas którego tylko z panią Pawlikowską i ksienią Duval rozmawiał i się bawił. Gdy jechał z panną Duval w karecie na spacer, a pani Pawlikowska w drugim pojeździe im towarzyszyła, raptem zatrzymał woźnica karekę, a panna Duval dostała spazmów. Wysiadł biskup z karety i wsiadł do powozu pani Pawlikowskiej; gdy przełożona przyszła cokolwiek do siebie, powoli powróciła sama nazad. Biskup zaś towarzyszył pani Pawlikowskiej i z nią powrócił, następnie podawali pannie Duval lekarstwa trzeźwiące.“

W 1835 roku Franciszek de Paula Pištěk został arcybiskupem lwowskim i przeniósł się do Lwowa. Katarzyna odtąd widywała go rzadko, tylko wtedy, gdy przyjeżdżała do stolicy Galicji. Lubiła bale, które urządzał, zwykle bywała na nich i zawsze bawiła się świetnie. Jeden z tych balów, wydany w styczniu 1839 roku przez dostojnika kościelnego na cześć gubernatora, księcia Ferdynanda d'Este, odznaczał się tak wielką wystawnością, że długo krążyły o nim po mieście istne legendy. W trzech ogromnych salonach przez całą noc płasali dostojni goście, a zasoby bufetu nie zostały wyczerpane, chociaż wszyscy bez umiaru pili najlepsze wina.

Podochocona Katarzyna, zamiast siedzieć pod ścianą, jak przystało na poważną matronę, parokrotnie zatańczyła z jakimś amatorem. Wywołało to ogólne zgorszenie. Wprawdzie tańczyła jeszcze lekko, a nawet wdzięcznie, lecz poważne damy jednogłośnie orzekły, że przez podobny postępek splamiła swoją zaszczytną godność babki.

Po powrocie z zagranicy Katarzyna corocznie spędzała parę miesięcy w klasztorze w Staniątkach. Jej przyjaźń z Katarzyną Duval trwała niezmiennie, wytrzymała wszelkie próby, a ostatnio znajdowała się w okresie największego rozkwitu. Obydwie nie posiadały się z radości, gdy mogły przebywać razem, kochały się bowiem coraz bardziej i coraz więcej były sobie nawzajem potrzebne. Na Pawlikowską cisza klasztorna wpływała nader podniosłe. Ogarniał ją wtedy spokój, przestawała myśleć o jakichkolwiek kłopotach, żarliwie i uczciwie modliła się, możliwe że zaczynała już myśleć o konieczności odpokutowania popełnionych grzechów. Wśród zakonnicy wyzbywała się zwątpień i niepokojów — czuwała nad nią mądra przełożona, która tak samo, jak ongiś, gorąco pragnęła, aby świecka przyjaciółka była zupełnie szczęśliwa.

Obydwie mieszkały w pięknie urządzonym apartamencie, wcale nie umartwiały się, podobne zwyczaje bowiem nie były praktykowane u Panien. Wprawdzie Katarzyna Duval obostrzyła regulamin polecając zamykać furtę klasztorną na klucz, ale stanowiło to niedogodność jedynie dla tych, którzy odwiedzali klasztor. Ksawery Prek, w drodze do Krakowa, zatrzymał się 13 lipca 1839 roku w Staniątkach i długo dzwonił, nim zajęta jakimś innymi sprawami odzwierna otworzyła furtę. W towarzystwie służącego wszedł na dziedziniec i spotkał ubranego w liberię lokaja.

„...Gdy mu powiedział (służący Preka) moje nazwi-

sko, ten ukłonił się bardzo nisko mówiąc: „Tu jest moja pani Pawlikowska, która bardzo kontenta będzie się z panem widzieć“. Wiedział, że z moją matką była w przyjaźni, sąsiadowała z nami, więc znała i interesowała się całą naszą rodziną. Zawsze ona przyjeżdża na kilka tygodni do Staniątek będąc w wielkiej zażyłości z ksienią tamtejszą, panną Duval...“

Głuchoniemego podróżnika młoda, przystojna siostra zaprowadziła z wszystkimi honorami do rozmównicy i podniosła kratę, zwykle rozdzielającą rozmawiających. Katarzyna czule go przywitała i dość wyraźnie porozumiała się z nim na migi. W pewnej chwili poprosiła, aby zaczekał.

„...po czym oddaliła się i wróciwszy pokazała mi, że panna Duval sama ze mną widzieć się raczy. W samej rzeczy wkrótce ujrzałem osobę wzrostu dużego, szlachetnej bardzo postawy, a chociaż nie pierwszej młodości, widać było rysy piękności nie powszechniej. Płeć jej nadzwyczaj jasna, tym więcej odbijała przy czarnym ubiorze i sobolowym kołpaku. Przezroczysta, śnieżnej białości kryza okrywała jej szyję, a krzyż złoty na piersiach zdobił jej całą postać. Skłoniła się mi z wielką powagą i wskazała na krzesło blisko kraty stojące, zadając mi kilka pytań za pośrednictwem pani Pawlikowskiej, która poprawiwszy łańcuch i cały ubiór ksieni, kazała mi podziwiać jej piękność. Wtem otworzyły się drzwi i weszła pokojówka z ogromną tacą, na której pełno zobaczyłem likworów, najwyborniejszych konfitur, sławnych pierniczków, tłuczenników, tatarskiego ziela i wszystkich specjałów, w których przyrządzaniu celują Panny Benedyktynki...“

Sjesta trwała dość długo, wreszcie przerwał ją dzwonek, wzywający panie na nabożeństwo. „Ksieni ze łzami w oczach — chwali się Prek — podała mi swój pierścień do pocałowania, a że rączka pulchniutka i biała,

z wielkim smakiem ją pocałowałem... Pani Pawlikowska nawet mi swoją twarz podała do pocałunku przez kratę...”

Sielanka przyjaciółek w sielankowym klasztorze skończyła się w trzy lata po wizycie pamiętnikarza. Dnia 8 listopada 1842 roku zmarła na raka, w wieku lat siedemdziesięciu, przełożona Panien Benedyktynek. Pogrzeb miała książęcy, na który przybył biskup z Tarnowa i moc kleru. Katarzyna Pawlikowska szła za trumną bezgranicznie smutna, zapłakana i ogromnie zdenerwowana. Oto kończyło się jej pokolenie, bezpowrotnie odchodzili ludzie najbliżsi i najpotrzebniejsi. Sama nie chciała jeszcze umierać, ale bała się, że rychło będzie zupełnie samotna. Nigdy tak wiele i szczerze nie płakała, jak po zgonie przyjaciółki. Kochali ją liczni mężczyźni, lecz wśród kobiet była jej zawsze wierna tylko jedna — Katarzyna Duval.

B A B I E L A T O

Małżeństwo syna Katarzyny z córką Benedykta było bezdzietne. Teofila bardzo się martwiła z tego powodu, lecz Kazimierz wcale się tym nie przejmował, ponieważ miał pod dostatkiem nieślubnych dzieci. Zwykle jeździł po swoich wioskach, wyszukiwał ładne dziewczyny i rekwirował je na parę nocy lub dłużej. Poza tym odznaczał się niepokojącą przedsiębiorczością w sprawach miłosnych wszędzie, gdziekolwiek się znajdował, a pogardę dla form konwencjonalnej przyzwoitości posunął tak daleko, że pewnego razu przywiózł do Góry Ropczyckiej z Wiednia jakąś pikantną blondynkę, wybudował dla niej piękny, drewniany dworek niedaleko pałacu i tam ją odwiedzał. Bardzo lubił polowania par force, dlatego rujnował się na psy i konie. W ogóle żył jak wielki pan, a szczególnie starał się im-

ponować swoim rzekomym bogactwem różnym arystokratom austriackim i czeskim, z którymi się przyjaźnił.

Namiętność do hazardu opanowała go całkowicie — oprócz gry w karty ogromnie lubił trzymać zakłady. W całej Galicji ogromną sensację wywołał jego zakład z Aleksandrem Wodzickim o to, który z nich pierwszy przyjedzie bryczką, zaprzęzoną w cztery konie, z Rzeszowa do Przemyśla. O wyznaczonej godzinie obaj zawodnicy jednocześnie rozpoczęli szalony wyścig, podczas którego przejechali wiele drobiu i dwóch ludzi. Początkowo prowadził Wodzicki, ale Starzeński miał konie bardziej wytrzymałe niż przeciwnik. Na ostatnich kilometrach przed Przemyślem wyminął go i pierwszy przybył na metę. Jako wygraną zainkasował wioskę, przeszło sto „dusz“ obojga płci i prawie tysiąc morgów ziemi. Często wygrywał również w karty, ale ogromne dochody były małe wobec jego wydatków.

Katarzyna wszystko przepisała na syna umawiając się, że może z jego kasy czerpać na swoje potrzeby tyle, ile uzna za stosowne. Teofila nie mogła walczyć z rozrzutnością męża, próbowała przeto ograniczyć wydatki teściowej. W związku z tym między kobietami dochodziło nieraz do kłótni, które stale łagodził najbliższy dla nich mężczyzna. Trwało to latami i atmosfera w Górze Ropczyckiej stała się nie do zniesienia. Pawlikowska ciągle zamierzała zmienić siedzibę, lecz syn nie pozwalał i prosił, aby nadal mieszkała u niego.

Nagle, w styczniu 1843 roku, zbuntowała się cicha i uległa wobec męża Teofila. Skorzystała z tego, że Kazimierz przebywał w Wiedniu — w towarzystwie kilku lokajów i fernali obiegła domek rywalki, zdobyła go i własnoręcznie podpaliła. Następnie w swoim pokoju długo znęcała się nad pikantną blondynką: ciągała ją za włosy, drapała i biła rzemiennym batem. Na pół

omdlałą wiedenkę kazała odwiedzić do Krakowa, a na pożegnanie poradziła jej, aby unikała dotychczasowego amanta, gdyż egzekucja może być powtórzona. Katarzyna, gdy dowiedziała się o tym, zbesztła Teofilę. Jak śmie wypędzać kochankę jej syna? I w ogóle, co sobie myśli? Niech pilnuje gospodarstwa i nie wtrąca się w sercowe sprawy męża! W rezultacie wybuchła awantura, która przerodziła się w bójkę. Dobrze wytresowana służba rozdzieliła walczące damy, a Kazimierz, po powrocie, nie miał czasu do rozmów o wypędzonej blondynie, musiał bowiem godzić żonę z matką.

Po długich pertraktacjach podały sobie ręce, Katarzyna jednak stanowczo oświadczyła, że opuszcza Górę Ropczycką. Tym razem syn nie sprzeciwiał się: wprawdzie prowadził burzliwe życie, ale cenił spokój w domu. Wyzначzył matce stałą pensję i sam ją odwiózł do Lwowa. Sądził, że zechce wynająć skromne mieszkanie obok jakiegoś kościoła, aby nie chodzić daleko na nabożeństwa — okazało się, że jej dobrze nie znał. Wynajęła w luksusowej kamienicy całe pierwsze piętro, ze wsi sprowadziła najlepsze meble, dywany i srebro, zażądała przysłania karety i koni oraz zaangażowała liczną służbę. Jeszcze raz postanowiła przypomnieć światu swoją dawną świetność.

Wkrótce salony Pawlikowskiej zasłynęły we Lwowie z nadzwyczaj wystawnych, licznych przyjęć i ogromnej gościnności gospodyni. Katarzyna umyślnie chciała stworzyć dookoła siebie tłok, aby nie czuć się samotną i nikomu niepotrzebną. Zupełnie niespodziewanie zjawił się amator do jej ręki, który uważał, że leciwa wdówka jest odpowiednią kandydatką na żonę. Do małżeństwa nie doszło, niemniej jednak—jeśli wierzyć Ksaweremu Prekowi — nieporównana ongiś uwodzicielka zdołała, z pewnością po raz ostatni, uwieść spóźnionego wielbiciela. „Zapoznała Włocha, generała austriackiego

Narboniego, człowieka choć niemłodego, ale silnego, którego sobie upodobała i z nim żyła“. Związek ten zdaje się być bardzo krótkotrwały, ponieważ generał rychło zniknął z jej otoczenia, w którym w ogóle znajdowało się bardzo mało mężczyzn. Podstarzały Benza już nie starał się z nią zobaczyć, a młodzi ludzie zjadali u niej obiady i pospiesznie biegli na randki. W wytwornym salonie przeważnie przesiadywały starsze panie i starsi panowie, którzy zwykle najchętniej rozmawiali o swoich dolegliwościach.

W letnich miesiącach Katarzyna jeździła do córek, bawiła się z wnuczkami i wtrącała się w ich sprawy. Parę razy udawała się do „badów“, aby się wykurować przed zimą, spędzaną w mieście. Nie zaniedbywała bynajmniej praktyk religijnych, stale dużo się modliła i uczęszczała na wszelkie nabożeństwa. Zaczęła również zajmować się filantropią — i przez to zaprzyjaźniła się z córką poety, Heleną z Gurskich Ponińską. Owdowiała księżna miała pewien talent literacki i nawet „popęłniła“ powieść, w której po francusku opisała dzieje mitycznej Wandy. Poza tym zbudowała klasztor w Czerwonogrodzie, finansowała stowarzyszenie dam dobroczynnych będąc przełożoną tej instytucji i przyczyniła się do powstania zakładu wychowawczego dla sierot płci żeńskiej we Lwowie. Katarzyna pomagała jej w niektórych pracach i chętnie ofiarowywała różne sumy na różne cele. Nie tyle jednak z tego, ile z innego powodu zdołała pozyskać dozgonną wdzięczność znakomitej działaczki społecznej.

Leszek Dunin-Borkowski — w swoim świetnym paszkwilu „Parafiańszczyźnie“ — Ponińską nazywa „Facjendą“, a przybyłego w 1840 roku z Francji młodzieńca, Włodzimierza Borkowskiego — „Plewą paryską“. „Plewa“ umizgał się do jednej z córek „Facjendy“, nie zdołał jednak pozyskać sympatii wyniosłej ma-

trony, mimo że paradował w ubiorze francuskim oraz nosił długie włosy i hiszpańską bródkę. Demonstracyjnie przestała zapraszać go do siebie, ale ujeli się za nim przyjaciele. Wybuchł osobliwy, nienotowany w kronikach towarzyskich strajk — arystokratyczna młodzież gremialnie bojkotowała przyjęcia u księżnej, a amanci nie zalecali się do jej córek. Wytworzyła się sytuacja niezwykle poważna, ponieważ Włodzimierz Borkowski nie zgadzał się na żaden kompromis i żądał specjalnych przeprosin. Dopiero Katarzynie udało się przerwać strajk za pomocą pośpiesznie sprowadzonych z Krakowa łamistrajków i skłonić obrażonego „Plewę“ do zaprzestania starań o rękę księżniczki. Kosztowało to немало zachodu, ale spełniono wielkie dzieło: uratowanie prestiżu przyjaciółki stanowiło dostateczne wynagrodzenie za wszelkie wysiłki.

Wśród ludzi, którzy odwiedzali apartamenty Pawlikowskiej, parokrotnie znalazł się również Juliusz Dzie duszycki, nieporównany elegant i znakomity hodowca koni, w towarzystwie serdecznego przyjaciela, początkującego malarza Juliusza Kossaka. Później hrabia i artysta rozmawiali o Katarzynie i serdecznie jej współczuli. Niepotrzebnie tyle wydaje — czy nie widzi, że znaczna część ludzi przychodzi do niej jedynie ze względu na dobre trunki i gastronomiczne atrakcje przyjęć? Mieli zupełną rację — dotychczasowy tryb życia przysparzał jej więcej kłopotów niż przyjemności. Z otrzymywanej pensji nie mogła pokryć wszystkich wydatków, musiała sprzedać resztki biżuterii, a potem bez opamiętania zaczęła zaciągać długi. Ogarnęło ją niemal szaleństwo, postępowała ogromnie lekkomyślnie, chociaż z pewnością wiedziała, że nie będzie mogła uregulować zobowiązań. Może spodziewała się rychłej śmierci? Nie wiadomo — warto jednak w archiwum w Górze Ropczyckiej przejrzeć trzy grube teki, które lepiej infor-

mują o jej pobycie we Lwowie niż jakiegokolwiek wzmianki pamiętnikarzy lub listy.

W dwóch pierwszych tekach znajduje się kilkaset weksli na różne sumy, wystawionych przez Katarzynę w latach 1844—1847, a wykupionych stopniowo przez syna dopiero po 1850 roku. Z tych rewersów wynika, że przedsiębiorcza wdowa pożyczła nie tylko we Lwowie, ale również w Brodach, w Gródku, w Żółkwi i w innych galicyjskich miasteczkach. Widocznie stołeczni lichwiarze już nie uważali jej podpisu za dostateczną gwarancję, lecz prowincjonalni jeszcze bez zastrzeżeń otwierali przed nią swoje kasy. Wreszcie w ostatniej tece spoczywają zapłacone po latach rachunki dostawców, które pozwalają zorientować się w wydatkach Katarzyny. Na przykład z pewnej cukierni, od dnia 22 lipca do dnia 10 sierpnia 1846 roku, wybrała „kompotów, konfiturów, soków i ciast“ na kwotę 23 złotych reńskich i 43 krajcarów. Marnotrawstwo jej stało się zupełnie złośliwe, nie ulega bowiem wątpliwości, że w ten sposób, oprócz wyżycia się, pragnęła dokuczyć oszczędnej synowej. Teofila rzeczywiście bardzo denerwowała się jej rozrzutnością, chociaż Kazimierz na razie nie płacił długów matki, ponieważ sam miał poważne kłopoty finansowe.

U C I E C Z K A

W lutym 1846 roku umarł arcybiskup Franciszek de Paula Pištěk, ostatni przyjaciel Katarzyny. Zmartwiona tym ciosem, wcale nie przejęła się krwawymi chłopskimi rozruchami, które w końcu miesiąca objęły Galicję zachodnią. Wdzięczni poddani Kazimierza Starzeńskiego bardzo chcieli poderżnąć gardło swojemu panu, ale obronili go żandarmi austriaccy. Natomiast Kunegunda Spławska, przebywająca na stare lata w Sufczyńcu

u syna z pierwszego małżeństwa, zmarła na atak serca widząc groźnie maszerującą na dwór chłopską bandę. Pawlikowska zamówiła przeto jedno nabożeństwo dziękczynne, a drugie — żałobne, lecz nie zainteresowała się przyczyną zaszłych wydarzeń. Od dłuższego czasu nie orientowała się ani w politycznych, ani w socjalnych sprawach — przestała być podobna do owej kobiety, która przed czterdziestu laty skutecznie kibicowała przy tworzeniu trzeciej koalicji. Starość zamyka ludzi — ostatnio zajmowała się wyłącznie sobą.

Gwalbert Pawlikowski, znakomity mecenas nauki i sztuki, twórca wspaniałej biblioteki i wicekurator Ossolineum, pomagał jej finansowo w miarę sił i możliwości. Córki również przysyłały pieniądze, lecz to wszystko nie wystarczało i w październiku 1847 roku nastąpiła katastrofa. Od miesiąca znecierpliwieni, zuchwali wierzyciele nie opuszczali mieszkania Katarzyny i domagali się pieniędzy, ponieważ dowiedzieli się o fatalnej sytuacji państwa ropczyckiego. Była bardzo zdziwiona: jak można napastować słabą, bezbronną kobietę? Twardzi ludzie jednak nie zważali na to, nasyłali komorników, składali skargi do sądu i grozili osadzeniem jej w areszcie. Przestraszyła się, spróbowała udawać chorą — nic nie pomogło. Wówczas przypomniała sobie podobne przejścia w Neapolu i zastosowała stary, wypróbowany sposób. Zaufanemu stangretowi kazała przygotować karetę i w nocy, po kryjomu, w towarzystwie tylko jednej pokojowej wyjechała na zawsze ze Lwowa. Za rogatekami miasta odetchnęła z ulgą — narzeczcie niebezpieczeństwo przestało grozić!

Osiedliła się w Krakowie, a po paru tygodniach przekonała się, że jej radość była przedwczesna. Wierzyciele przyjechali za nią jeszcze bardziej natarczywi i groźni. Syn nie mógł jej obronić, przebywał bowiem w Wiedniu, gdzie zabiegał o łaski monarchy, przeko-

nała się zaś, że nie może liczyć na pomoc ze strony nawet najlepszych znajomych — odwrócili się od niej wszyscy, gdy znalazła się w tarapatach. Należało dalej uciekać, ale nie miała pieniędzy na dłuższą podróż. Ktoś jej poradził, że mogłaby bezpiecznie się schronić w jakimkolwiek miasteczku, leżącym za rosyjską granicą. Rada była dobra — wierzyciele nie mogli kontynuować pościgu na terenie obcego państwa. Toteż w połowie stycznia 1848 roku Katarzyna przybyła do Kielc i zamieszkała przy ulicy Wielkiej, w domu oznaczonym numerem 172, należącym do nieznaney bliżej historykom pani Łaszczki.

KATARZYNE OGARNIA ZIMA

Minęło bezpowrotnie babie lato życia Katarzyny — nadeszła i ogarnęła ją ponura, rzadko kiedy pogodna zima. Miała zamiar na wygnaniu przebywać krótko, przebywała zaś prawie cztery lata. Zaraz po przyjeździe do Kielc poważnie zachorowała na tyfus. Otoczona obcymi ludźmi, nie pielęgnowana należycie i nie dogładana przez dobrych lekarzy, długo leżała w łóżku, a po wyzdrowieniu stale narzekała na osłabienie. Ucieczka z Galicji i choroba wstrząsnęły nią niezwykle silnie: spoważniała, wyzbyła się dawnych przyzwyczajzeń i rozpoczęła nowe życie.

W owych latach Kielce były małym miasteczkiem, w którym życie towarzyskie ograniczało się do pewnego ożywienia podczas karnawału, gdy zjeżdżali się ziemianie z okolicy. Katarzyna nie miała absolutnie żadnych pokus, mieszkała zaś bardzo skromnie — nikomu nie chciała już imponować. W wydatkach była ograniczona, syn bowiem niewiele przysyłał, a każdą propozycję pożyczki traktowała jako zniewagę. Zbliżając się do

siedemdziesiątej rocznicy urodzin przestała zaciągać długi! Oczekiwała zresztą śmierci, nie miała przeto czasu na zajmowanie się rzeczami doczesnymi — usiłowała myśleć tylko o wieczności.

Przez wiele miesięcy mieszkańcy miasteczka codziennie oglądali drepczącą do kościoła lub wracającą do domu staruszkę. Podziwiali jej pobożność, często bowiem spowiadała się i przyjmowała Komunię, a w swoim mieszkaniu stale czytywała Biblię albo odmawiała różaniec. Przychodziły dnie i noce, podczas których patos wiary osiągał największe natężenie, całkowicie opanowywał jej wyobraźnię i przesłaniał rzeczywistość. Potem następowało niemiłe przebudzenie — życie było twarde i trudne, teoretycznie pogardzała nim, ale w praktyce nie chciała jeszcze z nim się rozstawać. W listopadzie 1849 roku napisała ostry list do Gwalberta Pawlikowskiego, w którym wyraziła oburzenie, że od półtora roku nie ma żadnej wiadomości z Medyki i prosiła o przysłanie przynajmniej paruset reńskich. Na zakończenie dodała: „Zdrowie moje ciongle iest nie³ dobre y bardzo zwontlone, może sie Bóg ulituie moyem Cierpieniem y Zakończy życie kturę mi iest Cienżarem...”

Gwalbert wysłał żądane pieniądze, a ponieważ lubił porządek, sporządził zapis, w którym zobowiązał się w swoim i swoich spadkobierców imieniu, że Katarzyna jako dożywocie będzie dostawała co roku na 1 czerwca i 1 grudnia po 75 złotych dukatów. Tymczasem Kazimierz, uniesiony patriotyzmem austriackim, wstąpił do wojska i bardzo mężnie walczył z Węgrami. Na polu bitwy został mianowany majorem, a w rozkazach naczelnego wodza często wyróżniano go pochwałami. Młody cesarz Franciszek Józef w pełni ocenił lojalność polskiego hrabiego — gdy skończyła się wojna, z prywatnej szkatuły wyasygnował dla niego większą

sumę. Państwo ropczyckie zostało uratowane, a zdemobilizowany major mógł spokojnie zająć się interesami matki. Wezwał do siebie jej wierzycieli i zawarł z nimi wcale korzystną ugodę. Dalsze przebywanie Katarzyny na wygnaniu stało się zbyteczne, nie wróciła jednak od razu do Galicji.

Przyzwyczała się do ciszy małego miasteczka, czuła się tam prawie tak, jak w klasztorze — bezpiecznie i spokojnie. Nikt jej nie przeszkadzał w modlitwach, a ostatecznie wynalazła parę kumoszek, z którymi mogła plotkować. Długo ociągała się z powrotem, aż zaniepokoiło to całą rodzinę. U schyłku 1851 roku do Kielc przyjechały obie córki oraz syn z żoną, wszyscy czule namawiali Katarzynę, aby powzięła jakąś decyzję o swoim dalszym życiu. Po namyśle wyraziła chęć zamieszkania na stałe w Krakowie. Uznano ten projekt za wyśmienity i postanowiono go natychmiast zrealizować. Wprawdzie wciąż wysuwała jakieś obiekcje, ale prędko spakowano jej rzeczy, a ją wsadzono do karety. Narzekała, że niepotrzebnie się śpieszą, ale naprawdę była bardzo ucieszona — uciekała z Galicji sama, za to wracała w otoczeniu dzieci.

W Krakowie wynajęła dwupokojowe mieszkanie w oficynie klasztoru sióstr Bernardynek przy kościele św. Józefa. W oficynie mieszkały same starsze panie, które nie przyjmowały ślubów zakonnych, modliły się jednak i umartwiały razem z zakonniceami — ale tak, żeby się tym nie bardzo zmęczyć. Katarzynie nowa siedziba wydała się wymarzonym miejscem odbycia pokuty. Po długich bowiem rozważaniach doszła do przekonania, że powinna przykładowo i ciężko odpokutować wszelkie grzechy dawnego, rozkosznego życia. I zaraz, niezwłocznie, opracowała cały regulamin, który miał zgłębić i upokorzyć niegdyś cudne, nade wszystko dla niej cenne ciało.

Teofila Starzeńska nie była ani zła, ani mściwa. Nie umiała długo pamiętać o urazach, toteż po przyjeździe teściowej z Kielc do Krakowa, przykładnie dbała o jej potrzeby. Czuwała zwłaszcza nad tym, aby Katarzyna otrzymywała punktualnie rentę, zapisaną przez Gwałberta Pawlikowskiego. Ofiarodawca zmarł bowiem w lutym 1852 roku, a jego syn i spadkobierca, Mieczysław, nie zawsze w ustalonych terminach przysyłał pieniądze kobiecie, którą zaledwie parę razy widział i którą — chociaż właściwie nie należała do rodziny — musiał tytułować babką. Poważniejsza zwłoka w wypłacie zaszła zresztą tylko bezpośrednio po śmierci jego ojca, gdy był jeszcze niepełnoletni i majątkami administrował razem z matką i opiekunem. Teofila wówczas wytrwale przynaglała go do honorowania zapisu. „Kochany Mieczu! — pisała w jednym z listów. — Posyłam Ci kopię zapisu i proszę Cię staraj się, aby jak najprędzej tę sprawę ułatwić. Matka męża mego narobiła dużo długów, cała jej pensja, co pobiera od nas, idzie do Lwowa dla wierzycieli i to jest jej cała subsystencja: pensja, co pobiera po ś. p. bracie moim a Twoim ojcu...”

Kazimierz ostatnio mało się zajmował sprawami matki, ponieważ komplikacje własnego życia całkowicie zaprzętały jego uwagę. W Przemysłu poznał dużą, ładną dziewczynę, Marię Smorągiewiczównę, która u pewnej sędziwej hrabiny zajmowała zaszczytne stanowisko starszej pokojowej i panny do towarzystwa. Nowa znajoma wydała mu się tak dalece urocza, że nie namyślając się zaproponował jej posadę gospodyni u siebie, a gdy przyjęła ponętną ofertę — przywiózł ją do Góry Ropczyckiej. Teofila miała przeto w pałacu rywalkę, której w żaden sposób nie mogła usunąć. Prosiła Katarzynę o interwencję, ale ta nie mogła jej pomóc,

straciła bowiem dawny wpływ na syna. Pokutująca starszka obecnie gorszyła się wszelkimi romansami i solidaryzowała się z synową, chociaż przed dziesięciu laty, w podobnym wypadku, zajęła wręcz przeciwne stanowisko.

Gdy w grudniu 1854 roku Teofila zachorowała na tyfus, Katarzyna natychmiast przyjechała, aby ją pielęgnować. Choroba była jednak mocniejsza od organizmu — w przeddzień wigilii skonała żona Kazimierza, a niemal w tej samej chwili w drugim skrzydle pałacu rozległo się kwilenie nowonarodzonego, pierwszego syna Marii Smorągiewiczówny. Wzburzona tymi wydarzeniami Pawlikowska, bodaj po raz pierwszy, ostro skrytykowała postępowanie syna i wytknęła mu jego rozwiązłość. Wysłuchał ją spokojnie, a potem, w paru słowach, cynicznie odpowiedział. A jak było z mamą? Czy mama nie zdradzała swoich mężów i kochanków? Naturalnie trudno było na te tematy dyskutować, wróciła więc do Krakowa zupełnie roztrzęsiona, rozgoryczona i rozżalona. Nie wątpiła, że zaczyna ją spotykać kara doczesna — chyba należy więcej pokutować, aby uniknąć wiecznej.

We wszystkich następnych latach, aż do dnia śmierci, życie Katarzyny płynęło ogromnie jednostajnie, lecz tylko na pozór było spokojne. W jej duszy szalała burza i ustawicznie ścierały się nadzieje — będzie czy nie będzie zbawiona? Weszła niemal zupełnie do klasztoru, stała się prawie mniszką, z największą gorliwością spełniała przepisy zakonne. O świcie zrywała się z łóżka i szła na nabożeństwo, następnie zaś w ciągu dnia na klęczkach słuchała mszy i niesporów. Ubrana w szarą, zniszczoną suknię dreptała po nawach i przedsionku nosząc wiadra wody — gorliwie i starannie szorowała kamienne płyty czołgając się po nich kolanami. Uprosiła przełożoną, aby tylko ona jedna mogła myć i za-

miatać posadzkę w kościele. Dzięki temu czuła się służebnicą świątyni — była nawet bardzo dumna, że tak wytrwale spełnia nowe, ciężkie, a przecież doniosłe obowiązki. Jedyne na chwilę przerywała pracę, gdy znajdowała się przed ołtarzem — uderzała się wtedy w piersi i szeptała drżącymi wargami: „Mea culpa...”

Arystokratyczne towarzystwo krakowskie, w którym żyły tradycje dawnej świętości Katarzyny, obserwowało jej obecne życie z dużym zainteresowaniem i zdziwieniem. Wiele osób nie zważając na popełniane niekontakt specjalnie chodziło do kościoła, żeby zobaczyć pokutnicę przy pracy. W owych latach ujrzał ją również Ludwik Dębicki i w swojej książce „Z dawnych wspomnień“ napisał, że poznał „staruszkę o zapadłych oczach, opadłych policzkach i otwartych ustach, która — po bardzo świętym i burzliwym życiu w różnych stolicach Europy — osiadła na ostatnie lata przy klasztorze św. Józefa w Krakowie na dewocji, a dla pokuty i umartwienia zamiatała kościół“. Nie była to jej jedyna pokuta. Nieraz całe noce leżała krzyżem i prosiła Boga o przebaczenie. Jeśli jawno grzesznicom wybaczano winy — dlaczegoż by ona nie miała otrzymać rozgrzeszenia? Nastrój religijny potęgował się ustawicznie — i Katarzyna zamykała się coraz bardziej w świecie własnych psychicznych przeżyć, z którego jedynie wyrywała ją czasem tęsknota za rodziną.

ECHA PRZESZŁOŚCI I TERAŹNIEJSZOŚĆ

Przychodziły takie dni, kiedy bardzo boleśnie odczuwała swoją samotność. Jej potomstwo wciąż powiększało się, nawet wnuczki już powychodziły za mąż i rodziły dzieci — była prababką, lecz nie miała z tego żadnych radości. W listach do rodziny stale narzekała, że jest opuszczona i zapomniana. Krewni, gdy odwiedzali

Kraków, zwykle tylko na chwilę wpadali do jej mieszkania i zaraz pośpiesznie się żegnali. Wszyscy mieli swoje troski i kłopoty — stara, biedna kobieta nikomu nie była potrzebna. Nie mogła zresztą hojnie podejmować gości — musiała ograniczać się w wydatkach, ponieważ otrzymywała bardzo mało pieniędzy, a dość szczerze rozdawała jałmużnę.

Sprzątanie kościoła oczywiście nie ma nic wspólnego ze sprzątaniem prywatnego mieszkania. Katarzyna nie zapomniała o tym, że jest wielką panią, i byłaby ogromnie nieszczęśliwa, gdyby musiała poniżyć się do pracy fizycznej u siebie. W domu usługiwała jej pokojowa, a dla gotowania postnych potraw — ciągle bowiem pościła — przychodziła wykwalifikowana kucharka. Ponadto kilku pinczerków, które trzymała w pokojach, doglądała specjalnie zaangażowana, młoda dziewczyna. Zastęp służby prezentował się przeto pokaźnie, mieszkanie było dostatnio umeblowane, nie groził ani głód, ani zimno — ale arystokratce, przyzwyczajonej do luksusowego komfortu i przepychu, obecna stopa życiowa wydawała się nędzna, uboga i — co nawet ją radowało — typowo pokutnicza, jeśli nie pustelnicza.

Pewnego dnia przyszedł do niej wysoki, zupełnie siwy i bardzo stary mężczyzna. Wzrok miała słaby, nie poznała gościa, niemniej jednak uprzejmie poprosiła, aby usiadł. Później zdumiona słuchała dziwnie znajomego głosu, którym były wypowiedane niezwykle słowa. Czy pamiętasz, Gabrielo? To przecież było cudowne, a pozostały po tym jedyne, niezatarte wspomnienia! Nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi, i zniecierpliwiła się: o czym ma pamiętać? Wówczas mężczyzna się zdziwił. Czyżby zapomniała? A noc weselna na Podolu, wesołe zabawy w Neapolu i spacer po ogrodach Monreale w Palermo? A ich miłość niespodziewana, gorąca, zdawałoby się wieczna? Od chwili, gdy odeszła od nie-

go, upłynęło prawie pół wieku, ale nie przestał o niej myśleć. Przyjechał teraz specjalnie z daleka, żeby ją zobaczyć — inaczej nie mógłby spokojnie umrzeć.

Zrozumiała, że siedzi przed nią Stanisław Komar. Przyglądała mu się i nie wierzyła własnym oczom — był przecież dorodnym i postawnym chłopcem, gdy tymczasem ona rozmawiała z pochylonym starcem o twarzy pooranej zmarszczkami. Nie zgadzała się z nim w poglądach na wartość minionych przeżyć, zerwała się przeto pośpiesznie z krzesła oświadczając, że musi iść do kościoła. Nie była zadowolona z tych odwiedzin — cierpko, niegrzecznie powiedziała, żeby nigdy do niej nie przychodził. Żałuje wszystkiego, co się stało — niech więc idzie i nie przypomina o ich grzesznej miłości!

Po upływie pół roku dowiedziała się o zgonie Komara i odtąd, co kilka miesięcy, zamawiała msze żałobne za spokój jego duszy. Nieoczekiwana wizyta stała się dla niej ostatnim echem przeszłości, do której niechętnie powracała myślami — świadomość, że granice życia przekroczyli ludzie niegdyś najbliżsi, nie należała do najprzyjemniejszych. Jej pokolenie niemal zupełnie wymarło, a jej epoka dawno się skończyła. Spoczywali już w grobie: „geniusz sławy“, Henryk Lubomirski, świetny książę pierwszego cesarstwa, Eugeniusz de Beauharnais, pechowy dyplomata, lord Artur Paget, niespokojny generał, Teodor Korf i wielu, wielu innych. Niedawno jej doniesiono, że w październiku 1859 roku zmarł we Lwowie, w nędzy i opuszczeniu, schorowany Antoni Benza, najświetniejszy polski aktor swoich czasów i najcudowniejszy kochanek. Katarzynę przerażały te zgony oraz niepokoiły dziwne przemiany, jakie zachodziły na świecie. Niestety, nie mogła zrozumieć ani nowych ludzi, ani nowych wydarzeń, z którymi spotykała się na stare lata.

Z tamtych czasów przechowały się w Medyce listy, pisane przez nią do Mieczysława Pawlikowskiego i jego żony. Niewielkie arkusiki papieru, pokryte drżącym, mało czytelnym pismem, pozwalają zorientować się w jej pozareligijnych zainteresowaniach u schyłku życia. Najczęściej dopomina się o punktualne przekazywanie renty, a nawet parodniowa zwłoka poważnie ją denerwuje. Wielokrotnie powtarza, że gdyby nie dobroć syna, znajdowałyby się w przykrym położeniu. W jednym z listów na przykład zawiadamia o zamierzonych zakupach prowiantu, węgla i drzewa, w innym zaś dobitnie nadmienia: „...ja z grosza żyję, a potrzeby, zwłaszcza zimowe, są konieczne — a przy tym taka drożyzna...” Okazuje się więc, że dawna rozrzutnica wyzbyła się rozrzutności i skrzętnie rachowała pieniądze, które zamierzała wydać. Niemniej często oświadcza żonie Mieczysława, Helenie, o swoich uczuciach rodzinnych — i złości się, gdy ta jej nie odpisuje. Podaje o sobie jedynie ogólne informacje, z których wynika, że w lecie 1858 roku jeździła do wód pragnąc odpocząć po długim pobycie w mieście.

W 1860 roku przestała sama pisać listy — dyktowała je jakiejś zakonnicy, kładła tylko własnoręczny, niezbyt wyraźny i zawsze taki sam podpis: „Kochająca Was Babka“. Objaśniła, że dlatego wyręcza się w korespondencji inną osobą, ponieważ wzrok ma bardzo słaby i nie dowidzi liter. W rok później pisze znowuż o swoim przywiązaniu do rodziny Pawlikowskich, chociaż jest przez nią zapomniana, i zapytuje Mieczysława, czy jego żona już zległa w połogu. Następnie przesyła gratulacje z okazji urodzin Jana Gwalberta, w przyszłości profesora ekonomii i autora znakomitych studiów nad Słowackim — a jednocześnie zawiadamia, że czuje się doskonale i w wolnych chwilach każe sobie czytać różne gazety, z których najciekawszą dla niej

jest „Czas“. Bardzo pragnie zobaczyć miłych mieszkańców Medyki, toteż ciągle zaprasza ich do Krakowa.

Rychło spotkała ją wielka przyjemność — Helena przebywając w Krakowie zaszła do niej i przyniosła z sobą małego synka. Starsza pani nie mogła się nacieszyć Jasiem i dość długo w listach rozwodziła się nad jego urodą. Niemniej troskliwie zainteresowała się następnym porodem żony Mieczysława i serdecznie gratulowała jej drugiego syna, Tadeusza, który w dojrzałym wieku zasłynął jako dyrektor teatru. W lecie 1862 roku oglądała tego malca u siebie i również stwierdziła, że jest piękny. Przedtem, w końcu kwietnia, gościła obie córki i dwie wnuczki, które przyjechały przedstawić jej nowe prawnuczki. Ten zjazd rodziny podniósł ją mocno na duchu, a swoje osiemdziesiąte urodziny obchodziła w lepszym humorze niż siedemdziesiąte. I gdyby nie gasnący wzrok, i drżące ręce, byłaby zupełnie zdrowa. Wszelkie jej dawne dolegliwości minęły — zdawało się, że organizm funkcjonował bez zarzutu. Bardzo się tym szczyciła i zachęcała wszystkich, aby brali z niej przykład. Oto jak korzystnie wpływa na człowieka pokutnicze życie w klasztorze.

ZAMKNEŁY SIĘ NA ZAWSZE OCZY CUDOWNIE OWALNE

Oczy, które gasły i zapadały się, nie przestawały być piękne przez swoją cudowną owalność. Zachowały dawny wyraz i kształt niemal prawidłowej elipsy, chociaż straciły dawną barwę i blask. Należy przypatrzeć się akwareli, przedstawiającej siedemdziesięciokilkolletnią Katarzynę, aby stwierdzić, że na starość miała jeszcze zupełnie fascynujące spojrzenie. Kazimierz Starzeński jadąc do Wiednia odwiedził ją w listopadzie



KATARZYNA Z JAWORSKICH STARZEŃSKA-PAWLIKOWSKA.

Według portretu Franciszka Górcarda.



GABRIEL BOBRONICZ-JAWORSKI

. Według współczesnej miniatury.



NA POLOWANIU.
Rysunek Juliusza Kossaka.



ZABAWA STARSZEGO PANA.

Rysunek Juliusza Kossaka.



ELEGANCI LWOWSCY.

Szkice Juliusza Kossaka.



JÓZEF BENEDYKT PAWLIKOWSKI.

Według portretu Karola Schweikarta.



KAZIMIERZ STARZEŃSKI.
Według współczesnego portretu.

1862 roku, a w liście do Marii Smorągiewiczówny napisał: „Matka bardzo się postarzała, na zdrowie nie narzeka, widzi słabo, ale nie poznać tego po niej, bo oczy ma śliczne jak dawniej i młodsze od twarzy. Prosiłem przełożoną Bernardynek, żeby czuwała nad nią i nie pozwalała jej pracować w kościele...”

Po wizycie syna czuła się jednak coraz gorzej i coraz częściej ogarniała ją senność. Zapadała w drzemkę, gdy leżała krzyżem lub modliła się; nie przychodziła regularnie na ranne nabożeństwa, spała bowiem mocno i długo, a służąca — w myśl instrukcji rodziny — umyślnie jej nie budziła. Stara „la belle Gabrielle“ sądziła, że osłabiająco wpływa na nią wilgotne, jesienne powietrze i z niecierpliwością oczekiwała zimy. Zamierzała na Boże Narodzenie przyjechać do Góry Ropczyckiej, toteż przydzielonej do siebie zakonnicy dyktowała listy do wszystkich potomków z zaproszeniami na ogólny, wielki świąteczny zjazd rodzinny. Cieszyła się na myśl, że zamierzona impreza dojdzie do skutku, że wreszcie ujrzy razem zebrane trzy wywodzące się od niej pokolenia. Tylko czy będzie podczas świąt mróz i dobra sanna? Trochę niepokoila się z tego powodu, ponieważ pragnęła przejechać się sannami po dawno niewidzianych włościach państwa ropczyckiego.

Dnia 18 grudnia wstała bardzo wcześnie i poszła na mszę, podczas której wypowiedziała się i przyjęła Komunię. Wróciła do mieszkania bardzo zmęczona, znów położyła się do łóżka i zasnęła. Po dziewiątej przyszła jakaś znajoma staruszka, wobec czego pokojowa spróbowała obudzić swoją panią. Katarzyna długo nie reagowała na wołania, w końcu otworzyła oczy, podniosła się i usiadła na pościeli. Z trudem zrozumiała, co do niej mówiono, i dopiero po paru minutach oświadczyła, że nie chce nikogo przyjmować.

— Niech zaczeka — powiedziała po namyśle. — Muszę się wyspać. Powiedz w kościele, że dzisiaj nie będę sprzątała.

Opadła na poduszki i nagle zaczęła przeraźliwie jęczeć. Zdenerwowana i przestraszona pokojowa pobiegła prędko do klasztoru po przełożoną, a następnie po lekarza. Oczekująca w sąsiednim pokoju staruszka weszła do sypialni i wlewając do ściśniętych warg umierającej różne lekarstwa starała się ją uratować. Nic jednak nie działała — w pewnej chwili rozległ się tylko głośniejszy jęk, po którym w pokoju zaległa prawdziwie grobowa cisza. Oczy cudownie owalne zamknęły się na zawsze — „la belle Gabrielle“ umarła.

Tego samego dnia proboszcz parafii Wszystkich Świętych wpisał do aktów zejścia następujący protokół:

Nr. 114. Roku 1862 dnia 18 grudnia o godzinie 4 z południa, przed nami Dziekanem Kolegiaty i Parafii Wszystkich Świętych, i c. k. urzędnikiem stanu cywilnego w Krakowie stawili się: Antoni Urbański, lat 40, i Piotr Gałuszkiewicz, lat 48 liczący, słudzy parafialni, i oświadczyli nam, że dziś o godzinie 10 z rana w domu pod liczbą 92 przy ulicy Grodzkiej umarła Katarzyna hrabina Pawlikowska, lat 84 licząca. Po czym akt ten stwierdzającym został odczytany i gdy ci pisać nie umieją, sami go podpisaliśmy.

Czcigodni słudzy kościelni dodali Katarzynie prawie tyle lat, ile ona ujęła sobie przy zawieraniu drugiego małżeństwa — zmarła bowiem w siedem miesięcy po osiągnięciu osiemdziesiątki. Pogrzeb, który odbył się 20 grudnia, był bardzo skromny. Zwłoki złożono na cmentarzu krakowskim, a dopiero po kilku miesiącach przewieziono do Góry Ropczyckiej. Ostatecznie spoczyły w grobowcu rodzinnym obok trumny Gabriela Jaworskiego. W ten sposób zostało spełnione gorące

pragnienie twórcy państwa ropczyckiego — córka na zawsze pozostała przy ojcu.

FINAŁ PAŃSTWA ROPCZYCKIEGO

Nikt nie opłakiwał odejścia Katarzyny. Żyła tak długo, że stała się niepotrzebna — rodzina po jej zgonie zdobyła się jedynie na wyrażenie konwencjonalnego żalu, wszyscy zaś rychło o niej zapomnieli. Może najdłużej z dzieci wspominał matkę nieprawy i nielubiany syn, Gabriel Adam Jaworski, ale nie czynił tego bezinteresownie. Dopóki bowiem żyła, mógł otrzymać tytuł hrabiowski — po jej pogrzebie zostały również pogrzebane jego ambitne nadzieje.

Gabriel Adam krótko przebywał w wojsku austriackim. W randze porucznika przeniósł się do rezerwy i zajął się różnymi interesami rozporządzając większą sumą pieniędzy z zapisu dziadka. Interesy te nie zawsze przynosiły dochody — wprawdzie nie biedował, ale nie opływał też w dostatki. Niemniej jednak stale i uporczywie tytułował się hrabią Jaworskim, a gdy spostrzegł, że wiele osób wątpi w jego arystokratyczne pochodzenie, zapragnął zostać... hrabią Starzeńskim. W tym celu już w 1838 roku sporządził na papierze stemplowym osobliwy dokument, w którym wyraził swoje pragnienia:

Niżej podpisany Gabriel Adam Jaworski... dochodząc teraz swoich praw ze wszystkich okoliczności, stwierdza:

Iż ja nie jestem według ksiąg metrykalnych synem Antoniego Jaworskiego i Joanny Bedalle, ale jestem synem J. W. Katarzyny z hrabiów Jaworskich primo voto hrabiny Starzeńskiej, secundo voto Pawlikowskiej — a tym samym chcę starać się o uży-

skanie imienia jej syna i o uzyskanie imienia, które według czasu mego urodzenia i jej ówczesnego związku małżeńskiego jej dzieciom należy — to jest o uzyskanie imienia hrabiego Starzeńskiego...

W ostatniej niemal chwili Kazimierz zdołał przekonać go, że nie powinien składać dokumentu w sądzie, gdyż ewentualna rozprawa skompromitowałyby ich matkę. Gabriel Adam na jakiś czas zaprzestał starań, lecz po ślubie z Marianną Butiagin — zachęcony przez nią — zaczął ponownie namawiać Katarzynę, aby podpisała deklarację, w której przyznałaby się do utajonego macierzyństwa. W związku z tym odwiedzał ją często w Krakowie, a swego jedynego syna nazwał tradycyjnym imieniem rodziny Jaworskich, Gabrielem. Uradowana podobną niespodzianką babka zamierzała spełnić jego życzenia, gdy nagle ze stanowczym protestem wystąpiły obie córki. Nie chcemy, proszę mamy, nowego brata! Nie umiała zwalczyć ich uporu i ostatecznie nic nie zrobiła dla młodszego syna. Niefortunny kandydat na arystokratę po jej śmierci żył jeszcze długo, nie zdołał jednak wystarać się o koronę hrabiowską.

Najbardziej mu w tym przeszkadzała dumna i wyniosła siostra Julia, która zupełnie słusznie rozumowała, że nie należy przypominać ludziom intymnych szczegółów z życia matki. Wstydziała się jej pewnych postępów — sama zaś była do niej podobna pod wieloma względami. Piękna i urocza, odznaczała się romantycznym usposobieniem i niespokojnym, gorącym temperamentem. Jako szesnastoletnia mężatka, umiała skokietować Karola Krasickiego, brata swojego męża, a gdy została w parę lat po ślubie wdową — wyszła za niego za mąż. Brała od życia wszystko, co mogła, stroiła się i bawiła — może nieco niedbale wychowała trzy córki, ale za to szczęśliwie je wyswatała. Nie doczekała się

głębokiej starości, mimo to przeżyła również drugiego małżonka. Zmarła w 1877 roku mając 64 lata.

Natomiast Gabriela, która dłużej była wdową niż mężatką, dożyła do 1894 roku. Ksawery Prek scharakteryzował ją bardzo pochlebnie: „Gabriela, starsza córka Katarzyny, nie jest podobna ani do matki, ani do siostry. Ładna, włosy rudawe — miała doskonałą edukację, była dobrą matką, żoną i gospodynią. Syn jej, Ksawery, zastrzelił się, a dwie córki wyszły za mąż.“ Do tej zwięzłej, lecz wyczerpującej notatki należy jedynie dodać, że drugi syn, Juliusz, uchował się, a chociaż ożenił się, nie pozostawił po sobie potomstwa.

Najwybitniejszym z dzieci Katarzyny był jednak Kazimierz, który odegrał znaczną rolę w dziejach austriackiego zaboru. Według Ludwika Dębickiego wyglądał tak „jak wyglądali towarzysze Wallensteina“ oraz „był pierwszym w Galicji przedstawicielem polityki, opierającej się na tronie Habsburgów i doznawał wielkich na dworze cesarskim względów.“ Zapoczątkował ów lojalizm, który następnie stał się programem konserwy krakowskiej—toteż sprawiedliwy i wdzięczny cesarz najpierw mianował go członkiem dożywotnim izby panów, a następnie — c. k. tajnym radcą. Ekscencja pułkownik Kazimierz hrabia Starzeński w 1866 roku, podczas wojny austriacko-pruskiej, postanowił ratować ukochaną monarchię i sformował — przy poparciu władz — specjalny pułk krakusów. Przebudował w Górze Ropczyckiej różne budynki na koszary i zakwaterował w nich zwerbowanych z okolicznych powiatów chłopów, których — wraz z kilkunastoma oficerami — forsownie ćwiczył. Za zgodą rządu używał tytułu regimentarza, a to widocznie tak przstraszyło Prusaków, że czym prędzej rozbili c. k. wojska pod Sadową. Ostatni na ziemiach polskich regimentarz nie zdą-

zył przeto popisać się męstwem swoich żołnierzy i z największą przykrością musiał ich zdemobilizować.

Wojenna impreza sporo kosztowała i ostatecznie zrujnowała państwo ropczyckie. Zamiast pieniędzy, dzielny obrońca Austrii otrzymał tym razem dwa ordery: jeden od Franciszka Józefa, drugi od cara, który lubił wynagradzać lojalnych Polaków nawet w obcych zaborach. Zaszczytne odznaczenia oczywiście nie wpłynęły na poprawę sytuacji majątkowej i resztę niegdyś obszernych włości rozebrali wierzyciele. Kazimierz jedynie uratował mocno zadłużoną Górę Ropczycką, ale nie zmienił dotychczasowego trybu życia. Zawsze odznaczał się szerokim gestem i lubił olśniewać ludzi ogromną hojnością. W wieku lat sześćdziesięciu kilku potrafił na przykład ofiarować jakiejś wiedeńskiej tancerce wspaniałą naszyjnik brylantowy, którego cena przekraczała wartość jego ówczesnego majątku. Oczywiście łatwowierny jubiler z tej transakcji nie otrzymał ani grosza, ponieważ tancerka czym prędzej wyjechała z prezentem za granicę, a od ekscelencji trudno było cokolwiek wyegzekwować. Inni — chociaż nie wszyscy — dostawcy mieli większe szczęście i zdołali odebrać przynajmniej część swoich należności. Nie trzeba przeto się dziwić, że zebrana przez Gabriela Jaworskiego ogromna fortuna, w pół wieku po jego śmierci, została kompletnie roztrwoniona.

Maria Smorągiewiczówna stale namawiała ekscelencję, aby się z nią ożenił. Wprawdzie wiele lat mieszkali wspólnie oraz szczęśliwie wychowali dwóch synów i dwie córki, lecz ich związek nie był dotychczas zatwierdzony przez kościół. Wielkiemu panu wypada mieć dzieci z kobietą z niższej sfery, nie wypada jednak prowadzić jej do ołtarza. Dlatego stale zwlekał — i tak długo tkwił w tym uporze, aż się zestarzał. W listopadzie 1877 roku siedemdziesięcioletni Kazimierz

ciężko zachorował, a lekarze orzekli, że nie wyzdrowieje. Dorosłe dzieci nie odstępowały od ojca i wciąż go błagały, żeby się ożenił z matką. Nie zgadzał się — dopiero gdy znajdował się w agonii, energiczna gospodyni zdołała zrealizować swoje matrymonialne projekty.

Jak głosi zupełnie prawdopodobna relacja, sprowadziła do pałacu znajomego księdza, a zaufanemu lokajowi kazała wleźć pod łóżko chorego. Na zapytanie, czy chce pojąć tę oto tutaj obecną kobietę za małżonkę — Starzeński wcale nie odpowiedział, ponieważ już nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje, natomiast jego ręka wysunęła się spod kołdry i gestem wyraziła zgodę. Ręką poruszał — z drugiej strony pościania — leżący na podłodze lokaj, w pokoju było ciemno i kapłan niekoniecznie musiał zwracać uwagę na te wszystkie okoliczności, zwłaszcza że spełniał dobry uczynek. Oryginalna ceremonia zaślubin odbyła się wieczorem 21 listopada, a w parę godzin po północy ekscelencja zmarł nie odzyskawszy przytomności.

Wdowa i dzieci, oprócz nazwiska, zyskali tylko rentę od rządu austriackiego, należną rodzinie po c. k. pułkowniku. Kazimierz bowiem stracił absolutnie wszystko, a ostatnim jego posunięciem była sprzedaż za dożywocie Góry Ropczyckiej z wyłączeniem pałacu. Po jego śmierci nabywcy objęli również w posiadanie pałac wraz ze wszystkimi przedmiotami, jakie się tam znajdowały. W ciągu kilkudziesięciu lat w paru pokojach mieszkali jedynie zmieniający się rządcy i administratorowie, reszta zaś apartamentów stała pusta i zaniebana. Na wytwornych meblach spełzły drogie obicia, w archiwum zbutwiały papiery, zginęło sporo cennych książek z biblioteki, a obrazy — wśród których znajdowała się kopia portretu pięknej Gabrieli, namalowanego przez Gérarda — pokryły się warstwą kurzu. Z czasem Góra Ropczycka przeszła w posiadanie rodziny Tar-

nowskich, ale wszyscy właściciele traktowali ją jako majątek ziemski, a nie jako rezydencję. Dopiero przed paru laty osiadło tam na stałe młode małżeństwo, Andrzejostwo Tarnowscy — i zniszczony pałac został odnowiony.

W Górze Ropczyckiej — korzystając z zaproszenia obecnego właściciela — byłem w kwietniu 1938 roku. Niestety, piękna Gabriela, która jako biała dama, straszyla ponoć w ciągu wielu lat punktualnie o północy mieszkańców pałacu, ostatnio przestała się pokazywać i do mnie również nie zechciała się pofatygować. Nie zobaczyłem przeto uroczego z pewnością ducha, chociaż grzebiąc się w starych papierach, zgromadzonych w jednym z pokoiów na parterze, oraz oglądając stare książki i obrazy ulegałem chwilami złudzeniu, że wnet otworzą się drzwi i stanie na progu pani o oczach cudownie owalnych.

Były to naturalnie subiektywne odczucia, które wcale nie znajdowały potwierdzenia w obiektywnej rzeczywistości. Okoliczna bowiem ludność nie śpiewa piosenek o dumnych i potężnych rodach Jaworskich i Starzeńskich, a nawet — o zgrozo! — zupełnie o nich zapomniała. Wspomina te rody tylko miejscowy, ogromnie uprzejmy i uczynny ksiądz proboszcz, który co pewien czas — na podstawie wieczystego zapisu, zahipotekowanego na dobrach — odprawia msze żałobne za spokój duszy Gabriela Jaworskiego i Kazimierza Starzeńskiego. Skarży się jednak, że wartość zapisu w ciągu lat ogromnie się zdewaluowała i obecnie jest mniejsza niż koszty własne nabożeństw.

Pewnego dnia — gościnnie gospodarz, Andrzej Tarnowski, i ja — poszliśmy w głąb parku. Przeprawiliśmy się przez głęboki parów i weszliśmy do małej kapliczki, położonej nad brzegiem urwiska. Przez okienko dojrzałem w podziemiach dwie trumny — to niezgodni

małżonkowie, Kazimierz i Teofila Starzeńscy, spoczywali obok siebie. Nadaremnie później dopytywałem się o miejsce ostatniego spoczynku Katarzyny-Gabrieli — nikt nie umiał mnie o tym poinformować. Cmentarz w Górze Ropczyckiej został zrujnowany podczas walk w 1915 roku, zresztą rodzinne groby Jaworskich, nie doglądane przez przeszło pół wieku, mogły już przedtem ulec zniszczeniu. Przechowała się jedynie ogromna — przedstawiająca kobietę naturalnej wielkości z dzbankiem na ramieniu — płaskorzeźba, którą niedawno przeniesiono z kościoła do pałacu. Miała ona rzekomo stanowić fragment grobowca dawnej dziedziczki tamtejszych włości, ale trudno stwierdzić, ile w tej legendzie mieści się prawdy.

CZEŚĆ DRUGA
EKSCLENCJE

NIEWOLNIK ZNAKU

RĘKOPIS ZNALEZIONY W SARAGOSSIE

W 1804 roku Jan Potocki, znany podróżnik, geograf i pre-historyk, kawaler maltański i były poseł na Sejm Czteroletni, wydał w Petersburgu bezimiennie w ograniczonej ilości egzemplarzy swoją pierwszą i ostatnią powieść. Napisał ją po francusku, ponieważ tym językiem władał lepiej niż polskim, zaopatrzył zaś w zachęcający i tajemniczy tytuł: „Manuscrit trouvé à Saragosse“. Później w Paryżu drukowano dalsze popularne wydania tej książki, którą w połowie zeszłego stulecia Edmund Chojecki przetłumaczył na język ojczysty autora i która w tym czasie stała się nawet przyczyną głośnego skandalu literackiego. Niejaki Maurycy Cousin Courchamps dosłownie ją przepisał i zaczął drukować pod swoim nazwiskiem w paryskim dzienniku „La Presse“—niedoceniono jednak jego „dobrej woli“ i wytoczono mu proces o plagiat. W Polsce powieść Potockiego nie miała większego powodzenia, natomiast była chętnie czytana za granicą. Pełna fantastycznych i romantycznych przygód, niemal rekordowych w swej niezwykłości, ogromnie frapowała ówczesnych czytelników. Między innymi bardzo się nią przejął Wacław Rzewuski, siostrzeniec autora i oficer austriacki, który od najmłodszych lat marzył o dalekich podróżach i awanturnych przygodach.

Wacław pochodził z rodziny, która w ciągu XVII wieku zrobiła w Polsce oszałamiającą karierę. Nie tylko jego ojciec, lecz także dziadek i pradziadek

kolejno piastowali stanowiska hetmanów Rzeczypospolitej. Seweryn Rzewuski, ostatni polski hetman polny koronny i „konsyliarz generalny“ konfederacji targowickiej, osiadł po 1793 roku w Wiedniu — rozgoryczony brakiem uznania ze strony rodaków za swoje wystąpienie przeciwko konstytucji 3 maja. W stolicy Austrii powodziło mu się nienajgorzej. Posiadał kilkadziesiąt miasteczek i przeszło tysiąc wiosek, prawie 30.000 „dusz“ pańszczyźnianych pracowało na niego — mógł przeto żyć bardziej niż wystawnie. Po ostatnim rozbiore Polski zrezygnował z ojczyzny. Słynne było jego powiedzenie: „Nie ma Rzeczypospolitej, teraz innym monarchom służyć wiernie musimy“.

Urodzony około 1785 roku Wacław skończył wojskową szkołę w Wiedniu, następnie został oficerem w pułku huzarów Kienmayera. Kiedy w roku 1809 Księstwo Warszawskie, sprzymierzone z Francją, walczyło z Austriakami, rotmistrz Rzewuski bił się w bitwie pod Aspern z wojskami Napoleona. Był to ponoć bardzo dzielny żołnierz, nie czuł się jednak w szeregach armii zupełnie dobrze i po śmierci ojca skwapliwie podał się do dymisji. Gruntownie wykształcony i czytany, przejęty zwłaszcza pismami Jana Jakuba Rousseau, marzył raczej o powrocie do „stanu natury“ niż o zrobieniu kariery wojskowej. Zarazem nosił się z zamiarem dokonania jakichś wiekopomnych czynów, na które nie było miejsca w otaczającej go rzeczywistości. Nic przeto dziwnego, że „Rękopis znaleziony w Saragossie“, historia prawie tysiąca i jednej przygody, stanowił dla niego lekturę ze wszech miar interesującą. Już poprzednio Jan Potocki opowiadając o swoich dalekich podróżach ukazywał wyobraźni Wacława zaczarowane krainy Wschodu i zachęcał do ich zwiedzania, a przynajmniej — na razie — do teoretycznego poznania z dzieł naukowych.

W tym celu zapoznał go z Juliuszem Klaprothem, „specem“ od Wschodu, który przysłał mu obydwie tomy swego wydawnictwa „Asiatisches Magazin“. W Wiedniu ponadto spotkał się Rzewuski z Józefem Hammerem, późniejszym baronem Purgstall i pierwszym prezesem austriackiej akademii umiejętności. Hammer, wybitny orientalista, wielokrotny sekretarz i tłumacz poselstw w Turcji i Egipcie, został wkrótce serdecznym przyjacielem Waława. Austriacki uczonej nie traktował Wschodu tylko racjonalnie jako przedmiotu swoich umiejętności — był raczej zakochany we Wschodzie i ta postawa emocjonalna wobec odległych krain stopniowo stała się również postawą potomka hetmanów. W ciągu kilku lat przyjaciele wydawali wspólnie luksusowe czasopismo „Die Fundgräben des Orients“, najlepiej świadczące o ich zainteresowaniach. Waław z czasem zaczął studiować języki wschodnie, które wobec ogromnych zdolności lingwistycznych nie sprawiały mu większych trudności. Ksiądz maronicki Antun Arida, profesor uniwersytetu wiedeńskiego, wtajemniczał go w wymowę arabską, a przebywający na wygnaniu admirał turecki Ramiz-pasza udzielał mu początków języka tureckiego. Równocześnie Rzewuski zaczął korespondować z zagranicznymi orientalistami i zapoznawać się z geografią i zwyczajami mieszkańców Bliskiego Wschodu.

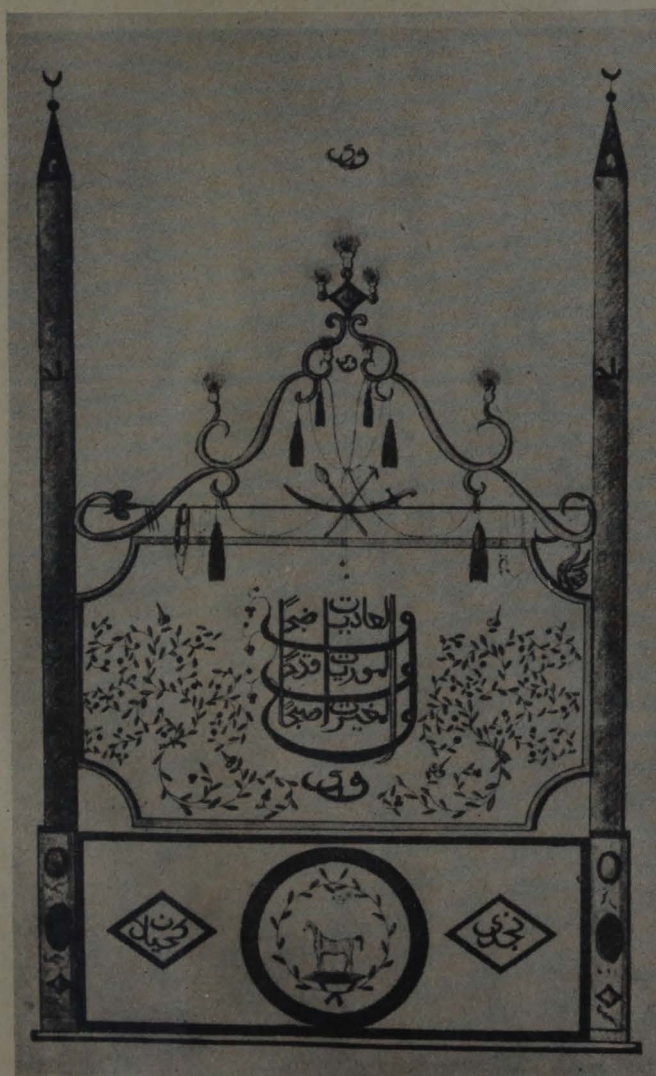
Po śmierci ojca, w 1811 roku, przebywał przez czas dłuższy na Podolu i w Krzemieńcu. Przyjaźnił się z Tadeuszem Czackim, a nawet po jego śmierci był poważnym kandydatem na stanowisko kuratora liceum. Kuratorem wprawdzie nie został, natomiast wysunął się na czoło złotej młodzieży kresowej. Właściciel wielu majątków prowadził życie beztroskie, polegające na zaspokajaniu wszelkich fantazji. Jego marzycielskie usposobienie łączyło się z tężyzną fizyczną: był świet-

nym jeźdźcem i doskonałym szermierzem — wielokrotnie i chętnie się pojedykował. W czasie wolnym od niezbyt uciążliwych zajęć „zawracał głowy“ i to bardzo skutecznie różnym pięknociom. Mimo że w 1805 roku ożenił się z Rozalią Lubomirską, przestrzegania wierności małżeńskiej nigdy nie uważał za konieczny obowiązek. Poza tym pożycie z żoną nie należało do szczęśliwych — różnili się usposobieniami, a chociaż mieli dzieci, po pewnym czasie zdecydowali, że będzie lepiej jeśli zamieszkają osobno. Nie był tedy niczym krępowany i gdy miał już dosyć krzemienieckich rozkoszy powracał do swego majątku Kuźmina, gdzie w otoczeniu kozaków mógł dowoli hasać konno po stepie.

Tęsknota za Wschodem nie dawała jednak Rzewuskiemu spokoju. Arabia wydawała mu się uroczą krainą, a Beduini tymi szczęśliwcami, którzy mieszkają z dala od zgubnych wpływów cywilizacji. Myślał, że wśród nich mógłby zakosztować wszystkich przyjemności życia „na łonie natury“; jednocześnie ruiny Palmiry, gdzieś na krańcach Syrii, pociągały go swoją romantycznością. Tam czekało na niego życie swobodne, pełne niebezpieczeństw i najcudowniejszych przygód. Po przodkach hetmanach odziedziczył odwieczną, starszlachecką, ogromną i jedyną pasję do koni. Arabia była ojczyzną najpiękniejszych koni! Te wszystkie motywy sprzegły się razem i wreszcie pchnęły go na drogę realizowania marzeń.

N A R E S Z C I E W S C H Ó D !

W 1817 roku Rzewuski wyjechał do Konstantynopola w otoczeniu pokaźnej świty, w skład której wchodził: sekretarz, lekarz, weterynarz i eskorta kozacka. Pozastawiał majątki, pozaciągał długi, lecz wiozł z sobą większą ilość pieniędzy. Dwa lata przedtem zja-



KARTA TYTUŁOWA PAMIĘTNIKA WACLAWA RZEWUSKIEGO

Akwarela Wacława Rzewuskiego z rękopisu pamiętnika.



OBRZKI Z ŻYCIA W PUSTYNI.

U dołu pośrodku: ulubiona kłacz emira „Maftaszarah”, obok na prawo: koń lady Heister Stanhope.
 Akwarelki Wacława Rzewuskiego z rękopisu pamiętnika.

wił się w Wiedniu podczas słynnego kongresu, aby namówić monarchów do sprowadzania koni arabskich do Europy. Poprzedzała go już sława świetnego kawalerzysty, ogólnie znane były jego sympatie i studia orientalne. Cesarz rosyjski Aleksander i jego siostra, a ongiś nawet kochanka, Katarzyna Pawłowna, królowa wirtemberska, skorzystali z okazji i prosili Wacława o sprowadzenie dla nich rasowych ogierów i klaczy. Dlatego ambasador rosyjski w Stambule, baron Stroganow, przyjął go z największą uprzejmością — ułatwił mu nawiązanie kontaktu z władzami tureckimi i wyrobił moc listów polecających do dygnitarzy syryjskich.

W styczniu 1818 roku Rzewuski na specjalnym statku pod rosyjską banderą udał się w dalszą podróż, a płynąc koło wybrzeży Małej Azji nie omieszkął złożyć malowniczego hołdu ceniom Achilleśa. Po przybyciu do Syrii, w ciągu pięciu miesięcy, w otoczeniu kilku kozaków wędrował po różnych miastach i arabskich osiedlach budząc wszędzie podziw swoim bogactwem i rozrzutnością. Następnie powrócił na krótko do Stambułu, aby uregulować sprawy pieniężne, po tym znów zjawił się w Aleppo — założył tam swoją główną kwaterę i organizował liczne wyprawy w głąb pustyni.

O jego pobycie na Wschodzie spotykamy liczne wzmianki u różnych pamiętnikarzy. Najważniejsze jednak wiadomości zawdzięczamy samemu Rzewuskiemu, który swoje wschodnie przygody opisał po francusku w dwutomowym pamiętniku pod tytułem „Sur les chevaux orientaux et prevenants des races orientales par le Comte Wenecelas Sévérin Rzewuski, ci devant officier de la cavallerie, membre de plusieurs Académies et connu chez les Arabes Bedouins sous le nom l'Emir Tage-el-Faher Abd-el-Nischaane“. Jest to rozprawa o koniach arabskich oraz o Półwyspie Arabskim i jego mieszkańcach, zawierająca sporo wzmianek

autobiograficznych. Pamiętnik, który przygotowywał do druku, lecz nie wydał, został napisany stylem lirycznym, pełnym patosu, przesady i efektownych zwrotów— przypomina raczej romantyczne wypracowanie w duchu tamtych czasów niż wierne notatki z podróży. Dopiero precyzyjne akwarelki, realistycznie rysowane przez Wacława na marginesie rękopisu, świadczą o tym, że musiał sporo widzieć i przeżyć.

„Był miernego wzrostu — pisze o nim Henryk Rzewuski w pamiętnikach fikcyjnego Bartłomieja Michałowskiego — chudy i żyłowy, nadzwyczajnej siły muskularnej. Nie było konia tak dzikiego, którego by nie dosiadł i nie zrobił sobie posłusznym.“ Dzielnym, postawny i majestatyczny, zawsze pewny siebie, ubrany w strój wschodni, wędrował po pustyni jak błędny rycerz. Plemiona arabskie kaptował pieniędzmi, zachwycał swoimi opowiadaniem i męstwem. Zapuścił efektowną złotą brodę, która jego twarzy nadawała wyraz ogromnej powagi. Znał dobrze język arabski i przepisy Koranu, był niepospolitym znawcą koni, mieszkańcy pustyni chętnie przeto wierzyli w wymyśloną przez niego bajeczkę, że jest Beduinem, przybyłym z północy. Uważał bowiem, że szlachta polska pochodzi od czterech plemion arabskich, które ponoć przed dwudziestu wiekami ze wzgórz Nedżdu wywędrowały do Europy. Chętnie podawał się również za potomka Zenobii, królowej Palmiry.

Plemię Fedanów zachwycone jego męstwem, a jeszcze bardziej hojnością, obwołało go swoim emirem, trzynaście innych sprzymierzonych szczepów uznało tę godność i nadało mu miano Tadż-el-Faher, to znaczy „uwieńczony sławą“. Wśród wielu przygód zwiedził kraje leżące między brzegami Morza Śródziemnego a Eufratem oraz całą Arabię z wyjątkiem Jemenu. Nie ulega wątpliwości, że jako dowódca eskorty pielgrzy-

mów, dotarł do Mekki. Często groziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo — niezaprzeczona dzielność, spryt i umiejętność gry dyplomatycznej pozwalały mu cało wychodzić z najgroźniejszych opresji.

Przyznaje się chętnie do różnych teatralnych gestów, które imponowały prostym mieszkańcom pustyni. Kiedyś na przykład płynął wzdłuż wybrzeży na małym tureckim okręcie. Niespodziewanie burza wzięła statek w obroty i miotała nim dwa dni bez przerwy. Gdy wszyscy zwątpili w możliwość ocalenia, a kapitan oświadczył, że lada chwila rozbiją się o podwodne rafy, Rzewuski objął komendę nad załogą. Opowiada o tym w pamiętniku opisując — jak zwykle — swoje czynności w trzeciej osobie:

„Emir Tadż el Faher widząc tracącego przytomność kapitana i rozpacz całej załogi, natchniony przez swoją gwiazdę Kaukab, kazał rozwinąć wszystkie żagle. Sądził bowiem, że jeśli statek ma być rozbity i pochłonięty przez morze, to jest rzeczą zupełnie obojętną czy to chwilę prędzej, czy później nastąpi. Kiedy po rozwinięciu żagli statek jeszcze gwałtowniej przez burzę porwany został, Emir odwrócił się ku morzu i tak się do niego odezwał:

— Rozhukana gniewem falo, uśmierz swoją wściekłość, a ty wietrze, synu chaosu, powstrzymaj swój oddech. Rozkazuję wam w imieniu Przedwiecznego Pana dwóch światów!

Emir rozkazując w taki sposób morzu myślał, że jeśli statek zatonie, to zginą wszyscy świadkowie bezskutecznego rozkazu, lecz za to w razie ocalenia urośnie u wszystkich wiara w czarodziejską potęgę Emira — a bardzo pragnął, żeby taką wiarę o sobie wśród Beduinów wzbudzić.“

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności burza rychło ustała i wkrótce całe wybrzeże z podziwem mówiło

o tajemniczej mocy Rzewuskiego. Potomek hetmanów, chociaż stosował wobec Beduinów różne tricki, umiał zwłaszcza „psychologicznie“ kupować od nich konie, nie pogardzał tym narodem, przeciwnie: bardzo go szanował. Starał się zawsze być podobnym do Arabów, przyjaźnił się z różnymi przywódcami i zawierał z nimi zaczepno-obronne przymierza. Dlatego sojusznicze plemiona zawsze go witały z największą radością.

„W Tel-el-Sultanie u emira Duszego huczna uroczystość — opisuje Rzewuski przyjęcie u Arabów. — Rżnięto barany, wyprawiano gonitwy w pokoleniu Fedanów — wszystko to na moją cześć. Zaproszono inne trybuty na tę uciechę — przybyło ze dwa tysiące Beduinów z trybutu Sebaa, przybył także szejik Nedżeris, wuj emira Dusz-ibna. Zabawy te trwały pięć dni. Drugiego dnia zjawił się w obozie jakiś Arab z małego trybutu Amuri, przysłany do emira Duszego z prośbą o pokój. W dniu, w którym miałem wyjechać do Palmiry, żeby odwiedzić szejika Sulejmana, emir Duszi kazał przywołać owego posłańca i rzekł do niego:

— Czy ty wiesz, żem ja syn Ghbena, który był postrachem pustyni?

— Wiem, emirze.

— Czy wiesz — mówił dalej — żem potężny i że mogę jak nic zniszczyć twój trybut?

— Wiem o tym, panie, i dlatego posłano mnie do ciebie z prośbą o pokój i sojusz przez chleb i sól.

— Czy znasz tego — tu wskazał na mnie — który obok mnie siedzi?

— Widzę, że to znaczna jakaś osoba; siodło wielbłądzie służy mu za wezgłowie, a u siodła jego klaczy jest uwieszona buława. Lecz nie wiem, jak się nazywa.

— To wiedz — mówił emir Duszi — że to szlachetny i sławny Tadż-el-Faher Abd-el-Niszan, emir i szejik arabski, naczelny wódz trzynastu sprzymierzo-

nych trybutów... mój przyjaciel, mój brat, mój sojusznik przez chleb i sól. Trybuty Beduinów gwiazdy polarnej w państwach potężnego Skandera są jemu podwładne, albowiem płynie w nim krew czterech pokoleń Anazes, które przed dwoma tysiącami lat wyszły z Nedźdu. Zna się on na rasach naszych koni i jest potomkiem Zenobii, królowej Tadmoru. Będzie on przejeżdżał koło waszych namiotów — ty mu służ za przewodnika — a teraz siadaj i jedz z nami.

— Pokój i chwała z tobą, o wielki Duszi! i z twoim sprzymierzeńcem... Imię jego dobiegło i do naszych namiotów, lecz dopiero pierwszy raz go oglądam.

Rzekłszy to usiadł i jadł z nami.

Była wtedy może szósta wieczór, gdyż słońce zaszło w dwie godziny później.

Pilno mi było jechać, co widząc emir Duszi obdarzył mię kożuszką baranią i trzykrotnie zawołał:

— Przeprowadzić dromadera dla emira Tadż-el-Faher Abd-el-Niszana!

A ze wszystkich namiotów ozwały się trzykrotnie głosy:

— Pokój z tobą!

Przeprowadzono dromadera. — Wsiadłem na niego, moją ulubioną klacz Muftaszarah kazałem uwiązać za uzdę do juczej dromaderzycy i ruszyłem w drogę...“

Tym razem jednak podczas podróży przez pustynię spotkała go przykra przygoda. W Bagdadzie uwięziono właśnie kilkunastu szejków, między szczepami wybuchły z tego powodu waśnie i przez pewien czas nie wiadomo było kogo należy uważać wśród Arabów za przyjaciela, a kogo za wroga. Rzewuski natrafił na szczep wrogi, który wziął go do niewoli i niewiele brakowało, aby został zabity. Przebywał jako jeniec w obozie arabskim i tylko przypadek uratował go z groźnej opresji. Udał się więc w dalszą drogę w towarzystwie jakiegoś za-

przyjaźnionego księcia, któremu pomógł w walce z nieprzyjaciółmi.

„Okolo siódmej godziny klacz księcia i moja Muf-taszarah podniosły łby, zaczęły strzyc uszami, zadzie-rać ogon i silnie parskąć.

Książę rzekł: „Gdzieś tu blisko nieprzyjacieli“ i ka-zał w kupę zbić się wielbłądom, a zbrojnym się uszy-kować...

W rzeczy samej niezadługo ujrzeliśmy przed sobą konnych i mardufów.

Była to znaczna partia Arabów z trybutu Ibn-Hed-dalu, którego szejka zostawał w więzieniu w Bagdadzie. Oddziałem tym dowodził kiahia.

Biliśmy się z nimi do późnej godziny wieczornej odpierając po kilkakroć ich natarczywe napady.

Po tej rozprawie poszliśmy dalej i zajęliśmy stano-wisko w dolinie Wad-el-akrab, tak zwanej od mnóstwa skorpionów...

O wschodzie słońca ruszyliśmy w pochód, a po trzech godzinach tęgiej jazdy stanęliśmy w małym, ob-warowanym miasteczku Sohneh, gdzie książę ugaszcział mnie przez trzy dni...

Nie można oczywiście skontrolować tych wszystkich szczegółów i zorientować się w jakim stopniu przytoczo-ne przez Rzewuskiego fakty są prawdziwe. L. Damoiseau, który z polecenia Ludwika XVIII w 1819 roku wylądował w Aleksandrecie, aby wywieźć z Syrii transport ogierów i klaczy, w swoich wspomnieniach stwierdza nie wymieniając szczegółów, że emir umiał kupować konie, znał dobrze Arabów i przeżył wśród nich wiele przygód. Dla ilustracji podaje opis zachowania się Rze-wuskiego podczas podróży do ruin Palmiry. Eskorta arabska postanowiła w drodze obrabować swojego pa-na — pan jednak podsłuchiwał rozmowę spiskowców, porzucił ich na pustyni i samotnie, lecz szczęśliwie po-

wrócił do Aleppo. W ogóle „gwiazda przyjazna Kaukab“ przyświecała jego poczynaniom.

„Tarsus — pisze emir — słynął w starożytności, gdyż tam Aleksander Wielki przebył niebezpieczną słabość wskutek kąpieli w rzece Cydnus. Ta bystra rzeka, a raczej strumień, płynący wśród stromych skał, spada pod miasto piękną i szeroką kaskadą. Pod ową kaskadą znajdują się jakoby cele, wyżłobione w granicie, i wannы, napełnione wodą. Nigdy słońce tam nie dochodzi i woda niesłychanie jest zimną. Aleksander Wielki o mało życiem nie przypłacił swej kąpieli. Fryderyk Barbarossa kąpał się i wnet umarł. Emir Tadz el Faher Abd el Niszán nie oparł się pokusie wykąpania się w wodzie uświęconej wspomnieniem dwóch bohaterów i wyszedł z niej zdrowo.“

Trzeba zdać sobie sprawę z ówczesnych stosunków na Bliskim Wschodzie — a wtedy Rzewuski bez wątpienia przedstawi się nam jako jeden z najwybitniejszych podróżników na początku zeszłego wieku. Lamartin w kilkanaście lat później bardzo reklamował swoją wyprawę do Damaszku chwając się, że stanowi ona rekordowy wyczyn podróżniczy. Tymczasem Rzewuski w Aleppo i w Damaszku czuł się jak u siebie w domu i wcale nie uważał swego pobytu w tych miastach za czyn godny uwagi. Dopiero paręsetkilometrowe wyprawy w głąb Półwyspu Arabskiego, do miejscowości, które nawet obecnie są niezbyt dostępne, napawały go zupełnie zasłużoną dumą.

A B D - E L - N I S Z A N

Na skutek listów polecających ze Stambułu Rzewuski otrzymał w Aleppo do swojej dyspozycji okazały pałac wielkorządcy, który nazwał Gulistanem. W tym pałacu zamierzał otworzyć wielki salon literacki, za-

pragnął bowiem pchnąć literaturę arabską na nowe drogi. Piękny skądinąd zamiar miał tę wadę, że nie został urzeczywistniony. Emir nie rozporządzał po prostu wolnym czasem, gdyż po powrocie z pustyni absorbowano go życie towarzyskie, którego nicosić dostrzegał, lecz nie mógł z nim zerwać. Podobnie nie mógł zerwać z cywilizacją i z Europejczykami. Najpierw wszędzie towarzyszyła mu ukraińska eskorta. Wprawdzie lekarz Konstanty Chotyniecki nazywał się teraz Hekim-basza, służący Marcin paradował w arabskim stroju i „wabił się“ Nosser, a kozak Sokół — Hannah, inni zaś kozacy również przybrali wschodnie imiona — jednak po staremu śpiewali swojemu panu ukraińskie dumki. Poza tym w miastach emir najchętniej przebywał w towarzystwie europejskim — zapewne nie tylko dlatego, aby je czarować swoim zarabizowaniem. Konsulowie wydawali na jego cześć przyjęcia, na które chętnie uczęszczał i zamiast z Beduinkami flirtował z pięknymi Europejkami.

Najczęściej przebywał u państwa Monge'ów, ponieważ poważnie zainteresował się panią domu, młodą i piękną brunetką, pochodzącą z południowej Francji. Zalotna, wesoła i gadatliwa, wkrótce zupełnie oczarowała emira i zaczęła się z nim potajemnie spotykać. Gdy opowiedziała mu o swoich kłopotach i poprosiła o pomoc, bez wahania pożyczył jej mężowi „na słowo“ poważną sumę 15000 piastrow. Naturalnie pan Monge, jak przystało na solidnego kupca, doskonale się orientował w wartości zdrady małżeńskiej i nie miał zamiaru zwracać długu, a znajomym, którzy go pytali o tę sprawę, oświadczał, że żadnych pieniędzy od nikogo nie brał. Rzewuski wobec tego zrzekł się wszelkich pretensji nadmieniając, że całą sumę ofiarowuje jako drugie wiano zamężnej kochance — i aby się pocieszyć zaczął flirtować z innymi uwodzicielkami.

Wprawdzie inne również starały się go naciągnąć, ale tym się wcale nie przejmował — zmartwienia miłosne, które nie dawały mu spokoju, miały zupełnie inną przyczynę.

Znajdował się nareszcie na pustyni, przeżywał wielkie, wymarzone przygody, skarży się jednak we wspomnieniach, że nie osiągnął szczęścia. Aby być w zupełnej zgodzie z duchem ówczesnej literatury, wszelkie swoje platoniczne uczucia złożył u stóp jakiejś jedynej, wybranej i dalekiej piękności, o której pamięć nie dawała mu spokoju nawet wśród Arabów. Mimo że w Aleppo miał niemal harem, złożony z europejskich sympatii, w pamiętniku rozwlekłe opisuje swoje cierpienia miłosne i tęsknotę za tajemniczą bogdanką. Nie wymienia jej nazwiska, lecz zastępuje je zawsze specjalnym znakiem, który kazał wyszyć na swoim ubiorze. Ostatecznie nie wiadomo, czy była to rzeczywista istota czy tylko wytwór poetyckiej fantazji emira.

Podobnie jak „prawdziwy rycerz“ Don Kichot z La-Manchy domagał się uznania dla damy swojego serca Dulcynei, tak samo Rzewuski robił dalekie wyprawy, aby wzbudzić wśród Arabów poszanowanie dla symbolicznego znaku. Kazał ten znak wyryć nawet na ruinach Palmiry!

„Zwiedzałem Tadmor, czyli dawne ruiny Palmiry. Po długiej rozmowie z emirami i Beduinami powziąłem zamiar wzbudzić w nich cześć dla znaku, który myśl moją napełnia. Chciałem, żeby hołd oddawali tej, którą kocham. Przebiegałem wszcz i wzdłuż te ruiny, aby znaleźć jaki gład godny nosić ten znak... na szczęście odkryłem ogromną i samotnie stojącą kolumnę. Wtenczas zwracając się do Arabów rzekłem:

— Nie ma innego Boga, tylko jeden Bóg — i ta kolumna stoi samotnie, i nie ma innych obok niej. Kładę więc na niej znak, którego urok pociąga do cnoty, a wi-

dok przewyższa wszystkie sławy. Szanujcie znak ten, szlachetni Arabowie z pokolenia Anazes! Jeżeli Tadz-el-Faher zasłużył sobie na ufność i hymny pochwalne, wszystko winien temu znakowi... Znak ten jest życiem dla niego; on mu przyświeca w ciemnościach nocy, on go prowadzi w tłoku bitew, on dla niego leczącym balsamem, słodkim niepokojem, ozdobą pamięci, siłą serca...

Na to odpowiedzieli Arabowie:

— Szlachetny emirze! Szanujemy twój znak i przechowamy w naszej pamięci... Powiedz nam emirze, jaki to czarownik lub jaka czarodziejka dała ci ten znak talizmaniczny?

Emir nic na to nie odpowiedział, natomiast książę Mahauna rzekł do nich:

— Zaprzeście tych pytań, młodzieńcy! Ten znak i to słowo mają potężny wpływ na emira Tadz-el-Fahra; są one zapewne tajemnie objawione mu przez Boga miłosiernego!

Wszyscy zamilkli.

Tadz-el-Faher uczuł się mocno wzruszony; serce jego pragnęło rzucić się w wir bitwy. Znak był wyryty na jego szabli, wyryty i na sercu... Niech żyje na wieki ten znak! Niech pustynia, ta kraina nicości, ukorzy się przed tym znakiem!... Już się nim szczyca Palmira. Wybrano czterdziestu Arabów na rycerzy, mających pełnić służbę pod znakiem. Sam emir przyjął wtedy zaszczytny tytuł Abd-el-Niszan (niewolnik znaku).“

Znaleźli się jednak Arabowie, którzy nie złożyli hołdu ukochanej Rzewuskiego. Było to plemię, które uwięziło na pewien czas „niewolnika znaku“ i wtedy to musiał rozstać się z miniaturą damy swojego serca.

„Pewnego razu porwali mię Arabowie z trybutu Sebaa, nieprzyjaznego trybutowi Fedanów, z którymi

byłem w przymierzu... Miałem przy sobie miniaturę mojej drogiej — spostrzeżono pudełko, w którym była zamknięta, i zapytano, co to jest? Byłem pewien, że mi ten portret wydarty zostanie i że wydziercy znieważą drogie oblicze; jako deiści z sekty Wahabitów, podobnie jak wszyscy Sunnici, nienawidzą malowanej twarzy człowieka. Wtedy to odezwałem się do nich:

— W imię Boga miłosiernego! Nie ma innego Boga, tylko jeden Bóg. On sam stworzył świat, niebo i ziemię — ten Najwyższy i Najwspanialszy, to słodkie kochanie nasze. Poniszczył bałwany fałszywych bogów, posągi i malowidła, których nie wolno robić człowiekowi, jeżeli nie chce bluźnić przeciw wszechmocy Twórcy. Ludzkie to malowidło zdobyłem na jednej karawanie, a teraz (tu stłukłem szkło) tą śliną prawdy zmywam w waszych oczach ten wizerunek, aby się już w niczyje nie dostał ręce. Przez takie bowiem symbole ludzie stają się bałwochwalcami.

Powiedziawszy to zamazałem drogie rysy, skruszyłem kość słoniową i oddałem im próżne pudełko...

Odtąd rysy ukochanej wyryły się w moim sercu głębiej jeszcze niż wspomnienie żalu po tej pamiętce..."

Rzecz oczywista, że tej tragedii nie trzeba traktować zbyt tragicznie. Jeśli nawet miała miejsce, Rzewuski prawdopodobnie zbyt nią się nie przejął, opisał tylko całe wydarzenie według ówczesnej mody. Tak samo, aby nadać sobie piętno „cierpiętnika“, używał stałe przydomka Abd-el-Niszan, co nie przeszkadzało mu przy okazji bawić się wesoło i interesować się uroczymi, lecz kosztownymi „spódniczkami“ w Aleppo.

K R Ó L O W A P A L M I R Y

Lady Hester Stanhope, arystokratka angielska i siostrzenica Pitta, z tych samych ekscentryczno-literackich

po budek co Rzewuski wyjechała w roku 1810 na Wschód, zaprzyjaźniła się z Arabami i rozdawała wśród nich pieniądze. Wierzyła przy tym w swoje polityczne i religijne posłannictwo, umiała posługiwać się teatralnymi efektami, nie zaprzeczała pogłosce, że jest córką króla angielskiego i ubierała się w strój szejków arabskich — zdobyła wreszcie duży rozgłos zarówno na Wschodzie jak i w Europie. Plemiona beduińskie obwołały ją ponoć królową Palmiry — „królowa Palmiry, sułtanka Tadmoru, Sybilla dzikich gór“ osiadła w górach Libanu, w pustym maronickim klasztorze Mar Elias, i założyła tam miniaturowe państewko. Co najciekawsze: to państewko, pozbawione jakiejkolwiek siły, odgrywało sporą rolę w życiu politycznym Syrii, dzięki sprytowi, intrygom i dyplomatycznym zdolnościom swojej właścicielki.

Tę kobietę, niejako „koleżankę po fachu“, musiał naturalnie odwiedzić Tadż-el-Faher Abd-el-Niszan, „emir i szejek Arabów-Beduinów Anazeh z plemienia Abuach z góry Schammar“, używający poza tym kilku innych przydomków, z których wynikało, że nazywano go — a może tylko sam siebie nazwał — „katem na konie“ i „ojcem lwa“. Przybył do Mar Elias w towarzystwie sporego orszaku i po dokonaniu wszelkich przepisów wschodniej etykiety — zupełnie słusznie nakazującej, aby przybysz przed złożeniem wizyty umył sobie nogi, głowę i brodę — przystrojony w najpiękniejszy płaszcz emirowski, stanął — na znak czci boso — przed królową Palmiry, ubraną również w książęcy strój wschodni. Rozmowa tych dwojga ludzi musiała być nadzwyczajna i można śmiało wierzyć, że bardzo prędko zdążyli stwierdzić zgodność swoich przekonań. Lady Hester była początkowo nieco sztywna i oficjalna, widziała bowiem w Rzewuskim rywala — rychło uspokoiła się, ujęta oznakami najgłębszej czci z jego strony.

Emir obszernie rozpisuje się w pamiętniku o tym spotkaniu — ciekawe jest także jego krótkie sprawozdanie z pobytu w Mar Elias, wydrukowane w numerze 18 z dnia 4 maja 1825 roku „Rozmaitości“:

„Wierzchołki gór Libanu są ustronią jednej z nadzwyczajnych kobiet. Opuściwszy Europę, przebiegłszy Turcję, Egipt i Syrię, a nawet pustynię, wszędzie przyjęta z uprzejmością i podziwieniem — Ester zamieszkała przez niejaki czas w Kairze, gdzie ją przyjął z uszanowaniem Basza Mahmed Ali, a lud uderzony szlachetną i przyjemną jej postacią, dobroczynnością przyjęty, nadał jej imię Malek (Anioła).

Zwiedziwszy rozmaite miejsca i brzegi morza Ester udała się potem do Akkah (Saint Jean d'Arc). Basza Sulejman wziął na siebie powinność czym prędzej urządzić na jej mieszkanie zimowe Mar Elias, spustoszony chrześcijański klasztor o pół mili od Seyda (Sydon)...

Jej sława i cnoty napełniają krainy, Pustą Arabią zwane... Słowem Ester Malek równie od mieszkańców miast, jak i Beduinów koczujących w pustyni, kochana i czczona, jest jedną z tych rzadkich kobiet, które za wzór płci swojej służyć mogą.

Nie przyjmująca Europejczyków, nawet współziomków swoich, dozwoliła mi, jako Emirowi Beduinów, zaszczytu przebycia u niej kilku tygodni, a dni spędzone w jej poufałym towarzystwie nie wyjdą nigdy z pamięci mojej.

Nieraz jej mówiłem:

— Ester Malek! jesteś owym nieocenionym Hindu kamieniem, przez tyle wieków na próżno szukanym, a który jedna szczęśliwa chwila świata odkryła.

Pisałem na miejscu, w górach Druzów, w krainie Metualisów, w siedlisku Estery Malek, na skale znaku, nad przepaścią Senthun, w moim Emirowskim namio-

cie, dnia Księżyca, Gemadi Euel, roku Hegiry 1034, i tak się działo. — Wacław Rzewuski.“

Lady Stanhope w swoim pamiętniku wspomina Rzewuskiego dość życzliwie, lecz nieco ironicznie. Natomiast emir stara się dowieść, że był jej serdecznym przyjacielem i prowadził z nią obszerną korespondencję. Podczas częstych rozmów ponoć wyjaśnił ekscentrycznej Angielce tajemnicę znaku i opowiedział o istotnych — innych niż te, o których wszyscy wiedzieli — przyczynach swojego pobytu w Arabii. Trzeba bowiem wiedzieć, że ciągle nie mógł się ostatecznie zdecydować w jakim głównie charakterze bawi na Wschodzie: kupującego konie, turysty, archeologa i geografa czy też rosyjskiego agenta politycznego. W „*Sur les chevaux orientaux et prevenants des races orientales*“ powołuje się na inną szczegółową relację, zatytułowaną: „*Mémoires secrets sur les affaires d'Orient*“, i chętnie daje do zrozumienia, że miał powierzoną sobie jakąś ważną misję polityczną, którą wykonał, a o której nie może mówić. Ostrożność nakazywała mu nie przywozić tych sekretnych wspomnień do kraju, ukrył je więc w lewej części pieczary w górach Libanu, w pobliżu mieszkania lady Stanhope, a naprzeciw zamku Szkif, oznaczając miejsce schowania swoim ulubionym znakiem. Trudno sądzić, jak było naprawdę. Szkoda, że profesor Jan St. Bystrzeński, który napisał ciekawy szkic o Rzewuskim, podczas swojej syryjskiej podróży nie sprawdził na miejscu wiarygodności jego słów. Może by odnalazł jakieś butwiejące papiery lub przynajmniej ślady znaku na skale? Inna sprawa, że misja polityczna i sekretne pamiętniki wydają się jeszcze jednym z wytworów fantazji emira, lubującego się w niezwykłości i tajemniczości.

Zdaje się, że jadąc do lady Stanhope był gotów zakochać się w niej i zapomnieć o symbolicznym znaku.

Złożył jej w ofierze kupiony okazjnie miecz Gotfryda de Bouillon, a chciał jeszcze złożyć serce. Opisuje, że mimo przekroczonej czterdziestki zdołała go oczarować swoim urokiem, majestatyczną dumą, wzrostem i kształtną kibicią. Skądinąd wiadomo, że historyczna Hester miała wzrost wysokiego mężczyzny i wcale nie odznaczała się urodą. Emir doskonale to widział i w zapiskach, o których przypuszczał, że nigdy nie będą opublikowane, zupełnie szczerze nazywa ją babą suchą, zjadliwą i zgorzkniałą. Ta różnorodność dwóch relacji najlepiej charakteryzuje jego romantyczne zakłamanie — reklamując Angielkę zarazem wychwalał siebie. Nie zależało mu ani na jej miłości, ani na przyjaźni, lecz na legendzie o tych uczuciach. Pierwsze dwa razy bawił u niej dość krótko, dopiero trzecia wizyta trwała prawie trzy tygodnie. Po upływie tego czasu — oficjalnie z bólem serca, a naprawdę zupełnie obojętnie — pożegnał ją na zawsze i powrócił na pustynię.

A T A M A N R E W U C H A

Jak wszystko na świecie, tak samo to emocjonujące, rozkoszne i nierealne życie musiało się skończyć. Najpierw zabrakło Rzewuskiemu pieniędzy, następnie został zamieszany w rozruchy rewolucyjne w Aleppo. Aby uratować życie uciekł z Aleppo do Lattakii, nie mogąc jednak udać się statkiem do Stambułu zdecydował się odbyć tę podróż konno. W lutym 1820 roku, w towarzystwie jednego służącego, dokonał nie byle jakiego raidu, przebywając na wierzchowcu całą Małą Azję. Nad Bosforem spotkał się z przyjaciółmi, którzy pomogli mu się dostać na Podole.

Gorsza natomiast była sprawa z końmi, które w ilości prawie półtorej setki nabył od Beduinów. Większa część tego stada stanowiła własność emira, re-

szta zaś została zakupiona dla cesarza rosyjskiego, królowej wirtemberskiej i wielkiego wezyra tureckiego, Derwich-baszy. W Syrii znano już wówczas urząd komornika i bankier Dautz, któremu Rzewuski był winien sporo pieniędzy, zasekwestrował jego konie. Zamiast do Sawrania na Podolu stado zostało przewiezione do Paryża i wystawione tam na licytację. Na szczęście nikt nie zaofiarował za nie żądanej sumy i bankier, po namyśle, zgodził się na zabezpieczenie długu na majątkach entuzjasty Arabii. W ten sposób dopiero w rok po powrocie Rzewuskiego ze Wschodu kozacy przypędzili z Paryża do jego majątku konie, za którymi bodaj więcej tęsknił niż na pustyni za daleką i tajemniczą kochanką.

Wyprawa wschodnia poważnie zrujnowała „niewolnika znaku“. Ogromną wartość pieniężną przedstawiały ogiery i klacze, lecz z nimi nie miał zamiaru się rozstawać. Już przed wyjazdem do Arabii miał wyborne i pokaźne stado, które zostało teraz zasilone najbardziej szlachetnymi przedstawicielami znakomitych rodów koni arabskich. Ostatnie rezerwy pieniężne przeznaczył na budowę wspaniałych i wygodnych stajni, większą zaś część dnia spędzał w towarzystwie swoich czworonożnych pupilów. Rozmawiał z nimi po arabsku, a młode źrebięta, urodzone w Sawranii, oswajał z dźwiękami mowy, której słuchali na pustyni ich rodzice. Jako hodowca, robił różne eksperymenty hodowlane. Miał na przykład u siebie młodą, oswojoną niedźwiedzicę, która — ku jego zdumieniu — nawiązała romans z pewnym przystojnym ogierem. Romans ten znalazł w nim opiekuna, ciekaw był bowiem, co z niego wyniknie: nowa rasa koni, przypominająca niedźwiedzie, czy też nowa rasa niedźwiedzi, przypominająca konie. Niestety, nic nie wynikło, gdyż młoda para zwierzęca nie miała wcale potomstwa. Mimo to

Rzewuski uznał ten wypadek za ciekawy i zanotował go w pamiętniku.

Jednocześnie przeprowadzał zarabizowanie Sawrania. Wszystko musiało w majątku przypominać mu Wschód: sprzęty w mieszkaniu, jedzenie, jego ubiór i ubiór służby. Miał nawet zamiar wybudować meczet, lecz proboszcz sawrański, ksiądz Jan Komarnicki, zgłosił kategoryczny sprzeciw. Niemniej jednak emir na kawałku piaszczystego stepu stworzył pustynię, pośrodku której znajdowała się sztuczna oaza. Czasami poddawał się wschodniej ascezie: nie pijał trunków zabronionych przez Proroka oraz przestrzegał katolickich i muzułmańskich postów.

Współczesnych interesował swoim egzotyzyzmem i ekscentrycznością, zdumiewał wielostronnością wiadomości i zainteresowań. Miłośnik Wschodu był zarazem niepospolitym znawcą kultury zachodniej. Miał nieprzeciętne zdolności malarskie i muzyczne, dużo pisał po polsku i po francusku. Tworzył wiersze, wśród których najwartościowsze są „Melodie arabskie“, „Melodie greckie“ oraz poemat wschodni „Oksana“. Na jego prace literackie widoczny jest wpływ literatury orientalnej. Romantyk w życiu i w swojej poezji — przez niezrozumiałe skojarzenia myślowe — uważał siebie za klasyka i w polemicznych artykułach atakował romantyków.

Lata 1820—1830 przeważnie spędził w Sawranii, skąd jedynie na krótko wyjeżdżał w okolice lub do Krzemieńca i Lwowa. Odwiedzając sąsiadów zawsze przywoził z sobą namiot, który rozbijał na dziedzińcu, i sypiał w nim, mimo że ofiarowywano mu najwspanialsze sypialnie. Podczas jedzenia znowuż nigdy nie pił żadnych płynów objaśniając, że zwierzęta dopiero w parę godzin po spożyciu posiłku chodzą do wodopoju — tak samo postępują „dzieci natury“, Arabowie.

Nie przeszkadzało mu to jednak brać udziału w życiu towarzyskim Krzemieńca, a gdy do tego miasta zawiątała boska Angelika Catalani, ówczesna sława operowa — wobec braku odpowiedniego śpiewaka — śpiewał z nią na scenie kuplety, podobno zupełnie dobrze. We Lwowie emir chętnie się spotykał z miejscowymi, nielicznymi literatami, a pewnego razu w redakcji „Rozmaitości“ poznał Wacława Zaleskiego, młodego entuzjastę Słowiańszczyzny. Rozmawiał z nim dość długo i pożegnał się ogromnie zirytowany — początkujący poeta i krytyk w żaden sposób nie chciał uznać wyższości kulturalnej plemion arabskich nad słowiańskimi.

Od żony „niewolnik znaku“ zupełnie się oddalił i mało zajmował się wychowywanymi przez nią dziećmi. Rozalia Rzewuska zresztą wcale nie interesowała się mężem, zaczęła ją bowiem pochłaniać jedyna w swoim rodzaju praca. W ciągu prawie dwudziestu lat układała trzydziestodwuherbowy wywód genealogiczny, w którym udawadniała pokrewieństwo swojej rodziny z najwybitniejszymi rodami Europy. W wywodzie znaleźli się nie tylko Stuartowie, Burbonowie, Habsburgowie i inni, ale także Balzac i Chateaubriand ze względu na swoją sławę i poczytność. O pogodzeniu się małżonków nie było mowy — oboje przeto na swój sposób korzystali ze swobody.

Emir przez jakiś czas kochał się w pewnej uroczej hrabinie, która zupełnie niepotrzebnie rozwiodła się dla niego z mężem — najdłuższą zaś jego miłością była prosta dziewczyna z dóbr konstantynowskich. Znała się świetnie na koniach, ubrana po męsku jeździła z nim wszędzie po kraju; niestety, zginęła tragicznie stratowana przez dzikiego ogiera. Zdaje się, że właśnie ona nosiła imię Oksany i stała się prototypem bohaterki poematu o takiej samej nazwie. W ogóle do grona ko-

chanek Rzewuskiego należało sporo znanych piękności kresowych; bardzo możliwe, że jedna z nich była przedmiotem jego westchnień na pustyni.

Sprawy majątkowe Rzewuskiego pogarszały się z roku na rok. Doszło do tego, że jego dobra, na żądanie wierzyteli, zostały objęte przez zarząd przymusowy. Nie miał pieniędzy na drugą wycieczkę wschodnią, a tymczasem tęsknota za Arabią stawała się coraz większa. „O Boże — pisze na marginesie jakiejś pracy — daj mi wrócić na pustynię! Kiedyż cię ujrzę ukochany Nedździe? Ubóstwo twoje wyżej cenię niż przepychy dworów!“ Spisał — a być może, że sam stworzył — pieśni, które Beduini śpiewali o nim. Każda taka pieśń zaczyna się zwrotem: „W imię Boga Łaskawego i Miłosiernego, Pana dwóch światów, Stwórcy nieba i ziemi! Niech błogosławieństwo Jego będzie z Emirem Tadż-el-Fahrem Abd-el-Niszanem!“, a kończy się wezwaniem: „Przybywaj Emirze! Kraj Nedźdu pełen jest twego imienia. Nasze dziewice tęsknym wzrokiem wyglądają Emira, niewolnika znaku. Nasi wojownicy, dumni Tobą, czekają Twego przyjazdu“.

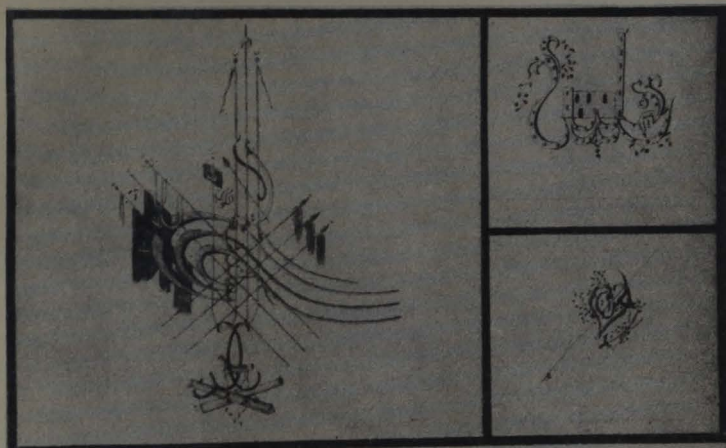
Nie mógł zadośćuczynić temu wezwaniu — na próżno w otoczeniu kozaków szukał urojonych skarbów w ukraińskich stepach, nic nie znajdował. Kozacy przepadali za nim, nazywali go „Ataman Rewucha — złotaja boroda“ — a on rzeczywiście jakby chcąc zasłużyć na miano atamana — z biegiem czasu — stopniowo przemieniał się w entuzjastę kosackiego życia. Do tej przemiany przyczynił się także Tymko Padurra, znany poeta ukraiński, który w ciągu kilku lat przebywał na jego dworze. Tak samo jak w Arabii rozmawiał poważnie po arabsku, obecnie najchętniej mówił po ukraińsku. Listy adresowane do niego, jako do hrabiego, odsyłał nadawcom nierozpieczętowane z dopiskiem: „Tutki (tutaj) w Sawranii nema grafiw Rewuśkich,

tylki je ataman Rewucha, zołótaja boroda, a po arabśki emir Tadż-el-Faher; grafiw szukaj sobi w Czudnowi taj Pohrebyszczach!“

Ten jeszcze młody i pełen energii człowiek coraz bardziej dziwaczał. Ze stoickim spokojem znosił różne niepowodzenia, lecz bardzo dotkliwie odczuł polecenie cara, aby ostrzygł swoją wspaniałą, złotą brodę. Trudno dociec, co naprawdę spowodowało ten niezwykle nakaz — podobno władze uważały brodę za główną przyczynę szybko wzrastającej popularności „atamana Rewuchy“ wśród ukraińskiego ludu. W tym samym czasie zrzucił burnus i zaczął nosić kozacką świtkę. Rzecz osobliwa, że w miarę ukrainizowania się budziły się w nim gorące polskie uczucia patriotyczne, które skłoniły go do wstąpienia do Towarzystwa Patriotycznego. Gdy wybuchło powstanie listopadowe, rzekomy rosyjski agent na Wschodzie wystąpił przeciw Rosji i objął dowództwo nad szwadronem jazdy, wystawionym przez obywatelstwo polskie, a w połowie wyekwipowanym przez siebie. Ostatni raz widziano go 14 maja 1831 roku w bitwie pod Daszowem. W kozackim stroju czterdziestosześcioletni „ataman Rewucha“ walczył z Moskalami, dowodzonymi przez generała Rotha. Po bitwie zaginął bez wieści, a jego ciała nigdzie nie znaleziono. Tylko wierny wierzchowiec nazajutrz wpadł zziębnięty na dziedziniec dworu w Sawraniiu bez siodła i bez swego pana.

ROMANTYCZNE LEGENDY

O tajemniczym zaginięciu Rzewuskiego powstały różne wersje. Opowiadano na przykład, że został zastrzelony w lesie podczas obławy na powstańców. Według innej wersji zamordował go zdradziecko, z tyłu, własny kozak, któremu zabrał kochankę. Prawdopodob-



TRZY STYLIZOWANE UJĘCIA TAJEMNICZEGO ZNAKU.

Akwarelki Wacława Rzewuskiego z rękopisu pamiętnika.



OBRAZKI Z ŻYCIA ARABÓW.

Na prawo: obóz emira, udającego się do Mekki.

Akwarelki Wacława Rzewuskiego z rękopisu pamiętnika.



UCIECZKA EMIRA PRZED WROGAMI.

Akwarelka Wacława Rzewuskiego z rękopisu pamiętnika.



TURNIEJ NA CZĘŚĆ EMIRA W DAMASZKU.

Akwarelka Wacława Rzewuskiego z rękopisu pamiętnika.



WACŁAW ZALESKI.
Według współczesnego portretu.



URZĘDNIICY W „GUBERNIUM”.

Rysunki Juliusza Kossaka.

nie jednak męznego dowódcę szwadronu zabili przemytnicy, ułatwiając mu przedostanie się przez granicę do Galicji, gdy zobaczyli, że posiada przy sobie pokazną ilość pieniędzy — zwłoki zaś wrzucili do fosy, niedaleko ujścia Zbrucza do Dniestru. Tamtejsza ludność w swoim czasie dużo o tym mówiła i wskazywała rzekomych sprawców. Nie brakowało również głosów, że Rzewuski szczęśliwie przedostał się na Wschód i tam jeszcze spędził wiele lat życia wśród ukochanych Arabów. Znaleźli się nawet samozwańcy, którzy później w Arabii podawali się za emira Tadż-el-Fahra Abdel-Niszana.

W każdym razie dookoła postaci Rzewuskiego powstały romantyczne legendy. Potomek hetmanów nie został wielkim człowiekiem: życie strwonił na realizowaniu fantastycznych marzeń i zmarnował wszelkie swoje zdolności. Zasłużył się tylko jako hodowca koni. Nie dostał się do historii, lecz za to dostał się do historii literatury. Wprawdzie sam nie był wybitnym literatem, natomiast jego barwne życie natchnęło cały szereg polskich powieściopisarzy i poetów XIX wieku do napisania utworów o nim. Jego osobowość stworzyła literatura — legenda o nim stała się ulubionym tematem literackim. I to właśnie uratowało go od zapomnienia.

ROMANTYCZNY GUBERNATOR

S T A R E P A P I E R Y

W mojej bibliotece na dolnej półce leżą przywieszane ze Lwowa, stare papiery. Na wierzchu — trzy ogromne koperty, szczelnie wypchane zapisanymi kartkami. Są to — jak głosi napis na pierwszej kopercie — „rękopisma Waclawa z Oleska, 1822—1830“, które zawierają znaczną ilość przeważnie krótkich wierszyków, napisanych pod wpływem chwilowego natchnienia. Tematy najczęściej miłosne: „Do Elizy“, „Do L.“, „Do Julii“ i temu podobne, poza tym parę dumek ludowych. Na pozostałą część „rękopismów“ składają się: różne notatki, szkice dramatów, sztuka „Młody adwokat“, artykuły oraz kilka drobnych tłumaczeń Goethego i Schillera.

Obok leżą dwie duże teki i pokaźny manuskrypt, pięknie oprawiony w skórę. Na pierwszej stronie manuskryptu widnieje tytuł utworu: „Justyna, duma dramatyczna w pięciu oddziałach przez Waclawa Załeskiego, 1824—1825“. W jednej tece znajdują się dokumenty i świadectwa szkolne Waclawa Załeskiego, dekrety nominacyjne, urzędowe listy i kopie odpowiedzi w języku polskim lub niemieckim. W drugiej — prywatne listy i większy plik kartek zapisanych drobnym, charakterystycznym pismem, takim, jakim są skreślone wszystkie „rękopisma“. Papier już pożółkł, gdzieś wyblakł atrament, niemniej jednak prawie wszystko można przeczytać. Na wstępie „Przegląd listów po ojcu moim pozostałych, do mnie pisanych“, da-

lej „Przegląd dzienników moich“ i krótki dzienniczek. W dzienniczku Wacław Zaleski zwięźle, stylem telegraficznym, notował wydarzenia każdego dnia w ciągu paru miesięcy 1846 i 1848 roku. Wśród kartek zabłąkała się oryginalna pamiątka: skrwawiona chustka, owinięta w papier. Ktoś zamieścił na tym papierze następujące objaśnienie:

„Krew Wacława, która pozostała na chustce po puszczaniu krwi — dla ulżenia kurczów w sercu. To biedne serce kochało kraj — i w tej miłości zostało najbardziej dotknięte, dlatego przestało bić dla nas wszystkich.“

P I E R W S Z E K R O K I

Jeszcze nie upłynął wiek od śmierci Wacława Zaleskiego, a wydaje się, że jego epoka oddalona jest od naszej o parę stuleci. Nie będzie to brzmiało jako paradoks, jeśli weźmie się pod uwagę szalony postęp, który cechuje życie współczesne. W Galicji początek XIX wieku niewiele się różnił pod względem kulturalnym i ekonomicznym od końca XVII stulecia. Gdy prowincja przeszła pod władzę Austrii, w ciągu przeszło pięćdziesięciu lat nie było tam ani jakiegokolwiek ruchu umysłowego, ani żadnej literatury, lecz ciemnota i zacofanie, prawie niespotykane gdzie indziej w ówczesnej Europie. Lwów nagle wyniesiony do godności stolicy Galicji i Lodomerii — oczywiście nie posiadał na razie warunków, aby stać się ogniskiem nauki i literatury. Dopiero w trzecim dziesięcioleciu zeszłego wieku zaczął się budzić z drzemki, dopóki powstanie listopadowe i „wiosna narodów“ nie obudziły go zupełnie.

Do tego miasta w 1810 roku Filip Zaleski przywiózł swojego jedenastoletniego syna, Wacława. Posta-

nowił go gruntownie wykształcić, ponieważ wiedział że nie zdoła mu pozostawić majątku. Zarabiał bardzo mało, chociaż ciężko pracował — wprawdzie dawniej dzierżawił samodzielnie folwarki, ale zbankrutował po jakimś pożarze i ostatnio musiał wysługiwać się jako rządca lub ekonom różnym ziemianom. Marzył o urzędniczej karierze dla syna, a jednocześnie obawiał się przedwczesnej śmierci. Co stanie się wtedy z chłopakiem? Z pewnością zmarnuje się i nie wyjdzie na ludzi! I tak, jak przeczuwał, umarł niespodziewanie w parę lat później, gdy Wacław uczęszczał do ostatniej klasy gimnazjalnej.

Osieroconemu uczniowi groziła bieda — silna wola i energia dopomogły mu jednak do stworzenia sobie nowej egzystencji. Zaczął udzielać lekcyj i to zapewniło mu możliwość dalszego kształcenia się. Po ukończeniu szkoły średniej zamierzał studiować medycynę, lecz na wyjazd do Wiednia nie miał pieniędzy, a uniwersytet lwowski był pozbawiony wydziału lekarskiego. Ostatecznie wstąpił na filozofię, na której wykładano przedmioty w zakresie późniejszego programu gimnazjalnego. Na ogół ówczesne uniwersyteckie wykształcenie było przystosowane do woli apostołskiego cesarza Franciszka I, łaskawie wypowiedzianej w słowach: „Nie chcę mieć uczonych, ale potrzebuję urzędników“. Wacław z filozofią uporał się w trzy lata, potem rozpoczął studia na wydziale prawa, które ukończył w 1825 roku.

Był to młodzieniec średniego wzrostu, przystojny, elegancki i grzeczny. Wywierał miłe wrażenie — lubiły go zwłaszcza kobiety. Najczęściej kochały się w nim matki jego uczniów, nie mógł przeto narzekać na brak korepetycyj. Zachłanny na wiedzę, dobrze i chętnie się uczył. Nie stronił również od przyjemności, a po dniu pełnym pracy chętnie uczęszczał na zabawy

lub umawiał się na randki. Odznaczał się wytrwałością i umiał zwykle realizować swoje zamiary. Ogromnie interesował się literaturą, dużo czytał i już w dziewiętnastym roku życia zaczął pisać zupełnie dobre wiersze.

Początkowo zwracał się w nich do swojej urojonej kochanki, pięknej, dwunastoletniej Agnesy. Z czasem naturalnie przyszły inne muzy i inne tematy. Oprócz tworzenia poematów wiele czasu zabierało mu notowanie wszelkich wydarzeń, które go spotykały, i doznanych wrażeń. Pamiętnik wkrótce przybrał takie rozmiary, że przy częstych przeprowadzkach sprawiał poważny kłopot. Dlatego w 1830 roku Wacław, gdy przebywał w Wadowicach, streścił swoje wspomnienia, a oryginał pamiętnika spalił. Powstał w ten sposób wspomniany „Przegląd dzienników moich“ — dokument, który z ogromną szczerością doskonale charakteryzuje swojego twórcę.

CIERPIENIA MŁODEGO WERTHERA

„Przegląd dzienników moich“ — to nie tylko obraz życia studenta, literata, wreszcie urzędnika. To pamiętnik młodego wykształconego człowieka z pierwszej połowy XIX wieku, który podlegał takim samym wpływom, jakim ulegali jego rówieśnicy. „Przegląd“, chociaż opowiada o konkretnych wydarzeniach z życia Wacława, jest zarazem ciekawym dokumentem obyczajowym tamtej epoki. W sferach inteligenckich czytano wówczas głównie Goethego, Schillera i Byrona, dopóki nie „wybuchł“ Mickiewicz. Roilo się od romantycznych Wertherów, którzy starali się przewyższyć w cierpieniach Werthera powieściowego, aby być w zgodzie z wymaganiami mody. Poza tym „bawiono się we Lwowie wesoło — pisze K. Ostaszewski-Barański w monografii o Wacławie Michale Zaleskim — a i obyczaje były

wcale swobodne. W czasie pomiędzy rokiem 1815 a 1830 kraj znajdował się w politycznym letargu; stosunki między rządzącymi a rządzonymi nie były najlepsze, ale bynajmniej nie nieprzyjazne... Zabawy i prywatne, i publiczne, gromadne wycieczki, w karnawale maskarady, a zawsze teatr, należały do zwykłego programu życia, a panie, szczególnie Niemki, nie były bynajmniej skąpe w szafowaniu uczuciami". Z innych zaś źródeł wiadomo, że również uroczę Polki pod tym względem wcale nie odznaczały się skąpstwem.

Wacław szalał za ładnymi kobietami, przy czym nie zwracał uwagi na ich narodowość. Romantyk, marzyiciel, w chwilach wolnych od zajęć cierpiący „nadludsko“ Werther-amator, miał zarazem sporo zdrowego rozsądku, aby należycie kierować swoim życiem. Jego wspomnienia podobne są do powieści, w której autor jest bohaterem. Napisane żywo i interesująco, odznaczają się rzeczowym realizmem, a niekiedy — dramatycznym napięciem. Streszczenie, opracowane w Wadowicach, uzupełnił później kilkoma sprawozdaniami z lat następnych — najlepiej przeto oświetlić jego osobowość fragmentami z tego niewydanego dzieła:

„Zacząłem dziennik prowadzić dnia 1 stycznia 1819 roku. Byłem wtedy na pierwszym roku filozofii, a w domu konsyliarza apelacyjnego Dejmy jako informator najmłodszego syna, Franciszka. Czułem żywą skłonność do siostry jego, Agnesy, ledwie 12 lat mającej.

Początkowo dziennik prowadziłem w języku niemieckim, po części dlatego, ażeby się w tym języku więcej wyćwiczyć, po części zaś dlatego, że już wtedy więcej miałem łatwości w pisaniu po niemiecku niż po polsku. Przywiązanie do polskiego języka i polskich rzeczy nie mogę u mnie nazwać wrodzonym; nastąpiło ono później z przekonania i nie było nigdy na stopniu ślepego instynktu. Od 1 listopada 1821 roku dziennik mój

prowadzony jest w języku polskim i miejsca tylko, przy których namiętnie czułem, wypływające ze stosunków moich z Niemkami, są w języku niemieckim.

Najmilszym wspomnieniem z roku 1819 jest mi teraz przewyciężenie wady jąkania. Uskuteczniłem to za pomocą pierścionka z okiem Agnesy i napisem jej liter w pokoju moim. Czas mój cały zajęty był naukami szkolnymi i dawaniem lekcyj — przy tym ćwiczeniem w tańcach, które namiętnie lubiłem. Ćwiczenie to połączone było czasem z wyczerpaniem wszystkich sił, padałem po nich nieraz jak bez duszy.

Przywiązanie moje do Agnesy natchnęło mi niektóre wiersze, które pod napisem „Do Gnei“ jeszcze posiadamy. W potrzebach pieniężnych... zapomagał mnie nieraz I. Wtedy już dawałem lekcje z matematyki i psychologii. Tańczyłem wiele. Chodziłem po redutach, zacząłem gorących używać trunków i zmysłowość mocno działać poczęła. Ze szkolnych nauk najbardziej pilnowałem matematyki... O drażliwości nerwów moich z owego czasu są dowody: częste wspomnienia, żem przy czytaniu książek na kolana padał i rzewnie płakał. Często myślałem o śmierci. Modliłem się, ale rzadko kiedy i to tylko na górach lub w lasach.

W kwietniu tego roku opuściłem dom Dejmów z powodu ich wyjazdu na wieś. W tym samym czasie zacząłem czytać Goethego — „Cierpienia Werthera“ wiele też mnie kosztowały. Od spojrzenia Agnesy zawisło było moje szczęście z urojenia, gdyż nieraz dziwiłem się niespodzianej miłości, gdym się zapomniał. 20 maja Agnieszka ze Lwowa wyjechała...

Myślałem często o tym, aby uczyć się jakiegoś rzemiosła, np. tokarstwa — nie przyszło do tego. Książka mało co znacząca, „Miłostki Napoleona“, zbyt mocno na mnie działała. Wtedy powziąłem myśl pójść do wojska i osobliwie się przykładać do matematyki. Pod ten

sam czas, w maju, zaczął się mój stosunek z Julią. Otrzymałem kilka korepetycyj z geometrii. Już o szóstej z rana zaczynałem. Wzmianka o moich egzaminach zawsze bardzo chwalebna. Najwięcej zajmowała mnie Agnesa lubo i Julię czasem adorowałem.

Rok 1820.

Rok prawdziwie studencki. Byłem na drugim roku filozofii — mieszkałem u B., jadałem z początku u W., potem u P. Lekcyj mnóstwo. Dochód był znaczny, przy tym stypendium — nigdy jednak pieniędzy nie miałem i jak się pokazuje, najczęściej pożyczałem. Mimo birbanckiego życia, zrobiłem bardzo wiele. Egzamina wszystkie jak najlepiej. Czytałem, oprócz wielu dzieł pomniejszych, całego Schillera, całego Goethego i Szekspira. Rysowałem dość wiele. — Z końcem roku zacząłem się uczyć po angielsku. Przy końcu wakacji, w październiku, zacząłem lekcje bardzo dobrze płatne, jednak i tak pieniędzy nie było — gdyż życie było puste.

W tym roku zacząłem uważać na dziewczęta publiczne i — suma sumarum — trzy razy miałem z nimi do czynienia. Co by mogło nastąpić, trudno przypuszczać, gdyby inne nie były zaszły stosunki. Na początku roku Agnesa, ta mogę powiedzieć urojona kochanka, twór mojej wyobraźności, była jedynym bóstwem moich myśli. Dla niej płakałem, dla niej wzdychałem, dla niej mi mało serce nie pękło — przez nią, dla jej braci wszystko czyniłem. Jej włosy w ramkach i portret Napoleona były jedynymi świętościami w moim pokoju. Julia, która później w tenże sam sposób jej miejsce zajęła, gdym siedział przy niej, ogień mój wzbudzała.

Od 20 lutego do 20 czerwca przyjemne zaszło intermezzo z Salomeą N., córką kapitana-Francuza. Była u Bielewiczów; ściana nas tylko dzieliła. Przyjemne po niej zostało mi wspomnienie. W sierpniu tego roku roz-

począł się stosunek daleko ważniejszej treści z S., w niebytności jej męża. 12 września 1820 roku poczęło się pasmo użycia, które się prawie bez przerwy do roku 1830 ciągnęło.

I w tym roku wiele się przykładał do matematyki i do praktycznej geometrii; zacząłem przy tym pisywać wiersze po polsku i myślałem o tłumaczeniu niektórych dzieł Goethego. Stosunek mój do Agnesy miał się wyrazić w tragedii „Bolesław“, której plan i niektóre sceny ułożyłem. Dla zgrabnego tańczenia bywałem proszony do wielu domów. Z końcem roku S. bywała już u mnie.“

W jesieni 1821 roku Wacław zapisał się na prawo. Jego sytuacja materialna znacznie się poprawiła, ale liczne romanse i związane z tym kłopoty miłosne spowodowały, że wciąż był rozgoryczony, nieszczęśliwy i niezadowolony z siebie.

„Na początku roku, w zapusty, różne pokazują się działania. Tańczyłem wiele na tak zwanych tancibunkach. Byłem na trzecim roku filozofii — pilnowałem osobliwie estetyki i pedagogii — czytałem z wielką pilnością Szekspira, powtórnie niektóre dzieła Schillera i Goethego i wiele innych pomniejszych; „Iliadę“ po polsku, „Odyseję“ po niemiecku. Przy końcu roku czytałem Krasickiego i częściowo Naruszewicza. W styczniu przyjęty zostałem do społeczeństwa niemieckiej młodzieży, nazwanego „Concordia“. Schodziliśmy się u Wencla, dziś księgarza w Przemyślu. Wtedy zacząłem więcej piływać po niemiecku. Po polsku niektóre wiersze, natchnione przez Agnesę albo Julię. W tym roku rozpocząłem tragedię „Młody adwokat“. Egzamina, jak zwykle, z wielkimi zdawałem oklaskami. Zdecydowałem się pójść na prawo i tak się stało. Z końcem roku — to jest z początkiem roku szkolnego — w listopadzie i grudniu, wszedłem w związki z Hüttnerem, profesorem statystyki. Chciał mnie mieć współpracow-

nikiem swego pisma periodycznego. Pisywałem niektóre rzeczy dla niego — tłumaczenia polskich autorów. Związek ten byłby dla mnie największej korzyści, gdyby mąż ten uczony i zasłużony nie umarł za wcześnie.

W lutym porzuciłem fortepian, a wzięłem się z wielką chęcią do rysunków: rysowałem po kilka godzin na dzień. Przy tym uczyłem się cały rok fechtować, a w lecie pływać. W listopadzie, gdym już był na prawie, zacząłem słuchać anatomii.

Życie moje było dzikie i nieregularne. Mimo znacznego dochodu, zawsze brak pieniędzy: wydawało się je na lekcje i na teatr — chodziłem co dzień na bilard, poncz, kawę, której niezmiernie wiele piłem. Wówczas rozdrażnione nerwy osłabiały siły moje, stąd nie było i mocy w moim charakterze. Żywa wyobraźność brała górę nad rozumem. Skłonny do melancholii, chodziłem smutny, rozmarzony zawsze — sam nie wiedziałem, czego chcę. Podwójny stosunek z Julią i z S. tylko utyskiwań i jęków, których pełno w moim dzienniku, był przyczyną. Chciałem kochać — czułem tego niezbędną potrzebę — i zdawało mi się, że kocham Julię albo Agnęsę. Tymczasem zmysłowość ciągnęła mnie do S. W jej objęciach byłem szczęśliwym. Nadużycie — nad wszelkie wyobrażenie — osłabiało, nie bywałem więc u niej po kilka tygodni. Chciała się struć. Gdy się siły wzmagaly, znowum wracał. Bywałem u niej we dnie albo ona u mnie wieczorem, często w męskim ubiorze. Od humoru Julii mój humor był zawist. Same sprzeczności. W dzienniku pełno narzekań.

W tym roku zacząłem się zastanawiać nad moim położeniem, jako Polak zacząłem się przywiązywać do rzeczy polskich — i z przekonania stałem się prawdziwym Polakiem. Wiele wierszów polskich — lubo niezgrabnych — z tego roku tę cechę na sobie noszą.

Czasem poznawałem moje głupstwo w stosunku do

Julii — poznawałem, że się łudzę, jednak mię to nie ochroniło od tysiąca dzieciństw, szkodliwych nareszcie zdrowiu memu. 10 września odjechałem był do Stanisławowa. 2 października wróciłem. „Don Kichot“ przez ten czas był moją zabawą.

Rok 1822.

Dalszy ciąg pierwszego roku prawa. Początek odznaczają zapusty: bywam wesół albo też sobie i drugim niezdolny, jak na resursach, gdzie bywała Julia. Cały mój dziennik nią tylko jest zajęty. Jest to jak gdyby zbiór listów Werthera albo Siegwartha. Z jej powodu tysiączne niedorzeczności: narażanie własnego zdrowia, szczęścia i życia. 17 grudnia niewiele brakowało, że bym sobie był sztylet w piersi wepchał. W tym roku zacząłem do niej pisywać — rozpoczęła się owa korespondencja przez zakreślane miejsca w książkach. Nie można zaprzeczyć, że mnie łudziła, a ja głupi dałem się łudzić. Czuła jednak coś do mnie... z wdzięczności była mi winna całą swoją naukę — i z próżności. Ileż to razy płakałem po nocach!

Egzamina, osobiście u Fügera, z wielkim zdawałem tryumfem, miał bowiem do mnie niejaką zawziętość, gdyż nie chodziłem na jego prelekcje. Hüttner 16 marca umarł, sprawiłem mu pogrzeb, jakiego Lwów jeszcze nie widział. Żałobę nosili studenci za moją namową przez trzy tygodnie. Egzekwie nie przyszły do skutku dla uwagi rządu. Portret Hüttnera sam w senacie zawiesiłem. Po śmierci Hüttnera — Mauss objął redakcję „Miscillów“, on pierwszy moje pisemka bardzo chwalił. Zacząłem pisywać krytyki, bywały drukowane, opisanie obrazów w Żółkwi wyszło także z druku po niemiecku. Czytywałem dosyć: oprócz pism pomniejszych, Lessinga całego i Herdera — ostatniemu wszystko winien jestem. Z polskich pisarzy czytałem Kochanowskiego i Karpińskiego, Feliński niezmiernie

mię zajął nie tragediami, ale pisownią. Tłumaczyłem niektóre wiersze Schillera i Goethego. 21 października ukończyłem nareszcie „Młodego adwokata“ — jako pamiątkę moich uczuć i mego ówczesnego sposobu myślenia.

Mój związek z S. trwał ciągle, ale widywaliśmy się bardzo rzadko: na dwa, trzy miesiące raz, czasem znowu częściej; bywałem u niej i u jej męża albo ona u mnie — w męskim ubiorze. Związek ten jednak był dość opieszwały. 6 lipca widziałem Agnesę — jak gdyby sen z dawnych lat!...

W A C Ł A W I K A R O L I N A

Następne dwa lata nie przyniosły poważniejszych zmian w życiu Wacława. Zapomniał zupełnie o Agnesie, a nawet zdobył się na okrutny postępek — ramkę, w której przechowywał włosy wyśnionej kochanki, ofiarował koledze, aby wstawił w nią miniaturę swojej przyjaciółki. Zdawał pomyślnie dalsze egzaminy i ciągle dużo czytał. Miał tyle korepetycyj, że często zajmowały mu one 12 godzin na dobę. Zarabiał coraz więcej, mógł przeto pewnego lata pojechać do Warszawy i Wiednia, po powrocie zaś zajął się gorliwie pracą literacką i zaczął pisać tragedię pod tytułem „Justyna“. „Dziwna rzecz — notuje w pamiętniku — że powodem do tego było wspomnienie Nauzyki z Odyssei, którą Goethe chciał wystawić w tragedii. Później w samej już robocie całkiem co innego się zrobiło“. Jednocześnie próbuje nieco filozofować przy zapisywaniu codziennych wydarzeń. Wymyślił nawet maksymę, że życie jest celem a nie środkiem, trzeba więc żyć wesoło i spokojnie, nie unikać ludzi, ale również ich nie szukać i być — dodatkiem najcharakterystyczniejszy — Julii przyjacielem!

Julia wciąż zwodziła i łudziła nieszczęśliwego młodzieńca. „W tym roku 21 marca — zapisuje kiedyś — darowała mi szelki swojej roboty“. Jednocześnie niepoprawna uwodzicielka flirtowała z innymi kawalerami i upatrzyła sobie kandydata na męża, którym niestety nie był romansowy Wacław. Kłopoty miłosne zawsze ogromnie go denerwowały, ale nie przeszkadzały w pracy. W czasie studiów na wydziale prawa nie stracił ani jednego roku — a gdy otrzymał dyplom czym prędzej zaangażował się do urzędu gubernialnego, czyli tak zwanego „gubernium“. Marzenia Filipa Zaleskiego spełniły się — jakże byłby dumny, gdyby się dowiedział, że jego syn ponadto zaczął wykładać matematykę w uniwersytecie jako zastępca profesora!

„Rok 1825.

Początek tego roku i koniec nie bardzo są do siebie podobne. Na początku zatrudnienia w zeszłym roku rozpoczęte i związki te same. Do ukończenia szkół — oprócz nauk politycznych — zajmował mnie Stanisław Potocki, roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Jean Paul, Niemcewicz, nareszcie Kazanowa. Lekcje były mi nieznośne — lecz cóż było robić? Julia stała mi się na koniec obojętniejsza. Przekonałem się o jej stosunku ze Stelzhammerem. Nie chciała jednak mojej przyjaźni i mego szacunku utracić. 26 kwietnia pisała do mnie jeszcze kłamliwie. 17 października darowała mi szpilkę stalową, którą mam jeszcze. U S. częściej znowu bywałem, jak dawniej dopuszczaliśmy się wszelkiej rozpusty. Zresztą zatrudnienia szły dość dobrze: 8 lipca skończyłem „Justynę“. Życie było dość swobodne.

Zaraz po ukończonych studiach wstąpiłem do Gubernium. 15 lipca złożyłem przyrzeczenie milczenia, a 18 wstąpiłem do biura. Roboty w biurze zaraz od początku zaczęły mi iść bardzo dobrze: kontenci byli ze mnie. W domu zaś bardzo mało robić mogłem, gdyż zaraz

wziąłem się do normalistów. Tytus Dzieduszycki napisał krytykę na „Jana z Tęczyna“, nie mając czasu odpowiedziałem na nią tylko ułomkami, które były drukowane w „Rozmaitościach“. W październiku drukowana była moja rozprawa o pisowni, właściwie o pisaniu. Później od tych zdań odstąpiłem. Z końcem sierpnia stosunki moje bardzo się zmieniły: zostałem suplentem matematyki przy wydziale filozoficznym z płacą 600 złr. srebrem. 12 września zacząłem kollegia: audytorium niezmiernie napełnione — 200 słuchaczy. Przy tym miałem lekcje, których się zbyć nie mogłem. Dochód roczny przechodził 1200 złr. srebrem, lecz nigdy prawie nie miałem pieniędzy i jeszcze pożyczać musiałem.

Mimo tych wszystkich zatrudnień czytałem pilnie Byrona, mało co jednak po nim pozostało. Śniło mi się coś w myśli o Twardowskim, którego chciałem wystawić w formie Fausta, nie przyszło do tego, ułomki zostały. Sny prorocze jeszcze miewałem — do poezji jak do oddalonej wzdychałem kochanki. W ostatnich dniach roku egzaminowałem moją młodzież, duszą i sercem do mnie przywiązaną.“

W „gubernium“ Wacław zaczął pracę jako „kandydat na praktykanta konceptowego“, po roku awansował i został „praktykantem konceptowym“. Zmiana tytułu, który przypomina całą groteskowość ówczesnej biurokracji, sprawiła mu wiele radości. Koledzy w biurze mówili zapewne, że ma „plecy“. Rychło jednak wszyscy przekonali się, że owe „plecy“ nie były zupełnie pewne, gdyż „dla dobra służby“ praktykanta konceptowego przeniesiono nagle do Sącza. Niemal jednocześnie z powodu likwidacji niektórych wykładów na wydziale filozoficznym Wacław musiał zrezygnować z posady zastępcy profesora.

„Rok 1827.

...Wyznaczono mnie tedy do Sącza — nie było co

mówić. Związek mój z S. trwał jeszcze, lecz bardzo był wątpliwy — bywała jednak czasem u mnie. 10 września dowiedziałem się od jej męża, że synek Gustaw umarł; był to mój syn. Nowina ta mniej mię obeszła, jakby sobie wystawić można. Obojętny dla matki mniej czułem i dla dzieci! 18 września Julia, owa Julia — przedmiot moich marzeń — ślub wzięła ze Stelzhammerem, dziś konsyliarzem sądowym. Do samego końca wytrwałem w przyjaźni dla niej i miała tego dowody. Odprowadziłem ją do ślubu, byłem czynnym drużbą — w godzinę po ślubie wyjechała z mężem do rodziców — nie widziałem jej aż po powrocie moim ze Sącza, gdy już była matką pięknego syna. Do samego końca byłem spokojny.

Przyjechałem 25 października do Sącza. Starostwo Gadomscy przyjęli mię od pierwszego razu bardzo łąskawie. Z końcem listopada poniszczyłem różne pamiątki po Agnesie i Julii: owe mirty, róże, filiżaneczki, pierścionki i guziczki, kawałki materii na suknie — wszystko to poszło w Dunajec... W rozpamiętywaniu nad moim stosunkiem do Julii nie mogłem się uspokoić zupełnie — świat mi był obojętny i do nikogom się nie zbliżał. Sądziłem, że już tak będzie do końca... nie przewidywałem co mię jeszcze w tym roku czeka.

30 grudnia poznałem Karolinę Lipowską. Ujrzawszy się zadrżeliśmy oboje... zbliżyliśmy się jak od dawna znajomi, niewidoma moc ciągnęła nas do siebie i od pierwszego razu stało się po nas obojgu. Z najgorętszym czuciem, z całą mocą najżywszej wyobraźności rzuciła się ku mnie, cała jej istota we mnie utonęła i moją stała się na zawsze. Przyczyniło się do tego wiele: była bardzo dobrze o mnie uprzedzona, znała mię po części z pism moich, nareszcie równa żywość temperamentu, równa bujność wyobraźności i jej zupełne poświęcenie się dla mnie wszystkiego dokonały. Od pierwszego momentu stanęła przede mną jak owa długo marzona ko-

chanka, jak ów cel wszystkich życzeń moich, do których tak długo i tak ckliwie tęskniłem. Przez one skryte, często sprzeczne skłonności serca, które się wytłumaczyć nie dadzą, unikałem jej dnia następnego na zabawie, gdzie grano i tańczono. Taki to był koniec roku 1827.

Rok 1828.

Położywszy się późno, marząc jeszcze o Karolinie, drżąc na samo jej wspomnienie, wstałem wesół i ochoczy. Nowe poczęło się życie. Jako w nowy rok musiałem być u Haschów i widzieć się z nią. Cała jej postać jaśniała radością. Prosiła mię o książki, musiałem więc nazajutrz być znowu u niej. Gdym szedł z stycznia, w środę, zacząłem myśleć nad tym nowym i nieznanym mi stanem duszy mojej. Zważywszy wszelkie stosunki i niebezpieczeństwo, które mi groziło, wiedząc wreszcie, że długo w Sączu nie zabawi, postanowiłem jej unikać. Przez trzy dni więc jej nie widziałem. W niedzielę dopiero, już to niby dla samej przystojności, poszedłem do Haschów. Wybiegła sama naprzeciwko mnie w ranym ubiorze... porwała mię za rękę, a ściskając ją przyłożyła do serca swego, mówiąc z twarzą radosną a w bolesnym tonie po polsku:

— Słuchaj, jak mi serce bije... tak długo nie byłeś u nas... Kiedyż... kiedyż znowu przyjdiesz?

Nie potrzeba zapewne było tyle, ażeby mnie zupełnie rozumu pozbawić: rzuciłem się na jej rękę, głowa moja spadła na jej piersi, myślałem, że mię duch uleci... jej zostałem cały, a dusze nasze się połączyły, ażeby się nigdy więcej nie rozłączyć. Gdy się teraz zastanowię nad jej postępowaniem z zimną krwią, zważywszy wszystko, nie widzę w nim nic przymuszonego. Było to prawdziwe i rzetelne objawienie jej serca.

Od tego czasu widywaliśmy się dnia każdego. Od 9 stycznia zaczęła nosić włosy, jak wiedziała, że ja lubię. Całowałem jej szyję i jej piękne loki... najśodsze

przy niej spędzałem godziny. 20 stycznia nareszcie stopiliśmy się ustami, dusze nasze razem uleciały i w najpiękniejszym obłąkaniu wyznaliśmy sobie nawzajem miłość naszą.

Wstęp ten nieco egzaltowany najlepiej daje poznać ówczesny stan duszy mojej. Gdy to wszystko już się skończyło... w krótkości nadmienię, co się dalej stało. 21 stycznia opowiedziała mi całe swoje życie i dała mi promień swych włosów. Widywaliśmy się ukradkiem zawsze o siódmej wieczór i gęsta rozpoczęła się między nami korespondencja przez powiernych służących. Cokolwiek taki stosunek w granicach przystojności może mieć najśłodsze, wszystkośmy użyli. 15 lutego odjechała. Com czuł i myślał łatwo każdy pojmie. Przed rozstaniem naszym nic nie zaszło między nami stanowczego względem przyszłego naszego losu. Familia nalegała na nią, żeby poszła za barona Przychockiego — nie dała mi jednak w tej mierze stanowczej odpowiedzi. Pisała jeszcze do mnie z Bochni, oświadczyła nareszcie niemożność dalszego pisania dla baczności matki. Od kwietnia po jej wyjeździe do Cieszyna nic więcej w tym roku o niej nie słyszałem. Tak się tym razem zakończył ten związek. Kochałem ją szczerze, całą mocą duszy mojej i tak byłem od niej kochany — po raz pierwszy zapewne i ostatni.

Długo nie mogłem się uspokoić. Nastąpił nareszcie spokój: zmysłowość się obudziła. Popełniłem głupstwo — winem zagrzany, którego wiele używałem — z dziewczyną wiejską, którą ciupasem prowadzono! Druga połowa roku tego zupełnie jest niepodobna do pierwszej. Najchętniej bywałem u Dunajewskich i u Haschów. U Dunajewskich osobliwszą miałem zażyłość z siostrą pani domu, Marią. Do niej przychodziła Luiza, która później pod nazwiskiem P. dość ważną w moim dzienniku (w 1830 roku) gra rolę. Po-

mału w tych czasach zaczął się stosunek z Teofilą P. — czysto zmysłowy i najlubieżniejszy jaki dotąd miałem. Dziewczyna ta była cudnej piękności. Zaledwie wtedy wracałem do zdrowia, dopiero więc w roku następnym doszliśmy ze sobą do końca.

Ze Lwowem byłem w związkach przy pomocy licznej korespondencji. Zresztą nic nie wiedziałem o świecie literackim, z „Rozmaitości“, które mi jeszcze przysyłano, mało się co można było dowiedzieć. W tym roku niewiele czytałem. Gdybym był długo w Sączu pozostał, gdzie się po prostu żyło i często upijało, byłbym może — mimo lepszego zarodu ducha we mnie — zupełnie sprostadkowiak, gdyż już zacząłem w tym życiu bez znaczenia smakować...

Dziś, gdy to piszę (27 kwietnia 1831 roku), pamiętam, że 16 lutego 1828 roku, w dzień po odjeździe Karoliny, obchodziłem jednak rocznicę imienin Julii. Zapewne ze zwyczaju. Dziś tę Julię widziałem. Przejeżdżała z mężem do Wiednia. Przyszli po mnie z pocztą. Szczęśliwa im droga i ich ładnym dzieciom. Może jej tedy nigdy więcej nie obaczę!

Rok 1829.

W roku tym stan mój się rozmaicie odmieniał. Na początku w Sączu w dawnych żyłem stosunkach, ze starostwem odmiennie: raz bardzo dobrze, drugi raz znówu przez różne plotki i między kulisami zachodzące niesnaski bardzo nieprzyjemnie. Starościna i Dunajewska stały przeciwko sobie, ileż to z tego w takim wronim gnieździe nieprzyjemności! Żyło się jednak przy tym wszystkim wesoło: w zapusty bale, tańce — na nich Teofila — i tak czas wesoło zeszedł; nareszcie kuligi, a na nich moje krakowiaki do starostwa zastosowane zupełnie mi ich zjednały. Gdy czas i sposobność były po temu, siedziałem u Teofili, nareszcie w poście, ku świętom wielkanocnym, więcej jak siedziałem.

29 kwietnia wyjechałem do Lwowa. Teofilę odjechałem głośno płaczącą — i sam płakałem. Zostawiłem jej różne drobnostki i nieco w gotowiznie, i w tym tylko chybiłem, że mi także zostawił pierścionek od Rogajskiego, który mi raz sama mimo mojej woli z palca zdjęła. To było powodem różnych gadań i wielu nieprzyjemności. 3 maja stanąłem we Lwowie, siódmego wstąpiłem do prezydium: spełniło się więc najgorętsze moje życzenie. Mieszkałem z Rogajskim i żyłem dla służby — etykietalnie tylko bywałem w niektórych domach, bardzo rzadko u S.

Tak przeszedł czas do 8 czerwca, w tym dniu wielka zaszła w całym stanie rzeczy odmiana: odebrałem list od Karoliny z Tarnowa. Życzyła mi szczęścia z Teofilą; po wyjaśnieniu rzeczy odebrałem drugi list 13 czerwca. W nim ofiarowuje mi sama swoją rękę i wzywa, ażebym pisał do matki. Nie mogłem tego żadną miarą uczynić. Po kilku listach dała się przekonać, wtedy byłem najszczęśliwszy, pisywaliśmy zawsze do siebie jak najpiękniejsze robiąc sobie układy.

4 sierpnia odebrałem list od Karoliny z Cieszyna, w którym mi oświadcza, że przekonawszy się o mojej niewierności z powodu Teofili, nigdy moją być nie może... Zakazała mi pisać lub raczej odpisać, gdyż tego samego dnia miała wyjechać do Piszczan. Odpisałem jednak w ten moment, na przypadek nawet, gdyby ten list w ręce matki się dostał. Tak też się stało. 17 sierpnia odebrałem pierwszy list od samej baronowej Lipowskiej. Odpisałem na niego, list mój był bardzo długi, ale dokładny i prawdziwy. 24 września krótką, ale grzeczną odebrałem odpowiedź i znowu odpisałem, również krótko. O Karolinie ani słowa. Dopiero 19 października odebrałem nareszcie list od Karoliny, odpisałem i od tego czasu już aż do nieszczęsnego końca żadne między nami nie zaszło nieporozumienie.

Na oworocznym sejmie Gubernator mowę tak odczytał, jakim mu ją napisał. Dochody moje były bardzo szczupłe. U S. bywałem i od niej czasem pożyczałem pieniędzy. 3 listopada spotkałem przypadkiem ową Luizę (z Sącza), terażniejszą P. Musiałem ją odprowadzić do domu, płakała przede mną i z radości, i z żalu. Zacząłem bywać u niej, pomału zaczął się kojarzyć ten dziwny stosunek, w tym roku jednak nie zaszliśmy daleko, w następnym dalej... Z końcem roku żyłem bardzo wesoło: szczęśliwy w moim stosunku z Karoliną, czynny z zadowoleniem i pożytkiem, używałem chwilowej rozrywki przy S. albo P. Bywałem także, lecz bardzo rzadko i u Stelzhammerów — u ówjej Julii. Moje uczucie dla niej — w cóż się obróciło? Gdyby nie praca nieustająca, gdybym był mógł więcej czasu dla siebie poświęcać, mógłbym się nazwać szczęśliwszym, tak zaś często dawna opanowywała mnie melancholia, czasami jednak byłem wesół bez granic. W tym roku spaliłem mnóstwo listów, rysunków i wszystkie manuskrypta, które już były drukowane. Pierwszy to był krok.

Rok 1830.

Początek roku tego podobny naturalnie do końca przeszłego: te same stosunki i związki. W listach do Karoliny i od niej mowa tylko o naszym bliskim szczęściu i układy na przyszłość. Wzmianka już jednak była o jej słabości. U S. bywałem; dziwne jej oświadczenie, gdy jej ostatnia umarła córka, która także miała być moją — zaklinała mię, żebym więcej u niej nie bywał. Później znowu oświadczała w największym uniesieniu, że rozum straci, jeśli przestanę ją odwiedzać. W tym czasie nie mogłem często spotykać się z P., gdyż mieszkała u siostry. Na ulicy tylko i na wale, dokąd przychodziła z matką, widywaliśmy się. Korespondencja kartkowa szła tymczasem dość mocno. W lipcu nareszcie zacząłem u niej bywać w jej nowym pomieszkaniu.

Lecz wprzódy jeszcze inne... straszne dla mnie zaszyły wypadki. 16 maja wyjechała Karolina z matką do Karlsbadu. Z 15 maja jej list ostatni z Cieszyna, z Pragi i Karlsbadu matka tylko do mnie pisała. 11 czerwca Karolina umarła... Nie chcę się rozwodzić nad moim stanem. Nędzny był. Po kilku tygodniach przyszedłem na koniec do siebie. Zawsze jeszcze odbierałem listy od Lipowskiej. Odesłała mi książki, filiżankę, srebrny koszyk i szpilkę, które Karolina dla mnie kupiła. Pularesu podróznego, który jej posłałem, już więc nie odebrała... Nic jednak nie trwa wiecznie i ból najgwałtowniejszy nareszcie ustaje.

Tymczasem 31 sierpnia zostałem koncypistą, a 4 września złożyłem przysięgę. Cieszyłoby mię to, gdyby Karolina była przy życiu, lecz po jej śmierci nie wiedziałem, jakie dać życiu memu znaczenie. 20 października byłem u Gubernatora po jego powrocie z Pragi — było zdecydowane, iż wyjadę do Wadowic. Wyjechałem w samej rzeczy 5 listopada. Zatrudnienia moje aż do wyjazdu do Wadowic były osobliwe: wydoskonalenie w języku francuskim każdego dnia kilka godzin mi zabierało. Czytałem dzieła francuskie historyczne, zacząłem się trudnić uporządkowaniem moich pieśni gminnych: przyjąłem pisarza i dyktowałem każdego dnia godzinę — nie skończyłem jednak tej roboty. Przykre bardzo miałem pożegnanie z S. Płakała, żem ją zupełnie zaniedbał; prawda, że kilka tygodni wcale u niej nie byłem. Spokojnie, ale żałośnie pożegnałem się z P. Obiecała do mnie pisywać. Przed wyjazdem bardzo ważną miałem rozmowę z Księciem-gubernatorem. Podług jego zapewnień po kilku latach powinienem być starostą.

Przez całe lato, wyjąwszy czas kąpieli, bardzo przyjemny miałem stosunek z Chłędowskim: bardzośmy się pokochali. Każdego wtorku bywałem u Wasilewskiego,

miały to być zgromadzenia uczone... najwięcej żyłem z Kamińskim. Nabelak, Bielowski bywali u mnie — radzić się.

11 listopada przybyłem do Wadowic. O starości długo nie mogłem nic sądzić. Zostałem już list od P. Zaraz z początku wziąłem się tęgo do roboty, szło dobrze i chwalebnie. Z Antoniną R. wkrótce porozumieiliśmy się; jako przyjaciel jej narzeczonego, wielką miałem wolność — stąd też i wolność w postępowaniu — olbrzymim krokiem wszystko się posuwało. L. z początku nie zrobiła na mnie wrażenia, 18 listopada byłam pierwszy raz u niej i wtedy jeszcze nie podobała mi się, ale z pierwszego ujrzenia nie myślałem, co się z tego zawiąże. Od 20 grudnia zmysłowość się obudziła, zacząłem tęsknić za nią, ponieważ dość często mogłem się z nią widywać, więc wesoło czas schodził do końca roku i na początku następnego.

Oprócz zatrudnień obowiązkowych czytałem dużo po francusku. Poznałem w tym czasie generałową hr. Tarnowską, która jako przyjaciółka Lipowskiej mocno mię interesowała. Dostyc czuliśmy do siebie przychylności. Dowiedziałem się, że Fryderyka, owa nierozłączna przyjaciółka Karoliny, jest siostrą rodzoną hrabiny i że może w zapusty do Wadowic przyjedzie. Ta okoliczność była dla mnie wielkiej wagi.

Tymczasem najważniejsze zapadło zdarzenie — wybuchnięcie rewolucji w Warszawie... W grudniu przybyło z tego powodu mnóstwo roboty... Wszystko to zdano na mnie... osobliwe położenie — osobliwsze zaufanie. Wstrzymuję się od wszelkich uwag nad tym wypadkiem i tym położeniem.“

Wacław był szczerzy jedynie w notowaniu przygód miłosnych — o doniosłych wydarzeniach politycznych wolał nie pisać obawiając się, że jego dziennik może się dostać w niepowołane ręce. Nie dowiemy się przeto,

jak ustosunkował się do powstania. W każdym razie nie rzucił posady i nie pojechał do Warszawy. Możliwe że nie wierzył w zwycięstwo rewolucji, możliwe również, że nie chciał zrezygnować ze stanowiska koncepisty i związanych z tym widoków na przyszłość.

OD LITERATURY DO ŻONY

Dalsze kartki „Przeglądu dzienników moich“ informują o losach Wacława w ciągu paru lat następnych. Podają niektóre ciekawe szczegóły, ale nie przynoszą już nowego materiału dla charakterystyki autora. Zamiłowania jego pozostają te same: lubi piękne kobiety, stare wino i dobre książki. Z Wadowic rychło wrócił do Lwowa — pilnie pracował w biurze i stopniowo posuwał się w hierarchii urzędniczej. Obowiązki służbowe i emocjonujące romanse zajmowały mu sporo czasu, niemniej jednak twórczość literacka odgrywała w jego życiu dużą rolę.

Literatura w Galicji na początku XIX wieku powstawała powoli, stopniowo, walcząc z trudnościami ze strony władz i obojętnością tak zwanych szerokich sfer społeczeństwa. Wprawdzie od czasu do czasu ukazywały się pisma literackie, ale wobec braku prenumeratorów prędko kończyły swój żywot. Piszącym dotkliwie dawała się we znaki cenzura, która przetrzymywała latami rękopisy, dowolnie je kreśliła i poprawiała. Zabraniano na przykład pisać Polska i Polacy — te słowa cenzor zawsze poprawiał na kraj i ziomkowie. W jakiejś sztuce teatralnej skreślono znowuż wyraz „swoboda“. Przebiegły Jan Nepomucen Kamiński, wieloletni dyrektor teatru lwowskiego, odwiedził wówczas radcę gubernialnego Swobodę, z pochodzenia Czecha, i razem z nim udał się do cenzora.

— Co to za porządki! — krzyczał rozgniewany rad-

ca. — Pan nie pozwala wymawiać mego nazwiska aktorom?!

Przestraszony cenzor musiał skapitulować, nie zawsze jednak pisarze mogli się obronić przed jego złośliwością, nieuctwem lub nawet głupotą. Nic dziwnego, że życie literackie kiełkowało powoli i nie mogło się poszczycić jakimiś cenniejszymi zdobyczami. Jedyne „Rozmaitości“, dodatek do „Gazety Lwowskiej“, wychodziły bez przerwy w ciągu dłuższego okresu czasu. Koło tego pisma, które nie stało bynajmniej na wysokim poziomie, gromadzili się ówczesni literaci. Począwszy od 1835 roku Wacław Zaleski stale drukował w „Rozmaitościach“ swoje utwory: niezłe wiersze, wyjątki z dramatów, recenzje teatralne, krytyki i artykuły publicystyczne. Początkowo podpisywał się jako „Kontraktowy“, potem — „Wacław z Oleska“. Był jednym z pierwszych literatów lwowskich, którego opanował modny wtedy „duch Słowiańszczyzny“, a pod wpływem Brodzińskiego i Herdera zainteresował się ludową twórczością literacką. I oto w 1833 roku ukazały się „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego z muzyką instrumentowaną przez Karola Lipińskiego. Zebrał i wydał Wacław z Oleska“.

Przybycie emigrantów po upadku powstania listopadowego ożywiło znacznie życie kulturalne Lwowa. Powstał nawet salon literacki w mieszkaniu adwokata Augusta Wysockiego. Zbierały się tam codziennie niemal wszystkie ówczesne literackie sławy. Za każdym swoim pobytem w mieście przybywał na te zebrania Seweryn Goszczyński, stałymi zaś gośćmi byli: August Bielowski, Lucjan Siemiński, Józef i Leszek Borkowscy, Jan Dzierżkowski, Bohdan Zaleski i Wacław z Oleska. Goszczyńskiego, podejrzanego o udział w przeciwpaństwowych spiskach, poszukiwała policja austriacka — Wacław jako „rzeczywisty prezydialny koncepti-

sta“ znał zamiary władz i ostrzegł go parę razy skutecznie przed niebezpieczeństwem.

W ówczesnej literaturze twórczość Wacława zajmowała poczesne miejsce. Cieszył się ogólnym uznaniem, a jednocześnie powodziło mu się coraz lepiej. Zaczął wreszcie myśleć o tym, aby się ustatkować, to znaczy ożenić się i założyć „ognisko domowe“. Kochliwy Werther zapragnął wyrwać się z czarownego koła uroczych spódniczek i zaofiarować swą wierność — nie wiadomo tylko czy na długo — jednej kobiecie. Poznał zresztą naprawdę miłą i ładną pannę, o której tak wiele myślał, że zapomniał na razie o innych kochankach. Dlatego pewnego dnia usiadł przy biurku i po dłuższym namyśle wystosował obszerny list do opiekuna „upatrzonej“:

Wielmożny Mości Dobrodziej!

Nie mając szczęścia być bliżej znanym WWMPanu Dobrodziejowi, a widząc się w położeniu najważniejszą sprawę życia mego pod Jego poddać rozstrzygnięcie, czuję się obowiązany od początku rzecz wywieść z tą otwartością i rzetelnością, jaką i własnemu charakterowi i prawdziwemu szacunkowi tak dla Jego osoby, jak i dla całej godnej rodziny, winien jestem.

W domu Emmingera miałem szczęście poznać siostrzenicę WWMPana Dobrodzieja, Pannę Antoninę. Było to ku końcowi roku 1833. Będąc wtedy koncypistą i żyjąc w przekonaniu, że prędyj czy później zostawszy komisarzem wypadnie mi koniecznie oddalić się ze Lwowa, poglądałem na Pannę Antoninę — mimo wszelkich jej powabów, ugruntowanych na najpiękniejszych przymiotach jej serca — tylko okiem tego upodobania, do jakiego zapewne każdy w jej przytomności musi się uczuć

zniewolonym. — W marcu 1834 zostałem komisarzem, a lubo mię i w tej własności nie oddalono ze Lwowa, położenie moje było tak niepewne, że nie mogłem sobie obiecywać dłuższego pobytu, potrzebnego koniecznie, ażeby się poznać i być poznany. W czerwcu tegoż samego roku zostałem sekretarzem, a przez to uzyskałem i pewność pozostania we Lwowie i możność pomyślenia o tym, co było jedynym przedmiotem najgorętszych mych życzeń. Przekonałem się wtedy, że Panna Antonina najżywsze uczucia moje również żywo podziela. Zgodność charakterów połączyła nas wprzódy, nimeśmy sami byli tego świadomi, a obopólna otucha przyszłego szczęścia, która się wytłumaczyć nie da, kazała nam szukać ściślejszego związku.

W takim zamiarze wstąpiłem w przyszłym miesiącu w dom czcigodnej siostry WWMPana Dobrodzieja, a matki Panny Antoniny. Łaskawe przyjęcie z jej strony ośmieliło mię nareszcie, że porozumiawszy się wprzódy z tą, której zdanie głównie miałem na względzie, odważyłem się prosić o... jedyne szczęście moje i na całą przyszłość życia mego — o jej rękę. Dobra Mama przychyliła się do życzeń swej córki i moich odwołując się wszelako do decyzji WWMPana Dobrodzieja jako opiekuna.

Sądząc po przywiązaniu WWMPana Dobrodzieja do ukochanej swej siostrzenicy myślę, że zapytasz się wprzód sam siebie, czy jest nadzieja, ażeby była ze mną szczęśliwa. Na to zapytanie racz WWMPan Dobrodziej przyjąć moje uroczyste zapewnienie, że jedynym celem wszystkich mych starań przez cały bieg życia mego będzie, ażeby była tak szczęśliwa, jak na to ze wszech miar zasługuje i o ile tylko żona przy uczciwym charakterze męża nią być może. Racz WWMPan Dobrodziej zważyć

te wszystkie okoliczności i przychylić się do prośby mojej wraz z prośbami nam obydwom tyle drogiej Panny Antoniny.

Tak składając szczęście moje w ręce WWMPana Dobrodzieja kończę wyznaniem szczerzej chęci, ażeby mi wolno było wkrótce najczulszym powitać Go imieniem i łączę przytem wyraz najgłębszego szacunku i poważania, z jakim jestem Obojga WWMPaństwa Dobrodziejstwa uniżonym sługą.

Wacław Zaleski.

Ze Lwowa dnia 17 lutego 1835 roku.

Otrzymał odpowiedź przychylną. Stary, mądry opiekun wiedział, że kawaler na rządowej posiadce — to najlepsza partia dla wychowanicy. I miła, ładna panna, Antonina Antoniewiczówna, została żoną Wacława.

K A R I E R A

Po ślubie — zajęty przede wszystkim myślą o swojej karierze — przestał zajmować się pracą literacką. Literatura — zapewne — to dobra zabawa dla młodych, samotnych ludzi, żonaci i starsi muszą jednak myśleć o sobie, żonie i dzieciach. Wacław z czasem został ojcem trzech synów — rodzina przeto się zwiększyła i na niego spadły różne, liczne nowe obowiązki, które spełniał bez najmniejszego ociągania się. Przełożeni, gubernator Galicji, arcyksiążę Ferdynand d'Este, i faktyczny wielkorządca kraju, baron Krieg, chwalili go jako urzędnika i obdarzali awansami. Posag żony i własne oszczędności pozwoliły mu kupić dwie wioski koło Złoczowa. Nie była to zwykła transakcja, świadcząca o posiadaniu gotówki, lecz krok naprzód w ka-

rierze, ponieważ przez akt kupna, jako „współczłonek stanu rycerskiego“, został uprawniony do zasiadania i głosowania na zgromadzeniach sejmowych królestwa Galicji i Lodomerii. Ludzie, którzy do niego pisali, na adresie przed jego nazwiskiem zaczęli dodawać słowa „Ritter von“. Stał się wreszcie „człowiekiem z towarzystwa“! Arcyksiążę Ferdynand pozwolił mu zasiadać w sejmie i być równocześnie urzędnikiem. Co prawda ówczesny sejm stanowy był tylko efektowną parodią prawdziwego parlamentu — nikt mu nie mógł zarzucić, że dąży do jakiegokolwiek sejmowładztwa. Po słowie — według głośnego dowcipu Władysława Rozwadowskiego — zawsze prosili o to, czego nie dostawali, a dziękowali za to, o co nie prosili.

„Sejmy zaczynały się z wielką paradą — wspomina Leon Sapieha. — Zbierano się w sali otwarcia, w bibliotece uniwersyteckiej, wszyscy w złocistych mundurach. Tak zwani komisarze sejmowi, przez cesarza mianowani, przyjeżdżali w staroświeckich, pozłacanych karetach, w sześć koni, z masztalerzami na koniach. Jechali niby wprost od cesarza i donosili zebrany, że Najjaśniejszy Pan jest zdrow. Miewali mowy gubernator i arcybiskup. Na drugi dzień niby się naradzano nad potrzebami kraju. Zwykle kończyło się na tym, że uskarżano się na ciężkie podatki i w tym duchu spisywano petycję do Najjaśniejszego Pana. Po kilkugodzinnej pogadance podawszy prośbę o zníženie podatków, która nigdy nie była uwzględniona, zjadłszy obiad u gubernatora i arcybiskupa, sejm się rozjeżdżał.“

Praca na terenie sejmu nie była tedy uciążliwa i obowiązki deputata wcale nie męczyły Wacława. Po literaturze, jako c. k. radca rządów krajowych, poważnie zainteresował się życiem ekonomicznym Galicji — i z takim samym zapałem, z jakim dawniej tworzył poematy na cześć Agnesy lub Julii, poświęcił się nowej

działalności. Nie wszystkie jego projekty uzyskały aprobatę władz; lecz starania w sprawie utworzenia Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego we Lwowie zostały uwieńczone sukcesem. Pracowitość, ruchliwość i gorliwość wzorowego urzędnika oczywiście odpowiednio oceniono w Wiedniu i sensacyjna nominacja w listopadzie 1845 roku właściwie nie była niespodzianką. Radca rządów krajowych został rzeczywistym radcą dworu — o podobnym tytule marzyli³ chyba wszyscy ówczesni urzędnicy — a jednocześnie mianowano go referentem krajowym dla spraw galicyjskich w zjednoczonej kancelarii nadwornej.

„9 grudnia 1845 roku — wtorek.

O trzeciej zajechałem „Zum König von Ungarn“ (hotel w Wiedniu) — notuje w dzienniczku. — Przebrawszy się poszedłem zaraz do Heindla, którego nie zastałem. Przyszedł potem do mnie i stawiliśmy cały wieczór.

10. — środa.

O dziewiątej pojechałem do arcyksięcia Ferdynanda, który już jutro ma odjechać do Lwowa. O jedenastej poszedłem do biura, potem byłem u Inzaghiego, Pillersdorffa. Odwiedziłem Stelzhammerów (Julię i jej męża). List od żony odebrałem w biurze“.

Później w dzienniczku wielokrotnie notował listy wysyłane i otrzymywane od żony. Don Juan i bon viveur za czasów młodości — stał się po czterdziestce przykładowym „żonkosiem“. Zupełnie przestał pisać o swoich sukcesach miłosnych. Nie wiadomo czy bał się, aby tego nie przeczytała żona, czy też zakochany w niej, więcej nie szukał przygód. Możliwe również, że po burzliwej młodości nie był już ani skłonny, ani zdolny do nowych romansów.

Żona na razie została we Lwowie, a on w Wiedniu prowadził się przykładowie, jak przystało na wysokiego

dygnitarza. Po objęciu nowego stanowiska przez pewien czas jedynym jego zajęciem było składanie wizyt. Następnie zabrał się poważnie do pracy — pilnie urzędował, konferował z potężnym Metternichem i innymi dostojnikami, wreszcie przyjął go na audiencji cesarz Ferdynand I, o którym ogólnie mówiono, że jest nieco głupowaty. Notatki Wacława z tego okresu są bardzo lakoniczne — zawierają jedynie krótkie wzmianki o najważniejszych wydarzeniach:

„23. — wtorek.

Pillersdorff był u mnie w biurze z godzinę — chciał się nagadać ze mną i dużo się mówiło. Po jedenastej wyszedłem do Kamery; wszyscy mówią: „von dem guten Ruf, der mir vorausgegangen ist“, przyjmują mnie jak najlepiej. Wszyscy są zadowoleni, że przecież raz mają między sobą Polaka. Może to wyjść na dobre. Potem poszedłem na los szczęścia do hr. Hartiga i zastałem go. U tego znowu byłem z godzinę. Ważna to była rozmowa (Kredit-Anstalt — Unterthanwesen — Beamtenwesen!). O tych ostatnich powiedziałem mu słowa prawdy, tak jak Pillersdorffowi. Po obiedzie chwilę w domu; pierwszy raz po południu zdrzemnąłem się.

31. — środa.

W biurze do jedenastej. Potem się przebrałem z powodu parady dla cesarza Mikołaja, który wczoraj w wieczór przyjechał. Widziałem go z daleka.

Tak się skończył rok ten z tylu względów dla mnie ważny. Dawne zgryzoty — od czerwca — wszystko się uspokoiło — i może ten spokój już się utrzyma, i może przecież będę zupełnie spokojny i szczęśliwy, gdy żona, gdy dzieci będą już przy mnie.

6 stycznia 1846 — wtorek.

Z jakim takim uporządkowaniem książek i rzeczy przyszedłem do końca. Termin do audiencji u cesarza na jutro o dziewiątej. O drugiej poszedłem do Kellera

względem audiencji u arcyksięcia Jana. Tam widziałem młodego hr. Merana — dziecię sześćioletnie. Tęgi, barczysty chłopak. Sam arcyksiążę Jan był w drugim pokoju i wyznaczył mi termin do audiencji na jutro o dziesiątej rano. Razem więc wszystko odbędę.

7. — środa.

O dziesiątej audiencja u cesarza. O dziesiątej poszedłem do arcyksięcia Jana, który ze mną godzinę rozmawiał o interesach krajowych i o swojej Nadwórnice, jak porządny szlachcic.

15. — czwartek.

O piątej byłem na obiedzie u ordynata Zamoyskiego. Obecni: Alfred Potocki, Cabogowie, Lanckorońscy, Hussarzewscy, pani Niemojewska i Józef Potocki. Cabogowa opowiadała, że arcyksiążę Jan mówił z nią o mnie z wielkimi pochwałami, a pan Alfred, tak jak i Lanckoroński, że moje pierwsze referowanie zrobiło furorę...

23 lutego — poniedziałek.

W biurze do pierwszej. Potem na sesji u księcia Metternicha...“

Spokojne, normalne urzędowanie przerwała nagle w końcu lutego 1846 roku bolesna wiadomość o krwawych wypadkach w Galicji zachodniej. Wacława wysłano na teren rozruchów jako specjalnego komisarza dla przeprowadzenia dochodzeń i zbadania uchybień miejscowej administracji. Objechał cyrkuły, w których chłopci dokonali największych spustoszeń, przyjął mnóstwo skarg od poszkodowanych, napisał kilka raportów, lecz niewiele zdziałał. Ferdynand d'Este, niefortunny zwycięzca spod Raszyna i niedołyżny gubernator, obrażony, że dawny urzędnik „gubernium“ wizytuje rządzoną przez niego prowincję — wyjednał odwołanie Zaleskiego do Wiednia, po czym sam dostał dymisję. Komisarz przeto powrócił do stolicy monarchii, a roz-

goryczony arcyksiążę wyjechał do Ebenzeier, gdzie w parę lat później umarł, wcale nie żałowany przez „wdzięczny naród“.

R O K I 8 4 8

Mijały dni wypełnione pracą i wizytami w „wielkim świecie“ — często brakowało czasu na przebywanie w „domowym ognisku“, ostatnio sprowadzonym ze Lwowa. Za młodu Wacława nie zawsze przyjmowano w salonach lwowskiego high life'u — to nie miejsce dla młodego, początkującego literata i urzędnika. Zdobył jednak tę „twierdzę“; obecnie w Wiedniu nic już nie musiał zdobywać — wszystko stało przed nim otworem. Kanclerz Inzaghi prosił go, aby zaczął uczyć języka polskiego siedemnastoletniego Franciszka Józefa, który niebawem miał zostać cesarzem. Zaszczyt to był wielki — Zaleski naturalnie nie odmówił, przypomniał sobie praktykę korepetytorską i ochoczo zabrał się do pracy. Niestety, dostojny uczeń nie raczył zbyt pilnie przykładać się do nauki.

Tak nadszedł rok 1848 ze swoją obfitością wydarzeń. Runął Metternich i inne dawne podpory tronu, Wiedeń obiegły różne delegacje, zanoszące petycje do monarchy. Śród nich znalazła się również delegacja polska, którą Ferdynand I przyjął uroczyście 6 kwietnia. Przedstawiciele Galicji odczytali obszerny adres, napisany w ostatniej chwili, ponieważ poprzednio ułożony uznano za niewystarczający. Cesarz odpowiedział z karteczki właśnie na ów zdyskwalifikowany adres — ku niemałej rozpaczy stojącego obok Zaleskiego — po czym uklonił się i zadowolony ze spełnionego obowiązku opuścił salę. Delegacja następnie zaczęła upominać się o gubernatora Polaka dla Galicji. Rozmawiano w tej sprawie z ówczesnym premierem monarchii, Pillers-

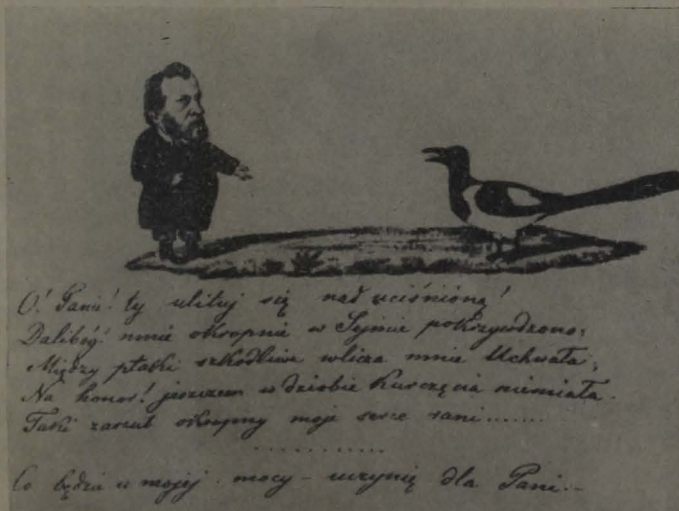


Gielfi - Azor i Focio -

TRZY PSY MELPOMENY:

Jan Aleksander Fredro (Gielfi), Leopold Starzeński (Azor) i Włodzimierz
Dzieduszycki (Focio).

Rysunek Leopolda Starzeńskiego.



*O! Pani! ty ulituj się nad uciońcioną!
Daleko! nmi okropnie w Łojnie potrzygudrono;
Migdy ptabli schodliwa wlicza nmi Uchwata;
Na kono! jowawo w Dziobie kuszcziwa niemiata.
Takiż zarobek okropny moji serce sani.....*

Co będzie u mojej macy - uczynię dla Pani.

WŁODZIMIERZ DZIEDUSZYCKI I... SROKA

Rysunek i wierszyk Leopolda Starzeńskiego.



JAN ALEKSANDER FREDRO NA KURACJI
W TRUSKAWCU.

Rysunek i wierszyk Leopolda Starzeńskiego.



WŁODZIMIERZ DZIEDUSZYCKI
JAKO ORNITOLOG.

Rysunek i wierszyk Leopolda Starzeńskiego.

dorffem, oświadczając mu, że w kraju wszyscy by chętnie widzieli na tym stanowisku Zaleskiego.

Sprawa ta wkrótce stała się bardzo aktualną. Galicją, po arcyksięciu Ferdynandzie, rządził hrabia Franciszek Stadion, któremu cesarz, przebywający dla bezpieczeństwa w Innsbrucku, chciał powierzyć misję tworzenia gabinetu. Wezwał go przeto — z pewnych względów w największym sekrecie — do natychmiastowego stawienia się na dworze. Gubernator niezwłocznie i potajemnie opuścił Lwów, a to wywołało różne pogłoski i plotki wśród mieszkańców miasta. Antoni Golejewski w swoim pamiętniku zanotował taką jedną wersję o przyczynach tego nagłego wyjazdu:

„Stadion miał romans z żoną sekretarza gubernialnego i ile razy odwiedzał ją w dzień, tyle razy dawał sekretarzowi do przepisania jakąś ważną ekspedycję i zamykał go na klucz, pod pozorem, żeby mu nie przeszkadzano. Sekretarzowi uprzykrzył się ten areszt, kazał sobie dorobić drugi klucz i gdy go Stadion znowu raz zamknął, otworzył kancelarię, udał się do domu i wszedł niepostrzeżony do mieszkania. Wysłuchał rozmowy żony ze Stadionem, a gdy gubernator wyszedł, obił ją. Najwięcej ubodło go to, że Stadion wszedłszy do pokoju cały czas przesiedział w kaszkiecie na głowie. Obiwszy żonę i napędziwszy ją z domu sekretarz nie powrócił więcej do biura; gubernator zaś uprzedzony o zajściu przez kochankę, nie mówiąc nic nikomu wyjechał nocą do Wiednia..“

Na razie we Lwowie rządzili hrabia Agenor Gołuchowski, zaczynający wtedy swoją świetną karierę, i dowodzący wojskiem generał, baron Hammerstein. Jakiś czas rząd zwlekał z mianowaniem następcy Stadiona, wreszcie 27 lipca cesarz zatwierdził nominację Zaleskiego na „gubernatora Galicji z dołączeniem krakowskiego obwodu i Bukowiny“. Nowy dostojnik nie wy-

jechał od razu do wyznaczonej mu prowincji, lecz czekał w Wiedniu na powrót monarchy z Innsbrucka, aby — zgodnie z etykietą — podziękować za dobrą posadę. Gdy to uczynił, udał się do Krakowa pragnąc w tym mieście zaprowadzić jaki taki porządek.

„16 sierpnia 1848 — środa.

Wieczorem o wpół do ósmej — zapisuje w dzienniczku po dwuletniej przerwie — wyjechałem z Wiednia uciśniony różnymi uczuciami i na siłach zwątlony.

17. — czwartek.

Z rana o siódmej byłem w Ostrawie, wyjechawszy o ósmej byłem przed dwunastą w Cieszynie, o trzeciej w Białej, przed siódmą wieczór w Wadowicach. Z jakim uczuciem i wzruszeniem powitałem ziemię rodzinną w Białej, a potem Wadowice, gdzie był całą zimę 1830/31 roku.

18. — piątek.

List od żony. Przyjmowałem w Wadowicach urzęda. Wyjechawszy o dwunastej stanąłem przed siódmą w Krakowie — poruszony do żywego. Po chwili przysłał komendant miasta Schlick dowiedzieć się kiedy ma być nazajutrz u mnie, poszedłem więc dziś do niego na herbatę.“

Po przybyciu do Krakowa rozpoczęło się pasmo dni, przepełnionych konferencjami, przyjmowaniem licznych delegacji, pisaniem raportów, wydawaniem proklamacyj i poleceń, wizytami i obiadami. Na prezesa Rady Administracyjnej miasta i okręgu Zaleski powołał znakomitego malarza Piotra Michałowskiego. Praca nowomianowanego gubernatora była uciążliwa i towarzyszyło jej ustawiczne zdenerwowanie — reorganizacja urzędów nie postępowała sprawnie, a z Wiednia dochodziły już różne niepokojące wieści.

„19. — sobota.

Zaraz z rana, uporządkowawszy się nieco wziąłem

się do napisania proklamacji. O dziesiątej — Sanguszko. Później: Schlick, wszystkie urzęda, żydzi. Ukończyłem proklamację.

20. — niedziela.

Deputacja mieszczańska, deputacja akademików, obywateli etc. Wieczór u Schlicka.

21. — poniedziałek.

Deputacja z Wieliczki i inni. Różni, a różni. Akademia.

31. — czwartek.

Podąłem do druku program rady miejskiej. Mnóstwo osób.

6 września — środa.

O dziesiątej: uniwersytet — do trzeciej. Ludzi bez końca — bez odpoczynku!

11. — poniedziałek.

List do żony. Mnóstwo ludzi. Akademicy. Coraz to groźniejsze nowiny. Wieczorem: Maurycy Potocki — mowa o powstaniu na Węgrzech.

23. — sobota.

O jedenastej deputacja względem komendanta gwardii. Schlick, potem różni, urzędnicy osobliwie. Obiad sam. „Gazeta Krakowska“ odebrała mi sen i spokój.

4 października — środa.

Główne zadanie: wybór prezesa miasta. Michałowski nie przyjmuje.

7. — sobota.

Noc bardzo zła — projekt jechania do Wiednia. Rozmowy z różnymi — ze Schlickiem 2 godziny! Zmęczony i wysiłony do ostatniego prawie.

12. — czwartek.

Noc najgorsza. Od dziesiątej do dwunastej: ostatnia dyskusja ze Schlickiem względem gwardii narodowej. Stało na tym, żeby zwrócić się do Wiednia. Koło

pierwszej: deputacja akademików, inna jak wczoraj.
Po obiedzie: rada miejska, generał Bem, Sanguszeko.

17. — wtorek.

Nareszcie o pierwszej statut względem gwardii posesedł do drukarni.

20. — piątek.

Z zupełnego osłabienia spałem prawie noc całą, co mnie jednak niewiele pokrzepiło. Około dziewiątej Michałowski przyjął urządowanie i zaraz objął je. Połowa ciężaru spadła!

21. — sobota.

Noc najgorsza! Mimo to... deputacja z Rzeszowa. Poczty z Wiednia nie ma!“

Te zwięzłe zapiski, mimo wszelkich skrótów, ukazują jednak wcale wyraźnie i dokładnie obraz zajęć Zaleskiego, który wkrótce przestał prowadzić dzienniczek, zafrasowany całkowicie aktualnymi sprawami. Oprócz licznych „petentów“ krajowych zaczęli się do niego zgłaszać zagraniczni. Był przecież pierwszym Polakiem na stanowisku namiestnika Galicji — i to wzbudziło przesadne nadzieje wśród emigracji polskiej. Pierwsza księżna pani Czartoryska, z hotelu Lambert w Paryżu skreśliła do niego pismo. Tłumaczyła mu, że jest prawie wicekrólem, więc chyba może przyjąć do swego kraju tych wszystkich Polaków, którym jest źle na obczyźnie. Podobnie generał Rybiński zaklinał go, aby wpuścił do Galicji emigrantów. Odpisał obszernie i uprzejmie. Wyznał otwarcie, że władzę ma niewielką, kwestia zaś powrotu emigrantów zależy jedynie od gabinetu wiedeńskiego.

W tym, że władzę miał ograniczoną, nie było przesady. W Krakowie chciał tworzyć gwardię narodową, lecz przeciwstawił mu się skutecznie wojskowy komendant miasta, generał Schlick. Daleko gorzej było we Lwowie, dokąd przybył 25 października. Generał Ham-

merstein uważał się za dyktatora i lekceważył zarządzenia cywilnego gubernatora. Zostało już bowiem zawarte reakcyjne porozumienie W. J. R. (Windischgraetz, Jelačić i Radetzky) przeciw wolnościowym prądom, ograniczającym władzę cesarza, do tajemnicy zaś dopuszczono dowódcę wojsk austriackich w Galicji. Hammerstein całkowiście podporządkował się rozkazom dworu cesarskiego, który 7 października uciekł z rewolucyjnego Wiednia do Ołomuńca, i otrzymywał stamtąd specjalne instrukcje. Zaleski o tym nie wiedział, dlatego jego sytuacja stała się w końcu zupełnie tragiczna.

Mimo służby w urzędach austriackich Zaleski był zawsze dobrym Polakiem — człowiekiem światłym, pełnym najlepszych chęci. Przyjął nominację na gubernatora pod warunkiem, że zostanie zaniechany podział Galicji na dwie prowincje: zachodnią — polską, i wschodnią — polsko-ruską. Opierając się na konstytucji opiekował się gwardią narodową, wprowadzał język polski w szkołach, godził — niestety bezskutecznie — Rusinów z Polakami. Za czasów spokojnych, ustabilizowanych byłby najlepszym rządcą. Nadeszły jednak czasy niespokojne i rewolucyjne. W Wiedniu ciągle zmieniały się gabinety. Trudno było zorientować się kogo należy słuchać, zwłaszcza że naczelne władze same nie przestrzegały konstytucji. Zaleski rzucał się jak „ryba w sieci“: wydawał zarządzenia, nosił się z zamiarem najszlachetniejszych reform — wszędzie trafiał na trudności nie do przewyciężenia. Romantyk w literaturze, umiał praktycznie kierować swoim życiem, nie umiał natomiast „praktycznie“ rządzić. Stał się „romantycznym gubernatorem“, nie zdawał sobie sprawy z otaczającej go rzeczywistości, brakowało mu siły do przeforsowania swoich żądań — w rezultacie musiał się kontentować marzeniami.

Tymczasem Hammerstein — stary kondotier, który

przed laty zdradził Napoleona — postanowił Lwów „uspokoić“. 2 listopada artyleria zaczęła bombardowanie miasta. Gwardia narodowa tu i ówdzie wznosiła barykady, nie chroniły one jednak przed pociskami. Gubernator siedział w swoim biurze zaskoczony i nieprzygotowany na tego rodzaju wypadki. Trzykrotnie, bezskutecznie interweniował u Hammersteina, potem próbował pośredniczyć między wojskiem a zbuntowanym rzekomo magistratem. Zawiadomił prezydenta miasta, że po wywieszeniu białej chorągwi na ratuszu komendant przerwie bombardowanie. Białą chorągiew wreszcie wywieszono — Lwów skapitulował. Zaleskiego wciąż odwiedzały liczne delegacje patriotów i pojedyncze osoby przedstawiając różne propozycje. Między innymi dwaj obiecujący młodzieńcy, Juliusz Dzieduszycki i Juliusz Kossak, podnieceni walkami na barykadach, domagali się, aby wydał rozkaz aresztowania austriackiego generała i mianował nowego dowódcę. Oczywiście nie mógł spełnić tego żądania — walka zresztą została definitywnie przegrana. Równocześnie bowiem nadeszła wiadomość, że Wiedeń, broniony przez Bema, został zdobyty przez żołnierzy Windischgraetza.

Tak skończyła się w Austrii i Galicji „wiosna narodów“, rok 1848, zwany „rokiem złudzeń“. Hammerstein wkrótce został w nagrodę mianowany generałem kawalerii i obdarzony wielką wstęgą orderu Żelaznej Korony. Zaleski stawał się dla reakcyjnego rządu niewygodny — niebawem odwołano go do Wiednia na stanowisko szefa sekcji w ministerstwie spraw wewnętrznych.

Do Wiednia przybył w końcu stycznia 1849 roku. Był zupełnie zmaltretowany i przygnębiony — wypadki galicyjskie zrujnowały jego nerwy. Minister spraw wewnętrznych Franciszek Stadion usunął go zupełnie od

spraw polskich i Galicją „zaopiekował się“ inny szef sekcji — Niemiec. Dla ambicji Zaleskiego był to cios ogromny. W dodatku przeziębził się podczas podróży. Musiał położyć się do łóżka — w ogóle jego zdrowie ostatnio nie było w porządku. Prawdopodobnie burzliwa młodość, pełna żądy życia i użycia, dawała mu się również we znaki. 24 lutego zmarł nieoczekiwanie — lekarze orzekli, że na zapalenie płuc.

Ta nagła śmierć pięćdziesięcioletniego mężczyzny stała się przyczyną kilku zupełnie bezpodstawnych plotek. Mówiono na przykład, że został otruty, wiedział bowiem za dużo o „grzechach“ rządu w sprawie polskiej. Efektowniejsza była legenda, według której w czasie posiedzenia rady ministrów broniąc spraw Galicji dostał ataku serca i padł na ziemię martwy. W rezultacie dzieje jego ostatnich dni zostały zamglone pewną tajemniczością, zupełnie odpowiednią dla romantycznego literata i romantycznego gubernatora.

W I E L K I K O N I U S Z Y

B. A G D A D

Z żoną Stanisław wychodzi z komory,
Wnosi do izby dwa pieniądze wory,
Czteryśta złotych ułożył na ławie
I tak powiedział: „Zgarnij to, Wiesławie,
Idź do Krakowa, a za te talary
Kupisz dwa konie, a dobiez mi pały!”

Wprawdzie akcja tego fragmentu „Wiesława“ Brodzińskiego rozgrywa się w chacie wiejskiej, lecz coś podobnego działo się także 7 czerwca 1840 roku w dworze jarczowieckim. W roli Stanisława wystąpił tym razem sam dziedzic, hrabia Kajetan Dzieduszycki, starszy pan pamiętający ostatniego króla polskiego, wiecznie zagniewany na współczesnych mu ludzi i austriackie rządy. Oczywiście nie miał w sobie żadnej cechy chłopskiej — obca mu była jakakolwiek pokora, natomiast bliska ogromna duma i pycha. Zajęty ciągłą pracą w swoich majątkach, ciął pieniądze, które pożyczzał na duży procent lub wydawał na kupno nowych wsi i folwarków. Miał sporo ziemi, a chciał mieć jeszcze więcej. Uczynił sobie z tego główny cel życia — wiedział przeto, czego chce, i wytrwale realizował swoje zamiary.

Możliwe że samotność jest bardzo przyjemna, ale Kajetan po przekroczeniu czterdziestki zatęsknił za domem, w którym płonęłoby „domowe ognisko“. Długo się nie namyślał — ożenił się z posażną szesnastolatką, Florentyną Dunin-Borkowską, a w dziewięć miesięcy po ślubie, 24 grudnia 1817 roku, został szczęśliwym oj-



SYLWETKI PRZYJACIÓŁ MALARZA.

U góry pośrodku: Juliusz Dzieduszycki załatwia pilne sprawy majątkowe, obok na prawo: Władysław Dzieduszycki, „rozrywany” przez kobiety, u dołu pośrodku: Włodzimierz Dzieduszycki siedząc na workach złota wyklada swoje demokratyczne poglądy.



WŁODZIMIERZ DZIEDUSZYCKI NA BALU I POLÓWANIU.

Rysunek i wierszyki Leopolda Starzeńskiego.

cem syna Juliusza. Przy jednym z następnych połogów żona niestety umarła — strata bezsprzecznie była bolesna; może dlatego nie odczuł jej zbyt dotkliwie, bo czas wypełniały mu codzienne gospodarskie obowiązki. Zestarzał się wśród ustawicznej pracy, minęły lata i nagle — gdy zdawało się, że już nie nastąpią żadne zmiany w jego życiu — w 1836 roku ogarnęła go przemożna, ogromna i ostatnia namiętność do młodziutkiej, ślicznej, wiośnianej i uroczej Klaudii Mazaraki. Dziewczyna chciała zostać hrabiną — prawidłowo rozegrała kampanię przedślubną i osiągnęła to, do czego dążyła.

W ów dzień czerwcowy właśnie ona była żoną, a Wiesławem — jej dorosły pasierb, Juliusz. Młody i przystojny hrabia studiował medycynę, ale ostatnio się zbuntował i oświadczył, że nie zamierza wracać na uniwersytet. Denerwowała go ponoć sekcja zwłok, naprawdę jednak nudziły wykłady i ćwiczenia. Kajetan zgadzał się z nim w zupełności — lubił swojego pierworodnego i wcale nie miał mu za złe, że zamiast studiować, woli tańczyć, pić i flirtować. Starał się nawet nie zwracać uwagi na wybryki syna, gdyż odznaczał się on pewną zaletą, równoważącą wszelkie wady: mimo młodego wieku świetnie się znał na koniach.

Stajnia właściciela Jarczowiec cieszyła się zasłużoną renomą nie tylko dlatego, że ongiś została założona przez syna Jana Sobieskiego, Jakuba, lecz także z powodu znakomitego doboru rasowych ogierów i klaczy. Po królewiczu dziedziczyli ją różni arystokraci, ponieważ wchodziła w skład posagów pańien wychodzących za mąż. Z czasem po zmianie kilku właścicieli trafiła do Dzieduszyckich — i Kajetan u schyłku swego życia zapragnął uczynić z niej najbardziej wartościową w Galicji i na Podolu.

We Lwowie sprzedawano wtedy ogiera Bagdada, o którym opowiadano cuda. Glioccho, kupiec grecki,

sprowadził go z Arabii i proponował panom galicyjskim za sumę, oburzającą jednych, a zachwycającą drugich swoją wysokością. Konia chcieli kupić wszyscy i wszyscy żalowali pieniędzy. Zupełnie niespodziewanie skąpy, stary Dzeduszycki zdobył się na gest rozrutnika. Po głębszym namyśle przyniósł z komory dwa worki złota i wręczył je synowi z odpowiednim pouczeniem. Worki zawierają dwa tysiące dukatów — niech więc to weźmie, jedzie do miasta i bez Bagdada nie wraca!

Juliusz nazajutrz wyjechał do Lwowa kareta, zaprzęzoną w czwórkę koni — i od tej pory akcja potoczyła się zupełnie inaczej niż w poemacie Brodzińskiego. Po tygodniu powrócił na siwym, rasowym ogierze. Bagdada licytowało paru magnatów, cena została podbita tak, że nie starczyło mu pieniędzy na kupno. Zaproponował jednak kupcowi wszystkie posiadane dukaty, kareta i czwórkę; przy sobie zatrzymał tylko bat. Glioccho od razu się zgodził — większej sumy nikt by mu nie zaofiarował. Kajetan początkowo zbeształ syna za to, że dał się naciągnąć, ale potem przyjrzał się rumakowi i przestał się gniewać — nie uległo najmniejszej wątpliwości: tego nabytku będą mu zazdrościli wszyscy sąsiedzi.

„D O B R E C Z A S Y“

Wielcy panowie w Galicji i na Podolu w tamtych czasach żyli dostatnio, wesoło i przyjemnie. Gospodarowali wprawdzie według zasad tradycyjnego prymitywizmu, lecz źle na tym nie wychodzili, ponieważ nie było kryzysu. Roboty w polu zresztą nic nie kosztowały — wykonywali je jako pańszczyznę „ludzie“, z którymi wszelkie sprawy załatwiali i których straszili cyrkułem tak zwani mandatariusze. Wprost trudno

wyobrazić sobie jaki niski był poziom moralny i umysłowy ówczesnej wsi galicyjskiej, wiecznie głodującej, wynędzniałej i pracującej „na panów“. Panowie korzystali z tego: hulali, szaleli, trwonili majątki we wszelkie możliwe sposoby w zagranicznych „badach“, w stołecznym Wiedniu i rodzinnym Lwowie. Podróże, bale, zabawy i pijatyki wiele kosztowały, ale na wszystko dostarczali pieniędzy usłudźni administratorowie.

Na świecie rozgrywały się wielkie wydarzenia, w Galicji wschodniej panował spokój. „Żubrom podolskim“ wszystkie sprawy wydawały się błahe, łącznie z austriacką okupacją i „Najjaśniejszym Panem“. Wtedy jeszcze nikt z nich nie deklarował chęci stania przy cesarzu, uważali go bowiem jedynie za dziedzica w Wiedniu. We Lwowie znowuż dziedzicem był gubernator, arcyksiążę Ferdynand d'Este — jako sąsiada wypadało go odwiedzać i bywać na wydawanych przez niego balach, ale nie wypadało mu nadskakiwać. Oczywiście niższej administracji nie tolerowano w towarzystwie i nie liczone się z nią zbyt, ponieważ w każdej chwili można było ją kupić.

Dzieduszyccy pierwszego członka rodziny, pracującego w austriackim urzędzie, uważali za odstępcę od narodowej i rodowej tradycji. W owe czasy zajmowanie się nauką nie było modne, jako jedyne zajęcie pozostawała im uprawa roli, zwłaszcza że dziedziczyli olbrzymie majątki. Sytuacja, polegająca na ograniczeniu zakresu działalności, stała się udziałem wielu rodzin i na niektóre jednostki wpłynęła fatalnie.

„Juliusz Dzieduszycki — pisze Stanisław Witkiewicz w pięknej monografii o Juliuszu Kossaku — był jednym z tych niezwykłych ludzi, którzy się rodzili z duszą nadmiernie dzielną i szeroką na stosunki, w jakich społeczeństwo wówczas żyć musiało. Kraj się roił od oryginałów i dziwaków, których dziwactwa były

wypaczeniem silnych indywidualności, zmuszonych zużywać swój nadmiar sił w ciasnych warunkach, w jakich zamykało je życie. Byli to ludzie, stworzeni do życia w wieku na przykład XVII, stworzeni do ugania się po niezliczonych ówczesnych polach bitew, do awanturnicznych wypraw, do życia bez norm i granic, którzy musieli dookoła siebie czuć kraj otwarty na wszystkie strony, step bezmierny i swobodny, w których drgała lekkomyślna swawola żołnierza z fantazji, junaka i wielkiego pana, nie liczącego się z fortuną, gdyż ma jej za dużo lub nie ma już jej wcale...“.

A R A B S K I E A W A N T U R Y

Juliusz Dzieduszycki był właśnie takim człowiekiem z XVII stulecia, który niestety urodził się o dwieście lat za późno. Po przerwaniu studiów uniwersyteckich przebywał zwykle na wsi i używał „na całego“: od rana do wieczora na koniu lub przy koniach. Piękne wierzchowce, step i charty stawały się jego namiętnością, która potęgowała się coraz bardziej przestaniając inne dążenia i zachcianki życiowe. Co roku jednak udawał się w dłuższą podróż po Europie zachodniej. Najchętniej przebywał w Paryżu, skąd wyniósł umiejętność wytwornego ubierania się, poprawny akcent francuski i wytworne maniery. Na balach lwowskich słynął jako arbiter elegancji, podziwiany i naśladowany przez liczne grono złotej młodzieży. Kobiety przepadały za nim, zdobywał je prędko, jeszcze prędeziej opuszczał — niestały w uczuciach, wiecznie szukający nowych romansów i przygód miłosnych. Do żadnej nie mógł się przywiązać, z żadną nie chciał się żenić.

— Najpiękniejsza kobieta wreszcie się znudzi — mawiał. — Dobry koń nigdy.

Kajetan umarł w 1812 roku pozostawiając mu



Wszystko to jest z życia i z serca
 i z duszy, i z krwi, i z łez, i z krwi.

Spół wspaniałe, wspaniałe, wspaniałe, wspaniałe
 Oj, Młody, młody, młody, młody, młody.

Wszystko to jest z życia i z serca
 i z duszy, i z krwi, i z łez, i z krwi.

DZIEJE ROMANSOWE JULIUSZA DZIEDUSZYCKIEGO.

Rysunki i wierszyki Juliusza Kossaka.



otrzymał w spadku cały, ogromny majątek. Juliusz nie skrzywdził wydziedziczonego brata Władysława, podzielił się z nim wszystkim, co dostał, i zaczął urzeczywistniać swoje marzenia. Od dawna marzył o cudownych koniach arabskich, a Bliski Wschód wydawał mu się ową Mekką, do której każdy właściciel stajni powinien przynajmniej raz w życiu odbyć pielgrzymkę.

Dnia 7 stycznia 1844 roku wyruszył w przeszło roczną podróż do Egiptu, Arabii, Palestyny i Turcji. Zabrał z sobą dwóch młodych kozaków, Hrycia i Mykołę, wychowanych pod Złoczowem, którzy nigdy nie jeździli dalej niż do Lwowa, najprostsze przeto przejawy życia innych krajów, napawały ich bezgranicznym zdumieniem. W Ankonie kozacy i hrabia wsiedli na okręt, płynący do Aleksandrii. Kołysani przez fale, rychło wszyscy zaczęli chorować. Zmaltretowany Hryć zażądał wówczas kategorycznie od swego pana zwolnienia, a otrzymawszy pieniądze na drogę powrotną, kilkakrotnie oszczędł statek wzdłuż poręczy pokładu, szukając mostu albo kładki, żeby dostać się na brzeg. Niczego podobnego nie znalazł, ktoś mu wytłumaczył, że „jezioro“ jest bardzo duże, zrezygnował więc z zamiaru powrotu i — po przybyciu do Egiptu — wiernie towarzyszył Juliuszowi we wszystkich wędrówkach po arabskich osiedlach. Mykoła zaś długo chorował w Kairze, gdyż objadł się zielonych fig, które wziął za rodzime, słodkie gruszki.

W stolicy Egiptu handlarz niewolników zaproponował Dzieduszyckiemu młodą i piękną Czerkieskę. Bez większego namysłu zapłacił żadaną cenę czterystu dukatów i sprowadził ją do swego mieszkania. Zora była dobrą dziewczyną — prędko przywiązała się do niego, spędziła z nim wiele dni i nocy. Szejkowie witali go z wielkim szacunkiem. Grek Glioccho, znany na Wschodzie handlarz koni, dał mu kilka listów poleca-

jących, w których pisał o nim jako o bracie emira Tadż-el-Fahra Abd-el-Niszana. Wprawdzie Wacław Rzewuski był ostatni raz wśród Arabów przed laty, śpiewano jednak jeszcze pieśni o jego bogactwie i dobroci. Brat emira mógł liczyć na gościnność i uprzejmość w oazach, zwłaszcza że imponował tubylcom swoją postawą, świetną jazdą konną i znawstwem koni.

Sędziwy starzec, słynny z nienawiści do „giaurów“ szejk Achmed Abd el Insał, na wiadomość o przybyciu brata emira, zaprosił go do siebie gwarantując uroczystą przysięgą bezpieczeństwo. Dzieduszycki i Hryć udali się karawaną w głąb Pustyni Arabskiej i dopiero po dłuższej podróży przybyli do celu. Podejmowano ich uroczyście i przez wiele dni pokazywano konie. Szejk — jak się okazało — nie lubił tylko biednych „giaurów“. Pewnej nocy potajemnie przybył do namiotu hrabiego, proponując sprzedaż Abucheila, „ojca koni“, za fantastycznie wysoką sumę. O doskonałości tego ogiera po Arabii krążyły legendy — przedstawiał ogromną wartość i należał do całego plemienia, które nie chciało się go wyzbywać. Juliusz był nim urzeczony; nie targując się przyjął z entuzjazmem ofertę Achmeda, a dla tłumacza wyasygnował okazałą sumkę za dochowanie sekretu. Nie należy się liczyć z kosztami, gdy kupuje się najwspanialszego konia!

Odesłał rzeczy do miasta karawaną, sam pozostał i czekał na obiecane go ogiera. Wreszcie w nocy znów obudził go szejk. Przed namiotem stał osiodłany Abucheil, a obok na legalnie kupionej klaczy Gazelli siedział wierny Hryć. Achmed zainkasował gotówkę i udzielił kilku rad na drogę. Juliusz oficjalnie kradł konia, lecz dopiero nad ranem mogło to spostrzec plemię. Sprytny Arab miał wtedy „udawać Greka“ i pościg skierować w fałszywym kierunku. Zresztą „giau-

rzy“ nie obawiali się pogoni — ich konie bowiem były najszybsze w całej Arabii.

Jazda przez pustynię stanowiła dość łatwą przeprawę dla rzekomego brata emira i jego służącego. Spotykali liczne plemiona arabskie, które nie okazywały wrogości i chętnie, za zapłatą, udzielały im żywności i noclegów. Juliusz oczywiście nikomu nie zdradzał nazwy swojego konia. Zdołał go jednak do tego sprowokować napotkany na drodze wędrowny kupiec, jadący na mule.

— Popatrz cudzoziemcze na mojego muła — nie spodziewanie zawołał do niego. — To najszybszy muł świata, prześcignąć go może jedynie Abucheil. Twój piękny rumak, w porównaniu z moim, jest nędzną szkapą.

— Może się założymy? — zaproponował Dzeduszycki.

Ruszyli z kopyta i wkrótce kupiec na swoim wierzchowcu pozostał daleko w tyle.

— Jak się nazywa twój koń? — zainteresował się płacąc przegraną.

— Abucheil — poinformował tryumfujący hrabia, śmiejąc się ze zdumionej miny właściciela muła.

Po odpoczynku w Kairze włączył się dalej po oazach, podróżował po Palestynie i Syrii szukając koni. Czuł się w swoim żywiole: wielkie przestrzenie, ciągłe przygody, cudne rumaki i piękne dziewczyny. W miastach, w salonach konsulów, pił wino, tańczył, flirtował z konsulowymi. Coraz częściej Zora nadaremnie czekała na jego powrót na noc do domu — w końcu przekonała się, że interesuje się nią jedynie przelotnie. Cóż miała robić? Rozpaczać? Nie lubiła zmartwień — toteż pocieszała się flirtując z dorodnymi kozakami, którzy w największej zgodzie wspólnie ubiegali się o jej względy.

W ciągu roku hrabia wydał prawie sto tysięcy dukatów, ale za to nabył kilka ogierów i klaczy, najlepszych i najbardziej rasowych. Nie chciało mu się wracać do kraju; nie tylko on, lecz nawet Hryć i Mykoła rozsmakowali się w nowym, podróżniczym i awanturniczym życiu. Poza tym był kłopot: co zrobić z niewolnicą? Pragnął obdarzyć ją wolnością, w odpowiedzi zaczęła płakać i grozić samobójstwem. Wolność była dla niej niezastępowaną karą, nie wyobrażała sobie życia bez jakiegoś pana. Stanowczo nie chciał zabierać jej z sobą — bał się narazić na drwiny i śmiech całej Galicji. Długo głowił się nad sytuacją — dopiero Hryć dał mu dobrą, praktyczną radę. Usłuchał go i sprzedał Zorę konsulowi austriackiemu. Okazało się, że transakcja była dla wszystkich korzystna: Zora nie zaznała kłopotów wolnego życia, konsul dostał uroczą niewolnicę, a Juliusz po zlikwidowaniu ciężącego stosunku mógł swobodnie i spokojnie powrócić do kraju.

D W A J J U L I U S Z E

Po powrocie wybudował w Jarczowcach nowy pałac i specjalne stajnie. Do pałacu podjeżdżało się wprost z ogromnego podolskiego stepu. Cały front zajmowały dwa pokoje, jadalny i salon. Z jadalni drzwi prowadziły bezpośrednio do długiej, bocznej oficyny, przeznaczonej na stajnię ogierów. Z salonu — do stajni źrebaków. Dzięki takiemu urządzeniu można było w każdej chwili złożyć wizytę koniom i przekonać się o ich luksusowym życiu w luksusowych boksach. Boksy zostały zaprojektowane przez samego dziedzica, a na ich ścianach zawieszono olbrzymie lustra, w których przeglądali się czworonożni mieszkańcy, urozmaicając sobie życie. Klacze trzymano w nieco skromniejszych pomieszczeniach obok pałacu i na folwarkach.

Dzieduszycki mógł być dumny — nigdy stajnia królewicza Jakuba nie cieszyła się większą sławą niż po przybyciu koni z Arabii. W Galicji było sporo hodowców, lecz on wszystkich prześcignął rozmachem i fantastyczną, wprost niezwykłą troskliwością o swoją stadninę. Wincenty Pol upamiętnił jego zamiłowania w wierszu o efektownym początku:

Mości Juliuszu — ty biały lwie Wschodu,
Wielki koniuszy wielkiego narodu!

„Białego lwa Wschodu“ martwiła jedna rzecz: po latach pozdychają ogiery, a on nie będzie miał ich portretów. Pojechał przeto do Lwowa, żeby wyszukać odpowiedniego malarza. Paru mistrzów obraziło się jednak na czynione im propozycje. „My, panie hrabio — odpowiadali wyniośle — malujemy landszafty i ludzi, a nie bydłeta“.

Żaden szanujący się malarz nie chciał się podjąć tak poniżającej roli, jaką jest portretowanie koni. Juliusz przekonał się, że nie znajdzie nikogo chętnego, a ponieważ ogarnęło go z tego powodu ogromne rozgoryczenie, cały czas pił bez umiaru w towarzystwie przyjaciół. Po jakiejś lumpce, pragnąc się odświeżyć fizycznie i moralnie, poszedł do łaźni. Obok niego odpoczywali dwaj młodzi studenci, którzy z pogańską prostotą oglądali swe gołe ciała.

— Szkoda, że nie ma Julka — mówił jeden. — Mógłby nas tutaj namalować.

Drugi zaoponował:

— Nie potrafiłby. On tylko konie dobrze rysuje.

Dzieduszycki natychmiast podszedł do nich, przedstawił się i poprosił o adres kolegi-malarza. Tego samego dnia poznał dwudziestojednoletniego studenta z wydziału prawa, który — jak opowiadał — bardzo lubił malować konie. Młodzieńca szczególnie polecał

Kazimierz Dzieduszycki z Niesłuchowa, znano go również w Łańcucie. Referencje więc były pierwszorzędne — nowi znajomi wieczorem solidnie popili i zawarli przyjaźń „na wieki“.

Ta przyjaźń istotnie przetrwała do późnej starości. Juliusz Kossak, ówczesny student, zawsze wspominał Juliusza Dzieduszyckiego najserdeczniej. W Jarczowcach przebywał z przerwami od 1845 do 1850 roku — i te lata decydująco wpłynęły na dalszy rozwój jego talentu. Hrabia był starszy od malarza, ale ich poglądy na życie, charaktery i temperamenty miały wiele cech wspólnych. Obydwaj lubili konie, polowania, starszlacheckie wypitki i wybitki — dobrali się tak doskonale, że nie chcieli się rozstawać. Młodszy Juliusz z czasem namalował i narysował w różnych pozach prawie wszystkie ogiery i klacze jarczowieckie — starszy zaś otoczył go najtroskliwszą opieką. Podobna opieka bardzo się przydała początkującemu, niezamożnemu malarzowi.

R E W O L U C J A

W owych latach coś się zmieniło w życiu Galicji. Przez kraj przebiegł prąd, który odwracał szlachtę od egoistycznego, pełnego zabaw życia, do spraw bardziej ważnych, patriotycznych i narodowych. Mówiono o zniesieniu pańszczyzny, o zamierzonym powstaniu i o niepodległości. W niektórych dworach zwiększano poczty kozaków — formowano w ten sposób wojsko, mające niebawem wypędzić z Polski zaborców. Juliusz Dzieduszycki entuzjazmował się tym planem i w sekrecie przed władzą, wraz z Kossakiem, wbijał — nieraz dosłownie — do głów różnych Semenów i Hryciów podstawowe militarne umiejętności.

Luty 1846 roku krwawo zapisał się w dziejach za-

chodniej części Galicji. „We wschodnich obwodach...— twierdzi Bolesław Limanowski w „Historii ruchu rewolucyjnego w Polsce w 1846 r.“ — ani w Samborskiem, ani w okolicach Stanisławowa, gdzie właśnie powstanie najlepiej było przygotowane i mogło rachować na powodzenie, żadnego ruchu powstańczego nie było. Widocznie otrzymano już tam wiadomość o odwołaniu.“

Po zajściach w Horożanie, nieliczni powstańcy próbowali jedynie opanować Brzeżany, na które miał uderzyć od strony Potutor oddział Ignacego Komorowskiego, a od strony Narajowa — Teofila Wiśniowskiego. Komorowski, powiadomiony o odwołaniu powstania, do Potutor nie przybył, Wiśniowskiego zaś dragoni zmusili do odwrotu. Juliusz Dzieduszycki, rozczarowany nikłością akcji, postanowił na własną rękę wypowiedzieć wojnę Austrii i okupować Brzeżany.

Na czele swoich sił zbrojnych szczęśliwie dotarł do miasteczka, a uprzedzony o zbliżającym się oddziale nieprzyjacielskim, ukrył kozaków na cmentarzu. Gdy na drodze ukazał się pluton austriackich piechurów, konwojujący małą armatkę, Hryciowie wystrzelili z rusznic, krzyknęli i ruszyli do ataku. Żołnierze w panicznym strachu zaczęli uciekać do lasu i chować się w krzakach. Nikt nie został zabity, droga do śródmieścia stała otworem, pierwsza zaś potyczka zwiększyła uzbrojenie oddziału Dzieduszyckiego o armatkę, z której co prawda zwycięzcy nie umieli strzelać. Okupacja miasta trwała ogromnie krótko, ponieważ szpiedzy-amatorzy donieśli, że pułk dragonów wyruszył z Narajowa na odsiecz. Trzeba było uciekać, co też skrupulatnie uczyniono. Oddział powrócił do Jarczowiec, kozacy pochowali broń i poszli do pracy. Juliusz jak gdyby nic nie zaszło wizytował swoje folwarki. Władza jednak go odnalazła, aresztowała w ostatni dzień lute-

go, przewiozła do Złoczowa i zamknęła w areszcie miejskim.

Rodzina zaniepokoiła się i pośpieszyła z pomocą. Przekupiono paru urzędników, którzy uznali Juliusza za ciężko chorego, nie przesłuchali go i nie wysłali do lwowskiego więzienia. Więcej na razie niczego nie uzyskano, ponieważ arcyksiążę Ferdynand, prywatnie proszony, nie zgadzał się na umorzenie sprawy. Dopiero gdy przybył do Lwowa nowy wielkorządca Galicji, „nadzwyczajny pełnomocny komisarz nadworny“ Rudolf Stadion, kontynuowano wysiłki i znaleziono do niego drogę. Pewna piękna hrabina, która kochała więźnia, nawiązała romans z przybyłym dostojnikiem, szczególnie łasym na wdzięki niewieście. Posunięcie było dobre — w połowie sierpnia 1846 roku zwolniono Dzieduszyckiego z aresztu, sprawę zaś solidnie zatuszowano. Zapewniono centralny rząd o lojalności hrabiego, a jemu poradzono siedzieć cicho.

Naturalnie — nie usłuchał. Gorączkowo śledził rozgrywające się wydarzenia dziejowe biorąc w nich czynny udział. W 1848 roku wstąpił do lwowskiej gwardii narodowej i jeździł do Wiednia jako członek delegacji komitetu polsko-ruskiego. Potem w towarzystwie Kossaka udał się na kongres słowiański do Pragi, lecz mimo najlepszych chęci niewiele tam zdziałał, zwłaszcza że obrady zostały przerwane przez akcję wojenną Windischgraetza. W listopadzie budował barykady we Lwowie — wreszcie przygnębiony zwycięstwem reakcji, zawiedziony w rewolucyjnych nadziejach, rozgoryczony brakiem zgody między Polakami a Rusinami, powrócił do Jarczowiec. Znów pojechał na ulubionym ogierze Merdżenkirze na łowy i pędząc po stepie zrozumiał, że niepotrzebnie się martwi — swobodne życie stanowi przecież dostateczne wynagrodzenie za wszelkie niepowodzenia polityczne.

Wraz z „wiosną narodów“ skończyła się polityczna działalność Juliusza Dźieduszyckiego. Odtąd zajmował się jedynie swoją stadniną, która zyskała już sławę europejską. Do Jarczowiec tłumnie wędrowała szlachta, aby odwiedzić gospodarza, zasięgnąć u niego rady i oglądać jego konie. W dziedzinie hipologii był największym autorytetem — uznał to nawet Franciszek Józef nadając mu godność cesarskiego koniuszego. Łaskawość swą monarcha posunął następnie tak dalece, że podczas pobytu w Galicji, w 1851 roku, raczył zwiedzić pałac-stajnię ekscentrycznego hrabiego i oglądnąć znajdujący się tam przychówek. Za przykładem brata w trzy lata później do Jarczowiec pojechał arcyksiążę Karol Ludwik, ojciec zabitego w Sarajewie Ferdynanda i dziadek ostatniego Habsburga na tronie, Karola.

Juliusz nie mógł sobie odmówić przyjemności odpowiedniego przyjęcia gościa. W tym celu wydał specjalne dyspozycje kozakowi, który reprezentacyjną czwórką koni miał przywieźć arcyksięcia do majątku ze Stanisławowa, a nie znał zupełnie języka niemieckiego.

— Jedź prędko. Gdy ci powiedzą: „Langsam“ — to jeszcze prędzej, gdy: „Schnell“ — to powoli.

Karol Ludwik zapewne nigdy nie jechał tak bardzo „po kawalersku“. Blady z trwogi, przestraszony niepowstrzymanym impetem jazdy, nadaremnie krzyczał: „Langsam“. W odpowiedzi kozak jeszcze bardziej podcinał batem konie, które rwały naprzód po wyboistej drodze z fantastyczną szybkością. Po przybyciu do Jarczowiec na pół żywy arcyksiążę wyraził swoje oburzenie z powodu samowoli woźnicy. Dowcipny hrabia uprzejmie i pokornie go przeprosił — rzeczywiście to

straszny wypadek! Bardzo ubolewa i zaraz każe ukarać kozaka za to, że nie rozumie po niemiecku.

Był to kawał, należący do złotej serii bałagulskich wyczynów Juliusza. Dobry dla wszystkich, „krzywdził“ jedynie wiejskie dziewczęta, które zresztą chętnie stawały się ofiarami tej „krzywdy“. Odznaczał się nie tylko urodą, lecz także hojnością, dostawały przeto od niego pieniądze i ziemię stając się od razu posażnymi pannami na wydaniu. Daleki od purytańskich skłonności i pruderii, prosił jednak wielokrotnie pewnego sąsiada-weneryka, żeby zrezygnował z prawa pierwszej nocy, które narzucił swoim wioskom. Gdy prośby nie skutkowały, zbrojnie najechał i kazał publicznie wychłostać amatora średniowiecznych zwyczajów. Podobnie bezceremonialnie postępował z austriackimi urzędnikami. Ogólnie znienawidzonego starostę stanisławowskiego, Niemca, zaprosił kiedyś do siebie, gruntownie spoił i nieprzytomnego odesłał do miasta w otwartej trumnie, umieszczonej na karawanie. Zwyczajny obywatel powędrawałby za takie dowcipy do więzienia — hrabiemu wszystko uchodziło płazem.

Jego życie płynęło naprawdę pod hasłem: „Młodość, miłość i awantura“. Najwięcej po stajni kosztowały miłość i awantura — topniały przeto odziedziczone zasoby. Należało bogato się ożenić, aby nie zmieniać dotychczasowego trybu życia. Juliusz zaczął się rozglądać za żoną i wreszcie podczas jednej z licznych zagranicznych podróży znalazł odpowiednią kandydatkę.

Była nią Zofia Bobrówna, córka Teodora, marszałka szlachty wołyńskiej, i pięknej Joanny. Joanna, muza dwóch wieszczów: Krasińskiego, który kochał się w niej z wzajemnością, i Słowackiego, który kochał się w niej nieszczęśliwie, od szeregu lat nie żyła z mężem i wraz z córkami przeważnie przebywała na Zachodzie. Autor

„Beniowskiego“ nazywał ją „wielką kobietą“, „rubensową Madonną“ i na koniec „dręczycielką“, a jednocześnie uwielbiał jej obie córki. Zwłaszcza młodsza, drobniutka Zosieńka, Sophinette — jak wołała na nią z francuska matka — była dla niego „zorzowym aniołkiem“, otaczającym każdego „swoją atmosferą różaną“. Poeta ciągle przynosił dziewczynce cukierki i zachwycał się jej „anielskim“ brzdąkaniem na fortepianie. Z czasem wyrosła z niej ładna, chociaż zawsze szczupła, filigranowa i eteryczna panna. Dzieduszyckiemu bardzo się spodobała, toteż po krótkim wahaniu oświadczył się o jej rękę i został przyjęty. 29 sierpnia 1857 roku w Schwalbach odbył się ślub, po czym młoda para udała się na stały pobyt do Jarczowiec.

Biedna Sophinette! Jej matka w swoim domu nie przyjmowała nikogo, kto nie był księciem, hrabią, baronem, bankierem lub artystą, córka zaś znalazła się w towarzystwie wiejskich szlagonów, koniuchów i koni. Jak dziki i barbarzyński musiał się jej wydać pałac połączony bezpośrednio ze stajnią! Męża bardzo kochała, marzyła o wzajemności, ale rychło przekonała się, że znajduje się jedynie na marginesie jego uczuć. Bałagała nie chciał zmieniać dotychczasowych upodobań: nadal harcował na koniach, polował i hulał. Nadaremnie pragnęła mieć dziecko — natura odmówiła jej tej przyjemności. Dobrze wychowana i cicha, nie skarżyła się nikomu, nie zdradzała męża, z pokorą spełniała jego nakazy. Najpiękniejsze lata swego życia spędziła w cieniu Juliusza. Dla niej on był wszystkim — ona dla niego tylko drobnym epizodem życiowym.

OPOWIADANIE O TRZECH KOŃCACH

W kilka lat po ślubie Juliusz musiał się pożegnać z beztroskim i wesołym życiem, ponieważ mijały

dawne dobre czasy, a następowały nowe i podłe. Mimo bogatego ożenku zaczęły go gnębić coraz większe kłopoty materialne, wreszcie gwałtowny spadek cen produktów rolnych w siódmym dziesięcioleciu ubiegłego wieku uczynił z niego prawie bankruta. Przyzwyczajony do życia w stepie, nie orientował się w interesach, toteż rodzina objęła kuratelę nad jego dobrami, a on przeniósł się na Wołyń, do majątku żony, Szelwowa.

Razem z nim przybyła na Wołyń znaczna część stada jarczowieckiego, reszta zaś została w luksusowych stajniach, powierzona opiece dzierżawcy. Dzeduszycki próbował jeszcze żyć tak, jak na Podolu, ale wszystko, co robił, nie miało poprzedniego rozmachu. Wprawdzie znalazł nowych kompanów, urządzał polowania i zawody konne — ciągle jednak tęsknił za swoją dawną siedzibą, za bezgranicznym stepem podolskim, a przede wszystkim za dawnymi warunkami życia i stosunkami, kiedy nikt się nie ośmielał ograniczać, a nawet krytykować awanturniczej działalności wielkiego pana i bałaguly.

Dopiero wojna rosyjsko-turecka w 1877 roku poprawiła finanse Juliusza, gdyż ogromne zapasy zboża z lat ubiegłych sprzedał po dobrej cenie intendenturze rosyjskiej. Był jednak już stary — pragnął mieszkać wygodnie, wynajął przeto komfortowe mieszkanie we Lwowie. Nieporównany znawca koni, kobiet i wina, zaw sze wytworny, czarujący wszystkich genre'm wielkiego pana z pierwszej połowy stulecia, przyjmował „tout le monde“ u siebie i bywał w wielu domach. Cieszył się ogólnym szacunkiem, jego zasługi w dziedzinie poprawy rasy końskiej rzeczywiście przedstawiały się imponująco — i ta świadomość, że coś w życiu zdziałał, może stałaby się dla niego źródłem radości, gdyby nie upadek dzieła, zaczętego w młodości. Pałac bowiem i stajnie jarczowieckie zamieniały się w ruinę, stado

mała, a sporo cennych koni musiał sprzedać, ponieważ brakowało pieniędzy na ich utrzymanie. Poza tymi zmartwieniami trapiła go również choroba. Rak rozrósł się coraz bardziej i w 1884 roku nastąpił koniec jego życia.

Sophinette zmarła w dwadzieścia lat po zgonie męża. Wielu ludzi zapewne jeszcze pamięta małą, drobną staruszkę, drepczącą po lwowskich ulicach na początku XX wieku. Lubiła piesze spacer, a jednocześnie bała się przemęczenia, dlatego zawsze z tyłu jechała za nią kareta. Juliusza wspominała bardzo pochlebnie, zwłaszcza chętnie opowiadała młodym kuzynkom o tym, jak się on w niej kochał i jak starał się o nią. Opowiadała również często o Słowackim i o swojej matce, nawet nie proszona pokazywała wpisany do jej dziewczęcego pamiętnika oryginalny utwór poety, zaczynający się od słów: „Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi“. O swoim zmarnowanym życiu nie mówiła nikomu.

Klucz jarcowiecki, stajnię i wielką plikę nieznaną szerszemu ogółowi rysunków Juliusza Kossaka, odziedziczył Władysław, syn znakomitego polityka, uczonego i myśliciela Wojciecha Dzieduszyckiego. Nowy właściciel w 1910 roku pojechał do Indii po konie pragnąc zwiększyć wartość swego stada. Nie zdołał jednak przeprowadzić wszystkich zamierzonych reform i musiał zrezygnować z hodowli, ponieważ wybuchła wojna. Niemcy, gdy znaleźli się w Galicji wschodniej, zabrali mu wszystkie bardziej wartościowe ogiery i klacze — zaledwie kilka rasowych okazów wróciło następnie do państwowej stadniny w Janowie. W ten sposób po ćwierćtysięcznym, chlubnym istnieniu nastąpił także koniec stajni, założonej przez królewicza Jakuba.

M Ł O D Y M A L A R Z

NA SZÓSTYM PIĘTRZE HOTELU BRISTOL

Niedawno odwiedziłem Wojciecha Kossaka w jego pracowni malarskiej, mieszczącej się na szóstym piętrze w hotelu Bristol. Rozmawiałem zę znakomitym synem o znakomitym ojcu. Z Jezupola przywiozłem sporo nieznaných rysunków Juliusza Kossaka, wykonanych w latach 1845—1850 i zapomnianych we wsi podolskiej. Zebrałem trochę materiałów, dotyczących młodości autora tych rysunków. Pragnąłem od pana Wojciecha dowiedzieć się jeszcze kilku szczegółów z życia pana Juliusza. Podczas rozmowy nasuwały się różne pytania. Czy Juliusz Kossak wspominał dawne dobre czasy? Jaką wojnę uważał za ich granicę? Wreszcie: w jakim wieku rozpoczął „prawdziwe“ życie? Czy po powrocie z Monachium, gdy osiadł w Krakowie i zbliżał się do szczytu swej sławy, czy już jako dwudziestoparoletni młodzieniec, który konno uganiał po stepach podolskich, pił i hulał, a w wolnych chwilach malował?

Wojciech Kossak potwierdził moje przypuszczenia. Jego ojciec lubił wspominać okres swojej młodości, który zamykała wojna węgiersko-austriacka w 1849 roku. To były w życiu Juliusza Kossaka lata szalone, emocjonujące, pełne niespodzianek i przygód. Wtedy żył pełną piersią i poznawał wszelkie rozkosze istnienia. To była młodość dziarska, junacka, która „musiała się wyszumieć“. Czy mógł na starość przeciwstawić jej jakiś inny okres swojego życia? Oczywiście, że nie mógł. Sława? Powodzenie? Przecież jako student uniwersytetu lwowskiego był niemniej sławny w gronie przyja-

ciół niż potem wśród szerszego ogółu. Przecież cieszył się ogromnym powodzeniem we wszystkich dworach Przemyskiego, Podola i Pokucia, gdy jeszcze niezbyt poprawnie rysował konie, bez owej finezyjnej techniki, którą nabył przez studia u Verneta. Natomiast nigdy się bardziej nie wyżył niż przed rokiem 1849. Słusznie więc uważał ten okres za swoje „dawne dobre czasy“, w których wiele osiągnął i nadał kierunek dalszemu życiu. Dlatego pewną akwarelę, przedstawiającą Leona Rzewuskiego i Władysława Dzieduszyckiego na terenie wyścigów we Lwowie, namalowaną w starszym wieku, opatrzył jakże wymownym napisem: „Les bons vieux temps 1845“.

R O D Z I N A

Kobiety są dziwne i nieodgadnione. Michałowa Kosakowa miała w sobie nadmiar kobiecości, dlatego trudno osądzić przyczyny jej postępowania. Gdy znajdowała się w dziewiątym miesiącu ciąży, zapragnęła nagle odwiedzić Kraków — i nikt nie potrafił jej wytłumaczyć, że musi siedzieć w domu. Pewnego dnia wyjechała z własnej wioski Kniahinin, położonej nad Sanem, lecz nie zdążyła daleko zajechać. W drodze uczuła bóle porodowe, przystanęła przeto w najbliższym miasteczku Wiśniczu i 15 grudnia 1824 roku urodziła dużego, zdrowego chłopca. Wróciła potem pośpiesznie do domu, aby czym prędzej ochrzcić syna w sąsiedniej unickiej cerkwi. „Nadaję ci imię: Juliusz“ — powiedział do krzyczącego malca grecko-katolicki paroch. Malec bowiem pochodził z rodziny, która Rusinów uważała za odmianę Polaków i nie robiła różnicy między wyznaniem rzymskim a greckim. Dzięki temu Juliusz od najmłodszych lat umiał jednakowo dobrze mówić po polsku i po ukraińsku.

W nędznie wegetującym społeczeństwie galicyjskim jego ojciec zajmował pozycję dość wyraźną, gdyż urzędową. Był konsyliarzem, czyli sędzią we Lwowie. Ubrany w togę, zasiadał w sądzie i wydawał wyroki w imieniu najmiłościwiej panującego cesarza Ferdynanda I. Powodziło mu się nienajgorzej. Rząd wypłacał pensję, majątek nad Sanem i dom we Lwowie przynosiły dochody. W roku 1833 umierał zupełnie spokojny, przeświadczony, że żonie i pięciorgu dzieci zapewnił dostatek. Podobnie myślała początkowo pani konsyliarzowa, którą naciągali nie tylko dorastający synowie, ale również — co było daleko gorsze — zupełnie obcy ludzie. Nie była stworzona do interesów, nie wiadomo jakie robiła posunięcia, rychło jednak wyzbyła się majątku i domu. Po śmierci męża nie żyła własnym życiem, lecz życiem swoich dzieci. Chodziła ciągle zakłopotana: „Co robić, aby synów wykształcić, wykierować na ludzi?“. O córki była spokojniejsza — sądziła, że będą miały przystowiowy łut szczęścia i znajdą sobie mężów.

Łut szczęścia miała tylko jedna, druga pozostała starą panną. Obie reprezentowały typ kobiet zupełnie przeciętnych, natomiast ich bracia stanowili prawdziwą rewelację. W rodzinie, którą poprzednio nie odznaczała się zbytnimi zdolnościami, nagle nastąpił wybuch talentów. Juliusz w całej pełni skorzystał z daru przyrody, pieczołowicie go pielęgnował, w późniejszym życiu rozwinął i wyzyskał. Dwaj pozostali, Leon i Władysław, nie mieli na to czasu, zajęci ustawiczną wojaczką, podróżami i pracą.

Leon jednak dał się poznać jako zdolny malarz, którego specjalnością była batalistyka. Za młodu służył w drugim pułku ułanów, stacjonowanym na Węgrzech. Z tych czasów pochodzą jego rysunki, przedstawiające życie żołnierzy w stepach węgierskich. W roku 1849

Na łóżku wspaniałym, w ciemnym pokoju,
 Zasnął nasz bohater, przytyły i młody,
 A Białobłoki trząsł się, śmiejąc się głośno.



W ten sposób, na gładkim podłożu,
 W pozę przyniósł ten wspaniałomyślny.



Edyż, w ten sposób, w ciemnym pokoju,



Edyż, w ten sposób, w ciemnym pokoju,
 Zasnął nasz bohater, przytyły i młody,
 A Białobłoki trząsł się, śmiejąc się głośno.



W ten sposób, na gładkim podłożu,
 W pozę przyniósł ten wspaniałomyślny.



W ten sposób, na gładkim podłożu,
 W pozę przyniósł ten wspaniałomyślny.

PRZYGODY GALICYJSKIEGO „EPIKUREJCZYKA”

Rysunki i wierszyki Juliusza Kossaka.



CIĄG DALSZY PRZYGÓD.

Rysunki i wierszyki Juliusza Kossaka.

wraz z Władysławem wziął udział w rewolucji, występując przeciwko Austrii. Po kapitulacji pod Vilagos, bracia wspólnie uciekli do Australii, gdzie służyli w wojsku angielskim i szukali złota. Dopiero w 1863 roku zjawili się w Polsce, aby przystąpić do powstania. Leon, zraniony pod Kobylanką, dostał się do niewoli i został zesłany na Sybir. Po siedmiu latach, złamany fizycznie i moralnie, wrócił do kraju i zaczął malować. Uczynił to za późno — zaniedbany talent nie mógł się należycie rozwinąć. Władysław tymczasem powrócił do Australii, ożenił się i dał początek nowej linii Kossaków na odległym kontynencie.

Pani konsyliarzowa umarła w podeszłym wieku. Juliusz był już wtedy znanym malarzem, którego obrazy cieszyły się wielką sławą. Spośród wszystkich dzieci Michała Kossaka — on właśnie zrobił największą karierę.

NAUCZYCIELE I MECENASI

Zdolności artystyczne młodego Juliusza były zdumiewające. Uczęszczając do szkoły ojców Bazylianów we Lwowie z zapałem rysował karykatury nauczycieli i kolegów, przy czym często ponosił smutne konsekwencje swojej złośliwości. Miał 15 lat, gdy po namalowaniu portretu siostry przyjaciela szkolnego przekonał się, że pędzel jest potężnym sprzymierzeńcem. Osiemnastoletnia, dumna pannica, która zwykle nie dostrzegała młodego chłopca, nagle zaczęła darzyć go sympatią, umówiła się z nim na randkę, a nawet pozwoliła się pocałować. Profesorowie w szkole na ogół chwalili rysunki Kossaka, ale malarskie zamiłowania uważali za coś zupełnie niepotrzebnego. „Co mu przyjdzie z tego?” — mawiali. Obawiali się, że zechce zostać artystą, czyli że obierze zawód niepopłatny i dość beznadziejny. Najbardziej obawiała się tego matka. Pragnęła, aby jej syn zrobił

wielką urzędniczą karierę. Oczami wyobraźni widziała go urzędującego za stołem sędziego, w sali ozdobionej portretem najjaśniejszego pana. „Mój syn — konsyliarz“! O taką przyszłość dla niego gotowa była walczyć. Kiedy skończył szkołę, nie chciała słuchać o jakichkolwiek studiach artystycznych. Juliusz musiał zapisać się na wydział prawny uniwersytetu lwowskiego.

Akademicy przyjęli nowego kolegę od razu do swego grona, gdyż był chłopcem „morowym“, wesołym i uczynnym. Na uniwersytecie czuł się świetnie, a nawet nienajgorzej początkowo się uczył. Niemniej jednak sąd albo biuro, obowiązek spędzania w jakimś gmachu pewnej liczby godzin i zajmowanie się obcymi sprawami, wydawały mu się przykrym koszmarem. Zwłaszcza perspektywa służenia monarsze wcale go nie frapowała. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie swoją przyszłość: mimo wszystko chciał zostać malarzem.

Jednym z nielicznych ludzi, którzy w ówczesnym Lwowie zajmowali się malarstwem, był Jan Maszkowski, nauczyciel rysunków w szkole realnej. Najlepszą jego pracę stanowi autoportret, znajdujący się obecnie w Muzeum Narodowym w Krakowie. Na tym portrecie można oglądać podobiznę pana w tabaczkowym surducie, o typowej twarzy urzędnika, ozdobionej bokobrodami — inne jego prace prezentują się o wiele słabiej. Kossak nie mając wyboru — podobnie jak w parę lat później Artur Grottger i kilku innych młodych malarzy — musiał się do niego udać po naukę. Były to pierwsze lekcje w życiu Juliusza, które trwały niedługo, lecz pozwoliły mu zapoznać się nieco z techniką rysunku. Dzięki nim uczynił wielki krok naprzód: jego żywiołowy, niepospolity talent pozyskał nowe podstawy dla swego rozwoju.

Wraz z lekcjami u Maszkowskiego przyszło zaniedbanie się w nauce prawa. Artystyczna pasja młodzi-

cza musiała być zaspokojona, ponieważ nie mógł jej w żaden sposób stłumić. Utrwalanie na papierze objawów życia stało się dla niego wewnętrzną koniecznością. Matka widziała to niechętnie — odsunął się od matki. Rodzeństwo narzekało na niego — zrezygnował z ojcowizny. Nie chciał od rodziny pomocy, obwarowanej zakazami. Mając 19 lat spróbował żyć samodzielnie. Rzecz szczególna: próba udała się znakomicie.

Oczywiście, znaleźli się ludzie, którzy rozumieli ambitnego młodzieńca i pośpieszyli mu z pomocą. Mieszczuchy i urzędnicy nie mogli pojąć jego twórczości — dla nich malarstwo polegało na malowaniu portretów. Natomiast „brać szlachecka“ ze stepów podolskich przyjęła go z otwartymi ramionami, rysował bowiem jej największe atrakcje życiowe: psy i konie. Jako pierwszy mecenas, zgłosił się Kazimierz Dzieduszycki z Nieśłuchowa, który o zdolnościach swojego pupila natychmiast opowiedział wszystkim liczny znajomym. Protegował go wszędzie — toteż Juliusz zaczął zawierać znajomości z magnatami i otrzymywać zaproszenia do ich rezydencji. Przyjmowano go chętnie — widocznie był nie tylko dobrym artystą, lecz także wybornym kompanem.

W majątku Władysława Rozwadowskiego, Rajtarowicach, poznał prawie całą utytułowaną Galicję wschodnią. Jan Gwalbert Pawlikowski pokazywał mu w Medyce swój ogromny zbiór rysunków. Gościli go u siebie — między innymi — wszyscy bracia Fredrowie, odwiedzał również w Podhorcach ostatniego syna emira Tadz el Fahra, Leona Rzewuskiego. W jesieni 1844 roku dostał nawet zaproszenie do Łańcuta. Wraz z high life'em wziął udział w polowaniu par force, ubrany wytwornie, na angielski sposób. Ksawery Prek, pamiętnikarz tamtych czasów, nie omieszkał zanotować tego wypadku: „Kossak, młody człowiek z talentem, zrobił

szkic całego polowania. Profile myśliwych były tak podobne, że wszyscy spostrzegłszy ten talent wysoki, zrobili składkę na tego młodzieńca, aby mógł za granicą wydoskonalić się w rysunku, którego dotąd mało się jeszcze uczył. Jak to czasem szczęście samo się znajdzie.“

High life zebrał jednak mało pieniędzy, wyjazd za granicę nie nastąpił, szczęście nie było znowuż tak wielkie. Zainteresował się jedynie Juliuszem znakomity malarz, Piotr Michałowski, który w 1835 roku powrócił do kraju i często przebywał w Bolestraszczykach w Przemyskiem. To zainteresowanie stało się brzemienne w skutki i na razie zastąpiło studia w obcych krajach. W majątku mistrza młody amator otrzymał pierwsze poważne wtajemniczenie w sekrety sztuki malarskiej. Wprawdzie lekcje odbywały się przypadkowo i nieregularnie, ale mimo to wywarły znaczny wpływ na ukształtowanie się techniki jego rysunków.

S Z K O Ł A J A R C Z O W I E C K A

W 1845 roku powrócił z Bliskiego Wschodu Juliusz Dzeduszycki, dziwak, bałagała i wielki hodowca koni. We Lwowie poznał, a następnie zaprosił do siebie Koszaka, który chętnie zgodził się portretować rasowe okazy jarczowieckiej stadniny. Malarz zamierzał przebywać u hrabiego kilka miesięcy, przebywał jednak — z przerwami — prawie pięć lat. Od razu zapanowała między nimi nadzwyczajna harmonia, wynikająca z jednakowej fantazji i zamiłowania do życia bez granic. Co prawda nigdy nie zdołali wyładować olbrzymich zasobów posiadanej energii w ówczesnej rzeczywistości — dlatego jeden z nich coraz bardziej dziwaczał, a drugi z coraz większą pasją rysował sceny, które przeżywał lub które chciałyby przeżyć.

„Postanowiwszy zostać malarzem — pisze Stanisław



W OGRÓDKU LWOWSKIM.

Rysunek Juliusza Kossaka.



WOJSKOWI NA ULICACH I W PARKACH LWOWSKICH.

Rysunki Juliusza Kossaka.



Wielki bohater: Płocin z Kawa i Kłopoty?



Dyktas Myra: my spocni! Anzajepi wasz polnizym! doryg... (text partially illegible)



Paroj Skatysk



Wielki bohater: Płocin z Kawa i Kłopoty?



Wielki bohater: Płocin z Kawa i Kłopoty?

„WIOSNA NARODÓW” WE LWOWIE.
U góry polirodku; przemawia Włodzimierz Dzieduszycki.

Rysunki i napisy Juliusza Koszaka.

Witkiewicz — Kossak nie pojechał z Kazimierzem Dzieduszyckim do Rzymu, Paryża lub Monachium, lecz pojechał do Niesłuchowa, a stamtąd do Jarczowiec i zaczął po prostu malować obrazy tak, jak umiał, a umiał bardzo mało — nic prawie — zaczął odtwarzać bezpośrednie wrażenie swoje z życia, otaczających go ludzi i natury... Życie samo i temperament Kossaka zajęły się wykładem najwłaściwszej nauki malarstwa. Na stepach ubielonych rosą, w lasach złotych jesienią, w stajni wśród cudownych koni, przyprowadzonych z Arabii, nie było nudnych profesorów, antyków, śpiących modeli — tego całego szablonowego, martwego ducha ówczesnych szkół i akademii. Był świat szeroki, koń lotny jak wiatr, smycz ścigłych jak myśl chartów, dobrzy i dziwaczni towarzysze, młoda, świeża i rwąca się do życia dusza — wszystko to załamywało się w talencie Kossaka i prowadziło naprzód do twórczości, a potem do uczenia się samej roboty.“

Najlepszym nauczycielem był zresztą gościnny gospodarz. Wprawdzie nie miał pojęcia o rysunku, natomiast świetnie znał anatomię. Ongiś studiował medycynę i wszelkie wiadomości z tego zakresu wykorzystał, aby zostać weterynarzem. Cierpliwie objaśniał Juliuszowi szczegóły budowy konia, wyliczał mięśnie, ścięgna i kości, pokazywał jakie położenie zajmują w spoczynku, a jakie w ruchu. Uczeń początkowo rysował zasuszone kopyta, następnie przeszedł do całej nogi, wreszcie zaczął specjalizować się w szkicowaniu innych części końskiego ciała. Dobrze zapamiętał słowa Michałowskiego: „Nie będziesz malarzem, dopóki nie nauczysz się anatomii“. Niedołączne martwe rumaki, rysowane początkowo przez Kossaka, stopniowo nabierały cech życia, ruszały się, w końcu nawet wdzięczyły się do widzów. Nie zatrzymał się w realistycznym odtwarzaniu koni, ale chętnie je poetyzował. „Szkola“

jarczowiecka o Jdziałała nadzwyczaj korzystnie na jego talent, który w dalszym ciągu rozwijał się i potężniał.

Te niezwykle, pełne najrozmaitszych emocji lata, które spędził w Jarczowcach, przeminęły jak chwile. W towarzystwie drugiego Juliusza niemal codziennie hasał po stepach, polował i popijał. Przyjaciele odwiedzali sąsiadów, którzy żyli podobnie; najeżdżali tych, którzy im się nie podobali. W lutym 1846 roku wypowiedzieli wojnę Austrii i chwilowo okupowali Brzeżany. Dzeduszycki dostał się za to na pół roku do więzienia, przy czym groził mu stryczek, natomiast Kossaka ominęły represje, ponieważ władze się nie dowiedziały o jego udziale w zbrojnej i rewolucyjnej wyprawie. Stali się bohaterami jeszcze wielu innych junackich i awanturniczych wyczynów, o których po Galicji krążyły istne legendy. Jedno nie ulegało wątpliwości: obydwaj urodzili się w nieodpowiedniej dla siebie epoce, a urozmaicali swoje życie w tym celu, żeby mieć złudzenie, że zdołali się przenieść w cudowną, rycerską i zawadiacką przeszłość.

W Jarczowcach mieszkali tak, jak przystało na prawdziwych epikurejczyków. Zmęczony całodziennym uganianiem na koniu, Dzeduszycki zapalał fajkę, kładł się w stajni na perski dywan i czytywał... klasyków łacińskich. Szczególnie lubił ody Horacego. „Carpe diem“ — to był rozkoszny sens życia. Kossak z coraz większym upodobaniem naśladował przyjaciela. Gdy literatura nużyła — spraszali gości. Wieczorem przyjeżdżali znajomi i krewni: w pałacu zbierało się doborowe towarzystwo. Pili doskonałe wino, rozmawiali o koniach i o kobietach, potem dopiero o polityce. Żartowali z siebie nawzajem, ich żarty notował młody artysta tworząc świetną serię szkiców i karykatur, przedstawiających różne obrazki z jarczowieckiego życia. Jeszcze zabawiali się wesoło, a już dworskie dziewczuchy

myły w łaźni przybyłe z wiosek dziewczęta, które w nocy miały dzielić łoża z „panami“. Amatorek nie brakowało, ponieważ od hojnych panów otrzymywały za swoją miłosną uprzejmość hojne wynagrodzenie. O świcie chwilowe kochanki wracały do nędznych, wiejskich chałup, zachwycone dworskim przepychem i uradowane paru monetami, na które zwykle niecierpliwie wyczekiwali ojcowie, bracia, a nawet mężowie.

P I E R W S Z A M I Ł O Ś Ć

Począwszy od 1842 roku każdego lata odbywały się we Lwowie wyścigi konne. Biegały także konie dziedzica Jarczowiec — przyjaciele przyjeżdżali na ten czas do miasta, aby przyglądać się zawodom i dobrze się zabić. W roku 1845 wydarzyła się w porze wyścigów „straszna“ tragedia. „Czy zjazd był tak liczny — opisuje ten wypadek Józef Skarbek-Borowski — czy w te upały zgrzanym sportsmenom pić się tak chciało, fakt zapisany na wieki w kronikach miasta, że brakło wina szampańskiego we Lwowie! W owych czasach, na szczęście ludzkości, nie było jeszcze kolei żelaznych i telegrafów, tym mniej telefonów. Konnych gońców rozsyłają po dworach szlacheckich, wypróżniają piwnice i ratują stolicę kraju od strasznej kłęski posuchy!“

W zimie Kossak częściej przebywał we Lwowie ze względu na swoje studia uniwersyteckie, które — często przerywane — bardzo powoli zbliżały się ku końcowi. Z biegiem lat cieszył się coraz większym ogólnym uznaniem — ostatnio zaczęto go nawet przyjmować w lwowskich arystokratycznych salonach. Te salony z epoki arcyksięcia Ferdynanda d'Este, siedlisko nędzy umysłowej, kołtuństwa i plotkarstwa, wyszydzone w „Parafiańszczyźnie“ przez świetnego satyryka Leszka Dunin-Borkowskiego, stanowiły mimo wszystko o przynależ-

ności każdego człowieka do tak zwanego towarzystwa i umożliwiły zrobienie większej kariery. Zdolności tam nie wymagano — dopóki Juliusz nie miał odpowiednich poleceń, nikt na niego nie zwracał uwagi. Po zaprotegowaniu przez dwóch hrabiów, zaliczony do „swoich“, zaczął dostawać płatne zamówienia na obrazy, co ostatecznie nie było do pogardzenia.

Na wiosnę 1847 roku Lwów przeżywał chwile emocji z powodu przyjazdu znakomitego kompozytora Franciszka Liszta. Arystokracja wydawała na cześć gościa bale, literaci i artyści podejmowali go obiadem w hotelu George'a. W dużej, obrazowej sali zakładu Ossolińskich urządzono przyjęcie, na które przybyła „śmietanka“ towarzyska i artystyczna miasta. Czasy stały się coraz bardziej demokratyczne, dlatego „wyższe sfery“ zdecydowały się spotkać z ludźmi mniej dostojnie urodzonymi i razem adorować mistrza. Wśród zaproszonych znajdował się także Kossak oraz gwiazda teatru lwowskiego, Aniela Aszpergerowa. Przy herbacie, po koncercie Liszta, piękna, trzydziestoletnia kobieta poznała świetnie zapowiadającego się dwudziestotrzyletniego młodzieńca.

Artystka przybyła do Lwowa w 1840 roku i od razu zdobyła wielką popularność. Złota młodzież szalała za nią — od paru lat Kossak był jej cichym, platonicznym wielbicielem. Na przyjęciu w Ossolineum często uśmiechała się do niego, chętnie i długo z nim rozmawiała. Odprowadził ją do domu, a potem późnym wieczorem wracał do swego mieszkania uradowany i oszołomiony, chociaż nie pił alkoholu. Wiedział, że się nie łudzi — to była sentymentalna i zmysłowa, pierwsza wielka miłość w jego życiu.

Uroczą Aniela przyjęła przychylnie uczucia Juliusza i w ciągu prawie dwóch lat demonstracyjnie — ku wielkiej rozpaczy niektórych zalotników — wyróżniała

go z grona swych wielbicieli. Jeśli wywarła na niego jakiś wpływ, to jedynie dodatni. Spośród ówczesnych artystek wyróżniały ją nie tylko talent i uroda, lecz także duża kultura i inteligencja. Trudno osądzić w jakim stopniu była muzą malarza, wiadomo jednak, że bardzo interesowała się jego pracami i zachęcała go do dalszej twórczości.

Szczęśliwy i zadowolony z życia, malował wtedy większy obraz „Czwórkę krakowską“ i dwie mniejsze akwarele na pierwszą wystawę w swoim życiu. Impreza wystawowa stała się nie lada sensacją — czegoś podobnego, w tak dużych rozmiarach, nie widzieli i nie pamiętali najstarsi obywatele miasta. W lewym skrzydle gmachu Ossolineum zostały zgromadzone obrazy, wypożyczone z domów prywatnych, i oryginalne prace kilku malarzy, mieszkających we Lwowie. Tłumy oglądały to niepowszednie widowisko. Najwięcej uwagi zwracano na prace trzech młodych artystów: Kossaka, Raczyńskiego i Szległa. Mieszczuchy chwalili głównie Szległa stawiając Kossaka na drugim miejscu. Natomiast przyjezdna szlachta jednogłośnie przyznawała pierwszeństwo Juliuszowi, ponieważ odczuwała urok namalowanego konia.

W I O S N A N A R O D Ó W

„Dobre“ próżniacze czasy — czasy zastoju kulturalnego i społecznego marazmu, pańszczyzny i wyzysku ludności wiejskiej, zbliżały się ku końcowi. Zastygła w martwocie Galicja budziła się do życia. Bolesnym przebudzeniem był rok 1846, radosnym i żywiołowym — „wiosna narodów“, rok 1848. Jeszcze szalał na balach u arcyksięcia Ferdynanda i barona Kriega lwowski „półświatek arystokratyczny“ — jak nazywał to środo-

wisko Leszek Borkowski, hrabia o radykalnych przekonaniach — jeszcze nad Dniestrem hulali po starszlachecku „panowie“, ale coraz liczniejsze spiski patriotyczne mąciły sielankę beztroskiego życia. Dzieduszycki i Kossak sympatyzowali z różnymi spiskowcami, efektownie i bezskutecznie poparli powstanie lutowe w 1846 roku, zajmowali się jednak tym wszystkim tylko z amatorstwa. Gdy jeden Juliusz siedział w więzieniu, a rodzina tuszowała jego sprawę, drugi starał się we Lwowie przeczekać burzę. Mimo woli zastanawiał się wówczas nad różnymi sprawami społecznymi i politycznymi.

Wiadomość o wypadkach wiedeńskich dotarła do Lwowa 18 marca 1848 roku. W mieście zapanował ogólny entuzjazm i ogólne zamieszanie. Wszyscy radowali się, wznosili okrzyki, przez parę dni większość domów była rześście iluminowana. Dzieduszycki i Kossak zaciągnęli się natychmiast do gwardii narodowej. Hrabia wyjechał następnie do Wiednia wraz z delegacją i powrócił do Lwowa dopiero w końcu kwietnia. Przez ten czas malarz odbywał ćwiczenia w szeregach gwardii, brał udział w różnych demonstracjach akademickich i namiętnie politykował w gronie znajomych. Spotykał się dość często z młodym Włodzimierzem Dzieduszyckim, jednym z najbogatszych magnatów polskich, który pierwszy w Galicji zniósł w swoich wioskach pańszczyznę, i jego skrajnie demokratyczne poglądy oraz działalność wykorzystał jako temat do kilku świetnych karykatur. Na poważniejsze prace oczywiście nie miał czasu, zwłaszcza gdy wyjechał ze Lwowa. W połowie maja bowiem jarczowieccy przyjaciele udali się na kongres słowiański, zorganizowany w Pradze.

Oficjalne otwarcie kongresu nastąpiło 2 czerwca 1848 roku, ale już 31 maja odbyło się zebranie organizacyjne sekcji polsko-ruskiej. Protokoły tej sekcji, prze-

chowywane jako rękopis numer 532 w Ossolineum, wskazują na udział obydwóch Juliuszów w pracach kongresu. Pilnie uczęszczali na wszystkie posiedzenia deklarując się jako Rusini-polonofile, udowadniali jedność kulturalną i dziejową narodowości w Galicji wschodniej oraz występowali przeciwko zamierzonemu podziałowi austriackiego zaboru na okręgi polski i ruski. Dzieduszycki wykorzystywał swoje pochodzenie, Kossak — unickie wyznanie, aby zbliżyć się do nieprzejednanych Rusinów i spopularyzować w ich szeregach hasła zgody z Polakami. Poza tym frapowały ich idee panstwotniańskie, a w Słowiańszczyźnie widzieli cel Polski.

Praga gościnnie podejmowała wszystkich delegatów — urządziła na ich cześć obiady, przyjęcia i bale. Przyjaciele po dniu pełnym pracy bawili się wieczorem, flirtowali z miejscowymi pięknościami lub jak zawsze solidnie pili. Do grona ludzi, z którymi utrzymywali dobre stosunki, obok wielu wybitnych Polaków i Czechów, należał również głośny anarchista Michał Bakunin. Był to na zjeździe jedyny Rosjanin przyjęty do sekcji polsko-ruskiej, ponieważ oświadczył, że tylko przez oswobodzenie Polski naród rosyjski może osiągnąć wolność. Często przychodził do hotelu „Pod Czarnym Koniem“, w którym mieszkała większość Polaków, i chętnie dyskutował „pryncypialnie“ z przyjaciółmi na różne polityczne tematy. Podczas rozmów niejednokrotnie omawiano niemieckie i węgierskie intrygi przeciw kongresowi i powtarzano krążące po mieście plotki o rychłym rozpędzeniu obradujących Słowian przez wierne cesarzowi wojska.

Alarmujące pogłoski miały zupełnie realne podstawy. Książę Windischgraetz gorączkowo ściągał do Pragi nowe pułki i ustawiał armaty na Wyszehradzie i okolicznych wzgórzach. Nie tylko Słowianie w stolicy

Czech, ale także rewolucjoniści w Wiedniu z obawą patrzyli na przygotowania starego generała, znanego z przywiązania do tronu. Nad Wełtawę przybywały liczne gromady wiedeńskich akademików, którzy gorączkowo agitowali i podburzali ludność. Dnia 12 czerwca odbyła się demonstracyjna msza święta na Końskim Targu, obok pomnika świętego Wacława. Przysłuchując się nabożeństwu ogromne rzesze przysięgały sobie nawzajem braterstwo i miłość, potem sformował się pochód, który wznosząc okrzyki ruszył przed dom znieprawionego komendanta. Wojsko rozpedziło tłumy, w mieście jednak rozpoczęły się rozruchy, wreszcie ryknęły armaty i na ulicach w gorączkowym tempie zaczęto wznosić barykady. Małżonka Windischgraetza odsuwając storę w oknie, aby przyjrzeć się rewolucji, trafiona w głowę zabłąkaną kulą, upadła martwa na podłogę. Polacy o niczym nie wiedzieli — obradowali w hotelu, gdy wpadł do nich Bakunin krzycząc, że nie czas obradować, lecz należy się bić.

Kilku Polaków usłuchało wezwania. Dzieduszycki i Kossak w ciągu doby pomagali budować barykady, strzelali do nacierających c. k. żołnierzy i przenosili rannych. Niemniej jednak kapitulacja rewolucjonistów była nieunikniona — źle uzbrojeni i nieorganizowani, nie mogli przeciwstawić się licznym wojskom Windischgraetza. Zrozpaczeni, zawiedzeni w nadziejach przyjaciele opuścili pośpiesznie Pragę, aby uniknąć aresztowania. Zjazd nie zakończył obrad, zdążył tylko uchwalić adres do cesarza Austrii i manifest do ludów europejskich. Obradujący Słowianie zostali rozpedzeni i na całą monarchię, która po długich latach policyjnych rządów cieszyła się pierwszymi prawami wolnościowymi, od strony stolicy Czech padł groźny cień reakcji.

Chłopi humoru.



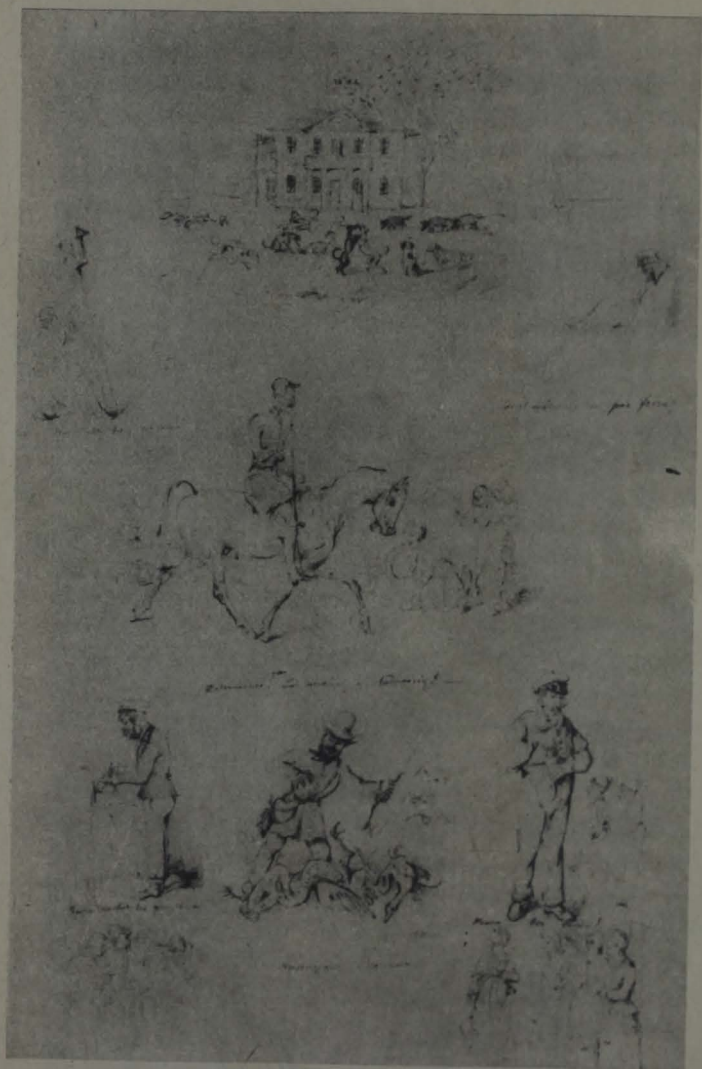
Na śniegu i mrozie.



Na dworze i deszczu.

JULIUSZ DZIEDUSZYCKI I JULIUSZ KOSSAK.

Rysunek Juliusza Kossaka.



SCENY Z ŻYCIA JARCZOWIEC.

U góry: front palacu, pod tym: Juliusz Dzieduszycki.

Rysunki i napisy Juliusza Kossaka.

W parę miesięcy po rozpadnięciu zjazdu słowiańskiego los Pragi stał się udziałem Lwowa. W pierwszych dniach listopada armaty zaczęły ostrzeliwać bezbronne miasto. Dyktator wojskowy, generał Hammerstein, z zadowoleniem patrzył na płonące gmachy. Gwardia narodowa, do której należał Kossak, próbowała odeprzeć ten niespodziewany atak; zaskoczona, bez łączności poszczególnych oddziałów, nie wiedziała dobrze, jak ma to zrobić. Juliusz i jego liczni przyjaciele z dworów podolskich znaleźli się na barykadach, które oczywiście nie mogły osłonić miasta przed granatami. Hammerstein tryumfował. Lwów był w zgłiszczach, na ulicach leżały trupy, a więzienia znów zapełniły się ludźmi, których jedyną winą było pragnienie wolności.

Kossak pojechał do Jarczowiec. Przyjaciele zastanawiali się, co należy robić. Wiele młodzieży udawało się na Węgry, aby bić się z Austriakami. Czy mieli uczynić podobnie? Nie miałyby to najmniejszego sensu. Węgry były ujarzmicielem Słowian: prześladowały Kroatów, popieranie ich w wojnie z Austrią stałoby się zbrodnią ze słowiańskiego punktu widzenia. Popieranie Austrii byłoby zdradą kraju. Przyjaciele zostali w Jarczowcach i stamtąd śledzili losy wojny. Rewolucyjne przygody się skończyły, polityka z czasem przestała ich interesować — pozostawała dawna największa przyjemność życia: koń i step podolski.

W życiu Galicji nastąpiły daleko idące przemiany. W stepie zmieniło się bardzo mało. Magnackie fortuny tylko nieznacznie się zmniejszyły. Chłopi nie odrabiali już pańszczyzny, lecz po dawnemu byli cisi i pokorni. Nie brakowało fantazji i chęci do życia „bez granic“, brakowało jedynie wewnętrznego spokoju. Wypadki

1846 i 1848 roku uwypukliły wszelkie bolączki istnienia i struktury społeczeństwa galicyjskiego. Wszyscy przeżyli gwałtowny wstrząs, o którym trudno było zapomnieć.

Razem z „dawnymi dobrymi czasami“ kończyła się junacka, bujna, pełna radości życia i chęci użycia młodość Kossaka. Od jakiegoś czasu jego talent artystyczny zatrzymał się w swoim rozwoju. Osiągnął maksimum jako artysta-samouk, koniecznością stały się dalsze fachowe studia. Pragnął wyjechać za granicę, lecz brakowało na to pieniędzy. Należało czekać na okazję. W dalszym ciągu rysował; skończył studia uniwersyteckie we Lwowie, odwiedzał więc bez przerwy różne dwory galicyjskie. W 1851 roku wybrał się w podróż po Wołyniu i Ukrainie. W Białej Cerkwi Władysław Branicki zaproponował mu wspólną wycieczkę do Petersburga.

Zgodził się z radością. Do Galicji wrócił na stałe dopiero w początkach ósmego dziesięciolecia ubiegłego wieku. Miał wtedy za sobą studia u Horacego Verneta w Paryżu i Franciszka Adama w Monachium. Osiedł w Krakowie, dużo malował, prowadził spokojny, mieszczański tryb życia. Spotykał często przyjaciół z Podola. W rozmowie z nimi wspominał różne wspólne przeżycia z okresu młodości. „Tak, nie ulega wątpliwości, dobrze się żyło przed wojną 1849 roku. Co to były za czasy, co to były za czasy...”

TRZY PSY MELPOMENY

G W I A Z D A S Y B E R I I

Przed paru laty przebywając w spokojnym, małym miasteczku wołyńskim, któregoś dnia zwróciłem uwagę na duże, kolorowe afisze, rozlepione na wszystkich płotach. Wieczorem w sali kina miało się odbyć przedstawienie miejscowej amatorskiej trupy teatralnej, przy czym całkowity dochód z imprezy był przeznaczony na budowę kościoła parafialnego. Afisze zapowiadały wystawienie o godzinie ósmej dramatu patriotycznego w trzech aktach, zatytułowanego „Gwiazda Syberii“. O tej „Gwieździe“ dużo słyszałem. Tu i ówdzie grają ją często różne teatry amatorskie. Dawniej cieszyła się ponoć jeszcze większą popularnością, a pewien wysoki dostojnik przyznał mi się kiedyś, że za czasów młodości odtwarzał w niej główną rolę męską. Działo się to jednak przed wojną, gdy uczęszczał do gimnazjum, dlatego nie pamiętał treści dramatu, ale zapewniał, że jest bardzo interesująca. W zeszłym stuleciu „Gwiazdę“ wystawiał nieraz teatr lwowski. Te wszystkie reminiscencje zachęciły mnie do obejrzenia sztuki. Nie miałem poza tym nic lepszego do roboty wieczorem. O ósmej wykupiłem bilet, zająłem miejsce, oczekiwałem tylko dwie godziny na rozpoczęcie się przedstawienia, które domorośli aktorzy szczęśliwie zakończyli około drugiej w nocy.

Sztuka — zgodnie z moimi przypuszczeniami — była ekstraktem uczuć patriotycznych i tym właśnie zawsze frapowała amatorskie teatralne zespoły. Akcja

jej rozgrywa się w 1854 roku na Syberii, a jako bohaterowie występują więźniowie-Polacy, generał rosyjski, jego córka Olga, żandarmi i konwojenci. Kazimierz, więzień i Polak, oczywiście kocha Olgę, moskiewicę, córkę generała, naczelnika katorgi. Olga, moskiewica, córka generała, naczelnika katorgi, oczywiście kocha Kazimierza, więźnia i Polaka. Z tego wynikają mniej lub więcej dramatyczne perypetie, wreszcie Olga staje się dobrym duchem Polaków, więźniowie zaś nazywają ją gwiazdą Syberii. W ostatnim akcie rzuca się bardzo efektownie do morza, więźniowie uciekają na statek, który ma ich zawieźć do wolnych krajów, a biedny generał za karę, że dopuścił do tego wszystkiego, ma zostać zdegradowany ze stanowiska naczelnika katorgi na stanowisko zwykłego katorżnika i będzie musiał rozpocząć karierę od początku.

Mimo fatalnej gry amatorów widać było, że sztuka została napisana zupełnie zręcznie, chociaż autor przedładował ją zbytnią, patriotyczną frazeologią. Z drugiej strony to właśnie zapewniło jej powodzenie na większych scenach w Galicji w zeszłym stuleciu. Ludzie łaknęli wówczas widowisk, w których bez przerwy deklamowano o ojczyźnie i sztandarze. Trzeba przyznać, że podobne widowiska spełniły nawet bardzo doniosłą misję: wydatnie przyczyniły się do podniesienia uczuć polskości wśród paru pokoleń. W każdym razie mieszkańcy małego, kresowego miasteczka oglądali „Gwiazdę“ z zaciekawieniem, zwłaszcza że na scenie występowali ich znajomi i krewni. Wszyscy widzowie podczas długich przerw pilnie studiowali w programach obsadę poszczególnych ról. Programy wymieniały obsadę i tytuł dramatu, nie podawały natomiast żadnych wiadomości o autorze. Przytoczono tylko jego nazwisko: Leopold Starzeński, i nic więcej.

Leopold Starzeński, hrabia Lopa lub Lopek — jak nazywali go przyjaciele — został po macoszemu potraktowany przez historię literatury. Korbut w swojej doskonałej „Literaturze Polskiej“ nie poświęcił mu nawet drobnej wzmianki, chociaż wymienił wielu daleko mierniejszych pisarzy i poetów. Z pewną przesadą można powiedzieć, że w historii literatury Starzeński figuruje jako hrabia, natomiast w „Almanachu Błękitnym“ jako literat. W tym jednak wypadku słuszniejsze jest stanowisko „Almanachu“. Autor „Gwiazdy Syberii“ był literatem utalentowanym, a ponadto obdarzonym nieprzeciętnymi zdolnościami malarskimi. Niezależny majątkowo, twórczość literacką uważał za bardzo przyjemną rozrywkę, a ponieważ miał wielką łatwość pisania, na poczekaniu improwizował różne utwory, o które następnie zupełnie nie dbał. Jego prace, często chaotyczne, naiwne i nie wykończone, powstawały w natchnieniu i zawierały w sobie jakąś iskrę prawdziwego talentu — były miłe mimo konstrukcyjnych wad i stylistycznych usterek.

Zaledwie ukończył 26 lat, gdy teatr we Lwowie wystawił w kwietniu 1861 roku jego pierwszą sztukę „Powrót konfederata“. Później, w ciągu czterdziestu lat, na scenie lwowskiej często gościły dramaty i komedie hrabiego Lopy, pisane prozą lub wierszem. Krytycy przyjmowali je życzliwie, a publiczność chętnie uczęszczała na przedstawienia. Dramaty zwykle poruszały tematy historyczne i zawierały szlachetne sentencje moralno-patriotyczne. Tytuły ich, jak na przykład: „Zamek Pullen“, „Czaple pióro“, „Starosta wieluński, czyli ziarno obce“ lub „Legat hetmana“, najlepiej określają rodzaj zamiłowań autora. Poza „Gwiazdą Syberii“ największym jednak powodzeniem cieszyły się jego kome-

die, spośród których „Czarodziejka“ i „Sen trefnisia“ doczekały się nawet paru wznowień.

Komedie również były dydaktyczne, a jednocześnie dość zabawne, ponieważ Starzeński odznaczał się nie-najgorszym poczuciem humoru — umiał tworzyć świetne dowcipy i pisać doskonałe satyryczne wiersze. Szczególnie dużo literackich tematów nastroczało mu polowanie, które stało się główną, przemożną i ogromną pasją jego życia. Piękne kobiety? Wino? Karty? Owszem, trudno zresztą znaleźć nieprzejednanego wroga tych przyjemności. Nie stronił od nich, ale za największą rozkosz uważał łowy. Był poetą-myśliwym. Tokowanie cietrzewi, rykowisko jeleni, gwar nagonki, ujadanie psów, skradanie się po leśnych wertepach, dostarczały mu największych wzruszeń. To było prawdziwe życie — to było wszystko! Starzał się najpierw polować, a potem dopiero pisać. Spragniony wielkich emocji, udał się w 1881 roku na dłuższą wyprawę myśliwską do Syrii, w kraju zaś nie opuszczał żadnego większego polowania. Szczególnie chętnie zajeżdżał na łowy do Poturzyca koło Sokala — właścicielem tamtejszych wielkich lasów, pełnych zwierzyny, był jego najserdeczniejszy przyjaciel, Włodzimierz Dzieduszycki.

Zamiłowania myśliwskie wpłynęły bardzo poważnie na życie rodzinne i sprawy majątkowe Starzeńskiego. Jeszcze przed osiągnięciem pełnoletności poślubił jedną z najpiękniejszych ówczesnych kobiet galicyjskich, Leontynę Baworowską, a w trzy lata po ślubie opuścił ją, gdyż nie rozumiała uroku łowów. Nie rozeszli się oficjalnie, lecz spotykali się nieczęściej niż parę razy na rok — tyle, ile wymagały sprawy związane z wychowaniem ich dwóch synów. Leontyna, zdaje się, zupełnie nie rozpaczała z tego powodu — nie mogła zresztą narzekać na samotność, ponieważ niedaleko jej siedziby, majątku Podkamienia, stacjonował pułk huzarów,

którego oficerowie należeli do znanych rodzin austriackich i słynęli z nieprzeciętnej elegancji. Odpowiednio pocieszał się również hrabia Lopa, ale sprawy miłosne nigdy nie były dla niego najważniejsze.

Mniej rozpaczał po stracie najpiękniejszej kochanki niż z powodu braku zwierzyny w swoim podolskim majątku. Namówiony przez kogoś wymienił wreszcie spore obszary żyznej ziemi na dobra w Stryjskiem, składające się w przeważnej części z błot i nieużytków, na których gnieździły się wielkie ilości dzikiego ptactwa. Motywy tej transakcji najlepiej może charakteryzują jego osobowość — sentymentalny, ckliwy, a przecież pożyteczny w owe czasy hurra-patriotyzm mu nie wystarczał, nie mógł się wyżyć w pracy literackiej, musiał więc szukać innych dziedzin dla ujścia swojej energii. Polowanie stało się dla niego celem życia — na stare lata potrafił rozmawiać z zainteresowaniem jedynie na temat celności strzałów, organizacji łowów, zwierzyny i przygód myśliwskich.

Ł O W Y W P O T U R Z Y C Y

Józef Dzieduszycki umierając osierocił — według słów pamiętnikarza — „tylko jedynaka syna Włodzimierza, bardzo delikatnej ciała budowy i niepewnego życia“. Młodzieniec po ojcu odziedziczył pokaźny majątek, poza tym zapisała mu swoją fortunę Magdalena Morska, pani na Zarzeczcu, która bardzo „kochała kwiaty i ojczyznę“ oraz słynęła z ogromnej gościnności. Delikatna budowa ciała z czasem się wzmocniła i życie stało się zupełnie pewne, bogactwo zaś Włodzimierza zwiększyło się także przez stosowny i szczęśliwy jego ożenek z Alfonsyną Miączyńską. Zanim się jednak to stało, podczas „wiosny narodów“ nosił się z zamiarem rozdarcowania znacznej części dóbr chłopom. Rady-

kalne przekonania dwudziestotrzyletniego hrabiego zmobilizowały przeciwko niemu opinię sfer konserwatywno-arystokratycznych, które gotowe były uznać go za odstępcę. Pod tą presją zaniechał pierwotnych projektów, zniósł jedynie pańszczyznę chłopów w swoich wioskach, natomiast w rok później — przepełniony pragnieniami działalności — zamierzał przyłączyć się do węgierskiego powstania. Legenda głosi, że powstrzymał go od tego sam Franciszek Smolka, ale wydaje się, że uczyniła to raczej rodzina.

W następnych latach zajął się sprawami naukowymi i gospodarczymi, a ponieważ wszystko robił bardzo solidnie i dokładnie, stał się nielada autorytetem nawet w polityce, chociaż stronił od zaofiarowywanych mu stanowisk i tylko przez czas krótki sprawował urząd marszałka sejmu galicyjskiego. Zamiast radykalnych poglądów zaczął wyznawać bardziej umiarkowane — nie zaliczał się do konserwatystów, lecz do demokratów, mimo to nie zapominał, że jest wielkim panem. Nie zamierzał już rozdarowywać majątku, skoro mógł go użyć z większym pożytkiem. Jeśli pasją hrabiego Lopy było myślistwo, to namiętnością Włodzimierza Dzieduszyckiego stały się nauki przyrodnicze, a zwłaszcza zoologia i botanika. Niektórym mężczyznom świat przesłaniają ponoć kobiety — jemu przesłoniły ptaki.

Wytrwale i pilnie, jak przystało na ornitologa z zamiłowania, przez całe życie badał gatunki latających stworzeń, ich życie i zwyczaje, a poczynione spostrzeżenia ogłaszał drukiem. Poza tym zbierał wszelkie ciekawe okazy flory i fauny — w końcu ofiarował krajowi muzeum przyrodnicze imienia Dzieduszyckich we Lwowie, w którym złożył swoje ogromne zbiory. Zainteresowania jego obejmowały także literaturę i sztukę — jak przystało na człowieka praktycznego sam nie

pisął i nie malował, lecz subsydiował literatów i malarzy. Wreszcie bardzo lubił teatr i już wówczas popierał różnymi sumami hasła krzewienia kultury teatralnej w Polsce. Dla przykładu warto wspomnieć, że podczas jednej z licznych podróży zagranicznych zobaczył w Paryżu jakąś komedię, którą został tak zachwycony, że niezwłocznie zamówił jej tłumaczenie u Seweryna Goszczyńskiego, zapłacił za przekład i postarał się o to, aby zagrano ją w Krakowie. Oczywiście oglądał na scenie prawie wszystkie wystawione utwory Starzeńskiego, natomiast nie zważał na rady przyjaciela, zachęcające go do spróbowania sił na polu twórczości dramatycznej.

Obraz jego życia był tedy pracowicie-pogodny — wprawdzie można by odkryć w jego charakterze pewne wady, ale lepiej tego nie czynić, bo miał wiele zalet. Polowanie traktował jako przyjemną rozrywkę i odpoczynek po wszelkich zajęciach. Nie mógł narzekać: należały do niego rozległe lasy, obfitujące w zwierzynę. Na słynne polowania do Poturzycy zapraszał wielką ilość ludzi — tych wszystkich, których lubił. Naturalnie, stałymi gośćmi byli stali i wierni przyjaciele: hrabia Lopa i Jan Aleksander Fredro, komediopisarz i syn komediopisarza.

Jak wiadomo, Fredro-syn nie dorównywał w pisaniu Fredrze-ojcu, współcześni jednak chętnie oglądali na scenie jego sztuki. Pierwszy utwór Jana Aleksandra „Przed śniadaniem“ wystawiono we Lwowie w 1864 roku, a potem — co jakiś czas — pojawiały się dalsze komedie, których pisanie przychodziło mu z wielką łatwością. W 1861 roku po trzyletnim pożyciu małżeńskim z Marią Mierówną owdowiał, dzieci oddał na wychowanie swoim rodzicom, nie kłopotał się przeto żadnymi sprawami domowymi. Przeszłość kombatantka nawiedzała go często we wspomnieniach — wtedy je-

chał na polowanie, aby mieć namiastkę wojny; w innych okresach życia znajdował przyjemniejsze rozrywki, a przede wszystkim romansował z pięknymi paniami. Lista „ofiar“, które z entuzjazmem pozwoliły mu się uwieść, przedstawia się imponująco i świadczy o nieprzeciętności jego męskich walorów.

Do Poturzycy przyjeżdżał bardzo często i chętnie. Była to niejako wycieczka w minione lata — dwór poturzycki bowiem przypominał Soplicowo z poematu Mickiewicza: atmosferą, umeblowaniem oraz zachowaniem się i gościnnością gospodarza. Łowy Dzieduszyckiego nie ustępowały radziwiłowskiem — w zimie przeszło sto sań wiozło myśliwych na stanowiska, a ogromna nagonka pędziła zwierzynę. Nad porządkiem polowania czuwał specjalny łowczy, liczni zaś gajowi i strzelcy nosili za myśliwymi strzelby i zbierali zabite okazy. Tradycyjny bigos na leśnej polanie należał do zwykłego programu dnia, którego zakończeniem stawała się wieczorem suta, w miarę zakrapiana trunkami kolacja. Potem grono najbliższych przyjaciół Włodzimierza Dzieduszyckiego zbierało się jeszcze w salonie — otwierano wówczas specjalną, wielką księgę, zawierającą sporo nie zapisanych kart papieru, i notowano w niej myśliwskie wrażenia. Na solidnej, skórzanej okładce książki widniał tytuł: „Wspomnienia z polowań w Poturzycy“.

Kilka dowcipnych wierszy wpisał do niej Fredro, próbując zarazem rysować — bez większego powodzenia — karykatury. Obok znalazły się obrazki Franciszka Tepy i Kajetana Suffczyńskiego, zostały również zanotowane różne anegdoty Stefana Oczosalskiego, ostatniego, a po Juliuszu Dzieduszyckim największego bałagudy w Galicji wschodniej. Głównym jednak autorem książki był Leopold Starzeński, który wypełnił większość jej kartek. Rysował wspaniałe karykatury uczestników

polowań, zaopatrując je w złośliwe i dowcipne wiersze. Napisał nawet cały żartobliwy poemat pod tytułem „Lis-denuncjant“, w którym satyrycznie scharakteryzował większość myśliwych i gospodarza. Dzeduszycki nie obrażał się o to — rozumiał dowcip i lubił się śmiać. Podobnie beztrzesko śmieli się z kawałów hrabiego Lopy wszyscy poturzyccy goście. Tymczasem w miarę upływających lat powiększała się w księdze liczba utworów Starzeńskiego, Fredry i innych. Wreszcie zapisano i zarysowano prawie całą księgę — w ten sposób stała się ona ciekawym dziełem literackim, odzwierciedlającym niektóre dziedziny życia szlachty galicyjskiej w drugiej połowie zeszłego stulecia.

P S Y M E L P O M E N Y

Trzej przyjaciele polowali wspólnie prawie co roku, Starzeński przeto uważał, że odpowiednim i oryginalnym pseudonimem dla nich będzie nazwa „psy Melpomeny“. Azorem został sam hrabia Lopa, Fredro wabił się Gielfi, wysoki, brodaty, majestatyczny Włodzimiesz Dzeduszycki w kole przyjaciół znany był jako Focio. Dwaj pierwsi wystawiali swoje sztuki w teatrze, ostatni interesował się i opiekował teatrem. Wszyscy byli prawie „na ty“ z Melpomeną, a że bardzo lubili łowy przewalali się psami. Stanowili sforę psów towarzyskich — zwykle polowali wspólnie ze „śmietanką“ ówczesnej Galicji arystokratycznej, artystycznej i naukowej. Tylko kobiety nie dostawały zaproszeń do Poturzyccy, myśliwi bowiem rychło doszli do przekonania, że te ponętne skądinąd istoty są zupełnie niepotrzebnym balastem w lesie. Bezskutecznie protestował przeciwko temu Fredro — zakrzyczano go, musiał więc zrezygnować ze swoich upodobań.

Zrobiono mu nawet brzydki kawał — posłano kie-

dyś do jego sypialni jakąś herod-babę ze wsi obiecując jej 10 reńskich, jeśli zdoła ucałować czulego na wdzięki płci pięknej „psa Melpomeny“. Biedny Gielfi musiał się ratować ucieczką, baba zaś w pogoni wbiegła do palarni, dopadła Lucjana Siemieńskiego i na czole przestraszonego literata, który przyjechał z żoną do Dzie duszyckiego, wycisnęła przez pomyłkę kilka gorących pocałunków. Później śmiano się długo z tego kawału, a Fredro opisując w wierszu Poturzycę wspomniał również o swojej przygodzie:

Oleńcio narzeka
Na płci pięknej brak,
Gdy ujrzał ucieka
Bo mu ta nie w smak.

Pewnej zimy na polowanie przybył kuzyn dziedzica Poturzycy, Wojciech Dzeduszycki, wschodząca „gwiazda“ polityczna i naukowa, głośny wówczas z powodu wydania „Aten“, świetnej rozprawy o stolicy starożytnej Grecji. Ten młody, a już znakomity człowiek prawie nigdy nie polował, dlatego pudłował raz za razem, co hrabiemu Lopic posłużyło za okazję do narysowania go jako psa z piórem za uchem, proszącego o wpisanie do księgi myśliwskiej. Jak zwykle dowcipny rysunek został u dołu zaopatrzony w odpowiedni wierszyk:

On (Wojciech Dzeduszycki):

Pośród was się znajdować pochlebia mej dumie
I ja także o miejsce proszę w tym albumie.

Oni („trzy psy Melpomeny“):

Jakim prawem? Skąd w tobie nagle śmiałość taka?
Ty nie umiesz rozpoznać dzika od szaraka,
Ty zaledwie wiesz z książek, że są w świecie łowy,
Na katedrze twe miejsce lub w sali sejmowej!
„Aureliana“ pisałeś i jakieś „Ateny“
I miewałeś odczyty, ubarwiałeś sceny,

Ale nas taka sława wcale nie olśniewa,
Tutaj miejsce się strzelbą, nie piórem zdobywa.
Wiesz gdzie Turcja, gdzie Grecja, Egiptu stolica,
A czy wiesz, ty niešťczęsny, gdzie jest Poturzyca?

W ogóle poetyzowanie wtedy było modne i „psy“ nieraz korespondowały ze sobą wierszami. Włodzimierz Dzieduszycki wysyłał nawet rymowane depesze, a kiedyś rozesłał do kilkunastu przyjaciół niezwykle telegraficzne zaproszenie:

Musisz tutaj przyjechać! — Nic to nie pomoże —
Za kundysy dziękuję — swoje mam na sforze,
Owe psy Melpomeny: Azora, Gielfiego
I znanego ci pewnie przybędę Stefiego.
Padło dzików czternaście — więcej jeszcze padnie
Na sto trzydzieści strzałów. — Przyznaj, że to ładnie.
Oczekując cię — ściskam — wraz z myśliwskim gronem
A psy ci najserdeczniej kiwają ogonem.

Stopniowo starzały się „psy Melpomeny“. Lata miały im bez większych trosk i kłopotów — ludziom za moźnym dobrze się żyło wtedy w Galicji. Fredro jednak zaczął z czasem narzekać na podagrę, Dzieduszycki na puchnięcie nóg, Starzeński na drzenie rąk podczas strzału. Mimo to nie poddawali się przygnębieniu — po dawnemu emocjonowali się łowami, śmieli się i żartowali ze swoich łowieckich przygód.

Pierwszy zmarł w 1891 roku nieporównany bon viveur, wielbiciel pięknych kobiet i autor licznych komedii, Gielfi. Dzieduszycki, słaby za młodu, po siedemdziesiątce trzymał się doskonale. Spływały na niego za pracę całego życia liczne zaszczyty — otrzymał wiele orderów, krajowe i zagraniczne towarzystwa naukowe nadały mu godność swego członka, a cesarz mianował go c. k. ekscelencją. W kraju mówiono o nim z największym szacunkiem — imponował wszystkim nie tylko swoim bogactwem, lecz także zasługami i praco-

witością. Nie udało mu się jednak dożyć XX stulecia, umarł bowiem 18 września 1899 roku. Jedyne najmłodszy z „psów“, Azor, przekroczył granicę naszego wieku. „Gwiazdę Syberii“ grywano wówczas w całej Galicji, a nawet potajemnie w Kongresówce. Hrabia Lopa już nie tworzył sztuk, natomiast jeszcze pisywał wiersze i artykuły do „Łowca“. Nie zmienił się prawie zupełnie — wciąż był ruchliwy i energiczny. Martwiły go liczne pudła podczas łowów, innych zmartwień nigdy nie miał. 26 sierpnia 1904 roku wybierał się na polowanie, lecz w nocy nagle nastąpił koniec jego życia.

W ten sposób „psy Melpomeny“ znów się spotkały. Nie ulega bowiem wątpliwości, że duchy Gielfięgo i Focia niecierpliwie oczekiwały Azora na Polach Elizejskich. Obecnie są wszyscy razem i nadal wspólnie polują.

OSTATNI SOKRATES

COUNT DZIEDUSZYCKI

„Nowy ambasador Wielkiej Brytanii, sir Edward Groschen — wspomina w „Through Thirty Years“ znakomity publicysta angielski Henry Wickham Steed — natychmiast po przybyciu do Wiednia w 1907 roku poprosił mnie, abym zaznajomił go z wybitnymi kierownikami austriackiej polityki. Szczególnie pociągający był polski leader, Dzieduszycki, który ukrywał niezmierną kulturę pod maską dowcipnego sceptycyzmu. W rzadkich wypadkach, gdy udawało się go skłonić do poważnej rozmowy, mądrość jego była równie genialna, jak rozległość wiadomości. Dowcipniejszego człowieka nigdy nie spotkałem ani bardziej godnego najwyższego szacunku i podziwu.“

Z nim postanowił Steed najpierw zapoznać ambasadora. W tym celu zaprosił do swego mieszkania obu panów, którzy po wypiciu herbaty rozpoczęli poważną rozmowę.

— Mam nadzieję — powiedział przedstawiciel Wielkiej Brytanii — że wasza ekscelencja dopomoże mi zorientować się w tajnikach polityki austriackiej, gdyż nowy, nieznanym jeszcze teren pracy nastęrcza zawsze obcemu dyplomacie wiele trudności i kłopotów.

— Na to jest rada — odpowiedział Dzieduszycki. — Niech pan przestudiuje historię, obyczaje i potrzeby ludów wchodzących w skład monarchii. Niech pan zapozna się z potrzebami monarchii jako całości. Po tym można się zorientować w jakich okolicznościach jaka

polityka jest najbardziej wskazana. Następnie niech pan założy, że Austria zawsze się trzyma polityki wręcz przeciwnej, i nigdy się pan nie pomyli!

Skończywszy wykład Dzeduszycki wybuchnął śmiechem. Ambasador nie wiedział czy się obrazić, czy się śmiać. Po wyjściu polskiego hrabiego mruknął: „Wariat“. Natomiast w parę miesięcy później, gdy zorientował się „w terenie“, nie miał słów zachwyty dla pozornie niepoważnego informatora.

— Ten leader — powiedział do Steeda — najtrafniej określił austriacką politykę.

Cóż to był za człowiek, o którym z takim uznaniem pisze wybitny angielski dziennikarz? Daremnie w polskim piśmiennictwie szukalibyśmy o nim jakichś większych wzmianek. Tylko w encyklopediach i historiach literatury można znaleźć krótkie notatki o życiu i działalności Wojciecha Dzeduszyckiego. Poza tym cicho o nim, chociaż był jednym z najwybitniejszych i najciekawszych ludzi swojej epoki. Jego wykłady uniwersyteckie ściągają liczne rzesze słuchaczy, a jego książki cieszyły się dużą poczytnością. Mowy parlamentarne, które wygłaszał, oraz wywiady, których udzielał, drukowały liczne pisma. Na łamach prasy europejskiej często pojawiały się wiadomości o nim. „Count... comte.. graf Dzeduszycki o polityce bałkańskiej... o powszechnych wyborach w Austrii... o wojnie“ — pisały „Timesy“, „Matiny“, „Berliner Tageblatty“ i różne „Birżewyje Wiedomosti“. „Jego Ekscelencja raczył nam udzielić wywiadu“ — komunikowały radosną nowinę swoim czytelnikom zaprzyjaźnione z ekscelencją dzienniki austriackie i polskie. „Krwawy hrabia Wojciech robi wybory“ — skarżyły się i pomstowały organy socjalistyczne.

„Filozof — wylicza „Österreichische Rundschau“ — historyk, archeolog, historyk sztuki, profesor uni-

wersytetu, parlamentarzysta, minister, poeta, dziennikarz, mecenas sztuki, rolnik i hodowca koni. Brak określeń przy wyliczaniu zawodów, aby móc dobitnie scharakteryzować działalność Wojciecha Dzieduszyckiego.“

W innych wydawnictwach niemieckich i angielskich podobne wzmianki. Opowiadania współczesnych zgadzają się w twierdzeniu, że był człowiekiem fenomenalnie wszechstronnym. Szerszy ogół jednak znał go głównie jako polityka i... kawalarza. Jeszcze dotychczas zachowała się pamięć o jego dowcipach i figlach, które przed laty stanowiły ulubiony temat rozmów we Lwowie i Wiedniu. Natomiast dość gruntownie zapomniano o innych dziedzinach działalności hrabiego. Nie ma zresztą w tym nic dziwnego: polityka, którą uprawiał, przestała być aktualna, a jego rozprawy naukowe, poematy i powieści dawno wyszły z obiegu. Leżą obecnie na półkach bibliotek zapomniane i zakurzone, od ćwierć wieku nie czytane.

W Y W Ó D G E N E A L O G I C Z N Y

Galicja wschodnia w połowie zeszłego stulecia była krajem wyłącznie rolniczym. Wśród posiadłości chłopskich dużo miejsca zajmowały obszary dworskie, należące przeważnie do arystokracji, podzielone na ordynacje, klucze i folwarki. Wielcy panowie mieszkali w pałacach, w których roiło się od służby, przybranej w liberie, trzymali poczty kozaków i nonszalancko traktowali austriackich urzędników. Czuli się udziałnymi książętami. Ziemia w dorzeczu Dniestru dostarczała sporo pieniędzy — wystarczało na huczne przyjęcia, zabawy i zagraniczne podróże.

Dzieduszyccy, rozgałęzieni na kilka linii, obdarzeni przez Marię-Teresę w XVIII wieku tytułem hrabiowskim, tworzyli typowo galicyjską rodzinę arystokratycz-

ną. Od kilku pokoleń posiadali wielkie majątki, w których gospodarowali zwykle sami, gdyż byli świetnymi rolnikami i hodowcami koni. Owa pasja hodowli koni stała się u nich niemal dziedziczna i przechodziła z ojca na syna. W męskim gronie rozmawiano przede wszystkim o koniach, później o kobietach, inne zaś sprawy omawiano dopiero na marginesie tych dwóch tematów. Sprowadzenie ogiera z Arabii lub nagłe powiększenie stadniny stawało się nieraz jednym z głównych wydarzeń sezonu, przesłaniającym wszelkie inne wypadki. Oczywiście, niektórzy przedstawiciele rodziny wyłamywali się z tego tradycyjnego zamięłowania. W zeszłym stuleciu poza Wojciechem zdolnościami naukowymi lub literackimi zabłysnęli: Maurycy i Izydor, znani historycy, Włodzimierz, przyrodnik, twórca muzeum we Lwowie, i inni.

Na początku XIX wieku Kajetan Dzieduszycki gospodarując w Jarczowcach reprezentował poważną fortunę. Oszczędnością, graniczącą ze skąpstwem, zaokrąglił poważnie granice swoich majątków, które następnie dostały się w ręce jego synów Juliusza i Władysława. Juliusz — jak wiadomo — był słynnym hodowcą koni, amatorem wszelkich przygód i przyjacielem Juliusza Kossaka. Władysław zamierzał początkowo robić karierę wojskową, lecz służba w huzarach prędko mu się znudziła i z powrotem stał się cywilem. Wprawdzie nie prześcignął brata w hodowli, niemniej jednak również słynął jako wybitny „koniarz“. Zainteresowań naukowych nie miał żadnych, natomiast dobrze jeździł konno i świetnie się fechtował. To wystarczało, aby zabłysnąć w gronie rówieśników i podbić serce pięknej Antoniny Mazaracki, siostry swojej macochy. Po ślubie zamieszkał z żoną w Jezupolu i tam podczas „wiosny narodów“, 13 lipca 1848 roku, urodził się ich syn, Wojciech Dzieduszycki.

Wychowywano jedynaka wybitnie po domowemu. Początkowo pani Hofman, Niemka i guwernantka, później pan Siengalewicz, Rusin i nauczyciel ludowy, kształcili przyszłego mędrca. Siengalewicz niewiele sam umiał i dbał jedynie o to, żeby swego pupila zapoznać z łaciną. Pracę miał zresztą wyjątkowo wdzięczną, gdyż młody chłopiec odznaczał się ogromnymi zainteresowaniami literackimi i naukowymi. Chętnie odrabiał lekcje i bardzo lubił czytać książki, budząc tym ogólne zdziwienie i niezadowolenie ojca. Pan Władysław, zdaje się, przeczuwał, że syn będzie „wyrodkiem“ i odstąpi od tradycyjnej uprawy roli i hodowli koni. Robił wszystko, aby skierować go na odpowiednią drogę, i starał się wybić mu z głowy owe naukowe zachcianki. Zdawał sobie sprawę z niedostatecznych kwalifikacji nauczyciela, ale umyślnie nie szukał innego. Nieraz nawet przerywał lekcje rozkazując Wojciechowi jeździć konno. Wreszcie zaczął go uczyć szermierki i zamęczać długimi ćwiczeniami we władaniu szablą lub floretem.

Młody Dzieduszycki nie lubił ćwiczeń fizycznych i zabaw z rówieśnikami w gry wojenne. Wątki, mizerne, nieproporcjonalnie wysokie na swój wiek, nie mógł się zdobyć na dziarskość. Prawdopodobnie czuł, że nie sprosta w zręczności innym i dlatego nie chciał się nią popisywać. Gdy miał czas wolny, czytał książki, od których trudno go było oderwać, chociaż nie zawsze rozumiał ich treść. Pod wpływem matki stał się ogromnie religijny — często się modlił i spowiadał, a nawet marzył, że kiedyś wywędruje na pustynię, aby w pustelni prowadzić ascetyczne, świątobliwe życie.

Od najmłodszych lat odznaczał się różnymi dziwactwami i wielkim poczuciem humoru. Kiedyś na przykład będąc w stajni spadł z grzbietu konia do żłobu.

Fornale przybiegli na ratunek, bardziej przestraszeni niż panicz, który zamiast płakać zaczął śpiewać kolenkę: „W żłobie leży“. Innym razem znowuż przewrócił pewną starą arystokratkę wraz z fotelem na podłogę.

— Co ona ci złego zrobiła? — zapytał go ojciec przed doraźną egzekucją.

— Nie mogłem patrzeć na jej zachowanie się podczas gry w karty. Gdy przegra — zawsze mdleje i szamuje.

Trafna obserwacja tak ubawiła ojca, że darował karę, zapowiadając tylko na przyszłość najsurowsze represje za podobne wybryki. Zakazy jednak nie skutkowały i zdolność do psot rozwijała się — dorastający Wojciech celował w różnych wybrykach. Już po śmierci rodzica namówił kilku rówieśników do osobliwej wycieczki przez wieś Podola. Młodzieńcy pojechali na osłach trzymając w rękach... kościotrupy. Chłopi z największym przerażeniem oglądali ten makabryczny korowód — pewnie sądzili, że widzą wysłanników piekielnych potęg.

Władysław Dzieduszycki zmarł 10 października 1866 roku w Badenie pod Wiedniem z powodu zaburzeń żółciowych. Rządy nad Jezupolem objęła pani Antonina, której pierwszym pociągnięciem było skasowanie systemu domowego wychowania syna. Wojciech został umieszczony w wiedeńskim Theresianum, gdzie swoim zachowaniem się sprawiał ustawiczne kłopoty księdzu Leinkaufowi, prefektowi klasy. Po roku zdał maturę i wstąpił na prawo.

S T U D I A I P O D R Ó Ź E

W lecie 1870 roku dwudziestodwuletni Wojciech Dzieduszycki przebywając w Krynicy poznał sześćdziesięcioletniego Józefa Kremera, znakomitego filo-

zofa i estete, ostatnio rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mimo znacznej różnicy lat zbliżyli się do siebie — i przyjaźń uczonego nie pozostała bez wpływu na późniejszą działalność literacką ówczesnego studenta. Kremer zwrócił uwagę Dzeduszyckiego na zagadnienia estetyczne, a po przeczytaniu kilku jego drobnych utworów zachęcił do dalszej pracy. Z zacięciem słuchał opowiadań o życiu polskiej młodzieży akademickiej w Wiedniu.

— Powinien pan to opisać — powiedział. — Postaram się, aby „Czas“ wydrukował pański felieton.

W ten sposób Wojciech zadebiutował jako pisarz w organie konserwy krakowskiej. Życie polskiej młodzieży w Wiedniu znał doskonale, gdyż Polacy-studenci gromadzili się przeważnie w „Ognisku“, którego prezesem był w ciągu paru lat. Kierowane przez niego stowarzyszenie utrzymywało stosunki z innymi akademickimi związkami słowiańskimi i często urządzało wieczory, poświęcone dyskusjom na tematy państwo-słowiańskie. „Na tych zebraniach — pisał później Dzeduszycki — jako „bracia-Słowianie“, aby się porozumieć, musieliśmy oczywiście rozmawiać po niemiecku. Wszyscy zgadzali się na utworzenie ogólnosłowiańskiej federacji, różniono się jedynie w poglądach, który naród ma w niej przewodniczyć. Nawet Bułgarzy i Czarnogórcy dowodzili, że im należy się pierwszeństwo w przyszłym państwie związkowym, tym bardziej zabiegali o to Polacy, Czesi i Rosjanie. Jałowość dysput była oczywista, a burzliwe zebrania nie dawały żadnych rezultatów.“ Młody prezes wyśmiał je w „Fantazji słowiańskiej“ i zniechęcony, usunął się chwilowo od czynnego udziału w życiu studenckim.

Po wyprowadzeniu się z Theresianum, nie mogąc znaleźć odpowiedniego pokoju wynajął sklep, w którym

zamieszkał. Przez dużą szybę wystawową, zasłoniętą do połowy przezrystą firanką, przechodnie oglądali wieczorem ekscentrycznego młodzieńca w różnych pozach codziennego życia. W ciągu dnia nad zasłoną często ukazywała się głowa, aby gapiom pokazać język i zniknąć. To była drobna rozrywka Wojciecha, który w tym czasie naprawdę solidnie pracował. Poza prawem studiował również filozofię — w szalonym tempie czytał ogromne ilości naukowych książek i swoim zwyczajem pokpiwał z doktryn, nie przypadających mu do gustu.

— Poszedłem do teatru — opowiadał — i bileter po obejrzeniu mego biletu wskazał mi miejsce. Pomyślcie: jakie szczęście, że nie był on filozofem, wąpiącym w obiektywne istnienie przestrzeni i czasu! „Miejsce to przecież część przestrzeni — mógłby powiedzieć. — Przestrzeń obiektywnie nie istnieje, nie ma więc pańskiego miejsca. Proszę go szukać w swoim umyśle.“

Dowcipny student otrzymał doktorat filozofii w roku 1871, w następnym zaś ukończył prawo. W tym czasie odbył pierwsze wycieczki za granicę, wznawiane później każdego lata w ciągu całego życia. Zwiedził Italię i został oczarowany zabytkami tamtejszej kultury i sztuki. Zainteresował się szczególnie klasycznym światem łacińskim i greckim — specjalnie przeprowadzone studia pozwoliły mu zrozumieć jego dzieje, tryumfy i upadki. Podczas parokrotnych podróży po Grecji uważnie oglądał, mierzył i badał ruiny — starał się na papierze odtworzyć obrazy dawnych pałaców i świątyń. W Atenach z czasów Peryklesa orientował się lepiej niż w nowożytnym mieście, a językiem starogreckim władał tak samo swobodnie, jak polskim. Urok starożytności opanowywał go coraz bardziej, aby wreszcie przkształcić się w trwałą kult klasycyzmu.

MĘŻCZYŹNI WOLĄ BLONDYNKI

Kobiety nie czyniły spustoszeń w sercu młodego Dzieduszyckiego. Przelotne flirty i jeszcze przelotniejsze romanse miały prędko i rychło były zapomniane. Nieśmiały w zalotach, chociaż poza tym zawsze pewny siebie, obarczony pracą naukowo-literacką, a następnie polityczną, nie miał ani czasu, ani zdolności do osiągnięcia większych sukcesów miłosnych. Przygody, które mu się zdarzały, przychodziły same — natrafiały na jego postawę bierną, gdyż na inną w podobnych wypadkach zdobywał się ogromnie rzadko. Raczej podziwiał kobiety, niż szukał do nich zbliżenia. Jako esteta, cenił ich urodę, szczególnie subtelny czar blondynek frapował jego wyobraźnię: „Blondynka jest par excellence kobietą — pisał. — Brunetki mają w sobie już coś mniej kobiecego. „La brune n'est qu'un homme mal réussi“ — powiada Frederic Thomas. Madonny jak: Della Sedia, Della Tenda i Dell'Impannata są tylko studiami z natury. „Une blanche vaut deux noir“ — pisał Guy d'Arezzo, a Heine, gdy przed śmiercią raz jeszcze chciał ujrzeć kobietę, prosił Boga, aby mu ukazał blondynkę:

Und eine Blonde müsst'es sein,
Mit Augen sanft wie Mondesschein.

Blondynki są jak kwiaty wodne. Żadne kwiaty nie mają takich woskowych, delikatnych listków, jak kwiaty wodne, ale najprędzej też więdną. Mniejsza z tym: chodzi o to, jakie są w czasie kwitnienia.“

Jeszcze za czasów studiów uniwersyteckich zainteresował się swoją kuzynką Seweryną Dzieduszycką, piękną, zgrabną i miłą blondynką. Panna miała tak dużo wdzięku, że młody filozof zapomniał na chwilę o abstrakcyjnych poglądach pragnąc zwyczajnego, ziem-

skiego szczęścia. Po długich kilkumiesięcznych rozmyślaniach zdobył się wreszcie na krok stanowczy i powiadomił ukochaną o swoich uczuciach. „Oświadczył się i został przyjęty“. 11 czerwca 1873 roku odbył się we Lwowie ślub, na który przybyli niemal wszyscy członkowie licznej rodziny Dzieduszyckich.

Panna młoda nie reprezentowała nadzwyczajnej inteligencji lub wykształcenia. Otrzymała domowe, szablone wychowanie według recepty ówczesznie ogólnie przyjętej. Guwernantki nauczyły ją tylko języka francuskiego, muzyki, początków historii i literatury — inne dziedziny wiedzy pozostały na zawsze dla niej obce. Mąż wybitnie górował nad nią intelektem, natomiast ona była bardziej praktyczna życiowo. Początkowo żyli zupełnie zgodnie, lecz po upływie kilku lat zaczęli się kłócić, aby na starość przyzwyczać się do siebie.

PIERWSZE PRÓBY LITERACKIE

Po zawarciu ślubu Wojciech zajął się gospodarstwem w swoim nieco podupadłym majątku, a mając sporo wolnego czasu pisał oraz tłumaczył na język polski dzieła greckich klasyków i Szekspira. Pierwsza jego powieść „Władysław“, była właściwie traktatem filozoficznym ujętym w formę beletrystyczną. Nie miała większego rozgłosu jako dzieło zupełnie chybione o nieciekawym wątku powieściowym i chaotycznych naukowych wywodach. Nie zrażony niepowodzeniem w 1873 roku wystawił w jedynym wówczas we Lwowie teatrze, pozostającym pod artystycznym kierownictwem Smuchowskiego, dramat w pięciu aktach, zatytułowany: „Bohdan Chmielnicki“. Bohaterem utworu był syn Bohdana, Tymoszko, niefortunny kandydat na hospodara

wołoskiego. Publiczności sztuka przypadła do gustu — niektóre fragmenty oklaskiwano przy podniesionej kurtynie, autora zaś wywoływano kilka razy. Natomiast krytyka „przejechała się“ po dramacie głównie ze względów politycznych, wysuwając zarzuty, że Dzeduszycki w sprawie ruskiej zajął stanowisko antypolskie, ponieważ propagował hasła zgody między skłóconymi narodowościami w Galicji wschodniej jako „równych z równymi“. W rezultacie „Bohdan Chmielnicki“ prędko zeszedł z repertuaru, a debiutujący dramaturg powrócił na wieś.

Mimo teatralnych niepowodzeń nastąpiły dalsze próby literackie. „Powieści Wschodu i Zachodu“, które rychło ukazały się na półkach księgarskich, zawierały parędziesiąt krótkich nowel o treści mitologicznej lub historycznej. Świadczyły o dużym odczytaniu Wojciecha, lecz ich poziom literacki był nierówny. Podobnie następna powieść „Aurelian“, przedstawiająca czasy cesarstwa rzymskiego została napisana tak niedołąźnie, że jej wady zaraz po wydaniu spostrzegł sam autor.

Nastąpił na pewien czas rozbrat z beletrystyką — hrabia powrócił do nauki publikując w prasie liczne i doskonale skreślone rozprawy na tematy filozoficzne, historyczne i archeologiczne. W 1878 roku wydał dwutomowe „Studia estetyczne“ oraz „Ateny“, najlepszą bodaj swoją książkę. Czytając ją widzimy piękną stolicę Hellady, zwiedzamy ulice, spotykamy ówczesnych ludzi, obserwujemy ich życie, zwyczaje i obyczaje, zapoznajemy się z podaniami i legendami. Starożytność bajeczna przedstawiona tak wyraźnie, że niemal plastycznie, ma tyle czaru w ujęciu Dzeduszyckiego, że na jej tle nasza epoka wydaje się tym smutnym okresem czasu, podczas którego ludzie zatracili poczucie piękna życia.

Ruchliwe usposobienie literata kolidowało ze spokojnym trybem życia i wkrótce przebywanie na wsi zaczęło go męczyć jak niezasażona kara. Gdzieś rozgrywały się wielkie wydarzenia, bliżej, w Wiedniu i Lwowie, zaciekle politykowano, zmieniano formy życia monarchii i Galicji — Wojciech miał sporo reformatorskich pomysłów, toteż pragnął również wziąć udział w „wielkiej polityce“. Okoliczności złożyły się pomyślnie: kuria większej własności obwodu stanisławowskiego wybrała go w 1876 roku posłem do sejmu krajowego, a w rok później do rady państwa w Wiedniu.

— Miałem wtedy nadzieję — zwierzał się przyjacielom później — że zdołam porwać parlament swoimi pomysłami, że „uszcześliwię“ Galicję. Mając 30 lat byłem naprawdę jeszcze dziecięco naiwny.

Polscy posłowie w radzie państwa tworzyli osobny klub, noszący nazwę Koła Polskiego. Koło, dość silne liczebnie, odgrywało w polityce znaczną rolę i posiadało zwykle przynajmniej jednego przedstawiciela w rządzie. W chwili przyjmowania Dzieduszyckiego w swoje szeregi stanowiło organizację zwartą, sprężystą i po dyktatorsku kierowaną przez Kazimierza Grocholskiego. Występowało na posiedzeniach parlamentu solidarnie, chociaż nie składało się z członków jednej partii. Znaczną większość stanowili konserwatyści, w mniejszości zaś znajdowali się przedstawiciele mieszczańskiego stronnictwa postępowego. Konserwatyści z kolei rozpadali się na dwa odłamy: konserwę krakowską, czyli „stańczyków“, i Podolaków, przezwaną „żubrami podolskimi“. „Żubry“ nie zgadzały się ze „stańczykami“ w poglądach na zakres autonomii i sprawę ruską, poza tym istniały między nimi jeszcze inne,

mniej zasadnicze różnice. Konserwa krakowska stała zawsze bliżej dworu, czatowała na intratne posady urzędnicze, marzyła o orderach i deklarowała chętnie swoją lojalność. Polacy byli bardziej niezależni i nieco więcej krytyczni wobec poczynań rządu. Te przeciwieństwa występowały szczególnie jaskrawo w czasie obrad sejmu galicyjskiego, natomiast niknęły w Kole Polskim, gdzie wszystko ugięło się przed żelazną wolą prezesa.

Młodych, a zwłaszcza nowych posłów tolerowano tylko jako statystów. Leon Biliński, gdy został wybrany do parlamentu, był profesorem lwowskiego uniwersytetu, poprzednio zaś zajmował stanowiska dziekana i rektora. Mimo to Grocholski traktował go jak smarkacza i długo nie pozwalał mu zabierać głosu nawet w najdrobniejszych sprawach. Podobny los spotykał innych. Dzieduszycki wkrótce zrozumiał, że sam nie zdoła się przeciwstawić prezesowi. Solidarność nakazywała nie opuszczać Koła, toteż porozumiał się z niektórymi kolegami i zorganizował wewnątrz polskiej reprezentacji parlamentarnej klub polityczny „Ateńczyków“.

Nazwa powstała od tytułu książki założyciela. Do klubu należeli z głośniejszych: Dawid Abrahamowicz, późniejszy minister, Władysław i Stefan Czajkowscy oraz Włodzimierz Kozłowski. „Ateńczycy“ pragnęli „rozruszać“ konserwatystów i zbliżyć ich do demokratów — dlatego zwalczali przesadną lojalność Dunajewskiego i ugodowość Grocholskiego. Występowali z projektami różnych reform, które z reguły były utracane na plenarnych posiedzeniach Koła Polskiego lub Koła Sejmowego. Tryumfowali tam „mamelucy“ Grocholskiego, czyli posłowie, których nazwiska zostały już zapomniane, cisi i niemi, głosujący na rozkaz. Gdy eks-celencja-prezes dawał znak, przyzwyczajeni do dyscypliny, korzystając ze swojej liczebności odrzucali wszelkie ustawy, zgłoszone bez aprobaty ich wodza.

W takich warunkach praca młodego posła sprowadzała się właściwie do zera. W ciągu dziewięciu lat wraz ze swym klubem nie mógł się wybić, przełamać frontu innych stronnictw i dojść do władzy. Grocholski długo pozostawiał go w cieniu i dopiero po dłuższym okresie posłowania dopuścił do udziału w pracach ważniejszych komisji oraz pozwolił mu przemawiać w imieniu Koła. Coraz bardziej Dziędużycki rozczarowywał się swoją rolą w polityce i coraz częściej myślał o złożeniu mandatu.

Jałowość tego okresu osładzał sobie różnymi wybrykami i dowcipami, które wbrew jego intencjom poczynały mu tworzyć popularność. W miarę upływających lat potęgowała się jego ekscentryczność. Doskonały kawał udał mu się w czasie posiedzeń sejmu krajowego we Lwowie. Mieszkając w hotelu George'a, kiedyś wieczorem, przez drzwi, zastawione szafą, usłyszał czyjś głos, monotonnie powtarzający jakieś słowa. Odsunął szafę i zaczął pilnie nadśłuchiwać. Okazało się, że jakiś poseł ze „stańczyków“ cierpliwie i systematycznie „kuł“ przemówienie sejmowe na jutro. Pan Wojciech skrętnie je zanotował korzystając z kilkakrotnych powtórzeń. Nazajutrz przybył do sejmu pierwszy i pierwszy poprosił marszałka o głos. Z wielką swadą, nie posługując się prawie notatkami, gdyż pamięć miał znakomitą, wygłosił dosłownie podsłuchaną mowę. Tymczasem na pierwszej ławce siedział sąsiad z hotelu — zdziwiony i zaskoczony, wsłuchiwał się w ułożone przez siebie, lecz wypowiedane przez kogo innego zdania. Zapewne sądził, że jeszcze śpi i że męczą go senne, ponure koszmary.

ŻYCIE ZACZYNA SIĘ PO CZTERDZIESTCE

Mając 40 lat Wojciech Dziędużycki złożył mandat do rady państwa. Zaufany administrator, Zagórski, opu-

ścił go wraz z kasą, w której znajdowały się rezerwy pieniężne i biżuteria rodowa. Hrabia nigdy dobrze nie orientował się w swoich interesach, toteż zaczął przypuszczać, że znajduje się u progu ruiny. Pani hrabina nie szczędziła mu wymówek z tego powodu. Oto są skutki — wciąż coś pisze i politykuje, a nie ma czasu zająć się sprawami majątkowymi. Słuchał spokojnie lub uśmiechał się, gdy żona w zbytnim ferworze wyrażała o nim najbardziej ujemne opinie. Z tych czasów pochodzi ów słynny wierszyk satyryczny, który ułożył na siebie:

Przed Cezarem drżała Roma,
Innym bywał Cezar doma,
Gdyż jego żona, Kalpurnia,
Miała go za durnia!

Po rezygnacji z mandatu powrócił do Jezupola i dość energicznie zabrał się do interesów, ponieważ defraudacja Zagórskiego zmusiła go do osobistego administrowania majątkami. Przekroczył właśnie czterdziestkę, lecz zasoby energii życiowej miał jeszcze niepożyte. A gdy w parlamencie różni „życzliwi“ przyjaciele ubolewali nad tym, że kariera polityczna ambitnego przywódcy „Ateńczyków“ skończyła się tak bardzo prędko i nieefektownie, w jego życiu rozpoczęła się nowa epoka, naprawdę wartościowa, najbardziej twórcza i sławna.

Trudno ustalić kiedy Dzeduszycki przestał być młodym człowiekiem, a stał się „starym“. Takiej granicy właściwie nie ma — w jego psychice od początku wieku dojrzałego tkwiły elementy „młodzieńcze“ i „starcze“. Jeszcze nie był ani siwy, ani zgrzybiały, a już uważał się za patriarchę i odpowiednim postępowaniem zaznaczał swoje dostojeństwo. Cenił rodowe tradycje, mówił dobitnie i z największym namaszcze-

niem, od wszystkich wymagał posłuchu i poważania. Jednocześnie kpił ze wszystkiego. Uznane wartości moralne i obyczajowe, które zalecał przestrzegać, przy sposobności wyśmiewał wykazując ich słabe strony. Krytykował chętnie innych i siebie. Wszystko to czynił zupełnie szczerze — podobne postępowanie było najistotniejszą cechą jego charakteru.

Jak przystało na człowieka bardzo dowcipnego, lubił pozować wobec ludzi obcych na prostaka lub zwykłego hreczkosieja ze wsi, który nie orientuje się w skomplikowanych zagadnieniach życia. Zwłaszcza w polityce, gdy nie chciał się przed kimś zdradzić, udawał często naiwnego niedołęgę. W obecnych czasach wytwórnie filmowe i pisma humorystyczne zapewne ubiegałyby się o jego współpracę przepłacając honoraria. W epoce Dzieruszyckiego nie ceniono humoru — śmiano się, lecz nie wielbiono śmiechu. Dramaty szacowano wyżej niż komedie, poważną produkcję literacką wyżej niż humorystyczną. Świetne dowcipy i wspaniałe wierszyki okolicznościowe, improwizowane przez pana Wojciecha, ginęły; ani autor, ani jego wielbiciele nie pomyśleli nigdy, że te utwory mają wartość i mogłyby znaleźć dla siebie miejsce w literaturze.

Autor „Aten“ odznaczał się wielką łatwością pisania prozą i wierszem. Po złożeniu mandatu nastąpiło dziesięć lat najbardziej płodnych pisarsko w jego życiu. Powstawały wtedy dzieła naukowe i filozoficzne, dramaty, krytyki, poematy oraz powieści. W prasie ukazywały się ciągle jego artykuły na różne tematy. Nie sposób wymienić tutaj nazw tych wszystkich prac, spośród których kilka jest naprawdę doskonałych.

Między innymi w 1887 roku ukazały się „Wiadomości starożytnych o geografii ziem polskich“, za które przyjęła go w poczet swych członków krakowska Akademia Umiejętności. Z imponującą pracowitością zebrał

najrozmaitsze spostrzeżenia uczonych greckich i rzymskich o naszym kraju rysując liczne mapy, ilustrujące przytoczone poglądy. W roku 1888 wydał „Baśń nad baśniami“, wielki, dwutomowy poemat, zawierający wszystkie ważniejsze słowiańskie mity i podania. Część drukowanych w prasie codziennej felietonów znalazła się później w filozoficzno-historycznych „Listach czytelnika“, politycznych „Listach ze wsi“ i pedagogicznych „Listach o wychowaniu“. Wreszcie w 1892 roku zostały opublikowane „Roztrząsania filozoficzne o podstawach pewności ludzkiej“, ujmujące w syntezę filozoficzne poglądy Dzeduszyckiego.

Potem znów kilka powieści, dalsze rozprawy filozoficzne, dramaty oraz znakomite, obszerne historie malarstwa włoskiego, hiszpańskiego i niderlandzkiego, owoc długoletnich studiów w muzeach i galeriach całej Europy. Utwory beletrystyczne tego okresu stanowią mieszaninę doskonale skreślonych scen i grafomańskiej rozwlekłości. Najlepszym z nich jest „Święty ptak“, historyczny romans z dziejów dawnego Egiptu, w którym autor potrafił nadać wartkie tempo akcji i uniknąć dłużyzny rozmów. Z tych czasów pochodzi również obszerna „Historia filozofii“, wydana częściowo dopiero po śmierci Dzeduszyckiego.

Miał jedyny sposób pisania: od razu pisał „na czysto“ — rękopis był jednocześnie czystopisem. Nigdy nie robił notatek do prac naukowych. Profesor Leon Piniński opowiadał, że zastał go kiedyś siedzącego przy małym stoliku, pochylonego nad ćwiartką papieru.

- Co piszesz? — zapytał.
- Historię filozofii greckiej.
- A gdzie materiały, notatki?

Pan Wojciech dyskretnie się uśmiechnął i wskazał na głowę:

- Tutaj.

W swoich poglądach filozoficznych doszedł ostatecznie do filozofii „zdrowego rozsądku“ z grawitowaniem w stronę Platona, Plotyna i świętego Augustyna. Za źródło poznania uważał sumienie, będące intuicją umysłu ujmującego prawdę. Zwalczał wszelki materializm — jego idealistyczna filozofia była optymistyczna, pełna podziwu dla doskonałości i harmonijności świata. Mówiła o Bogu, który świat stworzył przez akt myśli, i o człowieku, który jest najdoskonalszym Jego tworem, wierzyła w istnienie niewcielonych duchów i w życie pośmiertne. Łączyła moralność z estetyką: zło potępiała jako brzydotę, wielbiła piękno jako dobro.

Tę filozofię wykładał w uniwersytecie lwowskim, gdyż w 1894 roku — na wniosek profesora Aleksandra Raciborskiego — rada wydziału humanistycznego powołała go na stanowisko docenta historii filozofii, etyki i estetyki. W dwa lata później „najwyższym postanowieniem“ został mianowany nadzwyczajnym profesorem estetyki. Od początku jego wykłady cieszyły się ogromnym powodzeniem. Mówił płynnie i zajmująco, przeplatał dowcipem uczone wywody, nieraz nawet zbaczał z tematu, aby poruszyć aktualne sprawy. Seminaria urządzał w kawiarni Sznajdra lub w swoim pokoju w hotelu. Uczestnicy zajmowali miejsca naokoło stołu, służący podawał herbatę i przekąski, a pan Wojciech, nie przestrzegając godzin opowiadał różne ciekawe rzeczy. Tego rodzaju metoda martwiła władze uniwersyteckie, które i tak miały z Dzieduszyckim sporo kłopotów, ponieważ nigdy nie przestrzegał żadnych przepisów. Natomiast studenci przepadali za nim. Odwzajemniał się im podobnym afektem — chętnie przebywał w ich gronie, brał udział w zebraniach i komersach. U schyłku XIX wieku wśród lwowskiej młodzieży akademickiej „hrabia Wojtek“ cieszył się opinią najpopularniejszego profesora.

Gdy w październiku 1895 roku Wojciech Dzieduszycki znalazł się znów w radzie państwa i w Kole Polskim, Grocholski już nie żył, inni ludzie rządili Kołem i inna była sytuacja polityczna niż przed siedmiu laty. Parlament austriacki przechodził stadium ostrego przesilenia. Zwłaszcza słynne awantury parlamentarne za rządów Badeniego świadczyły o wewnętrznym rozkładzie izby, skłóconej, podzielonej na różne zwalczające się partie i koterie. Pewnego razu, aby zahamować procedurę uchwalania wniosków rządowych, niemiecki poseł Lecher mówił bez przerwy całą noc, przeszło dwanaście godzin. Słuchacze spali na ławkach, przewodniczący i sekretarze drzemali — od czasu do czasu tylko ktoś się budził, a po stwierdzeniu, że mówca jeszcze wciąż przemawia, starał się znów zasnąć. Za inicjatywą rządu został wreszcie przeforsowany nowy regulamin obrad, lecz wtedy w sali posiedzeń rozpętała się prawdziwa bitwa. W powietrzu fruwały kałamarze, rzucano pulpitemi, policja musiała wielokrotnie interweniować i wynosić na korytarz zbyt krewkich posłów.

Podobne wypadki nie były wcale odosobnione. Obstrukcję uważano za najskuteczniejszą broń w walce z politycznymi wrogami. Gdy mniejszość nie mogła przeforsować swych wniosków, rozpoczynała najpierw sznykany techniczne. Żądała odczytania protokółów, imiennego głosowania, wysyłała mówców, aby przez wiele godzin nudzili wszystkich powtarzaniem tych samych frazesów. Potem następowały awantury, które paraliżowały wszelkie prace izby. Nad drobnymi sprawami debatowano w ciągu długiego szeregu dni, nie starczało przeto czasu na załatwienie ważniejszych. „Młodoczeskie stronnictwo... poszło w ślady liberalnych

Niemców — pisał w pracy o „Przesileniu parlamentaryzmu“ Dzieduszycki — i unieruchomiło (obstrukcją) parlament, który od czterech lat naprawdę nie istnieje“.

To ostatnie zdanie jest trochę przesadne, niemniej jednak świetnie charakteryzuje ówczesne stosunki. Parlament był instytucją nieodpowiedzialną, która zależnie od koniunkturalnej większości potrafiła uchylać najsprzeczniejsze ustawy. Pilnowanie interesów Galicji przez Koło Polskie w takich warunkach należało do zadań trudnych, wymagających dużego wyrobienia i rozwiniętej orientacji. I właśnie na tym terenie zabłysnął dyplomatyczny talent Dzieduszyckiego. Zaliczony do sztabu Koła posuwał się coraz wyżej w hierarchii przywódców. Jego wpływy na życie polityczne monarchii ciągle się zwiększały, toteż cesarz mianował go wkrótce rzeczywistym tajnym radcą — była to godność honorowa, nadawana zasłużonym ludziom i uprawniająca do pięknie brzmiącego tytułu ekscelencji. W 1900 roku został wiceprezesem polskiego klubu poselskiego i osiągnął decydujące znaczenie wobec częstych chorób starego prezesa Jaworskiego. Wreszcie w roku 1904, jako prezes, oficjalnie zaczął kierować polską polityką w radzie państwa.

Koło Polskie wciąż było poważną partią, z którą przychodzące do władzy rządy musiały się liczyć. Podczas powstawania nowych gabinetów toczyły się zaciekle targi:

— Poprzemy pana w radzie państwa — zwracał się Dzieduszycki do kandydata na premiera — lecz co za to dostanie Galicja?

Prywatne rozmowy, prowadzone w kularach i zacisznych gabinetach, rozstrzygały o najważniejszych sprawach habsburskiej monarchii. Wszyscy chcieli jak najwięcej otrzymać dając wzajemnie najmniej. Rządy zmieniały się bardzo często — do niektórych premierów

nie miał zaufania cesarz, do innych parlament. Posada ministra była wściekle niepewna, chociaż marzyło o niej wielu. Nawet po krótkim urzędowaniu na tym stanowisku otrzymywało się wielką wstęgę orderu Żelaznej Korony i dożywotnią emeryturę.

„Wielka polityka“ lawirowała między dworem a izbą. Każdy, kto mógł, starał się na jednym z tych terenów podstawić nogę swemu bliźniemu, aby wyciągnąć z tego korzyści. Knuto najprzeróżniejsze intrygi, postępowało bezceremonialnie z sprzymierzeńcami, gdy byli już niepotrzebni. Premierzy nieraz łamali zobowiązania i zapominali o przyrzeczeniach. Należało wówczas solidnie się głowić nad tym, jakie postępowanie odwetowe będzie najlepsze. Przejść do opozycji, intrygować w kularach czy tylko w odpowiedniej chwili wstrzymać się od głosu? Oczywiście te sprawy nie były jedyne — w rezultacie kierowanie partią pochłaniało tak wiele czasu, że wszelka działalność pisarska pana Wojciecha, poza dziennikarską, ustała. Podjął ją dopiero niedługo przed śmiercią.

Dzieduszycki był przede wszystkim doskonałym taktykiem: wiedział kiedy należy stawiać wnioski i umiał ich bronić. Jego mowy parlamentarne, przeważnie improwizowane, nieubłagane konsekwentne i zabarwione dowcipem, gromiły wrogów i jednały zwolenników. Poza tym znajomość strategii politycznej i wyczucie sytuacji ułatwiały mu forsowanie projektów. Co prawda nieraz śmiano się z jego ekscentryczności, ale zarazem ceniono go i obawiano się jako człowieka zupełnie niezależnego, co w tamtych czasach znaczyło bardzo dużo. Taktyka monarchii bowiem polegała na ofiarowywaniu wybitnym jednostkom rządowych posad, nie w celu wykorzystania ich zdolności, lecz dla uzależnienia od siebie. Wielu „trybunów ludu“ i prowodyrów partyjnych wyrzekło się swoich idei za cenę wyso-

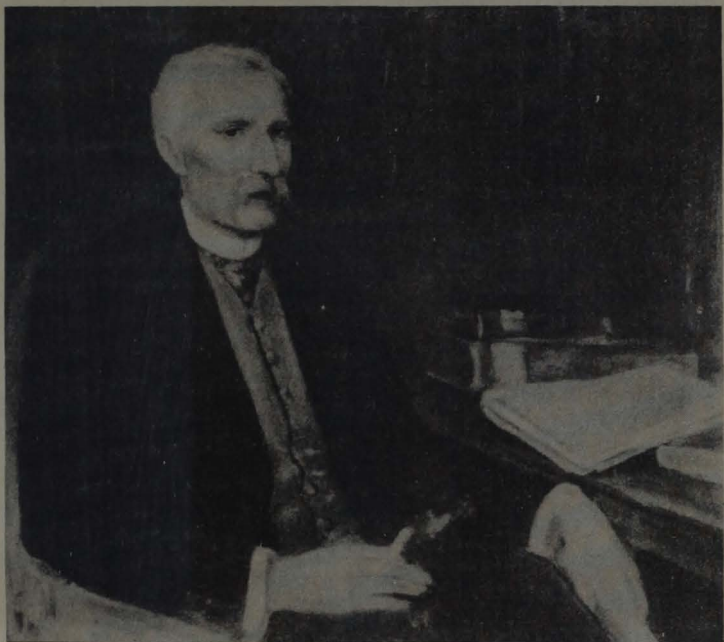
kich orderów i intratnych stanowisk. Na tle szalejącej orderomanii pan Wojciech był niepokojącym abstynentem. Nie kandydował również na posady, a zaofiarowane odrzucał. Nic tedy dziwnego, że cesarz parokrotnie wyrażał swoje wątpliwości co do lojalności prezesa Koła Polskiego.

Franciszek Józef miał rację — Dzieduszycki nie odznaczał się lojalnością „stańczyków“ krakowskich. Z urodzenia należał przecież do owych „żubrów podolskich“, którzy zawsze się czuli udziałnymi książętami i o Habsburgach wyrażali się z pewną rezerwą. Z najgłębszego przekonania ostro i bezlitośnie krytykował politykę monarchii oraz „najjaśniejszego pana“.

— Młody błaznie — mawiał żartobliwie do Steda — dlaczego starasz się odkryć zasady, kierujące austriacką polityką? One nie istnieją. Austria jest sułtanem, a sułtan starym człowiekiem, śpieszącym się tym więcej, im bardziej się starzeje, mającym jedyną zasadę przewodnią: „Więcej ziemi“. Został wypędzony z Niemiec, następnie z Włoch, będzie wypędzony z Bałkanów, jeśli nie stanie się ostrożniejszy. Zanim umrze, chce dodać coś niecoś do swego państwa, ażeby potomkowie otrzymali rekompensatę za poprzednie straty. Za potomność uważa swoją rodzinę. Wie, że dualistyczny system uczynił z niego niewolnika Niemiec — ciągle stara się ten system podkopać, lecz jest zbyt tchórzliwy, aby działać śmiało.

PRYWATNE ŻYCIE PANA WOJCIECHA

Wakacje i czas wolny od zajęć parlamentarnych Dzieduszycki zwykle spędzał w Jezupolu, o ile nie podróżował po Europie. Do jego majątku przyjeżdżało wielu wybitnych uczonych, polityków i dziennikarzy —



WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.
Według portretu Marii Wodzickiej.

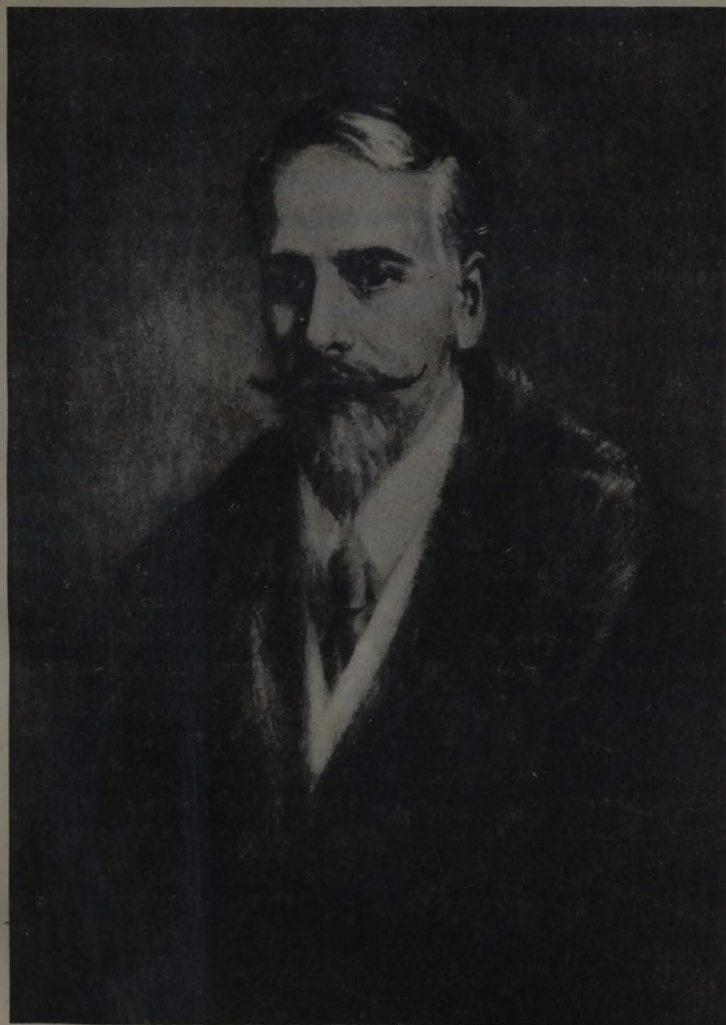


WOJCIECH I SEWERYNA DZEDUSZYCCY W ROK PO ŚLUBIE...

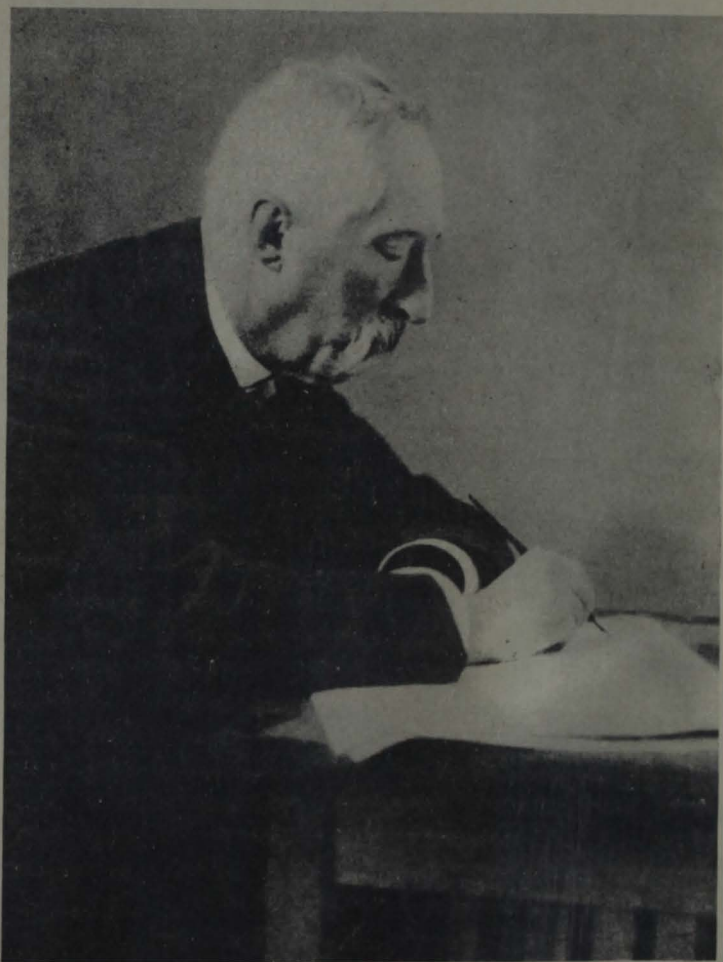


...I W TRZYDZIEŚCI LAT PÓZNIEJ

Według współczesnych fotografii.



HENRY WICKHAM STEED
Według portretu Marii Wodzickiej.



WOJCIECH DZIEDUSZYCKI W OSTATNICH LATACH ŻYCIA.

Według współczesnej fotografii.

podejmował wszystkich z staropolską gościnnością, lecz mimo zjazdów nie zmieniał zwykłego trybu życia.

Wstawał dość wcześnie i od razu — jeśli było lato — szedł do parku.

— Bazyli do golenia!

Służący podawał mu brzytwę i pędzel. Pan Wojciech mydlił twarz, brał do lewej ręki książkę i czytając, a jednocześnie się goląc, chodził po długiej, grabowej alei. Następnie ubierał się w strój kozacki: długą sukmanę, przepasaną czerwonym pasem, i futrzaną czapkę. Podobnie wystrojeni byli dworscy kozacy, którzy towarzyszyli mu w konnych wycieczkach. Kąpał się wraz z nimi w rzece i galopował po naddniestrzańskich wzgórzach, a gdy przejeżdżali ulicami Stanisławowa, kazał im śpiewać rzewne ukraińskie dumki. Bardzo często wstrzymywał konia, wyjmował z kieszeni książkę i znów czytał sądząc, że w ten sposób podwójnie wykorzystuje wycieczkę. Po powrocie, podczas obiadu, stale coś wykladał. Zajmował główne miejsce przy stole i z namaszczeniem patriarchy wygłaszał różne sentencje, według relacji słuchaczy bardzo ciekawe. Chętnie mówił po starogrecku, jeśli ktoś z obecnych posiadał znajomość tego języka, a jako drugą mowę tolerował wówczas jedynie łacinę — tym samym członkowie rodziny i goście, nie władający klasycznymi językami skazywani byli na milczenie.

Po obiedzie w ciągu paru godzin pisał. To zajęcie stało się trwałym przyzwyczajeniem, toteż wszystkie szuflady olbrzymiego biurka, znajdującego się w jego gabinecie, stopniowo zapełniały się rękopisami. Zaledwie połowę tego, co napisał, wydał, reszta zginęła podczas wojny światowej, spalona przez Niemców wraz z jezupolskim pałacem. Przechowało się tylko kilka niedrukowanych utworów, w tym większy urywek tłumaczenia

czenia z sanskryckiego, świadczący o jego zainteresowaniach literaturą staroindyjską.

Tryb życia i wymagania pana Wojciecha były nadzwyczaj skromne. Lubił najbardziej proste, wiejskie potrawy. Roztargniony, często nie zwracał uwagi na to, co je lub pije. Parokrotnie dochodziło z tego powodu do zabawnych wydarzeń. Pewnego razu zajęty rozmową, automatycznie podnosił kielich do ust, aby łyknąć trochę wina. Lokaj dolewał wciąż nowe porcje, lecz on tego nie spostrzegł i pił bez przerwy. Zdziwił się, gdy wstał od stołu i poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Czyżby się upił jednym kielichem wina? Największe jednak roztargnienie okazywał podczas ubierania się. Żona stale musiała się troszczyć o to, aby jego ubiór odpowiadał godności jego stanowiska.

We Lwowie i Wiedniu nosił stale czarny surdut, spod którego wyglądały spodnie nie zawsze wyprasowane. W zimie wkładał długi, futrzany płaszcz i wysoką, karakułową czapkę, wzbudzającą ogólne zainteresowanie wiedeńców. Wśród tłumu przechodniów wyróżniał się strojem i wyglądem. Bardzo wysoki i chudy pan o pociągłej, inteligentnie brzydkiej twarzy, ozdobionej długimi, zwisającymi wąsami, nie mógł niepostrzeżony ukazać się na ulicy. Wielokrotne zabiegi rodziny i znajomych, aby zaczął dbać o swój ubiór, nie przynosiły żadnych rezultatów. Kiedyś, przed podróżą do Budapesztu, sekretarz kupił mu nowy, drogi kapelusz. Po przyjeździe wstąpił do jakiejś kawiarni, a gdy później znalazł się na ulicy, miał na głowie stary, zatłuszczony szapoklak, który spokojnie zabrał z wieszaka sądząc, że nie popełnia zamiany.

Zaproszony na przyjęcie przez pewną rodzinę, która otrzymała niedawno tytuł hrabiowski, wszedł na salę balową w bardzo zniszczonym, starym fraku.

— Wojciechu, jak mogłeś przyjść tak ubrany? — zwrócił się do niego któryś z przyjaciół.

— Mój ubiór wydaje ci się niestosowny? — zdziwił się. — Zapomniałeś widocznie o tym, że stary hrabia — stary frak, nowy hrabia — nowy frak.

Podczas bankietu z okazji wieloletniej działalności Franciszka Smolki na stanowisku przewodniczącego parlamentu austriackiego Dzieduszycki wygłosił słynną mowę, która ubawiła wszystkich obecnych.

— Starożytni Grecy — uroczyście powiedziały wstając i trzymając w ręku kielich wina — wierzyli, że jeśli nowonarodzone dziecko muza ucałuje w czoło, to wyrośnie z niego mędrzec, jeśli w usta lub w oczy — słynny mówca lub znakomity malarz. Gdzież ciebie, dostojny jubilate, musiała ucałować muza, skoro od tyłu lat zasiadasz na fotelu prezydenta rady państwa?

Ogólną wesołość w całej Galicji wywołało również przemówienie pana Wojciecha, wygłoszone na zebraniu, w którym brał udział Dawid Abrahamowicz. Znany ówczesny polityk konserwatywny, Ormianin z pochodzenia, według zupełnie prawdopodobnej plotki był hermafrodytą, na co zresztą wskazywał jego wygląd: przesadna otyłość i kobiece rysy twarzy. Zaliczając go do „trzeciej płci“ Dzieduszycki rozpoczął mowę słowami:

— Panie, panowie i ty, Dawidzie Abrahamowiczu!

Współcześni za szczególnie dobry kawał uważali list, który przysłał marszałkowi krajowemu, Stanisławowi Badeniemu. Zaproszony przez niego na obiad, odpowiedział pisemnie tylko jednym słowem, składającym się z czterech liter, a oznaczającym pewną pożyteczną część ciała ludzkiego. Po przeczytaniu tego słowa marszałek zapłonął gniewem i oczywiście zażądał wyjaśnień, które niezwłocznie otrzymał. Dzieduszycki z wielką powagą mu wytłumaczył, że w zwro-

cie: „dziękuję uprzejmie, przyjdę akuratnie“ nie ma nic obraźliwego. Jedyne z powodu pośpiechu użył skrótu, mianowicie napisał początkowe litery wspomnianych słów stawiając zresztą między nimi kropki, które rzeczywiście wypadły jakoś niewyraźnie, ale gdyby eksce-lencja-marszałek lepiej się przypatrzył, dostrzegłby je z pewnością.

Najbardziej pan Wojciech nie lubił zebrań rodzinnych, podczas których w rozmowach wałkowano różne plotki lub poruszano tematy finansowe. Zły i milczący, chodził wtedy po pokoju, wreszcie przerywał dyskusję jakimś dowcipem i próbował ją skierować — ze zmiennym szczęściem — na tematy bardziej ogólne. Szczególną przyjemność sprawiało mu gorszenie starych ciotek, typowych „matron domowego ogniska“, które z niewyczerpaną cierpliwością potrafiły godzinami rozmawiać o romansie kuzynki lub przepisach na nowe konfitury. Każde jego odezwanie się te damy przyjmowały z wypiekami na twarzy, oczekując najbardziej nieprzy-zwoitej anegdoty.

— Czy znacie wierszyk o papieżu? — wołał do nich. I niezwłocznie deklamował:

Papież Sykstus jedenasty
Bardzo kochał dwie niewiasty...

Przerywał na krótką chwilę. Tryumfującym wzrokiem patrzył na zgorszzone miny słuchaczek. Wszyscy zamierali w oczekiwaniu pikantnych wiadomości o życiu papieża, a on kończył swój wierszyk:

Pierwsza była Maria Panna,
Druga po Niej: święta Anna!

Jako „enfant terrible“ salonów był ogólnie znany. Młode panny z bliższej i dalszej rodziny przejeżdżając przez Wiedeń, w towarzystwie matek lub ciotek, skła-

dały mu wizyty. Denerwowały się, gdy szły do niego — miały przecież ujrzeć człowieka wybitnego, o którym wiele pisały gazety i wiele opowiadano. Przypominały sobie zasady bon tonu i savoir vivre'u, wpojone im przez guwernantki, przyzywały całe swoje doświadczenie, aby w oczach pana Wojciecha należycie zareprezentować się i nie popełnić czegoś, co się nazywa: shocking. Podobne wizyty Dzeduszycki uważał za wielkie źródło uciechy. Całował przestraszoną kuzynkę w czoło i natychmiast opowiadał jakiś niecenzuralny dowcip. Patriarchalnie zwracał się do wszystkich młodych ludzi „płci obojga“ przez „ty“.

— Czy czytałaś wierszyki historyczne Bełzy, wydane ostatnio dla młodzieży? — pytał na przykład jakąś młodą hrabianeczkę galicyjską, zarumienioną i onieśmieloną pierwszym pobylem w Wiedniu.

— Nie, wuju.

— Muszę ci przeto powiedzieć, co napisali tam o królu Sobieskim!

Mówił oczywiście na poczekaniu zaimprovizowany utwór:

Nasz bohater, król Sobieski,
Bardzo lubił młode pieski,
A choć głośno nań szcekały,
Nic się nie bał, bo był śmiały.
Jego żona Marysieńka,
Raczej gruba, niżli cienka,
Była przeciwnego zdania,
Nie znosiła psów szczenia.

Nikommu jednak nie potrafił długo dokuczać. Zwłaszcza gdy dostrzegał w dziewczynie jakieś wartościowe cechy, stawał się miłym, uprzejmym starszym panem, mającym w zapasie sporo interesujących opowiadań. Tak się zachowywał również wobec wszystkich ludzi, których szanował i cenił. Naprawdę, mimo swojej ru-

baszności, był subtelnym estetą, gadatliwym uczonym-politykiem i dobrym człowiekiem, dokuczającym nieraz bliźnim, lecz bez złej woli, a raczej z nastawieniem pedagogicznym: dla wyleczenia ich z jakiejś wady.

S P I R Y T Y Z M

W 1885 roku przebywał w Jezupolu, jako nauczyciel jedyne go syna pana Wojciecha, Kazimierz Twardowski, młody student uniwersytetu wiedeńskiego, późniejszy słynny uczony i twórca filozoficznej szkoły lwowskiej. W rozmowach zwrócił kiedyś uwagę Dzeduszyckiego na pracę Aksakowa „Animizm i spirytyzm“. Hrabia sprowadził tę książkę, przeczytał i od razu znalazł się pod jej wpływem. Zawsze przekonany o istnieniu świata niewidzialnego, chętnie uwierzył, że dzięki spirytyzmowi obcowanie z duchami zmarłych nie nastęrcza większych trudności. Otoczył się odpowiednią lekturą, przestudiował wszelkie prawidła seansów i przystąpił do eksperymentowania. Po kilku bezowocnych próbach został nawiązany kontakt z zaświatem i niebawem zjawiły się pierwsze duchy: ksiądz Koźeliński, Piotr Skarga oraz Aleksander Fredro. Jak się okazało, duch znakomitego komediopisarza przepadał za figlami — rychło więc został uznany za życzliwego, dobrego znajomego i obdarzony zdrobniałą nazwą „Cepcia“.

Początkowe seanse w gronie rodziny, gdy jako medium występował Dzeduszycki, nie były zbyt poważne. Ksiądz Koźeliński przede wszystkim udzielał z tamtego świata sporo praktycznych wskazówek — przynoszono na przykład wzory tapet, a on wskazywał które pokoje należy nimi ozdobić. Fredro posunął swoją uprzejmość jeszcze dalej, gdyż chętnie rysował pro-

jekty sukni balowych dla pani Seweryny. Poza tym kazał jej niektóre sprawy załatwiać stosownie do jego życzeń. Zachowywał się tak, jak gdyby stale mieszkał w jezupolskim dworze: wiedział o wszystkim, co tam się działo — dlatego niezwłocznie spełniała wydawane przez niego polecenia, chociaż niepoprawni sceptycy szeptali między sobą, że były to na pewno rozkazy pana Wojciecha, przesyłane okrężną drogą, przez duchy, despotycznej żonie.

Z czasem jednak, w miarę wgłębiania się Dzeduszyckiego w spirytyzm, seanse stawały się coraz bardziej poważne: uczestniczyły w nich osoby nie należące do rodziny, przeprowadzano kontrolę i protokołowano przebieg posiedzeń. Między innymi brali udział w owym obcowaniu z duchami subtelny poeta Stanisław Brzozowski i jego siostra, Jadwiga. Były to dzieci reemigranta z Syrii, Karola Brzozowskiego, który po tułaczym życiu osiadł na stare lata w Jezupolu. Jadwiga, zalotna i piękna panna, reprezentująca klasyczny typ urody wschodniej, uwielbiana przez wszystkich jezupolskich młodzieńców, pasjonowała się seansami, podczas których jej brat, będący doskonałym medium, wielokrotnie wpadał w osobliwe transe. Osiągano ponoć wtedy nadzwyczajne rezultaty: Stanisław Brzozowski łąził jak chrabąszcz po ścianie, przestrzelonym palcem zawieszał się na haku wbitym w sufit i unosił się w powietrzu. Wyczyniał niesamowite rzeczy, które trudno uważać za mistyfikację, a które spirytyzm tłumaczy lewitacją.

Dziwnym transom ulegał również Dzeduszycki. Twarz jego stawała się śmiertelnie blada i nieruchoma, poruszały się jedynie wargi — przejmującym głosem wygłaszał wtedy długie improwizacje, rzekomo z polecenia wybitnych polskich poetów. Taki wypadek opisuje w swoich wspomnieniach doktor Skątkowski i przy-

tacza wiersz, podyktowany podczas seansu przez pana Wojciecha, a skomponowany przez ducha Krasińskiego. Podobnie poemat „Anioł“ został napisany pod dyktando Słowackiego. Autor „Aten“ wierzył w to święcie, ponieważ z biegiem czasu spirytyzm przerodził się u niego w nałóg. We Lwowie, jako profesor uniwersytetu, kontynuował seanse ciesząc się, że dostarczają dowodów potwierdzających jego filozofię. Przeświadczenie o istnieniu życia pośmiertnego i niewcielonych duchów przedradzało się w pewność. Oddziaływało to na niego ogromnie kojąco, nastrajało optymistycznie w szacowaniu wartości życia i gasiło lęk śmierci.

Pogrążał się w ten sposób coraz bardziej w oparach spirytystycznego mistycyzmu. Przez jakiś czas wprawdzie seanse nie odbywały się, ale w pierwszych latach XX stulecia, gdy stale mieszkał w Wiedniu, rozpoczęły się na nowo i trwały do jego śmierci. Nosiły charakter wybitnie ezoteryczny. W posiedzeniach brało udział najwyżej paru najbliższych przyjaciół: „wtajemniczonych“. Na tym tle zawiązała się jego przyjaźń z Arturem Mahlerem, profesorem archeologii uniwersytetu w Pradze. Mahler, wysoki, majestatyczny żyd o długiej, czarnej brodzie, zasiadał w radzie państwa wybrany przez syjonistów. Przypadkowo zetknął się z panem Wojciechem na terenie parlamentu, a po rozmowie o spirytyzmie zbliżył się do niego i wkrótce się z nim zaprzyjaźnił. Od tej chwili seanse odbywały się przeważnie w czwórkę — poza Dzieduszyckim brali w nich udział: pani Seweryna, jej kuzynka, Maria Wodzicka, młoda, niezwykle utalentowana malarka, wielbicielka i ulubienica mistrza, oraz Artur Mahler jako medium. Obu mężczyzn interesował świat klasyczny — zjawiały się przeto duchy Sokratesa, Platona, Arystotelesa i innych, które mówiły o sobie, czasem udzielały porad, lecz materializowały się ogromnie rzadko. Zwykle tylko

ekierka latała po alfabecie, a pojedyncze litery układały się w słowa i sensowne zdania.

W I E D E Ń S K I E Z N A J O M O Ś C I

Dowcipy i figle pana Wojciecha opinia publiczna przyjmowała z wielką pobłażliwością. Na ogół gorszono się nimi mało, co więcej: jego postępowanie uważano często za zupełnie naturalne. Wielki pan — mówiono — wiadomo, może mieć swoje kaprysy. Gdyby to był ktoś inny, urodzony mniej „dostojnie“, niewątpliwie osądzono by go na poczekaniu. Dzeduszyckiego nikt nie potępiał — przecież Franciszek Józef był panem w Wiedniu, a on w Jezupolu. Mógł sobie pozwolić na wszystko i istotnie nieraz „pozwał sobie“ na jakiś kawał, lecz szerszy ogół widział w tym jedynie potwierdzenie jego arystokratycznego pochodzenia.

Prasa nieraz wykorzystywała popularność pana Wojciecha. Pewne brukowe pismo wiedeńskie wypuściło kiedyś na miasto numer z ogromnym, wiele obiecującym tytułem na pierwszej stronie: „Romans prezesa Koła Polskiego“. Zaintrygowani mieszkańcy stolicy Austrii prędko rozkupili nakład, aby przeczytać złożoną *petitem* wzmiankę, że Dzeduszycki napisał nowy romans pod tytułem „Dekadenci“ i zaczął drukować go w „Gazecie Lwowskiej“.

Gdy w 1904 roku „hrabia Wojtek“ podejmował w Wiedniu obiadem kilka osób ze sfer politycznych i dyplomatycznych, w tej liczbie posła japońskiego, hrabiego Nobuaki Makinę, i wiedeńskiego korespondenta „Timesa“, Wickhama Steeda, zbliżone do Koła Polskiego gazety zamieściły — jak zwykle — wzmiankę o tej uroczystości. Ówczesne wydawnictwa stały na wyższym poziomie niż dzisiejsze, ponieważ notowały nie

tylko nazwiska zaproszonych, lecz także nazwy potraw, spożywanych podczas obiadu. Wychodziły z założenia, że „szarego czytelnika“ interesuje przede wszystkim apetyt gości z high life'u, a dopiero potem lista uczestników przyjęcia. Dzięki prasie przechowało się przeto menu tego obiadu, wcale przyzwoite, na które złożyły się: „Consommé oxtail, łosoś à la Chambord, polędwica à la Colbert, mousse z szynki, kapłony — sałata francuska, kardy demi glacé, bomba Louis Philippe, Chester cakes, owoce“.

Japoński poseł i angielski dziennikarz, wymienieni przed menu w notatce dziennikarskiej, należeli do grona najciekawszych wiedeńskich znajomych Dzieduszyckiego. Steed, rasowy dziennikarz, człowiek o wszechstronnym wykształceniu i wielkiej kulturze, odgrywał w stolicy Austrii poważną rolę polityczną. Foreign Office często powierzało mu wykonanie różnych dyplomatycznych misji, wymagających szczególnej zręczności i nieangażowania się czynników oficjalnych. Pan Wojciech, który był zawsze wielbicielem Anglii i Anglików, chętnie zawarł z nim znajomość w kuluarach parlamentu, gdy się trafiła odpowiednia do tego okazja. Odbyli dłuższą rozmowę i od razu przypadli sobie do gustu. Steed został oczarowany inteligencją i rozległością wiedzy polskiego hrabiego — z pełnym zaufaniem wtajemniczył go wkrótce w swoją wiedeńską rolę. Pokazywał mu listy, które otrzymywał od Edwarda VII, i referaty o politycznej sytuacji Austro-Węgier, które posyłał swojemu królowi. Dzieduszycki odwzajemniał się informacjami o nastrojach i zamiarach politycznych parlamentu, ukształtowywał jego opinię jako autora artykułów w „Timesie“ oraz rozmawiał z nim dużo o literaturze i sztuce.

Wpływowy korespondent zapoznał prezesa Koła Polskiego ze swoim przyjacielem, posem japońskim

w Wiedniu. Makino mógł się poszczycić starannym, europejskim wykształceniem, a ponieważ interesował się różnymi naukowymi zagadnieniami, znalazł wiele tematów do rozmów z Dzieduszyckim. Odtąd spotykali się bardzo często. Pan Wojciech zaczął studiować najnowszą historię Japonii — chciał znaleźć w niej te siły dziejowe, które pchnęły zacofane państwo wyspiarskie na drogę postępu. Makino chętnie dostarczał mu odpowiednich materiałów w języku angielskim oraz służył ustnymi wyjaśnieniami.

Przyjazny stosunek między nimi stał się niebawem przedmiotem różnych komentarzy, wskutek wydarzeń historycznych, które rozegrały się na Dalekim Wschodzie.

M A K I N O W J E Z U P O L U

Dnia 8 lutego 1904 roku torpedowce japońskie zaatakowały rosyjską flotę wojenną, zakotwiczoną w Port-Arturze. Na Dalekim Wschodzie wybuchła wojna, z którą w Polsce — jak zresztą podczas wszystkich walk Rosji — łączono wielkie nadzieje: spodziewano się przybycia nowego sojusznika w walce z caratem. Już 10 lutego Witold Jodko, jeden z przywódców P. P. S., wystosował do pośła Makiny list z propozycją nawiązania kontaktu. Nie dostał jednak odpowiedzi i dalsze pertraktacje polskich socjalistów poszły przez Londyn, gdyż tamtejszy ambasador japoński, markiz Hayashi, bardziej zainteresował się tą sprawą niż jego wiedeński kolega. Jak wiadomo, Józef Piłsudski i Tytus Filipowicz w lecie 1904 roku odbyli podróż do Tokio zastając tam przedstawiciela Ligi Narodowej, Romana Dmowskiego. W rozmowach Polaków z przedstawicielami cesarskiego rządu zastanawiano się nad projektem wywołania powstania w Kongresówce. Starły się przy tym

dwie ówczesne polskie orientacje: socjalistyczna i narodowo-demokratyczna.

Sprawy, omawiane w Tokio, poruszała również Dzieduszycki w Wiedniu spotykając się z Makiną. Nie działało się to oczywiście podczas oficjalnych konferencji lub specjalnych narad — w prywatnych rozmowach z posłem pan Wojciech określił swój pogląd na współpracę polsko-japońską. Trudno jednak orzec ile z enuncjacji polskiego lidera dostało się do raportów wysyłanych do Tokio i czy wpłynęły one, przynajmniej częściowo, na zapatrywanie tamtejszych miarodajnych czynników.

Jako piętnastoletni chłopiec, Dzieduszycki boleśnie odczuł upadek powstania styczniowego, jako dwudziestodziewięcioletni poseł na sejm krajowy, obserwował w 1877 roku nieudolne próby organizowania polskiego ruchu zbrojnego przeciwko Rosji. Z okazji wojny rosyjsko-tureckiej Disraeli pragnął wówczas wywołać w Kongresówce ruchawkę, mającą zmusić carat, zagrożony w swoim stanie posiadania nad Wisłą, do zaprzestania dalszych podbojów na Bliskim Wschodzie i Bałkanach. Anglicy, mimo wielu obietnic, zapomnieli o sprawie polskiej, gdy przestało to im być potrzebne. Na kongresie berlińskim tej sprawy już nikt nie poruszał, a lord Beaconsfield-Disraeli, szef rządu, który niedawno protegował powstanie, wyraził tylko jednemu z Polaków swoje współczucie, „że kongres sprawą Polski zająć się nie zechce i nie może“.

Dzieduszycki w książeczce „Abchazowie w Polsce“, wydanej w 1877 roku, napiętnował postępowanie tych mocarstw, które udając sprzymierzeńców Polaków, starają się ich wyzyskać dla własnych celów. Nauczeni doświadczeniem — argumentował pan Wojciech — winniśmy być ostrożni: jak najmniej należy liczyć na obcych, a jak najwięcej na siebie. Niech obiecujące pomoc

państwo oficjalnie zdeklaruje swoje stanowisko, a nie operuje mglistymi przyrzeczeniami i niedopowiedzeniami, których następnie łatwo się wyprzeć. Jeśli nie ma odpowiedniej gwarancji — lepiej zaniechać zbrojnego wystąpienia. Potęga Rosji jest wystarczająco wielka, aby potrafiła zgnieść każdą zaimprovizowaną, odosobnioną rewoltę.

Podobne myśli nasuwały się również Dzeduszyckiemu w 1904 roku. Ówczesna sytuacja miała niektóre cechy wspólne z sytuacją roku 1877, była tylko nieporównanie więcej skomplikowana. Rosja na wypadek zamieszek w Kongresówce mogła mandat uśmierzenia kraju powierzyć Niemcom obiecując im odpowiednie wynagrodzenie. Stąd wyływała niechęć pana Wojciecha do powstania, zwłaszcza że Japonia wcale nie pragnęła uczynić sprawy polskiej jednym z punktów przyszłych rokowań pokojowych. Sympatyzował jednak ze zwolennikami orężnego wystąpienia. W wywiadzie, udzielonym „Gazecie Narodowej“ z dnia 23 października 1904 roku, mówił: „Nie wolno tego potępiać, kto dowiódł życiem, iż Polakiem być chce, chociaż się z jego działaniem nie zgadzamy“. Idea powstania nie napawała go przestachem, natomiast uważał, że ówczesne warunki dziejowe nie były zupełnie odpowiednie do jej urzeczywistnienia.

Mimo upałów w lecie 1904 i 1905 roku Makino, przeciążony pracą z powodu wojny, zrezygnował z wyjazdu na wakacje. Pan Wojciech współczuł mu i parokrotnie zapraszał do Jezupola, lecz wizyta doszła do skutku dopiero po zawarciu pokoju. Wywołała w społeczeństwie polskim szereg najrozmaitszych domysłów, przeważnie zupełnie dowolnych.

„Nie mogąc pojechać do Tokio — twierdzi Ignacy Daszyński w swoich „Pamiętnikach“ — hr. Wojciech Dzeduszycki zaprosił do siebie, do Jezupola, posta ja-

pońskiego, i tam wśród zjazdu szlachty i notablów błagano i zaklinano biednego Japończyka, aby też rząd jego nie „robił“ rewolucji w „nieszczęśliwej“ Polsce...“

Zaprzecza podobnym wersjom o celach „zjazdu“ główny bohater, Nabuaki Makino, który po wyjeździe w 1906 roku z Wiednia, zrobił w swoim kraju ogromną karierę. Przez szereg lat zajmował kolejno stanowiska ministra oświaty, rolnictwa, przemysłu i spraw zagranicznych, a w roku 1919 został przedstawicielem Japonii na pokojową konferencję w Paryżu. W 1935 roku był ministrem dworu cesarskiego, mieszkał w posiadłości pod Tokio, a mimo zbliżającej się dziewięćdziesiątki nadal brał czynny udział w życiu politycznym swego kraju. Jako doradca cesarza musiał mieć znaczne wpływy, gdyż w rok później żołnierze zbuntowanego pułku chcieli go zabić — na szczęście jednak zdołał zawczasu się ukryć. Mniej więcej w tym czasie zwróciłem się do niego z prośbą o informacje — odpisał uprzejmie i rzeczowo, z zadziwiającą pamięcią wydarzeń sprzed trzydziestu laty.

„Dopiero gdy traktat w Portsmouth został podpisany i pokój zapewniony — pisał w liście — mogłem skorzystać z jego (Dzieduszyckiego) gościnności i pojechałem we wrześniu do Jezupola. Następnego dnia po moim przyjeździe delegacja mieszkańców tamtejszych okolic przybyła, aby podziękować mi jako przedstawicielowi cesarza Japonii za łaskę, którą Jego Cesarska Mość wyświadczył Polakom zwyciężając potęgę cara. Car bowiem z powodu przegranej musiał nadać wiele nowych swobód, żeby zażegnać ogólne niezadowolenie i coraz bardziej rozwijający się ruch rewolucyjny. Po tygodniu przybyła delegacja tego samego rodzaju; zorientowałem się wówczas, że za wiele hałasu robi się dookoła mojej osoby, toteż skróciłem swój pobyt

w Jezupolu i pożegnałem gospodarza... Gdy później zobaczyłem hrabiego w Wiedniu, powiedział mi, że dobrze zrobiłem skracając pobyt. — Gdyby został pan dłużej — dodał ze śmiechem — na pewno przyszłaby do pana cała Polska.“

W każdym razie poza politykowaniem bawiono się w Jezupolu wesoło i uprzyjemniano pobyt egzotycznemu gościowi. Obejrzał piękne krajobrazy w okolicy, był na ulickim odpuszcie, widział chłopskie wesele, wreszcie wydano na jego cześć bal, podczas którego zobaczył jak naprawdę trzeba tańczyć mazura. Jakiś hreczkosiej z sąsiedztwa przy tej okazji nawiązał z nim rozmowę.

— Pokazaliśmy ekscelencji naszego mazura, może teraz ekscelencja pokaże nam wasze harakiri — mówił, przekonany, że harakiri to nazwa japońskiego tańca.

Z majątku Dzieduszyckiego Makino przez Lwów pojechał do Krakowa i Zakopanego, aby zwiedzić polskie ziemie. Galicja była dla niego krajem egzotycznym, tak samo jak dla mieszkańca Galicji egzotyczną jest Japonia. Jego pobyt w Jezupolu przetrwał we wspomnieniach mieszkańców okolicznych wiosek — i jeszcze dziś opowiadają tam legendę o „dobrym Japońcu“.

Japońskiemu posłowi podczas gościny u pana Wojciecha usługiwał miejscowy lokaj, Wasyl. Za swoją pracę spodziewał się sutego napiwku — w najśmielszych jednak marzeniach nie przekraczał sumy 10 koron. Tym większe przeżył rozczarowanie, gdy Makino odjeżdżając nie dał mu nawet paru centów. Zrozpaczony, poszedł sprzątać pokój zwolniony przez dyplomatę, i na stole, pod spodeczkiem, znalazł złożone dwa banknoty po 100 koron.

Makino, człowiek bardzo zamożny i delikatny, w tak dyskretny sposób pozostawił służącemu „na piwo“. Dla Wasyla była to ogromna suma, toteż dołączyw-

szy do niej swoje poprzednie oszczędności od razu zadatkował w okolicy chatę i parę morgów ziemi stając się samodzielnym gospodarzem. Wszyscy znajomi zazdrościli mu nagłego wzbogacenia się, a chociaż od tej pory minęło trzydzieści lat, wielu ludzi pamięta ten wypadek. Wzrasta tylko stopniowo w opowiadaniach suma, którą Wasyl dostał od Makiny. Jeszcze przed dziesięciu laty ponoć mówiono, że było to 500 koron, natomiast w zeszłym roku, gdy byłem w Jezupolu, stary wieśniak, Rusin, niemal przysięgał twierdząc, że „Japoniec“ dał Wasylowi przynajmniej 2000 koron.

W I E L K A P O L I T Y K A

Na początku XX stulecia coraz częściej mówiono w Austrii o konieczności gruntownej zmiany ordynacji wyborczej. Dotychczasowa bowiem była ogromnie skomplikowana, przestarzała i niewygodna. Opinia publiczna, podniecana przez prasę lewicową, opowiadała się za reformą. Zwolennikiem jej stał się również cesarz, gdy zorientował się, że dla utrzymania świętego spokoju, warto udzielić narodowi prawa powszechnego głosowania.

W 1905 roku gabinet Gautscha opracował nową ustawę wyborczą i przedłożył ją parlamentowi. Wybuchła burza. Okazało się, że opozycja przeciwko innowacjom jest bardzo silna i nieustępliwa. Koło Polskie nie zgadzało się na powszechne głosowanie, które zmniejszało polską reprezentację, przez oddanie pewnej liczby mandatów Rusinom. Dzeduszycki ciągle konferował z przywódcami innych partii i rządem. Oświadczał, że udzieli poparcia rządowi, jeśli Gautsch wniesie poprawkę, gwarantującą Galicji jedną trzecią ogólnej ilości mandatów. Tak ostrych warunków premier nie chciał przyjąć i obie strony mobilizowały

siły szykując się do ostatecznej rozgrywki. Przewaga wyraźna jednak była po stronie Koła. Gabinet chwiały się i cesarz chcąc ratować nową ordynację postanowił osobiście interweniować u Dzieduszyckiego. Ale Polak w czasie audiencji był mocno uparty i Franciszek Józef po wyczerpaniu wszystkich argumentów, spisanych na kartce przez ministra, poczuł się bezradny, gdyż sam nie mógł nowych wymyślić, a do poprzednich nie wypadało wracać. Postanowił na wszelki wypadek odwołać się do uczuć „wierno-poddańczych“ pana Wojciecha.

— Bardzo mi zależy na projekcie Gautscha. Przypuszczam, że pan nie zechce robić mi osobistej przykrości zwalczając dalej ten projekt.

— Żałuję bardzo — odpowiedział Dzieduszycki — muszę jednak bronić interesów polskich.

Zdenerwowany cesarz zaczął powoli cofać się do drzwi i wreszcie zniknął za portierą pozostawiając prezesa Koła bez pożegnania.

Pan Wojciech wcale się nie przejął cesarską niełaską, gdyż na razie tryumfował. Baron Gautsch, o którym opowiadano, że jest naturalnym synem Franciszka Józefa, musiał podać się do dymisji, a po kilkutygodniowych rządach księcia Hohenlohego premierem został baron Beck, bardziej zręczny i skłonny do porozumień niż jego poprzednicy. Z chwilą, gdy została zaprobowana forsowana przez Dzieduszyckiego koncepcja utworzenia dwumandatowych okręgów wyborczych w Galicji wschodniej, znaleziono również kompromisowe rozstrzygnięcie innych, spornych kwestii. Koło zgodziło się poprzeć zmieniony projekt ordynacji wyborczej delegując swego prezesa do gabinetu, aby mógł wglądać we wszelkie poczynania rządu. 2 czerwca 1906 roku znakomity „Ateńczyk“ został mianowany ministrem dla Galicji — tym samym znalazły się w jego

kompetencji wszystkie sprawy dotyczące austriackiego zaboru.

Urzędowanie rozpoczęło się od małego skandalu. Nowomianowani ministrowie składając przysięgę przed cesarzem musieli ubierać się w specjalne mundury. Dzeduszycki pojechał składać przysięgę we fraku. Na tle ówczesnych stosunków podobne postępowanie mogło wywołać najbardziej przykre konsekwencje. Główną troską Franciszka Józefa było przestrzeganie skomplikowanej etykiety, co również czynili wszyscy poddani, zapatrzeni w „najwyższy przykład“. Biliński opowiada w „Pamiętnikach“ o wypadku, który omal nie zwichnął jego kariery. Będąc prezydentem kolei wyszedł na dworzec kolejowy w surducie, aby przywitać podróżującego prywatnie ministra komunikacji! Minister potraktował to jako zniewagę, żądał dymisji Bilińskiego i groził swoją. Zapowiadało się na przesilenie gabinetowe, które zażegnał zręczny premier godząc skłóconych dostojników. Tak samo cesarz, gdy ujrzał Dzeduszyckiego we fraku, nie posiadał się z oburzenia.

— Dlaczego pan nie wdział munduru? — zapytał.

Pan Wojciech został mianowany ministrem zeszłego dnia wieczorem i jego „liberia“ — jak nazywał mundur — nie została jeszcze uszyta. Dwaj ministrowie, razem z nim mianowani i wezwani do przysięgi, byli jednak ubrani przepisowo.

— Moi koledzy — wyjaśnił nieporównany satyryk — mogli postarać się o mundury, chociażby w wypożyczalni kostiumów maskaradowych. Przy moim wzroście jest to niemożliwością, najjaśniejszy panie.

Ostatecznie złożył przysięgę i objął rządy w gmachu ministerstwa dla Galicji. Przy spełnianiu nowych obowiązków jaskrawo uwidoczniły się jego zalety i wady. Wybitny jako minister-polityk, był najgorszym ministrem-urzędnikiem. Roztargniony, nie przestrzegający

godzin urzędowania, zapominał i gubił akta doprowadzając tym do rozpaczy swoich sekretarzy. Wrogo nastawiony przeciwko wszelkiej biurokracji, chętnie zapominał o godności c. k. ministra, mówił po dawnemu dowcipy, płatał figle i nie dbał o jakąkolwiek reprezentację. Delegacji młodzieży akademickiej pod przewodnictwem znanego, współczesnego polityka i publicysty zrobił niesłychany afront zapytując owego przewodniczącego, czy uprawia jeszcze pewien intymny grzech cielesny, właściwy chłopcom w wieku dojrzewania, oraz radząc, aby raczej nadal grzeszył niż politykował. Na obecnych wywarło to wielkie wrażenie, zwłaszcza że słowa pana Wojciecha były odpowiednio dosadne i rubaszne. Inną delegację, która naszała go w domu o dieśiątej wieczorem, przyjął w długiej, białej koszuli i nocnych pantoflach.

— Panowie wybaczą — powiedział na wstępie swoim specyficznym, nosowym głosem — że ich nie zatrzymam, muszę jednak iść do pani hrabiny, aby spełnić obowiązki małżeńskie.

Nie okazywał również zbyt dużego szacunku dla szefa gabinetu. Kiedyś, w czasie posiedzenia izby, posłowie obserwowali dziwne zachowanie się barona Becka, który z łoży rządowej w towarzystwie Dzieduszyckiego i jeszcze kilku ministrów przysłuchiwał się obradom. Premier kilkakrotnie zrywał się z miejsca, na przemian bladł i czerwieniał, rozpaczliwie rozglądał się naokoło i zrezygnowany, znów usadawiał się w fotelu. Po posiedzeniu w kularach mówiono o kłótni między nim a ministrem przemysłu i handlu. Przyjaciele pytali pana Wojciecha o przyczynę dziwnego zachowania się Becka.

— Kłutem go szpilką — odpowiadał ze śmiechem — a on myślał, że czyni to minister przemysłu i handlu.

Te wszystkie kawały oczywiście nie zmniejszają jego zasług. Czuły na potrzeby kraju i gotów do najdalej

idących wysiłków w przeforsowywaniu projektów, zapewniających Galicji polityczne lub gospodarcze korzyści, był jednym z lepszych „ministrów-rodaków”. Marzył o zgodzie polsko-ruskiej, lecz zabiegi w tym kierunku rozbiły się o austriackie intrygi i nieprzejednane stanowisko oficjalnych polityków ruskich. Na tym tle powstał zatarg między nim a Beckiem, który u schyłku 1907 roku poczynił szereg koncesji Rusinom, chociaż według umowy nie mógł tego uczynić bez zgody ministra dla Galicji i Koła Polskiego. Na znak protestu Dzeduszycki demonstracyjnie podał się do dymisji i wrócił do parlamentu. Czuł się tam daleko swobodniej i lepiej niż w gabinecie, gdzie krępowała go zbiorowa dyscyplina. Odzyskał prawo swobodnej krytyki, a ponieważ nadal przewodził Kołu Polskiemu, mógł wpływać skutecznie na ogólną politykę i groźbą przejścia do opozycji — zmuszać premiera do liczenia się z jego postulatami.

K A W I A R N I A P U C H E R A

Przez cały czas wiedeńskiego politykowania Dzeduszycki pozostawał wierny zasadzie częstego odwiedzania kawiarni Puchera. Było to miejsce spotkań prawie wszystkich Polaków, mieszkających w Wiedniu. Politycy, dziennikarze, adwokaci i studenci stale gromadzili się w tym lokalu, o którym Boy w „Słówkach” żartobliwie pisał:

Pucher — polska to kwatery,
kwiat narodu tam się zbiera,
dusze zwierza, myśli ściera,
za kraj żyje i umiera
u Puchera.

Pan Wojciech przychodził tam przynajmniej raz na tydzień — zwykle w niedzielę. Siadał przy stoliku i mo-

mentalnie otaczała go gromada słuchaczy, składająca się przeważnie ze studentów, młodych uczonych i dziennikarzy. Chętnie rozmawiał ze wszystkimi. Rozmowa stale zaczynała się od tematów aktualnych, a kończyła się na najbardziej ogólnych i abstrakcyjnych. Był to właściwie rodzaj wykładu, z którego każde słowo uważnie chłonęło otoczenie. Ktoś na przykład zapytywał o jego zatarg w Kole ze znanym politykiem Dulembą. Odpowiadał barwnie na poczekaniu komponując wierszyk:

Gdy Dzieduszycki z chciwości znany,
Sute od rządu zbiera kubany,
Patrzącemu na to z boku Dulembie,
Piana zazdrości cieknie po gębie!

Kiedy indziej recytował wierszyk o Daszyńskim, z którym toczył w parlamencie zaciekle walki, szczególnie podczas uchwalania nowej ordynacji wyborczej. Nieraz mówił o sejmie galicyjskim, odbywającym posiedzenia w nowym, wspaniałym gmachu:

A czy znasz ty, bracie młody,
Te marmury i te schody?
Kędy chadza przyszłość nasza
Od Annasza do Kajfasza!

Poruszał również naukowe tematy wypowiadając często myśli, które zawarł w swej ostatniej książce, zatytułowanej: „Dokąd nam iść wypada?”. Był przeświadczony, że naszej cywilizacji grozi upadek — snuł więc projekty zabezpieczenia ludzkości przed tą katastrofą. Przy okazji wyrażał swoje myśli o Kościele, innym razem o filozofii, sztuce, archeologii, ekonomii lub... wynalazkach lotniczych. Wreszcie spoglądał na zegarek. Pani Seweryna nie lubiła, aby spóźniał się na obiad.

— Muszę pożegnać panów — oświadczał.

Wkładał przy pomocy słuchaczy palto, a na pożegnanie opowiadał jeszcze jeden dowcip. Wreszcie kłaniał się całej sali pokazując język i znikał za drzwiami.

Rozmowy, prowadzone przez Dzeduszyckiego w kawiarni, salonie lub gdzie indziej, najlepiej świadczyły o jego nieprzeciętnej osobowości. Świetna wymowa, olbrzymia, polihistoryczna wiedza, niesamowita wprost pamięć, która sprawiała, że pamiętał prawie wszystko, co kiedykolwiek przeczytał, oraz zdolność paradoksalnego ujmowania tematów działały na umysły słuchających niesłychanie pobudzająco. Dar pisania miał niestety mniejszy niż dar wymowy — dlatego trudno po latach odpowiednio ocenić jego zdolności. Reprezentował typ greckiego mędrca w stylu Sokratesa, który chodził po ulicach Aten, słuchał innych, zbijał fałszywe poglądy i głosił swoje. Metody greckiego filozofa, oczywiście odpowiednio zmodyfikowane, pan Wojciech próbował stosować w XIX stuleciu. Wyszedł bowiem ze świata klasycznego — stał się ostatnim jego przedstawicielem, ostatnim Sokratesem w kulturze polskiej. Zarazem wyprzedzał współczesnych. Jako konserwatysta, mało miał w sobie z ducha konserwatyzmu, a jako syndykalista oraz przeciwnik parlamentaryzmu i państwa terytorialnego często wypowiadał myśli, znajdujące obecnie nieporównanie większe uznanie lub zastosowanie niż wtedy. Stąd pochodziło rozdwojenie jego osobowości — z jednej strony tkwił w kulturze klasycznej i stamtąd czerpał swoje natchnienia, z drugiej — należał do czasów ówczesnie przyszłych.

H A P P Y E N D

Mając 60 lat czarował wszystkich żywością i ruchliwością swego umysłu. Był taki sam, jak za czasów

młodości: roztargniony i łatwowierny w życiu prywatnym, niepraktyczny w tych wszystkich sprawach, które odnosiły się do jego osoby. Chętnie popierał i subsydjował młodych studentów, wierzył, że nie ma złych ludzi, a po chwilowym uniesieniu się, zapominał o doznanych krzywdach.

W ciągu kilku ostatnich lat życia mieszkał w Wiedniu, na Lerchenfeldenstrasse. Do mieszkania przylegał mały ogródek — w altanie latem pracował i przyjmował interesantów. Nadal sporo pisał, a wyjeżdżając za granicę skupywał obrazy. Szczególnie lubił włoskie malarstwo renesansowe — dzieła wielkich artystów tamtej epoki pokrywały niemal wszystkie ściany jego mieszkania.

Ostatnią jego miłością była kochanka nieznanego kardynała z czasów Odrodzenia. Jej portret, pędzła anonimowego mistrza sprzed czterystu lat, zaopatrzył w specjalną elektryczną instalację oświetleniową. Po przekręceniu kontaktu zapalały się lampy, w których blasku obraz nabierał cech życia. Perły, zdobiące szyję wizerunku dawno zmarłej piękności, w sztucznym oświetleniu wydawały się prawdziwe i rzucały delikatne smugi cienia na barwę skóry. Oczy — zdawało się — przymykały się pod wpływem światła, a wargi rozchylały się w ledwie dostrzegalnym uśmiechu. Twarz jednak nie zmieniała swego dumnego, majestatycznego wyrazu. Każdy szczegół jej urody, każdy gest, unieruchomiony przez malarza, świadczył o tym, że była kobietą Odrodzenia — epoki, którą po epoce klasycznej najbardziej uwielbiał Dzierżycki. W wolnych chwilach lubił długo podziwiać ten portret.

W jesieni 1908 roku monarchia Habsburgów popełniła jedno z największych głupstw w swoich dziejach ogłaszając aneksję Bośni i Hercegowiny. Te prowincje od szeregu lat i tak należały do Austro-Węgier jako

kraje okupowane — zmiana formy prawnej wywołała tylko ogromną wrzawę w całej Europie. Serbia groziła wojną, Rosja obiecała jej poparcie — lada chwila spodziewano się zbrojnego starcia. Austria ze względów prestiżowych nie mogła cofnąć dekretu o aneksji, tymczasem serbski następca tronu, ksiączę Jerzy, rozwijał szaloną propagandę odwetową. C. k. minister spraw zagranicznych, baron Aerenthal, robił wszystko, aby dojść do ugodowego porozumienia i uspokoić opinie publiczne różnych krajów europejskich.

Na wiosnę 1909 roku zdawało się, że niebawem wybuchnie wojna serbsko - austriacka, a potem światowa. Gazety były pełne najbardziej pesymistycznych przypuszczeń o możliwości utrzymania pokoju. Na przykład „Gazeta Narodowa“ z dnia 19 marca opublikowała następujące depecze:

WIEDEŃ, 18. III. Sytuacja zewnętrzna wczoraj bardzo się zaciemniła. Wojnę uważają za nieuniknioną. Po nadejściu wczorajszej depeczy rosyjskiej nadzieja utrzymania pokoju zredukowała się do zera.

BELGRAD, 18. III. Na radzie ministrów w obecności króla stwierdzono, że wzburzenie w kraju jest tego rodzaju, że w razie, gdyby nie przyszło do wojny, wybuchnie ogólna rewolucja. Skutkiem tego rząd jest zmuszony do wypowiedzenia wojny.

Dnia 18 marca 1909 roku Dzeduszycki wygłosił w parlamencie wielką mowę o wojnie. Prasa europejska zamieściła ją w większych lub mniejszych streszczeniach. Pan Wojciech oświadczył się jako przeciwnik orężnej rozprawy i wypowiedział szereg uszczypliwych uwag o Rosji, występującej w roli patronki Serbii. Nie przypuszczał zapewne, że była to jego ostatnia mowa.

Wieczorem 22 marca dowiedział się, że starcie z Serbią i Rosją jest nieuniknione. Mówiono, że gdy wojska austriackie wkroczą do Kongresówki, zostanie jej nadana autonomia dla pozyskania społeczeństwa polskiego z rosyjskiego zaboru. Wymieniano nawet nazwisko Dzieduszyckiego jako kandydata na ewentualne stanowisko namiestnika w Warszawie. To wszystko bardzo go ucieszyło — przeczuwał bowiem, że wojna ogarnie całą Europę i przyczyni się do powstania wolnej, zjednoczonej Polski. Zawsze pragnął, aby wreszcie został zburzony świat stary, a powstał nowy i lepszy.

Był radośnie zdenerwowany, gdy wracał w ten wieczór marcowy do domu. Podczas kolacji z ożywieniem mówił do żony i paru przyjaciół o doniosłości dziejowej rozpoczynających się wydarzeń. Rozgorączkowany marzeniami położył się spać. Czuł się trochę niedobrze — nie zwracał jednak na to uwagi. Od dawna cierpiał na wapnienie żył i wadę serca, toteż lekarze zabraniali mu silniejszych wzruszeń. Dotychczas nie przestrzegał zakazów i jakoś to uchodziło. Ostatnia egzaltacja zaszkodziła mu — w nocy po minutowym ataku serca nastąpił koniec. Nikt z domowników tego nie spostrzegł, dopiero rano zauważono, że nie żyje.

Umarł z radości. Śmierć miał lekką i niespodziewaną — prawdziwy happy end życia.

SPIS ILLUSTRACJI

KATARZYNA Z JAWORSKICH STARZEŃSKA-PAWLIKOWSKA.

Według portretu Franciszka Gérarda.

GABRIEL BOBRONICZ-JAWORSKI.

Według współczesnej miniatury.

NA POLOWANIU.

Rysunek Juliusza Kossaka.

ZABAWA STARSZEGO PANA.

Rysunek Juliusza Kossaka.

ELEGANCI LWOWSCY.

Szkice Juliusza Kossaka.

JULIA RÉCAMIER.

Według współczesnego medziorytu z portretu Franciszka Gérarda.

EUGENIUSZ DE BEAUHARNAIS.

Według współczesnej litografii.

KATARZYNA STARZEŃSKA Z SYNEM KAZIMIERZEM.

Według współczesnej miniatury.

KSAWERY STARZEŃSKI Z CÓRKĄ GABRIELĄ.

Według miniatury Michała Weixelbauma.

JÓZEF BENEDYKT PAWLIKOWSKI.

Według portretu Karola Schweikarta.

KAZIMIERZ STARZEŃSKI.

Według współczesnego portretu.

KARTA TYTUŁOWA PAMIĘTNIKA WACŁAWA RZEWUSKIEGO.

Akwarela Wacława Rzewuskiego z rękopisu pamiętnika.

OBRAZKI Z ŻYCIA W PUSTYNI.

Akwarelki Wacława Rzewuskiego z rękopisu pamiętnika.

TRZY STYLIZOWANE UJĘCIA TAJEMNICZEGO ZNAKU.

Akwarelki Wacława Rzewuskiego z rękopisu pamiętnika.

OBRAZKI Z ŻYCIA ARABÓW.

Akwarelki Wacława Rzewuskiego z rękopisu pamiętnika.

UCIECZKA EMIRA PRZED WROGAMI.
Akwarelka Wacława Rzewuskiego z rękopisu pamiętnika.

TURNIEJ NA CZEŚĆ EMIRA W DAMASZKU.
Akwarelka Wacława Rzewuskiego z rękopisu pamiętnika.

WACŁAW ZALESKI.
Według współczesnego portretu.

URZĘDNIICY W „GUBERNIUM“.
Rysunki Juliusza Kossaka.

W OGRÓDKU LWOWSKIM.
Rysunek Juliusza Kossaka.

WOJSKOWI NA ULICACH I W PARKACH LWOWSKICH
Rysunki Juliusza Kossaka.

„WIOSNA NARODÓW“ WE LWOWIE.
Rysunki Juliusza Kossaka.

JULIUSZ DZIEDUSZYCKI I JULIUSZ KOSSAK.
Rysunek Juliusza Kossaka.

SCENY Z ŻYCIA JARCZOWIEC.
Rysunki Juliusza Kossaka.

DZIEJE ROMANSOWE JULIUSZA DZIEDUSZYCKIEGO.
Rysunki Juliusza Kossaka.

POGODNE ŻYCIE W JARCZOWCACH.
Rysunki Juliusza Kossaka.

PRZYGODY GALICYJSKIEGO „EPIKUREJCZYKA“.
Rysunki Juliusza Kossaka.

CIĄG DAJSZY PRZYGÓD.
Rysunki Juliusza Kossaka.

SYLWETKI PRZYJACIÓŁ MALARZA.
Rysunki Juliusza Kossaka.

WŁODZIMIERZ DZIEDUSZYCKI NA BALU I POŁOWANIU.
Rysunek Leopolda Starzeńskiego.

TRZY PSY MELPOMENY.
Rysunek Leopolda Starzeńskiego.

WŁODZIMIERZ DZIEDUSZYCKI I... SROKA.
Rysunek Leopolda Starzeńskiego.

JAN ALEKSANDER FREDRO NA KURACJI W TRUSKAWCU.
Rysunek Leopolda Starzeńskiego.

WŁODZIMIERZ DZIEDUSZYCKI JAKO ORNITOLOG.
Rysunek Leopolda Starzeńskiego.

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.
Według portretu Marii Wodzickiej.

*WOJCIECH I SEWERYNA DZIEDUSZYCCY W ROK PO ŚLUBIE...
...I W TRZYDZIEŚCI LAT PÓŹNIEJ.*
Według współczesnych fotografii.

HENRY WICKHAM STEED.
Według portretu Marii Wodzickiej.

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI W OSTATNICH LATACH ŻYCIA.
Według współczesnej fotografii.

*Ryciny i fotografie, reprodukowane w niniejszej książce, pochodzą
ze zbiorów:*

Biblioteki Narodowej w Warszawie, Władysława Dzieduszyckiego,
Włodzimierza Dzieduszyckiego, Kazimierza Iwanickiego, Gabrieli
z Mierów Jędrzejowiczowej, Muzeum im. XX. Lubomirskich we
Lwowie, Michała Pawlikowskiego, Aleksandra Piskora, Marii
Wodzickiej i Aleksandra Zaleskiego.

S P I S R Z E C Z Y

CZĘŚĆ PIERWSZA: DAMA

Str.

La belle Gabrielle	II
------------------------------	----

CZĘŚĆ DRUGA: EKSCLENCJE

Niewolnik znaku	173
Romantyczny gubernator	198
Wielki koniuszy	236
Młody malarz	254
Trzy psy Melpomeny	271
Ostatni Sokrates	283



M. Kost
Buzi
30. IV